

Barbara SEK

KSIĄŻKA PRAWDZIWA I MĄDRA.
MĘŻCZYŹNI SIĘ W NIEJ ODNAJDA,
KOBIETY POZNAJĄ MĘSKI
PUNKT WIDZENIA.

MANUELA GRETKOWSKA



miłość
na
szkle

Świat Książki

Barbara SĘK



**miłość
na
szkle**




Świat Książki
wydawnictwo

Wydawca
Grażyna Smosna

Redaktor prowadzący
Katarzyna Krawczyk

Redakcja
Roman Honet

Korekta
Irena Kulczycka
Krystyna Śliwa

Copyright © by Barbara Sęk, 2015
Copyright © by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2015

Świat Książki
Warszawa 2015

Świat Książki Sp. z o.o.
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Łamanie
Joanna Duchnowska

Dystrybucja
Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o., Sp. j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
e-mail: hurt@olesiejuk.pl, tel. 22 733 50 10
www.olesiejuk.pl

ISBN 9788380311480

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

*Monice Orłowskiej.
To wszystko przez Nią...
No dobrze, tak naprawdę dzięki Niej.*

*Jeśli żyjesz, nie stawisz się ojcem,
umrzesz, nie będąc człowiekiem.*

(prysłowie rosyjskie)

W zamian za rozkosz

Jestem pantoflem. Jak mogłem się na to zgodzić?!

Teraz żałuję, przeklinam los, lecz w głębi duszy wiem, że podjąłem słuszną decyzję. Co by mnie spotkało, gdybym stawiał opór...? Żoła nie odpuszcza, prędzej czy później osiąga cel. Wystarczy, że przez kilka dni nie wyda z siebie jęku rozkoszy i nie pozostaje mi nic innego, niż wypowiedzieć kwestię: „Kochanie, oczywiście. Zrobimy, co zechcesz. No przecież masz rację. Powinniśmy. Tak!”. Powinniśmy się zgłosić do kliniki. Tak! Ale gdzie ona jest, do jasnej cholery!?

Po raz piąty okrążam samochodem najbardziej snobistyczną dzielnicę Krakowa. Jajka mi się pieką na fotelu. Chyba z tym potem wychodzi ze mnie stres.

GPS? Bez sensu uruchamiać go pod koniec trasy. To musi być w tej okolicy – łudzę się tak od kwadransa.

Parkuję. Nie wytrzymam dłużej w blaszanym pudełku. Resztę drogi pokonuję pieszo. Mógłbym zapytać przechodnia o kierunek, ale trochę mi głupio. A jeśli będzie wiedział, co znajduje się pod wskazanym adresem?

Wreszcie dostrzegam szyld. Zbliżam się do budynku. Widząc już z daleka żonę, wiem, jakim mianem ją najtrafniej określić. Swojej partnerce do tańca i różańca nadaje różne ksywki. Wszystko zależy od jej nastroju lub sytuacji, w jakiej się aktualnie znajdujemy.

W łóżku, windzie, przymierzalni, w negliżu jest Brenda: sobowtórem aktorki odgrywającej główną rolę w legendarnym już serialu *Beverly Hills 90210*. Jest Anetą, kiedy śmieje się do łez z moich żartów i filmów Monty Pythona. Kiedy na krańcu świata skacze ze mną na bungee i wieszka mi się na szyi podczas lotu balonem. A także kiedy dzwoni i oznajmia, że odpadła jej... opona (*God!* I ona jest brunetką, aż trudno uwierzyć). Także wtedy, gdy streszcza epilogi książek, które koniecznie muszę przeczytać. Gdy serwując, nie może trafić rakiętą tenisową w piłkę. Gdy zamiast „w prawo” mówi „w lewo”. No i gdy popija ze mną martini, zapominając, że następnego dnia będzie miała kaca. W takich okolicznościach jest sobą, czyli fajną dziewczyną, w której się zakochałem.

Dla tych dwóch wcieleń warto było się zenić. Pozostałe trzeba przeboleć. Przemilczeć się nie da.

Gdy oglądamy projekty mieszkań u dewelopera, wypełniamy roczne zeznania podatkowe, wybieramy kibel, firanki, sery pleśniowe, rybę na kolację lub decydujemy się na dziecko, używam słowa: Małża (taki skrót od „małżonki”). Najgorszy wyraz stosuję, gdy Aneta zamienia się w prawdziwą kobietę: jej

zachowaniem nie rządzi temperament, lecz zbyt wysokie stężenie któregoś z hormonów. Wówczas nie wydrapuje mi oczu tylko dlatego, że obawia się o długie paznokcie, których złamania nie jestem wart. Właśnie w takich momentach jak teraz, gdy stoi z założonymi rękami i stuka obcasem o ziemię, a jej mięśnie są wyraźnie napięte, nazywam ją Zołą. Wkrótce szeroko otworzy mocno zaciśnięte usta i dłuugo, baaardzo dłuugo ich nie zamknie.

Nie pojmuję, skąd ta złość. Sprawdzam godzinę i zyskuję pewność: zjawiłem się punktualnie. Więc dlaczego... a jeśli to nie gniew? Jeśli Małża – podobnie jak ja – jest zestresowana? Mogę wypowiedzieć zdawkowe: „Cześć”, spuścić głowę i więcej się nie odzywać, żeby nie rozjuszyć jej jeszcze bardziej. W ten sposób na pewno się nie pogrązę. Ale równocześnie nie zabłysnę. Bo jeśli ta postawa i mina nie są objawem oburzenia, lecz tremy, powinienem rozluźnić atmosferę, jak na prawdziwego faceta przystało.

Ryzykuję. Staję tuż obok niej. Odzywam się, dopiero gdy zaczyna mi się przyglądać z typowym dla Zoły grymasem twarzy.

– Przepraszam, pani, zdaje się, na kogoś czeka, tak? Na mnie, prawda? Na dawcę nasienia?

Uff, wszystko wskazuje na to, że zdołałem ją rozmiękczyć. Albo przypisuję sobie zbyt duże zasługi. Czyżby nie zamierzała na mnie naskoczyć? Nie znalazła pretekstu? Niebywałe!

Brenda prostuje się, opiera rękę na biodrze, wypina piersi. Pragnę z niej zedrzeć ubranie. Włać w nią swoje geny tu i teraz. Gdyby pozwoliła się zaprowadzić na pobliski parking, uniknąłbym tej idiotycznej wizyty. Przecież na rozwiązanie naszych problemów jest wyłącznie jeden sposób.

– Z tym nasieniem... Naprawdę byłby pan gotów zaoferować pomoc?

– W zamian za rozkosz? Dlaczego nie?

Wybuchamy gromkim śmiechem. Ale po upływie kolejnych sekund już żadne z nas nie ma pomysłu, jakim żartem rzucić, by rozładować napięcie. Nawet nie udaje mi się podtrzymać podniecenia, bo uświadamiam sobie, że zanim tknę Brendę, w jej wnętrzu pogrzebie ktoś inny. Ona nie odmówi sobie tej przyjemności. Może dla niej nie jest wątpliwa.

Spogląda na zegarek i wzdycha ciężko.

– Idziemy? – pytam.

– Jeszcze mamy trochę czasu.

Cóż, ilekroć słyszę te słowa, jak na komendę wyjmuję z paczki papierosa. Zawsze wtedy czuję na sobie nienawistny wzrok Zoły. Za każdym razem, gdy wciągam dym do płuc, to chyba nie mnie, ale jej podnosi się ciśnienie. Potwierdzenie tezy, że bierne palenie jest bardziej szkodliwe od czynnego.

Patrzę na nią, uśmiecham się sztucznie. Tak usiłuję załagodzić jej rozdrażnienie. Gdy nasze spojrzenia się spotykają, odnoszę wrażenie, że Aneta

wcale nie chciała okazać dezaprobaty. Z utęsknieniem gapi się na mojego marlboro light. Sama by sobie zapaliła. A to świadczy o ogromnej tremie. Przecież od półtora roku nie miała w ustach papierosa.

– Musimy tam iść? – pytam błagalnym tonem, licząc, że zrezygnuje.

„Niech zrezygnuje!” – modlę się w myślach. Wiele bym zrobił, żeby osiąść taką siłę sugestii, jaką ma ona. Wtedy wszystko byłoby proste. Manipulowałbym nią jak marionetką. Dlaczego rola lalkarza w tym związku przypadła właśnie jej?

– A widzisz inne wyjście?

– No. Możemy wrócić do domu i pójść do łóżka – proponuję. – Chyba że wolisz w samochodzie?

– Po co, skoro nic z tego nie wynika?

– Czy nic, to bym dyskutował. Pewne korzyści jednak odnosimy. Ty nawet kilka za jednym zamachem i jeszcze śmiesz rościć pretensje – stwierdzam wymownie. – Może warto najpierw zrobić ten test na ewaluację?

– Owulację – poprawia mnie.

Już dała się ponieść emocjom na tyle, że nie próbuje zrozumieć prostego żartu. No, chyba że nie był śmieszny. W sumie żaden nie byłby w tych okolicznościach.

– Nabijałem się. Chodzi o to, że tutaj od razu znajdą w nas jakieś usterki, których naprawa będzie słono kosztować.

– Całkiem prawdopodobne. Po to tu jesteśmy. Szkoda, że żal ci pieniędzy.

Fuck! Powołałem do życia najgorsze wcielenie. Niepotrzebnie poruszyłem temat wydatków.

Zośka odwraca się na pięcie i zmierza do wejścia. Przyspiesza na widok ciężarnej kobiety opuszczającej klinikę.

– Czekał, przecież nie... – Nie mam szans na usprawiedliwienie.

Aneta zatrzymuje się przy recepcji. Rozmawia z blondyneczką, której wymuszony uśmiech i kultura osobista zostaną wliczone w koszty konsultacji. Nie zamierzam tłumaczyć się przy obcej babce. Inaczej udowodnię zaangażowanie.

Wlokę się za Małgą krok w krok jak wierne psisko. Zastanawiam się, czy rzeczywiście chce tej wizyty, skoro tak reaguje. Huśtawka nastrojów rozbujana mocniej niż przed okresem.

Kilka sekund później już wiem, że tego właśnie jej trzeba. Widać to po pewnych krokach stawianych na marmurowej posadzce. Nie potrafię jej dogonić. Traktuje mnie jak powietrze. Niech ją szlag! W miejscu publicznym może sobie pozwolić, bo tu nie wykrzyczę, że jest niestabilną emocjonalnie histeryczką i nadaje się na wizytę u lekarza zupełnie innej specjalności. Swoją drogą, ciekawe, czy w takich sytuacjach powstrzymuje mnie szacunek – który pomimo wszystko do niej żywię – czy obawa, że osoby trzecie przyglądałyby się, jak kobieta wymierza mi policzek. Bo przecież tą okrutną wypowiedzią zasłużyłbym na liścia i po fakcie

mógłbym jedynie potrzebować bolące miejsce dłonią. Nie podniósłbym na nią ręki w ramach zadośćuczynienia, nawet gdyby nie było świadków. Nawet gdyby mnie całkiem upokorzyła. Sam nie umiem określić, czy moja bierność to obrona jej godności, czy też mojej. Zresztą jakie to ma znaczenie? Mimo wszystko nie powinna nadużywać mojej cierpliwości. Są jakieś granice. Właśnie je przekroczyła i się doigra. Zatrzymam ją, mocno chwycę za ramię, unieruchomię i pogrożę: „Jeszcze raz zrobisz ze mnie potwora przy ludziach, gwarantuję ci, że się nim stanę”. Zanim jednak zdążyłem ułożyć w myślach dalszą część tej przemowy, tak by brzmiała naprawdę złowrogo, Zołza zamyka mi drzwi przed nosem. Z impetem wkraczam do niewielkiego gabinetu. Chcę stanowczo zaznaczyć, że nie godzę się na taką pogardę. Nie jestem kundlem, który kopany nie zaskomli, tylko z pokorą będzie się wpatrywał w twarz swojej pani. Robię głęboki wdech i... powstrzymuje mnie obecność doktora, który już wyciąga prawicę. Opanowała mnie taka złość, że przemierzając korytarz, zupełnie zapomniałem, dokąd ma mnie doprowadzić. I tak, sam nie wiem kiedy, stoję w gabinecie specjalisty leczenia chorób kobiecych. Przełykam ślinę, jakby to mogło ukoić moje nerwy, i ściskam dłoń ginekologa. Z Zołzą się jeszcze policzę. Później. W obecnych warunkach to byłoby niestosowne i wyszedłbym na tyrana. Wyszedłbym, no właśnie. Najchętniej bym stąd wyszedł.

– Dzień dobry. Robert Haliszewski – przedstawia się lekarz. – Proszę usiąść.
– Wskazuje dwa fotele stojące przed biurkiem. Sam zajmuje miejsce naprzeciwko nas. – Państwo Aneta i Wojciech Raczyńscy – wyczytuje dane z kartki. Unosi głowę, kładąc ręce na blacie. – W czym tkwi problem? – pyta bez jakiegokolwiek wstępu.

Szlag mnie trafia, bo oczywiście z góry zakłada, że coś nie działa jak należy.

– Chyba standardowo. Staramy się. Rezultatów brak – oznajmia Małża.

– Jak długo to trwa?

– Rok. Chociaż tak naprawdę nie wiemy, czy trafiliśmy kiedykolwiek na odpowiedni moment – wtrącam się.

Po pierwsze, mogę zasugerować, że nie musimy korzystać z porady. Zgłosiliśmy się tutaj, bo Aneta miewa różne fanaberie, a to właśnie jedna z nich. Jak innowacyjny zabieg kosmetyczny, który trzeba wypróbować, żeby w środowisku nie zostać uznanym za *passé*. Po drugie, zamierzam dowieść, że akceptuję każdy jej kaprys, więc nie powinna zamykać przede mną drzwi.

– Aha, czyli nie kontrolowaliście cykli?

Patrzemy na siebie. Oboje zmieszani. Czujemy dezaprobatę w głosie doktora.

– Często dochodzi do zbliżeń?

Oczy niemal wyskakują mi z orbit, gdy słyszę to pytanie, niepoprzedzone słowami: „Proszę wybaczyć, ale muszę wiedzieć...”. Oddycham miarowo,

zaciskając dłonie. Panuję nad sobą. Nie chcę być wredny. Wyszłoby na to, że sytuacja mnie krępuje. Lepiej, jeśli udowodnię, że mam dystans.

– Zdecydowanie za rzadko – stwierdzam.

– Zdecydowanie za rzadko to mój mąż bywa poważny. Trzy–cztery razy w tygodniu – przyznaje wprost Aneta, jakby wcale nie bulwersowało jej wścibstwo ginekologa.

– Prawidłowo? – dopytuję.

– Tak. Prawidłowo.

– Szkoda.

– Chciałby pan rzadziej? – Lekarz spogląda na mnie z uśmiechem.

– Za takie zalecenia dziękuję – odpowiadam.

Haliszewski zakłada okulary i wypełnia rubryki w karcie pacjenta. Przeprowadza wywiad na temat pierwszej miesiączki, ostatniej miesiączki, regularności miesiączek, obfitości miesiączek, bolesności miesiączek.

„Co ja tu robię?” – zastanawiam się. Mam niewiele do powiedzenia w kwestii miesiączki czy miesiączek. Mogę jedynie zdradzić, jakich tamponów używa Małża, bo je kupuję.

Chwilę później jednak się okazuje, że moja obecność jest konieczna. Obowiązkowa. Następne pytania znów są kierowane do nas obojga. Wtedy dochodzę do wniosku, że wołałem się nudzić i wiercić niecierpliwie w fotelu, wysłuchując, w jakim wieku Aneta rozkwitła.

– Proszę państwa, u nas nie odbywa się standardowych wizyt ginekologicznych. Nie zajmujemy się wyłącznie kobietami, lecz parami. Stąd też polecałem, byście pojawili się w komplecie. Nie tylko od pani muszę uzyskać szereg informacji, aby pomóc. Bez urazy i uników, proszę.

Obudził się! Rychło w czas uświadomił sobie, że przydałoby się trochę kurtuazji podczas wizyty za ciężkie pieniądze.

– Czy w rodzinie były jakieś kłopoty z zajściem i donoszeniem?

– U mnie nie – deklaruje Aneta.

– A ja, jeśli zachodziłem, to jedynie w głowę. Nigdy też na nikogo nie donosiłem. Ale począłem się w wyniku ułańskiej fantazji, a nie planowania, więc nie można mówić o trudnościach.

Lekarz wszystko notuje, chociaż nie przestaje z nami rozmawiać.

– Pani się nie boi, że potomek odziedziczy cynizm po ojcu?

Znowu patrzy mi w oczy z pobłażliwym uśmiechem. Anecie drżą kąciki ust. Już się chyba nie złości. Przypadłem doktorowi do gustu. Nie uznał mojego zachowania za niestosowne, więc Małża stwierdziła, że nie musi się za mnie wstydzić.

Kolejne zagadnienia: obecny stan zdrowia, choroby przewlekłe. Na koniec nałogi.

– Ja już się uwolniłam od używek.
– Bardzo dobrze – chwali Haliszewski. – Alkohol lepiej zamienić na kwas foliowy. A co pan Wojciech ma do powiedzenia na ten temat?

– Co ja mam do powiedzenia? – Zbieram myśli. – Faktycznie moja żona mało pije, od dawna nie pali, ale jest uzależniona od pracy i zakupów.

– A pan?

– Nie jestem uzależniony od pracy. Tym bardziej od zakupów. Jedynie od seksu, ale to akurat sprzyja prokreacji.

– Panie Wojciechu, mnie jest bardzo miło, że się spotkaliśmy, bo rzadko przychodzą tutaj ludzie w tak dobrych nastrojach, ale jednak prosiłbym o odrobinę powagi.

Stosuję się do prośby. Ton ginekologa brzmi sugestywnie. Poza tym Małża patrzy na mnie z niesmakiem. Straciła cierpliwość. Nigdy nie zacznę wyczuwać, co sprawia, że przeobraża się w Zołzę. Zresztą czy to by coś zmieniło? Czy to by mnie zmieniło? Nie przestanę robić z siebie pajaca. Tak już mam. Humor to podstawa mojego systemu immunologicznego. Humor to przeciwciała zwalczające strach przed porażką. Jasne, czasem można, a nawet trzeba z niego zrezygnować, żeby moja luba nie stroiła fochów. Wyłącznie w obawie o to kontynuuję spowiedź.

– Na pewno kofeina. I nikotyna. Piję z taką samą częstotliwością, z jaką uprawiam seks, ale to są niewielkie stężenia i ilości.

– Od dzisiaj papierosy to przeszłość. Alkohol proszę znacznie ograniczyć.

Już nie jest mi do śmiechu. Przed minutą postanowiłem, że zapalę zaraz po wyjściu z kliniki. Mimo wewnętrznego buntu przytakuję ruchem głowy.

– Ostatnia sprawa, być może kluczowa, bo jak dotąd nie mamy mocnego punktu zaczepienia. Wiek?

– Trzydzieści pięć – niemal szepcze Aneta.

Ja milczę. Dopiero na wyraźne wezwanie odpowiadam:

– Trzydzieści osiem.

– Jak wygląda państwa tryb życia?

– Standardowy. Pracujemy ponad normę. Mamy mniej więcej po półtora etatu na łebka. Po godzinach i nadgodzinach zjadamy kolację, czytamy sobie do snu lub zajmujemy się przyjemniejszymi czynnościami, w nawiasie: płodzeniem syna. W weekendy uprawiamy... również sporty, wyjeżdżamy za miasto lub wpadamy do marketu, a wieczorową porą imprezujemy ze znajomymi, którzy – tak jak my – nie kąpią niemowlaka o dziewiętnastej. Hm... Co jeszcze?

– Wystarczy, panie Wojciechu. Nie muszę znać waszych poglądów politycznych. A tak serio, proszę wybaczyć, ale chciałem zapytać, czy macie poczucie bezpieczeństwa: stabilne zatrudnienie, odpowiednią sytuację mieszkaniową, materialną, rodziców gwarantujących pomoc przy wnuku?

– Nie dotyczą nas tego rodzaju problemy – wyznaje Małża, choć osobiście

z niektórymi kwestiami bym polemizował.

W ogóle po cholerę lekarzowi taka wiedza? Sprawdza stan majątkowy, żeby nas wyssać do cna?

– Łączą was wspólne rytuały. Nie boicie się, że dziecko zaburzy wypracowane przez lata schematy funkcjonowania lub zniszczy uzyskaną pozycję, status?

– Tego pewnie każdy się boi, ale też to jest najfajniejsze. Nowe życie. I dla dziecka, i dla rodziców. Dla związku – odpowiadam.

Sam jestem zaskoczony tą głęboką myślą, z której – ku jeszcze większemu zaskoczeniu – swobodnie się zwierzam.

Lekarz wykonuje powolne półobroty na fotelu, patrząc raz na mnie, raz na Anetę. Tak jakby nas lustrował, oceniał. A my wodzimy za nim wzrokiem, czekając na wyrok. W końcu zatrzymuje spojrzenie na mnie, jakby nad czymś dumiał, i jeszcze długo milczy. Opiera łokcie na biurku, nachylając się do nas.

– Kiedy ostatnio doszło do zbliżenia?

– Przedwczoraj – wyznaje znowu Aneta.

– Regularny cykl. Trwa trzydzieści jeden dni... – szepcze pod nosem Haliszewski. – Moja propozycja jest taka: diagnostykę zaczniemy od pani. Proszę się nie obawiać. Nie ma ku temu przesłanek medycznych. Po prostu zbliża nam się okazja do zapłodnienia i dobrze byłoby to wykorzystać. Chciałbym na początku zbadać hormony, a przede wszystkim wyznaczyć dokładny termin owulacji. Dostaniecie zadanie domowe na konkretny dzień. Po dwóch tygodniach od stosunku zrobi pani test ciążowy i – mam nadzieję – zobaczy dwie kreski. A wtedy zrezygnuje z moich konsultacji, czego życzę z całego serca. Co sądzicie o takim pomysle?

– Mnie się podoba, i to nie tylko ze względu na koszty wizyt. Ale czy traktować to jak gwarancję? Może pan takie dawać? Bez specjalistycznych badań?
– Zaczynam być opryskliwy.

– Chce pan na wstępie specjalistycznych badań? Nie byłbym tego taki pewny. Gwarancji nie daję. Nie mogę. Ale uważam, że na początek poziom hormonów i USG w zupełności wystarczą. Ja wiem, czym to wszystko pachnie i próbuję chronić pacjentów przed całą tą machiną. Wam daję raptem jedną próbę. Miesiąc ochronny. To dlatego, że jeśli w ogóle istnieje jakaś bariera, musimy szybko zadziałać. Pary młodsze wysłałbym aż na rok do łóżka, chyba że miałyby za dużo czasu i ochotę na zszarganie sobie nerwów. Pełna diagnostyka płodności jest pod wieloma względami bardzo kosztowna, dlatego należy jej unikać najdłużej, jak to możliwe. Dla dobra ludzi i związku. Jeśli tym razem się nie uda, natychmiast się wami zajmę. Poważnie, szybko i kompleksowo. Jeśli będzie potrzeba. Jak będzie kolejny cykl.

– Rozumiem.

– Teraz poproszę pana o opuszczenie gabinetu.

Zostawiam Anetę w rękach lekarza. W recepcji uiszcza opłatę za wizytę. Kwota nie robi na mnie wrażenia. Już nie zastanawiam się nad ceną, jaką należy zapłacić za posiadanie dziecka. Czekam, aż Małża zakończy wizytę.

Zgodnie z zaleceniami nie poświęcam wolnej chwili na palenie. Wszystko to, co usłyszałem na końcu, trochę mnie przeraża. Ginekolog zasugerował, że jesteśmy starzy. Jakoś nigdy tak o nas nie myślałem. Mijał dzień po dniu, rok po roku. Owszem, daty na ekranach komórek, komputerów przesłakiwały coraz szybciej. Zdawało się, że z większą częstotliwością kupujemy kalendarze. Jednak nie przybywało nam zmarszczek. Nie mewaliśmy zadyszek, więc nie zauważyliśmy, że skraca nam się dystans. Sądziłem, że za wcześnie na perspektywiczne myślenie o jesieni życia. Za wcześnie, żeby funkcjonować pod dyktando zegara. Mam nadzieję, że się nie myliliśmy. Pierwszy raz ktoś mi uświadomił, że czas przeciekł nam przez palce i na pewne rzeczy może być za późno. Skoro lekarz unika diagnostyki, za którą pewnie wybudowałby sobie kolejny dom na Woli Justowskiej, rzeczywiście ona musi powodować ciężkie skutki uboczne. Nie bez przyczyny etyka nie zezwala Haliszewskiemu na to, by narażał ludzi na zbędną terapię. Nie chcę, żebyśmy z Anetą przechodzili przez coś takiego. To dziecko, a nie same starania o nie, ma być próbą dla naszego związku. Zaciskam kciuki. Odczuwam presję, bo już wiem, ile zależy od najbliższego miesiąca, a nawet trzech tygodni. Modlę się, żebym więcej nie musiał tu przychodzić i opowiadać o częstotliwości współżycia. Wtedy otwierają się drzwi gabinetu. Staje w nich lekarz.

– Mogę pana jeszcze na sekundę prosić?

– Jasne.

Kolejny raz siadam naprzeciw Haliszewskiego. Choć zwraca się do nas obojga, nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Szacuję, że za sześć dni powinni państwo wkroczyć do akcji, ale to będziemy jeszcze na bieżąco kontrolować. Żeby próby były skuteczne, trzeba zachować trzydniową wstrzemięźliwość seksualną przed wystąpieniem owulacji. To pozytywnie wpłynie na jakość nasienia. Rozumiemy się?

– Jasne.

Moja deklaracja wywołuje wielkie zdziwienie Anety.

Gdy mijamy recepcję, informuję ją, że już zapłaciłem za wizytę. Znowu wygląda na zaskoczoną.

W milczeniu zmierzamy do samochodu. Dopiero w połowie drogi do domu zaczynam się zastanawiać, jakim żartem rozluźnić atmosferę. Nic błyskotliwego nie przychodzi mi do głowy, więc pytam po prostu:

– Jakie wrażenia?

– Dobrze, ale wolałabym tam nie bywać regularnie.

- Popracujemy nad tym.
- Naprawdę? Dziękuję.
- Zapachniało ironią. O co chodzi? Na pewno nie o hormony, bo nie jesteś w ciąży, zespół napięcia przedmiesiączkowego też cię aktualnie nie dotyczy. Musisz rozładować stres, tak?
- Nie. Wiem, że masz słomiany zapach. I pamiętam, jak mówiłaś, że nie można wyznaczać terminów namiętności. Przez rok nie chciałaś się dostosować do mojego cyklu.
- Czasem trzeba, jak widać.
- Dlaczego nie wpadłaś na to przed kilkoma miesiącami?
- Bo nie miałem za sobą wcześniejszych dwunastu miesięcy starań o dziecko.
- Już od dawna powinniśmy się trzymać odpowiedniej daty i wcześniej zgłosić do kliniki. Gdybyśmy od razu...
- Nie. Nie „gdybyśmy”. Nie to masz na myśli. „Możliwe, że gdybyś...”, „Gdybyś ty...”, to zaszłabym w ciążę bez ryzyka związanego z wiekiem. O to ci chodziło. Nie rób tego. Nie rób tego więcej, proszę cię. Bo jak masz zamiar szukać winnych, to więcej tam nie pójdę.
- Nie szantażuj mnie.
- To nie jest szantaż. To jest ostrzeżenie. Nie wyobrażam sobie, żebyśmy nawzajem zrzucali na siebie odpowiedzialność. Wtedy nie dojdziemy do niczego. No, może do orgazmu. Jeśli nie zaciążymy w tym cyklu, to ja nie wyleję na ciebie wiadra pomyli... pomyjów? Jak to się odmienia? Mniejsza z tym. Nie wyleję na ciebie wiadra brudnej wody, jeśli wina będzie leżeć po twojej stronie.
- Podejrzewasz, że to ja mam jakąś wadę?
- Dlaczego tak sądzisz?
- Nie zapytałaś, jak się zachowam, gdy ty okażesz się winowajcą.
- Po tym, co odstawiasz w tym momencie, potrafię to przewidzieć. Strach się bać.
- Zbladłabyś na samą myśl, że coś mogłoby być nie tak z twoją męskością. Nawet nie zakładasz takiej opcji. Wolisz twierdzić, że powinnam się tam zgłosić sama. Jestem tego pewna.
- A skąd to możesz wiedzieć?
- Bo znam cię od kilkunastu lat. Uważasz, że twoja obecność na tej konsultacji była zbędna. Przewracałaś oczami, wierciłaś się zniecierpliwiony i znudzony. Nie zależało ci na tym, żeby wyczerpująco odpowiadać na pytania. Wiele kwestii pominąłeś.
- Co takiego?!
- Używki.
- No chyba sobie jaja robisz. Mówić o czymś, co jest nielegalne? Zresztą po

jaką cholere miałem wspominać o innych dopalaczach, skoro Haliszewski kazał rzucić wszystkie?

– Zrobisz to?

– Tak. Skończę z papierosami i trawą. A termin namiętności wpiszę do kalendarza. Zadowolona? Już teraz odpuścisz?

– Chcesz mi coś udowodnić?

– Chcę mieć dziecko. Dlatego próbuję odstawić fajki i byłbym wdzięczny, gdybyś nie rzucała mi kłód pod nogi, wkurwiając mnie do granic możliwości.

Kończymy dyskusję. Zmieniam stację w radiu. Wolę pośpiewać, niż znowu słuchać o krachu na Wall Street, kryzysie ekonomicznym, który wkrótce zaleje całą Europę. Nieustannie o tym bębnią w serwisach informacyjnych, żebyśmy uwierzyli, że nie można garściami czerpać z dobrodziejstw kapitalizmu. Dosyć mam już tego tematu. Pogłasniam radio. Zołza patrzy na mnie z dezaprobatą, gdy nucę: *Ale kiedy wszystko już oddam, czy będziesz szczęśliwa i wolna, czy będziesz szczęśliwa i wolna, czy... Ale zanim pójdę, ale zanim pójdę, ale zanim pójdę, chciałbym powiedzieć ci, że miłość to nie pluszowy miś ani kwiaty, to też nie diabeł rogaty, ani miłość – kiedy jedno płacze, a drugie po nim skacze. Miłość to żaden film w żadnym kinie ani róże, ani całusy małe, duże, ale miłość – kiedy jedno spada w dół, drugie ciągnie je ku górze*[1].

Tekst piosenki doskonale wpisuje się w atmosferę naszej rozmowy, ale fałszując pod nosem, niczego nie sugerowałem. Chyba jednak nie ma sensu tego tłumaczyć.

Parkujemy pod domem. Ku mojemu zaskoczeniu Małża czeka, aż wyciągnę z bagażnika teczkę. Więc coś zrozumiała, spokorniała. Skurwysyn ze mnie, bo oczywiście to za mało. Zamiast ją objąć w drodze do mieszkania, bezczelnie przyspieszam i ją wymijam, jakbyśmy się nie znali. Oczekuję przeprosin. Mogłaby się trochę pokajać. Moja męska duma tego pożąda. Aneta jednak próbuje mnie udobruchać w inny sposób i jakby nic się nie stało, pyta już w progu, co zjemy.

– Nic. Nie jestem głodny. – Słowa same cisną mi się na usta, chociaż nie powinienem tak odpowiadać.

Zaszywam się w łazience. Leżę w wannie. Wraz z brudem zmywam złość. Odsuwam od siebie chęć zemsty; szkoda, że nie bezinteresownie. Naprawdę żałuję, że jestem tak wyrachowany. Lekarz wspominał, że za jakieś sześć dni owulacja, a przed nią trzy noce, które spędzimy odwróceniem do siebie plecami. Jeśli szybko nie rozgrzeszę Zołzy, dostanę świra. Nie wytrzymam aż do jajczkowania. A muszę, bo tym razem nie możemy schrzanić.

Uchylam drzwi. Przywołuję ją. Daję szansę na odkupienie.

– Małżuś, zrobisz mi herbaty? – pytam błagalnym tonem.

– Z sokiem malinowym?

– Poproszę.

Jestem spokojniejszy. Czuję ulgę.

Po upływie kilku minut Aneta zjawia się z kubkiem parującego napoju. Siada na brzegu wanny.

– Proszę.

– Dziękuję.

– Przepraszam.

Zaczynam się śmiać i w tym momencie bariera, jaka była między nami, pęka jak bańka mydlana.

– Cóż więcej mogę powiedzieć? – pytam. – Wyczerpaliśmy pakiet magicznych słów.

– Czyżby?

– Co jeszcze zostało?

Aneta nachyla się i podpowiada mi szeptem do ucha: „Kocham”.

– Aaa, tak, kocham – niemal wykrzykuję.

– Czegoś jeszcze sobie pan życzy?

– Ciebie.

Całujemy się. Brenda myje mi plecy. Ja myję jej piersi. Nadzy i mokrzy łądujemy w łóżku.

Kolację zjadamy później niż zwykle. Znowu trafiamy do sypialni. Tego wieczoru kolej Anety; ona czyta. To nasz rytuał. W taki sposób przygotowaliśmy się do sesji podczas studiów i ten zwyczaj kultywujemy do dziś. Tylko lektury się zmieniły. Są prostsze i zdecydowanie ciekawsze.

Zamykam oczy, aby wyostrzyć zmysł słuchu. I tak niewiele do mnie dociera, bo cały czas myślę o tym, że nie zapaliłem papierosa podczas jazdy samochodem, po jeździe samochodem, przed kąpielą, podczas kąpieli, po kąpieli, przed seksem, po seksie, przed kolacją, po kolacji i tuż przed nastawieniem budzika. Modlę się o ciążę. Jak najszybszą ciążę. Zyskuję pewność: nie będę się solidaryzował z Anetą. Gdy tylko wykonam zadanie i moja rola reproduktora się skończy, wrócę do nałogu. Zrobię to w słusznej sprawie, w trosce o nas wszystkich. Nie chciałbym bowiem być sprawcą przemocy domowej. Nawet się poświęcę. Zacznę ćmić na balkonie, żeby nie czynić z syna biernego palacza. Jeśli tylko będę go miał. Obym go miał.

1 *Zanim pójdę* – zespół happy sad, album: nieprzygoda, sł. taby.

Niedługo zniosę jajo

Przez kolejne dni już nie rozmawiamy o wizycie. Lekarz uspokoił Anetę, twierdząc, że nie powinna histeryzować, i pewnie dlatego humor jej znowu dopisuje. Cierpliwie czeka, aż Haliszewski da nam zielone światło. Tylko pozazdrościć, bo mnie czas się dłuży. Walczę z uzależnieniem. Ani słowem nie wspominam o trudnościach. Nie mogę uważać się nad sobą. To byłoby nieprzyzwoite, szczeniackie. Szkoda, ponieważ przeświadczenie, że Małżę rozpiera duma... Nie, nie, na co ja w ogóle liczę? Ona nie doceni wysiłków. Nie rozumie, czym dla nałogowca jest rezygnacja z porannego rytuału.

Siedząc za biurkiem, non stop gryzę koniec ołówka. Wkładam go do ust, robię głęboki wdech, jakbym się zaciągał. Nie mogę się pozbyć tego odruchu. Zamiast przygotować się do poprowadzenia rozmów kwalifikacyjnych, szukam na forach internetowych skutecznych metod walki z nałogiem. Koszmar!

W czasie przerwy odwiedzam aptekę. Kupuję plastry i gумы antynikotynowe. Zmierzając z powrotem do biurowca, mijam kolegów stojących przed wejściem.

– A ty co? Już nie robisz za palacza?

– Chwilowo za reproduktora – odpowiadam, jak najszybciej przechodząc obok, tak żeby zapach dymu nie przyciągnął zanadto mojej uwagi. – Dołączę do was za tydzień albo dwa, jak załatwię sprawę.

Natychmiast kieruję się do łazienki. Przyklejam plaster do ramienia, wyciskam z opakowania pierwszą drażetkę gummy. Zaczynam się lepiej czuć, choć nadal ssę ołówki i znowu go obgryzam. Mam jakiś szczękościsk. To pewnie z nerwów, które mi towarzyszą, nie wiedzieć czemu.

Z pracy wracam głodny jak wilk. Aneta przyrządza posiłek, ale ja nie mogę czekać, aż makaron się dogotuje. Nie bacząc na protesty, zjadam kanapkę z dżemem, banana i czekoladę z nadzieniem kokosowym. Nadal burczy mi w brzuchu. Uświadamiam sobie, że mój organizm wciąż łaknie nikotyny. Próbuję ją zastąpić przekąskami. To nic nie daje. Ciągle odnoszę wrażenie, że nie wykonałem jakiejś podstawowej, wręcz instynktownej czynności.

Czas na kolejną drażetkę. A po kolacji czas do łóżka. Najlepiej, jeśli prześpię ten stan.

Aneta układa głowę na moim ramieniu. Niespodziewanie się podnosi, ściągając ze mnie kołdrę.

– Co to jest? – Kieruje spojrzenie na plaster.

– Plaster antynikotynowy – odpowiadam niemal przez sen, przykrywając się ponownie. Nagle czuję, że Małża energicznie zdziera przyklepic. – Co ty

wyprawiasz?! – krzyczę.

– Miałeś rzucić.

– A co właśnie robię?

– Leczysz uzależnienie od nikotyny nikotyną.

– Terapeutyczną.

– Bujda na resorach. Nikotyna nie ma terapeutycznego działania. Ma działanie wyniszczające.

– Może dla plemników, nie dla mózgu.

– Twój mózg nie jest teraz najważniejszy.

Brak mi słów. Wiedziałem, że tak będzie: intensywne starania o dziecko sprawiają, że przestanę być facetem, mężem, człowiekiem. Moja rola ograniczy się do magazynowania i eksportu spermy.

– Dobranoc – próbuję zakończyć dyskusję.

– Wiesz, jeśli komuś zależy, to potrafi się poświęcić.

– Dobranoc – powtarzam głośniej, bo Zośka chyba nie zrozumiała, że chciałbym już zasnąć.

– Należałoby uzgodnić, czy mamy wspólne cele.

Jak zwykle. Musi drążyć bez końca, ale tym razem nie dam się sprowokować.

– Dobranoc.

– Chcesz dziecka?

– Chcę spać. Dobranoc.

– Gdybyś chciał, rzucenie nie byłoby trudne. Nawet na to cię nie stać. – Jej głos drży. Szlag! Dlaczego tak łatwo wywołać u mnie wyrzuty sumienia? To małżeństwo odziera mnie z męskości. Słyszę, że Aneta pociąga nosem. Wzdycham ciężko, wstaję. – Gdzie idziesz? – pyta.

Zaraz powie, że uciekam od problemów. Boże, jacy my jesteśmy przewidywalni po kilkunastu latach kładzenia się do jednego łóżka.

– Zajarać. – W rzeczywistości wcale nie zamierzam sięgać po papierosa. Chcę jej tylko dopiec. Drażetki spuszczam w toalecie, plastry wyrzucam do śmieci. Wówczas Zośka zjawia się w salonie. – Zastanów się – mówię. – Nie czy chcesz dziecka, ale czy chcesz mieć je ze mną, skoro jestem tak beznadziejny.

– Wojtek!

– Dobranoc. – Zmierzam do sypialni.

– Wojtek, zaczekaj.

Lezie za mną. Nie wiem po jaką cholere. Darowałyby sobie.

– Nie jestem odpowiednim kandydatem na ojca. Gdyby nie brakowało ci czasu, znalazłabyś sobie niepalącego, prawda? Z braku laku wybrałaś mnie. Faceta niezdolnego do wyrzeczeń.

Cholera, ja też miewam humorki, nieźle na nią napadam, ale dobrze. Niech

wie, jak by nasz związek wyglądał na co dzień, gdybym tak jak ona nie panował nad emocjami.

– Wojtek! Pochrzaniło cię? Chcę z tobą. Chcę, żeby się udało, i dlatego nie pojmuję, jak możesz tak olewać sprawę.

– Ja też chcę mieć dziecko, ale wydaje mi się, że nie jestem do tego wystarczająco dobry. Chcę mieć dziecko, dlatego dzisiaj nie zapaliłem. Dlatego starałem się nie złamać. A dla ciebie to nic nie znaczy.

– Doceniam to.

– Jasne, właśnie widać.

Nie panuję nad sobą. Dlaczego? Bo bez tytoniu, substancji smolistych i drażniących dostaję pierdolca? Bo Zołza zdeptała moją męską dumę? Bo po wczorajszym stosunku jestem zaspokojony seksualnie? A może wolę, żeby ona pozostała tą Zołzą? Wolę utrzymywać, że nie ma racji. Chyba ma. Ma. Jak zwykle ma. No bo jak uznać, że skończyłem z paleniem, skoro truję się nikotyną? I ja miałbym być ojcem?

Sam jestem jeszcze dzieckiem. Dzieckiem, któremu odebrano lizaka, żeby nie popsulo sobie zębów. Dzieckiem, które nie rozumie słusznych motywów takiego zachowania.

„Czas dojrzeć” – postanawiam rano. Nie zaopatruję się w kolejne opakowanie plastrów. Rezygnuję także z kupna elektronicznego papierosa. Małża – jakby czytała w moich myślach – daje mi w prezencie ogromne pudełko chupa chupsów, mówiąc:

– Mój kolega z redakcji rzucił dzięki ssaniu lizaków. Stwierdził, że to pomoże, bo jest ciężko tak z dnia na dzień. Cieszę się, że sobie radzisz.

Dostaję buziaka w policzek. W tym momencie wiem, dlaczego warto zrzec się asertywności i suwerenności. Dlaczego czasem warto przystosować się do oczekiwań. Warto. Naprawdę warto być pantoflem. Po to, żeby zobaczyć ten uśmiech, usłyszeć tę wdzięczność w głosie. Lepiej się napawać duszną miłością niż dymem papierosowym. Lepiej, gdy w znoszeniu trudów pomaga kobieta, a nie używki. Tak! Czuję satysfakcję. Bo jestem zdolny do kompromisów. I już nie mogę się doczekać następstwa wspólnych decyzji, to znaczy: działań, zmierzających do prokreacji.

Trzy dni później, gdy jak zwykle wieczorem spotykamy się po pracy przy kuchennej wyspie, Aneta relacjonuje przebieg wizyty. Wyniki pierwszych badań są dobre, ale to nie czas na rozpoczęcie prób. Obym wytrzymał. Liczyłem na szybsze załatwienie sprawy. A tak, przede mną jeszcze co najmniej doba życia w celibacie. Szkoda, ponieważ seks złagodziłby napięcie związane z głodem nikotynowym. Opowiadam o nim Anecie. Nagle wtrąca:

– Aha, zapomniałam. Haliszewski powiedział, żebyś nie wpadł na pomysł, żeby zapalić, jak wykonamy brudną robotę.

Cholera! Ja już na to wpadłem.

– Mamy poczekać z tym aż do pozytywnego wyniku testu. Tfu, ty masz poczekać, bo ja nie uczczę sukcesu dopalaczami. A tak naprawdę lepszą płodność można uzyskać po trzech, czterech miesiącach od rozpoczęcia detoksu.

– Zakłada, że będziemy próbowali cztery miesiące? W razie niepowodzenia miał się nami zająć natychmiast.

– To nie znaczy, że od razu wyczaruje nam dzieciaka. Nie zdoła wykluczyć wszystkich problemów na początku leczenia. Nie machnie czarodziejską różdżką. To nie dzinn. Nawet jak znajdzie konkretną przyczynę, to...

– Masz zamiar powiedzieć coś jeszcze o mojej spermie przy kolacji? Nie moglibyśmy porozmawiać później?

Jednak nie wracamy do sprawy. Oglądamy telewizję. Znowu chrzanią o kryzysie w Stanach. I o tym, że kurs franka rośnie. Ten temat jest już bardziej interesujący. Niestety, dotyczy nas bezpośrednio. Wzrośnie wysokość rat.

A miało być dowcipnie

Aneta nie dzwoni, dlatego sam się z nią kontaktuję. To połowa miesiąca, a jajczkowania ciągle nie ma. Może rzeczywiście z Małżą jest coś nie tak? Tylko co, skoro wyniki badań są zgodne z normami? Przynajmniej tych, które mogła wykonać na tym etapie. Jak długo jeszcze trzeba będzie czekać? Aż do okresu? Jeśli Aneta – broń Boże! – się dowie, że przechodzi bezowulacyjne cykle, wcale nie zechce się tarmosić w łóżku. Wszystko pójdzie na marne. Cały wysiłek związany ze wstrzemięźliwością i odstawieniem szlufów. A ja muszę jakoś rozładować napięcie. Tu, teraz, natychmiast. Każda kolejna doba jest trudniejsza. Nie sądziłem, że nałóg tak dobrze wpływa na percepcję. No i świadomość. Od kilku dni jestem senny, znudzony. Kawa już nie pobudza mnie do działania, lecz przypomina o uzależnieniu. Tabliczka czekolady, którą zastępuję papierosa wypalanego zawsze po spożyciu czarnej bez cukru, nie ma odpowiedniej mocy. Zawiera magnez, poprawia koncentrację i pamięć, ale nie burzy krwi w żyłach. A bez tego... Chyba się rozchoruję. Towarzyszy mi dziwne osłabienie. Silnie odczuwam każdy dotyk. Moja kondycja wcale nie jest lepsza. Wręcz przeciwnie: kiepska jak na potężnym kacu. Dotąd wbiegnięcie na szóste piętro biurowca, w którym pracuję, nie sprawiało mi trudności. Teraz dostaję zadyszki i ataku suchego kaszlu, pokonawszy trzecią kondygnację. Niepojęte: przestałem karmić raka i zacząłem korzystać z windy, zamiast pełną piersią wdychać świeże powietrze płynące przez otwarte okna klatki schodowej. Jak ja się sprawdzę w łóżku w takim stanie? Wystawiony na ogromną próbę organizm ma funkcjonować bez zarzutu? Jasne. Ciągłe zdenerwowanie i obniżona odporność przysłużą się plemnikom. Skutki będą odwrotne od oczekiwanych. Na sto procent.

Aneta wreszcie odbiera i tym samym przerywa moje rozważania.

– Wytrzymasz jeszcze dzień lub dwa?

Wzdycham ciężko.

– Skoro muszę... Niedługo zniosę jajo.

– Nieee. To ja jestem od znoszenia jaj.

– Jak wytrysnę po takim poście, to urodzisz co najmniej trojaczki, weź to pod uwagę.

– O, świetnie.

„Zajebicie, fakt” – myślę, gdy już kończymy rozmowę. Wygodnie opieram się w fotelu i liczę, ile może trwać wieczność. Jestem słaby. Do jasnej cholery, jestem strasznie słaby. Mam problem z przechowaniem materiału genetycznego i rzuceniem palenia.

Małża o tym nie wie, ale od wczoraj znowu korzystam z plastrów i gum. To

w niewielkim stopniu pomaga znieść objawy odstawienia. Z każdym dniem wyczekiwania na idealny moment do zapłodnienia utwierdzam się w przekonaniu, że moje plemniki są szybkie, zwinne i skuteczne, lecz nie mają się gdzie zagnieździć. Aneta – wbrew temu, co sądzi – wcale nie składa jaj, więc restrykcyjny detoks na nic się nie zda. Dlatego podczas porannej toalety bez skrupułów przyklejam plaster do ramienia. Gdy tylko wsiadam do samochodu, jeszcze zanim uruchomię silnik, wyciskam z listka gumę do żucia. Kiedy wracam z pracy, natychmiast zajmuję łazienkę. Ściągając garniak, zdzieram przylepiec, aby znów nie zwrócił uwagi Małży. Czuję się wtedy znacznie gorzej, ale zostają mi jeszcze gumy. Żuję je wraz z airwavesami po każdym posiłku. To nie wzbudza podejrzeń. Odkąd wyrwano mi wszystkie ósemki, po jedzeniu zawsze korzystam z miętowych gum, łudząc się, że uchronią moje zęby przed kontaktem z kleszczami chirurgicznymi. Dla niepoznaki nadal ssę chupa chupsy. Obrzydliwie okłamuję Małżę i nadużywam jej zaufania, wiem. Ale nie pozostawiła mi wyboru. Nigdy nie paliła nałogowo, więc nie rozumie, że z tym nie da się nagle skończyć, zapomnieć, że jest tak samo ważne jak śniadanie lub ranne posiedzenie na kiblu. Gdyby nie zamieniała się w Zołzę, wiedziałaby o wszystkim. Tymczasem nie mogę liczyć na taryfę ulgową. Choćbym się wykończył psychicznie, muszę jej zrobić dziecko. Nieistotne, jakim kosztem. Właśnie ten brak empatii z jej strony sprawia, że mam coraz więcej do ukrycia. Zołza sama zasłużyła na takie traktowanie. Jest współtwórcą, producentem mojego sekretnego życia.

Zresztą nie powinienem się specjalnie zadręczać. Moje występki to drobne grzeszki w porównaniu z tym, co mają na sumieniach inni mężowie.

Gdy już udaje mi się obniżyć wagę przewinienia, podczas przerwy w pracy znowu odwiedzam aptekę. Wydawało mi się, że została jeszcze jedna drażetka, a najwyraźniej włożyłem do kieszeni pusty listek. Nie do wiary: zużyłem wszystkie gumy w tak krótkim czasie?! Zacznę ograniczać spożycie. Za droga ta impreza. Wprawdzie opłaca się bardziej niż papierosy, ale paczka marlboro jest warta swojej ceny, bo palenie nie dość że zaspokaja potrzeby, to jeszcze sprawia przyjemność. A żucie tych gum jedynie uśmierza cierpienia.

Wracam do biura, już wyciskając z opakowania pierwszą gumę. Wezwany przez kierownika, zatrzymuję się przy popielniczce.

– Możesz mi przetłumaczyć tę umowę jednak dzisiaj? – pyta.

– Nie ma problemu. Tylko musisz powiedzieć którą.

Tak rozmawiamy przez kilka minut. Cały ten czas napawam się zapachem dymu.

– Jeszcze nie załatwiłeś sprawy? – zagaja stojący z boku kolega.

– Jakiej sprawy? Umowy? Nie, bo wyjątkowo była na jutro, a nie na wczoraj.

Wszyscy wybuchają gromkim śmiechem.

– Chodziło mi o reprodukcję.

Przypominam sobie naszą ostatnią rozmowę. Cholera, niepotrzebnie się wtedy przyznałem, że próbujemy. Narażę się na śmieszność, jeśli wkrótce nie zapalę papierosa i za dziewięć miesięcy nie wkleję na tapetę ekranu zdjęcia noworodka.

– A! No nie. Jeszcze nie. Ale spoko, za jakieś dwa tygodnie, jak będzie pewność, zapalę – odpowiadam.

Kretyn ze mnie. Zamiast wszystko odkręcić, pogrążam się coraz bardziej.

– To nie jest takie proste – ostrzega Jarek. – Z moją staraliśmy się osiem miesięcy.

– Strasznie długo – odpowiadam. Przecież nie wyznam, że nasza sytuacja jest znacznie gorsza. – No ale w końcu sukces. To najważniejsze. – Sam nie wiem, czy pocieszam jego, czy siebie.

– No, powiem więcej: obyło się bez rzucania palenia.

– Małża jest zapobiegliwa do bólu.

– A ty ugodowy do bólu.

„Co za skurwiel!” – myślę i szybko reaguję na beczelną zaczepkę:

– Sam chciałem rzucić.

– No to po co gadasz, że za dwa tygodnie dołączysz do naszego grona?

Mina mi rzednie. Dałem się uwikłać w jakąś chorą gierkę. Całe szczęście, mam w zanadrzu ripostę. Muszę zdeklasować Jarka. Żeby nie wyszło na to, że jest idealnym spermodajem, a ja – pantoflem.

– Bo chyba nie wytrzymam tyle. Ale dam sobie jeszcze na wstrzymanie. Może dzięki temu to potrwa krócej niż osiem miesięcy. Szybko spłodzę syna i dopiero wtedy – żeby uczcić sukces – zapalę. Lecę do pracy, sorry.

Po tej rozmowie mam wielką chęć na czerwonego marlborsa. Albo na owocny seks z Brendą. Teraz, natychmiast. Usiłuję odsunąć te myśli. Dalej wytrwale magazynuję nasienie. I tak ma pozostać. Jeszcze trochę. Jeszcze tylko dzień, dwa, tydzień, a może... cała wieczność? Muszę się czymś zająć. Muszę się zająć robotą. Idzie mi wyjątkowo opornie. Wracam do domu o dziewiętnastej. Już na klatce schodowej czuję, że Małża gotuje krem z dyni. „Najpierw zjem kolację, później się przebiorę” – postanawiam.

Jak zwykle siadam na barowym krześle. Aneta analizuje wyniki rankingu kijków do *nordic walking* i komentarze czytelniczek do reportażu o matkach, które nie karmiły noworodków piersią. Gdybym to ja opowiadał o tym, co w biurze, aby podtrzymać rozmowę, w związku wiałoby nudą. A tak przynajmniej wiemy, jakiej marki buty kupić do joggingu, a jakiej do gry w tenisa, po czym poznać dobrą oliwę i które mleko modyfikowane serwować dziecku, gdy już się pojawi w naszym życiu.

– Ile ta zupa będzie się grzać? – pytam zniecierpliwiony.

Wystarczy, że odczuwam głód związany z brakiem nikotyny i pożycia seksualnego. Chciałbym, żeby w tych trudnych momentach nie brakowało mi chociaż jedzenia.

– Zaczekaj chwilę. – Aneta otwiera lodówkę i podaje jako przystawkę kawior w małej salaterce.

– *Wow!* Na bogato.

Kilka minut później stawia na stole lampiony i świeczniki. Włącza muzykę. Nuci pod nosem szlagier: *Oh, it's such a perfect Day. I'm glad I spend it with you. Oh, such a perfect Day. You just keep me hanging on. You just keep me hanging on*[2]. Doskonale rozumiem aluzję. Wiem, co się święci. Idealny dzień. Idealny wieczór. Poprawiam krawat i proszę ją do tańca. Dwa razy bujamy się do tej samej melodii.

– Zaraz spalimy kolację.

– Jeszcze powinnaś zmienić ubranie – sugeruję. – Spójrz, ja jestem na galowo.

– Jasne, w przepoconej, wymiętej po całym dniu koszuli. Nie martw się. Zaraz zadbam o stosowną oprawę.

Ślinka mi cieknie. Nie tylko ze względu na zapachy unoszące się w kuchni. Ta przewrotna bestia wie, że nie lubię planować. Dlatego mnie dziś oszukała. Dlatego słowem nie wspomniała o tym, że nastąpiła owulacja i jest gotowa, abym wlał w nią gorące nasienie pod ogromnym ciśnieniem pożądania.

Nie biorę udziału w przygotowaniach. Obserwuję każdy ruch Brendy. Jest boginią. Owszem, ci, którym mówię, że ma typ urody Angeliny Jolie, sprawiają wrażenie rozczarowanych, gdy ją poznają. Ale gdy opowiadam, że przypomina główną bohaterkę *Beverly Hills 90210*, doznają olśnienia na jej widok. Ma w sobie coś z Azjatki. Zwłaszcza gdy podkreśli wielkie oczy linerem. Skóra kontrastuje z kruczoczarnymi włosami. Usta wydymają się przy każdym zamyśleniu. Jest piękna. Jest niewyobrażalnie piękna. Zwłaszcza w koronkowym, czarnym *body* (lub gorsecie – jeszcze nie odkryłem, co to, bo nadal ma na sobie dzinsy), w którym właśnie paraduje przede mną po ściągnięciu luźnego swetra. Miseczki wypełnione okrągłymi grejpfrutami są całkiem prześwitujące, chyba z tiulu. Sutki Brendy przebijają przez nie jak kolce. Ach! Już chcę się pokłuć. Chcę jej już udowodnić, że mój – wprawdzie pojedynczy – kolec jest całkiem pionowy. Nie ugnie się pod ciężarem jej ciała i biedaczka może się na niego nadziać. Tak mocno, że będzie żałować tych igraszek, wodzenia na pokuszenie. Wyda z siebie okrzyk zdumienia, gdy niespodziewanie poczuje ostrze namiętności. Wbiję w jej ciało narzędzie zemsty za zbyt długą grę wstępną. Tuż po rozgrzewce, po ciepłej zupie. I jeszcze po drugim daniu, bo – jak się okazuje – ono także czeka.

Za kuchenną wyspą Brenda nakłada kolejną potrawę. Chyba ściąga tam spodnie. Nie wiem tego na pewno, nie mogę sprawdzić, bo obiecałem, że będę

grzecznie na nią czekać w jadalni. Słyszę stukot obcasów. Które szpilki założyła? Moje ulubione: czerwone, obszyte czarną koronką. Staje przede mną w samej bieliźnie. W gorsecie, pończochach podtrzymywanych przez specjalny pas. No i butach. Włącza kolejną piosenkę: *Veronikę* Tricky'ego. Mrużę oczy, ponieważ wydaje mi się, że śnię. Albo mam przed sobą inną kobietę. To nie moja konserwatywna Małża stroniąca od seksu z przebierankami. Zawsze uważała, że w łóżku trzeba być sobą. Dlatego nie chciała kupić pejcza, kajdanków czy kostiumu pielęgniarki.

Odstawia tacę. Zamiast zająć miejsce po drugiej stronie stołu, siada przy mnie, opiera cienkie obcasy na moich udach, jakbym był podnóżkiem. Uwielbiam, gdy kobieta sprowadza mnie do tak niskiego poziomu. Uwielbiam, gdy doprowadza mnie do stanu, w którym jestem bezwolny, opętany jej smakiem, zapachem, dotykiem i można mną manipulować jak marionetką. Ciągnąc za włosy, nie za sznurki.

Powstrzymuję się od jęknięcia. Zasygnalizowałbym, że cierpię. A to wzbudziłoby wyrzuty sumienia i Brenda wyszłaby z roli.

Chwyta moją dłoń. Palec wskazujący aż po trzon wkłada do ust. Ssie. Gdy jest już wilgotny, kładzie go na ostrzydze. Pociera nim delikatnie małże. Nachylam się nad talerzem i liżę owoce morza. Jak wargi sromowe uginają się pod naporem języka, wyślizgują przy mocniejszym nacisku. Częstouję Brendę pierwszym kęsem i koniuszkiem swojego kciuka. Spotyka mnie za to kara. Już się nie hamuję, syczę z bólu. Kochanka i tak będzie konsekwentna ku mojej wielkiej rozkoszy. Nie zlituje się. Już wie, że to najlepsza metoda. Już słyszy, że ciężko oddycham. Już widzi, że przewracam oczami, zamykając je co jakiś czas. Osiągnęła swój cel: zawiązała mną i teraz pozwolę na wszystko, nawet na kaleczenie nóg. Nie miałem o tym pojęcia, ale jest wampem. Kocham ją. Bardziej niż kiedykolwiek. Kocham ją za te zadawane męki, za te tortury. Już nie jestem głodny. Już nie chcę lizać ostrzyg. Chcę jej łechtaczki.

Brenda wciąż siedzi na szklanym stole. Przygotowała posiłek, więc sama tutaj rządzi, czuwa nad przebiegiem zdarzeń. Wychowuje mnie systemem nagród i kar. Nie jestem grzeczny, przedwcześnie się do niej zbliżam. Bierze więc silny zamach, wymierza sprawiedliwość. Patrzy załamana, kiedy dłonią rozmasowuję obolałe miejsce. Przyznaję, jestem zdumiony. W życiu bym się tego po niej nie spodziewał.

– Jezu, przepraszam – szepcze.

– Zamknij się! – rozkazuję, zaciskając mocno zęby. Sam biorę zamach i uderzam ją w pośladek. Zaczynam się śmiać. Brenda już widzi, że niepotrzebnie się przejęła. Bo wymierzony policzek wcale mnie nie rozjuszył ani nie oburzył. Zachęcił. A i w niej chyba ta drobna przemoc wywołała podniecenie. Teraz będzie się nade mną znęcać cały czas.

Tak! Taaak! Znowu mocno ciągnie mnie za włosy. Taaak! Całując, gryzie moje wargi, język. Tak! Czuję w ustach smak krwi. Uwalniam się z uścisku. Klękam przed nią.

– Co mam uczynić, o pani? – Spuszczam głowę w akcie pokory. Udaję, że uczyniła mi taką krzywdę, że już nie odważę się zbuntować. Nawet gdyby miała mi założyć któryś ze swoich pasków na szyję i kazała chodzić przy nodze na czworakach, powtarzając komendę: „Równaj!”. Niech to zrobi, a wykorzystam odpowiedni moment i ją pogryzę. Tak! Taaak! Niech mnie skuje, zwiąże, przywiąże do krzesła, do siebie. Tak! Taaak! – Pytam, co mam uczynić, o pani?

– Teraz? Teraz już możesz mnie wylizać jak małża.

Nie wierzę własnym uszom. Skąd u Brendy taka wulgarność? Dlaczego dopiero teraz się ujawnia? Po kilkunastu latach związku?

– Uderz mnie jeszcze raz, a spiję wszystkie soki z twojej nektarynki – szepczę. – Na końcu wślizgnę się w nią i zaleję ją falą życiodajnego płynu.

Siebie też już nie poznaję. Nie sądziłem, że na tak dużo sobie pozwolę w jej obecności.

Brenda nie spełnia moich pragnień. Zamiast tego sięga po szminkę. Maluje usta na czerwono. Jednym ruchem rozdziera mi koszulę. Całuje klatkę piersiową, zostawiając na skórze ślady pomadki i malinkę.

– Miałaś mnie uderzyć! – Niecierpliwie się.

– Chciałbyś.

– A ty nie? Masz mnie uderzyć! Teraz. Natychmiast. No już!

– Nie jestem na twoje usługi, kochasiu.

– Nie?

– Nie, bo mi nie zapłaciłeś.

Milczę, zastanawiając się, czy dobrze zrozumiałem. Gdy wreszcie dochodzę do wniosku, że nie ponosi mnie wyobraźnia, szybko zmierzam do przedpokoju. Wyciągam portfel. Cholera! Można płacić kartą? Zbliżeniową? Mam tylko dwie dychy w gotówce. Trudno!

Banknoty wpycham Brendzie między piersi.

– Uderz mnie – powtarzam prośbę.

– Za taką sumę nie kiwnę nawet palcem. Chyba musisz mnie zgwałcić.

Chwytam ją za rękę i prowadzę do jadalni. Każę uklęknąć. Sam opieram się o stół. Rozpinam spodnie.

– Suko, wiesz, co masz robić. Wiesz. – Zaciskam dłoń na koku Brendy i ciągnąc za niego, przybliżam jej twarz do członka. Przybliżam i oddalam. Przybliżam i oddalam. Patrzę, jak porusza się miarowo. Widzę, jak jej czarne włosy kołyszą się w rytm *Veroniki Tricky*'ego. Czterdzieści w przód, czterdzieści w tył. – Tak! Taaak! – Z trudem łapię oddech. – O taaa... Nie! Nieee! Przestań – błagam. – Przestań! Prze... – jęczę głośno. Pękam. Otwieram oczy.

Brenda wciąż klęczy i spogląda na mnie zdumiona, wycierając twarz. Chcę coś powiedzieć. Muszę coś powiedzieć, ale nie umiem, bo głos więźnie mi w gardle. Aneta wstaje. Zdejmuje gorset. Zmienia piosenkę i idzie do łazienki.

Nadal oparty o stół, wsłuchuję się w słowa utworu, do którego niedawno tańczyliśmy, by poczuć uroczysty nastrój. Pewnie gdybym ejakulował we właściwym otworze, czcilibyśmy sukces przy tej balladzie. Ciągle dzwoni mi w uszach: *Oh, it's such a perfect Day. I'm glad I spend it with you. Oh, such a perfect Day. You just keep me hanging on. You just keep me hanging on.* Próbuję zebrać myśli, aby skutecznie interweniować. Po głowie krąży mi jednak tylko głupi kawał. Ten o plemniku, który pyta braci, czy daleko jeszcze. „Uzbrój się w cierpliwość, bo dopiero minęliśmy przęłyk” – odpowiadają.

Z czasem odzyskuję równowagę. Podążam śladem Anety. Nieważne, jak zareaguję, ważne, żeby szybko.

Małża opluwa umywalkę spienioną pastą do zębów. Plemniki pod ciśnieniem wody pewnie wyskakują ze szpar między jej zębami. Płyną przez wąską rurkę. Wprost do kanału. Bynajmniej nie rodnego. Miejskiego. Milczę. Odkręcam kurek, ściągam spodnie, koszulę i wchodzę do wanny. Muszę zmyć z siebie wstyd. To on nie pozwala mi się odezwać.

Zoźza (na tym etapie stała się wcieleniem zła, co gorsza, całkiem uzasadnionego) skrapia twarz wodą. Widzę ją kątem oka. Ona za to może mnie bacznie obserwować w lustrze.

– Co ty masz na ramieniu? – Odwraca się gwałtownie.

Fuck! O fuck! Zapomniałem. Z tego wszystkiego kompletnie zapomniałem o zniszczeniu dowodu zbrodni.

– Ane...

Nie pozwala mi wymówić słowa.

– Nieistotne. Ile potrzebujesz czasu?

– Jeszcze z miesiąc.

– O czym ty gadasz?!

– No o rzuceniu.

– Ile potrzebujesz czasu na regenerację?! O to pytam! – krzyczy, jakby to było jasne.

Wcale nie jest. Myślałem, że skoro nakryła mnie na kłamstwie, żadna siła nie skłoni jej do miłosnych gestów.

– Nie wiem.

– Dojdzie do tego dzisiaj?

– A chcesz?

– Wiesz, czego chcę. A właściwie kogo: chcę mieć dziecko – uściśla, żebym nie pomyślał, że sam stanowią obiekt jej pragnień.

– Zmarnowaliśmy najlepszy materiał. Uda się teraz?

– Jak będziemy się nad tym jedynie zastanawiać, to nie. – Trzaska drzwiami.

Spoglądam z litością na waclawa. Należę do facetów mających duże potrzeby seksualne, fakt. Przesady jednak nie lubię. Po stosunku moja chuć natychmiast opada, by odrodzić się następnego dnia pod wpływem wspomnień z ubiegłej nocy. Średnio po trzech dobach od zespolenia osiąga poziom grożący erupcją. Wtedy mój penis jest napięty, a teraz... Ułożył się na boku, zwinął i wyraźnie pragnie spokoju. Głaszczę go delikatnie, badając reakcje na dotyk.

– Wstawaj – mówię. – Niestety. Takie czasy nastały, że musisz się dostosować. Nie do moich potrzeb. Do jej potrzeb. Od tej chwili robisz za szlauch. Szlauch. Dopelniacz czy biernik, jak to się odменя?

Mały ani drgnie. Jest zmęczony. Chyba tylko mocne uderzenie pejcem zdołałoby go pobudzić, ale pewnie zabawy sado-maso mamy już za sobą. To przeszłość. Pozostają wspomnienia.

Zamykam oczy i przywołuję ten widok. Widok Brendy wykonującej czterdzieści zbliżeń, czterdzieści oddaleń. Czterdzieści w przód, czterdzieści w tył. Osiemdziesiąt ruchów na minutę, zsynchronizowanych z uderzeniami perkusisty w piosence Tricky'ego. Pauza: bezruch mniej więcej co dziewięćdziesiąt sekund. Te przerwy, kiedy rytm ustawał, a Brenda odpoczywała... Trwały wieczność. Mogłoby się wydawać, że to koniec utworu. Brenda zastygnie na wieczność, trzymając w objęciach warg mój członek. Z niecierpliwością oczekiwałem dźwięku bębna, który znowu posłużyłby jej za impuls do działania. Wyobrażałem sobie, że nie będzie następnych zwrotek, że będę musiał błagać o ponowne włączenie piosenki. Bo to Brenda miała władzę, czyli pilota.

W rzeczywistości wiedziałem, że *Veronika* ma trzy identyczne przebiegi rytmiczne. Żałowałem, że tak mało. Niepotrzebnie, bo wystarczyły mi raptem dwa.

Otwieram oczy. Wacław stoi w całej okazałości. Oby nie spłoszył go gniew Zołzy. Oby wykazała się gościnnością. Wystarczy, że będzie sobą. W takiej atmosferze jeszcze nie uprawialiśmy seksu. Dzień nowości. Wszelkiego rodzaju.

Szybko się wycieram i idę do sypialni. Małża leży w łóżku, czyta książkę.

– Już? – Jej ton wyraża zdziwienie, ale także satysfakcję.

Niemniej samo pytanie jest miażdżące. Wacław znowu chce się skulić.

– Nie sądzisz, że najpierw powinniśmy sobie coś wyjaśnić?

– Dla mnie wszystko jest jasne. Nie rzucisz palenia za żadne skarby.

– Ale ja nie palę.

– Źle to sformułowałam. Nie rzucisz nikotyny. Nie zrobisz tego ani dla siebie, ani dla mnie, ani dla dziecka. Nie ma tutaj czego wyjaśniać. Nie ma co liczyć na mocne postanowienie poprawy. W związku z tym przeprosiny z twojej strony byłyby totalną głupotą i obłudą.

Milczę, bo te argumenty są zasadne. Nie umiem ich podważyć. Dlatego trzeba płynnie przejść do kolejnego punktu wieczoru.

– Mogę ci to jakoś wynagrodzić.

– Jak?

– Zrobię ci dziecko, okej?

Aneta uśmiecha się, jakbym zasługiwał na politowanie.

– No to na co czekasz? Wskakuj. – Unosi kołdrę.

Zażegnaliśmy konflikt, ale waclaw i tak nie reaguje na pieszczoty. To wszystko jest jakieś takie... techniczne. Czuję się coraz gorzej, widząc zniecierpliwienie Zołzy. Zaraz stwierdzi, że palenie jest jedną z głównych przyczyn impotencji. No kurwa, nie stanie mi! Ni chuja! Włączam *Veronikę*. Czterdzieści w przód, czterdzieści w tył. Czterdzieści w górę, czterdzieści w dół. Jestem gotowy. Wreszcie! Dostosowuję tempo. Osiemdziesiąt na minutę. Czterdzieści zbliżeń, czterdzieści oddaleń. Nie kocham się z Brendą. Rzną ją. To przeświadczenie znowu psuje nastrój. Nie chcę w ten sposób począć dziecka. Nie chcę. Ale muszę. Nie mogę o tym tak myśleć. Zresztą nieważne jak. Nieważne, w jaki sposób. Ważne, żeby się udało. Rzną ją. Ostatni raz. Tylko raz. Jeden raz. Uda się. Czterdzieści w przód, czterdzieści w tył, kolejne czterdzieści. Pauza. Czterdzieści w przód, czterdzieści w tył, kolejne czterdzieści. Pauza. Tak! Taaak! Czterdzieści w tył, czterdzieści w przód, kolejne czterdzieści. Pauza. Koniec utworu. Sięgam po pilota. Znowu naciskam *play*. Zamykam oczy, bo nie chcę tego robić z Zołą, jej widok mnie nie podnieca. Pierwsza zwrotka, druga zwrotka, trzecia zwrotka. Uruchamiam tryb powtarzania. Tak! Taaak! Kończę. Tak!

Padam na łóżko.

– Rzucę. Naprawdę.

– Mam nadzieję, że już nie będziesz musiał. – Aneta unosi nogi i wykonuje świecę na materacu.

– Co ty robisz? – pytam.

– Dopelniam dzieła.

– Aha. Liczyłaś, ile razy przesłuchaliśmy piosenkę? – pytam i wstaję.

– Dziewięć.

– Czyli było koszmarnie.

– Dlaczego?

– Skoro mogłaś sprawować nad tym kontrolę...

– Trochę się tylko dłużyło.

Niesamowite, jak nagle poprawił się jej humor. Wystarczyła deklaracja: zapyle cię. A podobno to faceci myślą genitaliami. Idę się umyć i kieruję prośby do Boga.

Coraz częściej myślę, że płodzenie dziecka stanie się obsesją Małży i skończy się paranoją. Dlatego im szybciej, tym lepiej. Natychmiastowe poczęcie uchroni ją przed uszczerbkiem na zdrowiu psychicznym.

Już następnego dnia widzę w łazience przygotowany test ciąży. Leży tam

przez dwa tygodnie. We wtorek wszystko się okaże.

Czekam w kuchni. Słyszę szum wody. Aneta pewnie znowu odkręciła kurki, żeby pobudzić pęcherz. Zawsze w decydującym momencie odechciewa jej się siusiu.

W końcu staje przede mną. Test trzyma za plecami. Wręcza mi go. Nie rozumiem, dlaczego pierwsza nie sprawdzi wyniku. Może dręczy ją poczucie winy? Nie umie powiedzieć: „Niestety”. A ja naprawdę nie zamierzam zrzucić na nią odpowiedzialności. Nie żeniłbym się, gdybym wątpił w fakt, że jest prokreacyjnym ideałem. Bo ponoć mężczyźni właśnie na podstawie takich kryteriów wybierają partnerki. Brenda spełnia wszystkie wymogi. Miseczka C, sutki sterczące, obwódki spore. Krągłe biodra. Swoją drogą, wkrótce w procesie ewolucji faceci przestaną brać pod uwagę ten walor, bo od znajomych jak na razie nie słyszałem, by gwarantem sprawnego urodzenia dziecka była szerokość miednicy. Teraz znaczenie ma ostry skalpel.

Odbieram test. Małża zamyka oczy. Czeka. Sprawdzam. Jak w pokerze. Wstaję z krzesła.

– Kocham cię – wyznaję i całuję ją w policzek. Idę wyrzucić test do kosza.

Aneta odwraca się do mnie.

– Nie? – pyta zdumiona.

– Nie.

Podchodzę, obejmuję ją. Czuję, że zaczyna drżeć.

– Hej, Małża. Nie rycz, co? Posłuchaj mnie. Uda się, jeśli w kolejnym cyklu nie wprowadzisz nowości do naszej sypialni. – Próbuję ją rozweselić, chociaż wcale nie jest mi do śmiechu. Nigdy nie mogłem patrzeć na jej łzy.

– Coś jest nie tak. Przecież mieliśmy wyznaczony termin. Zrobiliśmy to.

Mogłaby już skończyć.

– I to jeszcze nie przesądzało o sukcesie. Nie pamiętasz? Zwłaszcza że nabroiliśmy.

– Nie chcę tam wracać – mówi.

– Wiem. Nie musimy.

– Musimy. I musimy powiedzieć Haliszewskiemu o tym, co się stało.

„Doskonale” – myślę. Oprócz poczucia humoru zasłynę z przedwczesnych wytrysków wymierzonych wprost w twarz Małży.

2 *Perfect Day* – śl. i muz. Carrie Jacobs-Bond; szczególnie popularny w wykonaniu Lou Reeda.

Dziecinada

– Wynik negatywny – oznajmia Aneta, jeszcze stojąc w drzwiach gabinetu, po czym zajmuje miejsce naprzeciw Haliszewskiego. Ten długo lustruje nas wzrokiem, jak zwykle obracając się w fotelu. Małża nie spuszcza z niego wzroku. A ja czekam, aż któreś z nas uchyli rąbka tajemnicy, co stało się z najcenniejszymi plemnikami. Któreś z nas, znaczy: ona. Ja nie widzę potrzeby wyjaśniania tej kwestii, więc głosu nie zabiorę. Czekam i czekam, aż w końcu czuję kopnięcie w okolicach kostki.

– Co ty odstawiasz? – pytam oburzony.

– Przepraszam. Niechący.

– Serio? Niechący? Bo ja sądziłem, że zrobiłaś to specjalnie. Po to, żeby mi zasugerować, że powinienem zdradzić panu doktorowi pikantne szczegóły naszego pożycia małżeńskiego. Ale skoro wolisz sama... – mówię to z pełną premedytacją.

Zawsze tak jest. Stwierdza, że musimy coś przedsięwziąć, co oznacza, że ja mam się tym zająć.

Patrzę na nią. Rumieni się. Poprawia grzywkę, zakrywając w ten sposób twarz.

– Macie coś do powiedzenia, tak? – wtrąca się ginekolog. – Może wyjdę i uzgodnicie pewne rzeczy. Warto? Żadne oszustwa nam nie pomogą w leczeniu.

– Nie, panie doktorze, to nie chodzi o kłamstwo – tłumaczę.

– Tylko o to, jak to ująć – dopowiada cicho Małża.

Właśnie. Jak to ująć? „Zrobiłem żonie maseczkę ściągającą?”. Masakra. Jeśli nie wpadniemy na jakiś pomysł, Haliszewski sobie nieźle policzy za tę wizytę. Aneta nadal milczy jak zaklęta. Cóż, padło na mnie. Zołża jak to Zołża, nie odpuszcza. Prędzej niż później osiąga cel.

– Kojarzy pan piosenkę Tricky’ego *Veronika*? – Nachylam się nad biurkiem, zbliżając do lekarza.

– Przykro mi. Nie.

– Cholera. Szkoda. – Kątem oka widzę, że Aneta zaczyna się śmiać. – Nie owijając w bawełnę: zawsze uważałem, że planować można budowę domu, a nie seks, no i...

– Chyba rozumiem, co ma pan na myśli.

– Naprawdę?

„Czyżby jego żona też lubiła akcje sado-maso, z przedwczesnym finałem w ustach?” – zastanawiam się.

– Nie wyszło wam?

– Nie – odpowiada Aneta, zaciskając zęby.

– Zależy, z której strony na to spojrzeć – żartuję.

Małża ponownie wymierza mi kopniaka, tym razem ze wzmożoną siłą. Dlaczego? Sama chciała, żebym wszystko wyśpiewał, a teraz ma pretensje. Przecież mnie zna. Wiedziała, jakiej formy wyjaśnień należy się po mnie spodziewać.

– Często ma pan problemy z potencją?

– Słucham?! – Nagle poważnieję, a Aneta wręcz przeciwnie: moja reakcja na słowa Haliszewskiego (grobowa mina, jak sędzę) powoduje, że jej chichot staje się coraz głośniejszy i wkrótce przekroczy dopuszczalną normę decybeli. – Nie. Nie. Pan mnie jednak źle zrozumiał. Nie mam problemów z potencją, po prostu...

– Czy w wyznaczonym terminie nastąpił stosunek? – Lekarz się niecierpliwi.

– Tak. Tego samego wieczoru, ale... ale...

No jak tu się przyznać?

– Ale nasienie pewnie nie było dobre... bo, bo... – Aneta mnie wspiera, ale wciąż nie może się swobodnie wypowiedzieć. – Bo najlepszy materiał...

– Wpłynął na cerę mojej żony. Dosłownie. – Stawiam kropkę nad „i”.

Uff, co za ulga. Wspólnymi siłami udało się dojść do sedna.

Ginekologowi drżą kąciki ust. Odchrząkuje, zasłaniając je, i pyta:

– Ale potem było zbliżenie właściwe, tak?

Zbliżenie właściwe! Dał czadu! Ja pierdzielę, co to za określenie?! Sam już teraz mam problem z zachowaniem kamiennej twarzy. Wszystkie próby dyplomacji podczas dzisiejszej wizyty wypadają dość żałośnie. Nawet lekarz nie potrafi sprostać wyzwaniu mimo sporego doświadczenia.

– Spróbowaliście jeszcze raz, prawda?

Przytakujemy głowami. Nadal spuszczone. Nadal z uśmiezkami na twarzach i zaognionymi policzkami. Haliszewski dla odmiany zaczyna mówić stanowczo i konkretnie. Trzyma fason w przeciwieństwie do nas.

– I efekt w postaci negatywnego wyniku? – dziwi się. Patrzy na mnie podejrzliwie, marszcząc brwi. – No to, moi drodzy, niczego nie należy przesądzać, ale weźmiemy się do roboty. Pani zbada poziom pozostałych hormonów. To będzie komplet podstawowych informacji. W międzyczasie zaczniemy się pastwić nad panem Wojciechem. Chyba zdążył się ze mną oswoić.

– Co mam zrobić?

– Oddać nasienie do analizy.

– Oddać nasienie do analizy – powtarzam, jakbym sprawdzał, czy dobrze zrozumiałem.

– Dokładnie. To jest normalna praktyka.

– Nie no, w porządku – reflektuję się szybko.

Nie kwestionuję zalecenia, aby nie posądzono mnie o utrudnianie diagnostyki. Uświadamiam sobie, że drapię się po podbródku. Zmieniam pozycję,

by zamknąć sobie dostęp do dwudniowego zarostu. A to sprawia, że i Aneta, i lekarz skupiają na mnie wzrok. Są przekonani, że na podstawie moich ruchów dokonają psychoanalizy. Od Małży za progiem gabinetu usłyszę, że obleciał mnie strach. Bo spoważniała, przyglądając mi się bacznie.

– Chodzi o ocenę plemników: żywotności, liczby, ruchliwości – tłumaczy zasadność badań Haliszewski, jakbym w nią nie wierzył.

Wyczuwa to? Muszę mu udowodnić, że się myli, że nie mam nic przeciwko takim rozwiązaniom. Choć tak naprawdę to mam. Ale cóż...

– Dobrze. Kiedy powinienem przywieźć...? – Wyrażam natychmiastową gotowość, żeby nie padł zarzut o miganie się.

– To nie jest takie proste.

– Dlaczego?

– Trzeba zachować trzy dni wstrzemięźliwości przed badaniem.

– No to idealnie. Jutro mógłbym się zgłosić z... – Milknę i znowu szukam w myślach synonimu dla rzeczownika: „sperma”.

– Materiałem – kończy za mnie zdanie ginekolog.

Patrzę na Anetę. Mogłaby jakoś okazać aprobatę dla zaangażowania. Ale nie, to nie w stylu Zołzy.

– Tylko wolałbym, żeby oddał pan nasienie tutaj.

– Co takiego?!

Zapominam, że miałem zachować spokój, nie zdradzać zażenowania ani strachu. Bo przecież... No chyba nie muszę się bać. Podobno to normalna praktyka. Tylko do czego prowadzi?

– Ważne, żeby próbka jak najszybciej trafiła do laboratorium. Proszę się nie martwić. Zapewniamy intymność. W klinice jest specjalne pomieszczenie. Będzie pan miał sporo czasu. A nawet materiały pomocnicze. – Uśmiecha się wymownie.

– Jeśli pan sobie życzy, dzisiaj pokażę ten pokój. Zresztą zapraszam razem z pańską żoną.

Wybucham gromkim śmiechem. Mina doktora pozwala mi jednak stwierdzić, że dla niego tego rodzaju działania są rzeczywiście naturalne.

Aneta liczy, że od razu podejmę decyzję (widzę to po niej), więc przez kilka sekund rozważam, czy powinna brać w tym udział. Nie znoszę się onanizować. To uwłaczające, że facet korzysta z własnych dłoni, nie ma u boku kobiety, która by go zaspokoiła. A zarazem nie chciałbym, żeby obecni w klinice ludzie wiedzieli, że za zamkniętymi drzwiami Brenda robi mi dobrze. Żeby wiedzieli, jak długo mnie rozpieszcza. Albo wręcz przeciwnie: jak krótko.

– Mogę sam? – zwracam się do niej.

Potwierdza skinieniem głowy.

– Nie zaangażuję żony. To nic miłego. Poza tym pierwszy raz będę miał okazję jej udowodnić, że jestem samodzielny – żartuję.

– Na którą godzinę pana zapisać? Najwcześniej mogę zaproponować ósmą rano.

– Oż kurczę, ale ja wtedy jestem w pracy.

– Później to odrobisz – zauważa Aneta.

– No nie, bo o dziewiątej odbywają się rozmowy kwalifikacyjne. – Oddycham z ulgą, że nie muszę kłamać. Faktycznie prowadzę rekrutację, więc w spokoju sumienia odwlekę badania. Tylko o ile? Wymówka niczego nie zmieni. Przecież tego nie uniknę. Jak nie o ósmej, to o dziesiątej. Jak nie o dziesiątej, to o dwunastej. Nie za rok, dwa, pięć, dziesięć, wieczność. – Poza tym powinienem się przygotować... Do rozmów oczywiście – dodaję sprostowanie po chwili ciszy, podczas której Małża i lekarz, opacznie rozumiejąc moje słowa, zastanawiają się, jakie kroki podejmę przed masturbacją. Spoglądają na mnie, jakby podejrzewali, że zaraz wyjdę z kliniki i nigdy nie wrócę. Jasny gwint! Gdyby tak się dało. Po jaką cholerę tu przychodziliśmy? Dlaczego nie przewidziałem, że pierwsza konsultacja nie będzie ostatnią?

– A po południu? Przyjmujemy do godziny szesnastej. Byłby pan ostatni, a to duży komfort.

– Aha. Więc nie jestem jedyny. Ustawiają się kolejki. Pary wchodzą do pomieszczenia. Wychodzą. Wchodzą następne. Sympatycznie. Jak w... – Powstrzymuję się przed wypowiedzeniem słowa „burdel”. Uświadamiam sobie, że zdradzam skrupowanie. A właśnie tego zamierzałem uniknąć.

– Zwykle to pierwsze badanie, jakie wykonujemy. Jest niezbędne. Bez tego ani rusz.

– Dobra. Będę o szesnastej. Nie ma sprawy – deklaruję.

– Zrobimy również posiew. W ten sposób sprawdzimy, czy w ejakulacie nie ma bakterii. Łącznie to kwota dwustu złotych. Samo badanie nasienia: sto dwadzieścia. Aczkolwiek proszę się liczyć z tym, że pewnie powtórzmy spermogram.

– Przepraszam, co? – Zaczynam się śmiać.

Znowu przeszywają mnie wzrokiem, a to określenie jest przecież naprawdę zabawne: spermogram. Wykres spermy. Słupek spermy. Diagram spermy.

– Spermogram. Nie przesłyszał się pan. Wyniki będą na drugi dzień. Proszę się z nimi do mnie zgłosić. Nie za miesiąc, dwa, trzy ani za rok, jak to czasem bywa.

Skurczybyk! Jakby czytał w moich myślach. Jakby przewidział, że powzięłem plan na następne tygodnie i zamierzam aktywnie pozyskiwać w pracy klientów, żeby tylko nie mieć czasu zajrzeć do swojego ginekologa.

– Czy z wynikiem mamy przyjść razem? – pyta Aneta.

– Nie. Niech pan przyjdzie sam – odpowiada po chwili zadumy Haliszewski.

Małża lustruje nas wzrokiem tak, jakbyśmy knuli za jej plecami.

W recepcji odliczamy sto dwadzieścia złotych. Od razu zasięgam informacji, czy można płacić kartą, bo nie wiem, czy odwiedzać jeszcze dziś bankomat. Jutro nie zdążę, a przede mną kolejny niemały wydatek.

Jedziemy do domu w ciszy. Chyba każde z nas analizuje, co zostało powiedziane podczas wizyty. Albo ta śmiechawa wysłała z nas całą energię. Aneta wreszcie przerywa milczenie i mówi:

– Mam nadzieję, że nie zmienisz zdania.

– Nie planuję żadnych nieprzewidzianych niespodzianek. Spokojnie. – Głaszczę jej kolano. – W ostateczności każdy facet marzy, żeby żona mu zezwoliła na masturbację.

Aneta wyciąga notatnik.

– Jak to było? – pyta, gdy już pojmuje dowcip. – Jeszcze raz! Muszę to sobie zapisać.

– Co? „Nie planuję żadnych nieprzewidzianych niespodzianek”? Trzeba być utalentowanym, żeby skonstruować taką tautologię, no nie, pani redaktor? – Ciekawe, czy ona wie, że w każdym żarcie jest ziarenko prawdy? Wie. Cholera! Wie. Nie ma się co oszukiwać. Nie ma co jej oszukiwać.

Tego wieczoru znowu dochodzę do wniosku, że warto robić to, czego chce Małża. Wylegujemy się w łóżku. Wpatrujemy w sufit. Przytuleni. W ciemności. Słuchamy Gus Gus. Nie rozmawiamy o jutrzejszym badaniu. W ogóle zachowujemy się tak, jakby jutro miało nigdy nie nadejść. Jedynie momentami próbujemy dociec, co nam odbiło w klinice, że zrobiliśmy z siebie takich wariatów. Niepoważne dzieciaki. Niedostosowane do ról społecznych. Na przykład do roli rodziców. Karygodne! Najgorsze, że samo wspomnienie sytuacji powoduje, że zanosimy się śmiechem.

Wyobrażam sobie, że stoję w kącie mieszkania i przyglądam się nam z boku. Stwierdzam: kurczę, są takie momenty, które wszystko wynagradzają. Kiedy jest naprawdę fajnie: błogo, beztrosko i tylko mięśnie brzucha są napięte od zbyt dużej dawki śmiechu. Kiedyś bywało tak częściej. Podczas studiów zdarzało się to aż kilka razy w tygodniu. Kiedy wyszło na jaw, że papierkami, gromadzonymi przez pół dekady, możemy sobie podetrzeć tyłki i trzeba się wziąć do roboty, żeby wydłużyć CV do dwóch stron, już tylko kilka razy w miesiącu potrafiliśmy żyć wyłącznie tym, co działo się tu i teraz. A kiedy teoretycznie powinniśmy się poczuć najbardziej komfortowo, bo zyskaliśmy metr kwadratowy na półkę na wino i środki, by uzupełniać zapasy, tylko sporadycznie potrafiliśmy cieszyć się sobą. Niestety, długoletnie związki zawarte z mBankiem, PGNiG, Link4, Orange rozluźniły więź między nami. Jednak nie można łapać kilku srok za ogon. Nie można zdradzać. Tak duża podzielność uwagi: na rodzinę, na pracę, gromadzenie majątku nie leży w naturze człowieka. Szkoda gadać, ale odkąd Aneta odstawiła antykoncepcję i używki, już niezmiernie rzadko mam okazję słyszeć jej głośny,

zaraźliwy śmiech. Dawniej była bardziej wyluzowana, nawet nie potrzebowała dopalaczy, żeby odkleić się od doczesności. Pragnienie macierzyństwa z dziewczyny zrobiło kobietę. A jak jest ze mną? Kim teraz jestem? Chyba ciągle bliżej mi do chłopaka niż mężczyzny. Pewnie wraz z narodzinami dziecka dojrzeję tak samo jak ona. Wyrosnę na prawdziwego faceta. Może syn sprawi, że się ustabilizuję; wtedy rutyna już nie będzie mi przeszkadzać.

Przypominam sobie sytuację z czasów studiów. Tak jak teraz leżeliśmy objęci. Dzieliliśmy się skrętem. Poszliśmy do łóżka i pękła nam gumka. Jak przystało na ludzi odurzonych młodzieńczą miłością i haszem, mieliśmy ułańską fantazję. Zaczęliśmy rozważać, jakie imiona nadamy potomkom.

– Aneta, pamiętasz, jak wybieraliśmy imię dla dziecka? Na czym stanęło?

– Ujarani byliśmy. Wybraliśmy aż trzy.

– Będziemy mieli troje dzieci?

– Powtarzam: byliśmy ujarani.

– Zróbmy to jeszcze raz.

– Mieliśmy zrezygnować z uży...

Gwałtownie się zrywam. Siadam. Przerywam jej:

– Nie chodzi o trawę. Wymyślmy imię dla niego.

– Dla niej – poprawia.

– Dla niego – powtarzam ostrzejszym tonem.

– Lena – upiera się Małża, a ja też tak łatwo nie rezygnuję.

– Mateusz.

– Lena i Mateusz. Jak zdecydujemy się na kompromis, że ty wybierasz dla chłopaka, ja dla dziewczyny, zyskamy mobilizację, żeby rzeczywiście machnąć co najmniej duet.

– I zwiększyć zdolność kredytową, żeby załatwić większe lokum.

– No i czy to wszystko nie byłoby piękne? Dwójka maluchów hasających po ogródku przy domu?

– Domu? Powiedziałaś: „domu”? Do niedawna byliśmy zgodni, że nie pakujemy się w takie wydatki.

– Przy dwójce dzieci nie będziemy mieli innego wyjścia. – Uśmiecha się wymownie.

Milczę. Nie czas na gorącą dyskusję i analizę SWOT. Zanim zasadzę drzewo, muszę spłodzić syna.

Obcym wstęp wzbroniony

Rano szukam w Internecie opinii na temat warunków panujących w klinikach, a dokładnie w pokojach przeznaczonych do... ejakulacji.

Świetnie! To często zwykłe kible albo kilkumetrowe kanciapy z wymiętymi „Hustlerami” sprzed trzydziestu lat. Zza drzwi słychać pacjentów rejestrujących się na wizyty.

Wmawiam sobie, że jako bywalec renomowanej kliniki mogę liczyć na godziwe traktowanie. Mimo wszystko jestem zapobiegliwy. Nie chcę, żeby ktokolwiek mnie rozpraszał. Zgrywam na MP3 *Veronikę Tricky*'ego. Pocięszam się: negatywnych komentarzy nie ma tak dużo. Co najbardziej zastanawiające, głównie kobiety zabierają głos w sprawie. Z kontekstów wynika, że niekoniecznie te, które pomagały mężom uzyskać próbkę. Relacjonują spostrzeżenia partnerów, którzy wyjawili szczegóły w domowym zaciszu. Nie darowałbym Małży, gdyby bez mojej zgody poinformowała użytkowników Internetu, że zagłuszałem śmiech recepcjonistki trip-hopem. Dlatego nie zwierzę się ze swoich doświadczeń.

W ogóle to może faceci zmyślają? Fantazują, aby nie przyznać, że było im dobrze bez udziału żon. Oby.

Co powiedzieć w rejestracji? „Dzień dobry. Przyszedłem się spuścić”. „Chcę oddać materiał do analizy”. Tak! To będzie w lepszym tonie. Nie! Tak powiedzieć nie mogę! Promedica ma w ofercie mnóstwo innych badań laboratoryjnych, więc recepcjonistka nie będzie wiedziała, o które mi chodzi. Wystarczy, że podam nazwisko? Lekarz mówił, że zgłasza mnie na spermogram. Czyżby w ten sposób oszczędzał pacjentom zbyt szczegółowych objaśnień? Szkoda, że nie dał mi czegoś w rodzaju skierowania. Zastosowałbym formułę powitalną i wręczył recepcjonistce świstek papieru. Chyba za wcześnie zdecydowałem się na ten krok. Jaką „nieprzewidzianą niespodziankę sobie zaplanować”, żeby to odwlec o kilka dni?

Dźwięk telefonu wrywa mnie z zadumy.

Spoglądam na zegarek. *Shit!* Za dziesięć minut muszę przeprowadzić rozmowę kwalifikacyjną. Drukuję CV kandydata. Pobieźnie przeglądam. Podpunkt: zainteresowania. Radosław Orzechowski pisze: *W odpowiedniej kolejności: syn, samochód, żona, pies*. Facet ma dystans do siebie. Też chciałbym. Właśnie takiego zapisu powinienem się dorobić w życiorysie, by uznać go za kompletny. Należałoby poszerzyć krąg zainteresowań. Dlatego... cholera, nie wywinę się od tych badań.

Informuję kierownika, że wychodzę wcześniej ze względu na wizytę lekarską. W rezultacie już przed piętnastą słucham w samochodzie *Veroniki*. Chociaż tym razem muzyka relaksacyjna byłaby wskazana. Chce mi się palić.

Znowu. A myślałem, że największe cierpienia mam za sobą.

Staję przy recepcji. Przedemną parą odbiera dokumentację medyczną. Umawiają się na konsultację z ginekologiem i jakimś andrologiem. Wszystko trwa wieki, a ja próbuję zapamiętać tekst przygotowany na okoliczność powitania. W tym czasie do oczekujących dołącza następna osoba i niemal kładzie się na mnie. Więc wszystko usłyszy. Pocę się. Dokuczają mi drgawki. Takie jak po przedawkowaniu kofeiny. A sympatyczne małżeństwo pyta recepcjonistkę, czy siedem komórek to dużo. *God!* Jaja sobie robią.

Gdy ich wątpliwości zostają rozwiane, nadchodzi moja kolej. W tym momencie dzwoni telefon. Wyjmuję komórkę z kieszeni. Oczywiście. Któż inny mógł mi przeszkodzić, jak nie mamusia? Zawsze telefonuje z jakąś pierdołą w nieodpowiedniej chwili. Odrzucam połączenie i odwzajemniam uśmiech recepcjonistki. Czas wypowiedzieć kwestię. Chcę wyjść na pewnego siebie *macho mana*, dla którego sytuacja nie jest stresująca i krępująca. Bardziej groteskowa. Udaję, że to wszystko nie robi na mnie wrażenia. No bo... właśnie! Czego tu się obawiać?

Ruchem ręki sugeruję kobiecie, żeby się zbliżyła. Szepczę jej do ucha:

– Dzień dobry! Przyszedłem tutaj, bo muszę sobie zrobić dobrze. Mogłaby pani coś dla mnie uczynić w tej sprawie?

Na szczęście dziewczyna nie jest ponurakiem.

Czuję się, jakbym trafił do burdelu. Recepcjonistka sprawdza cennik usług. Płatne z góry. Z promiennym uśmiechem mówi:

– Proszę za mną.

Odkrywam dotąd mi nieznane sektory kliniki. Rozglądam się. Ściany zdobią zdjęcia par z dziećmi albo samych bobasów. To pewnie potomkowie kliniki, spreparowani w sterylnych, laboratoryjnych warunkach. Poczęci nie z pomocą miłości, lecz specjalistycznych sprzętów.

Wyobrażam sobie, że w którymś z zamkniętych gabinetów obca baba będzie się nachylać nad moim nasieniem. Pomiesza je łyżeczką, oceni konsystencję i kolor. Nawet zapach? Również smak? Zupełnie jak przy robieniu naleśników. Usunie paproszki, pęsetą wyciągnie je z salaterki i nałoży na szkło. Spojrzy przez okular, może pstryknie fotkę. A co dalej? Co uczyni z już niepotrzebnym materiałem? Spuści go w toalecie? A jeśli w przyrodzie nic nie ginie? Czy kiedyś zawiśnie tutaj zdjęcie mojego dziecka, o czym nawet się nie dowiem? Jakoś przecież muszą ratować statystykę zapłodnień. Czuję, że dopuszczam się zdrady. Bo tylko Małża powinna mieć dostęp do mojej spermy. Ona należy do nas, nie do pracowników laboratorium. Jest owocem miłości, w którą nie wplątujemy osób trzecich. To nasz intymny świat, nasza sfera prywatna.

Na korytarzu czeka kilka osób. Pewnie zobaczą, gdzie wchodzę. Będą wiedzieć, co robię. Kobiety, sugerując się moim wzrostem, spróbują przewidzieć,

jaką długość osiąga mój członek we wzwodzie. Będą snuć domysły, po jakim czasie opuszczę pokój. Jeśli nastąpi to po pięciu minutach, nie obejrzą się już za mną, podsumowując w myślach: „Cipa, nie facet”. Dobrze postąpiłem, nie narażając na to Anety.

Oddycham z ulgą, gdy skręcamy do innego skrzydła. Tu już jest pusto, nikogo nie ma. Recepcjonistka otwiera drzwi, na których widnieje tabliczka: „Laboratorium – nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. Więc jednak to porządna klinika. Przynajmniej uniknę ciekawskich spojrzeń pacjentów. Dla personelu to chleb powszedni, nie ma co się krępować. „Nie ma!” – wmawiam sobie zawzięcie.

Wreszcie zatrzymujemy się przed nieoznaczonym gabinetem. Tuż nad nim wisi lampa z czerwonym kloszem i napisem: „Zajęte”. Recepcjonistka włącza podświetlającą go żarówkę. Zyskuję pewność, że nikt nie będzie szarpał gałki.

– Proszę – mówi po otwarciu gabinetu solidnym kluczem.

Pierwszy przekraczam próg. Wyszedłem na chama. Należało ją przepuścić, ale nie sądziłem, że wlezie tu za mną. Właściwie po co to zrobiła? Zbyt dosłownie potraktowała moje słowa?

Trzeba przyznać, że wnętrze dobrze się prezentuje. Jedna ze ścian pomalowana na czerwono, reszta na szaro. Nie, na popielato. Cholera! Nie wiem. Gdyby była tu Aneta...

Naprzeciw wejścia stoi zestaw wypoczynkowy.

– Proszę się rozgościć. – Recepcjonistka wskazuje sofę. – Na początek muszę zadać kilka pytań.

Nie potrafię nic powiedzieć. Tak zaschło mi w gardle. Siadam. Opornie. Zastanawiam się, po ilu gościach czyszczono tu tapicerkę. Ilu facetów spoczęło tutaj z gołym tyłkiem? Wolałbym załatwić formalności, będąc w pionie, ale deklaracja: „postoję” w zaistniałych okolicznościach zabrzmiałaby dość dwuznacznie.

– To pana pierwszy spermogram. Od kiedy nie jest pan aktywny seksualnie?

– Od trzech dni.

– Proszę zaprezentować ręce.

Co u licha!? Sprawdzi, czy nie pobrudzę nimi wacka?

Wyciągam przed siebie drżące dłonie. Czuję, że zalewam się rumieńcem.

Kobieta zapisuje jakieś informacje, po czym zbliża się do szafki. Wyklada na szklany blat ławy nierozpakowany, sterylny pojemnik, kilka świerszczyków.

– Elka powinna być dobra.

– Jaka Elka?! – pytam oburzony.

Recepcjonistka zaczyna się śmiać.

– Elka – powtarza. – Nie Elka w sensie kobieta, tylko elka w sensie rozmiaru.

Daje mi lateksowe rękawiczki z literą „L” na opakowaniu. Już na nią nie

patrzę. W końcu zachowałem się jak idiota. Gdyby powiedziała „Ela”, to bym tak nie zareagował. Zgrubienie tego imienia sprawiło, że zobaczyłem przed sobą wielką babę. Czyżby trauma z liceum? Chodziłem do klasy z grubą Elką. Elką w rozmiarze XXL. Marna podnieta. I stąd przerażenie.

Jak mogłem się nie kapnąć, o czym mówi? Przecież mam na sobie elki. Podkoszulek elkę, marynarkę elkę, nawet gacie mam w rozmiarze L. Szlag!

– Przed oddaniem materiału należy zdezynfekować ręce żelem znajdującym się przy umywalce. Proszę go wcierać w skórę przez minimum trzy minuty. Potem trzeba nałożyć rękawiczki.

W innym przypadku sanepid zamknie tę budę. Pewnie jest tu gdzieś ta instrukcja mycia, zgodna z dyrektywą Unii Europejskiej. Taka jak w każdej budce z hot dogami. Jezu! Istny cyrk! Co ja tu robię?!

– Do dyspozycji ma pan DVD, odtwarzacz CD, radio. Są płyty z muzyką, z filmami. Tutaj kilka propozycji prasowych – mówiąc to, sama nakłada rękawiczki. – Proszę sobie wybrać którąś z nich.

Wskazuję palcem na nowy numer „Playboya”. Wywiad z Hołkiem. Coś, co odpowiednio wypełni czas.

Resztę czasopism wkłada z powrotem do szafki i zamyka ją na klucz.

– Po wszystkim należy wyrzucić gazetę do kosza. Proszę nie ściągać pokrowca z pilota. Uruchomić klimatyzację? – pyta, opuszczając rolety w oknach i rozpylając odświeżacz powietrza.

– Nie, dziękuję – odpowiadam.

Przydałby się powiew chłodu. Ciągle się nadmiernie pocę, lecz nie chcę przedłużać. Chcę, żeby ta kobieta jak najszybciej zesła mi z oczu. Ale procedury jak zwykle nie mają końca. Nie wiem, czy wszystkie zapamiętam w ogólnym amoku.

– Materiał oddajemy w drodze masturbacji w sterylnych rękawiczkach do sterylnej pojemnika. Potem przyklepamy do niego naklejkę z imieniem i nazwiskiem. Oto ona. – Przekazuje mi gadżety. Sprawdzam, czy zamieszczone na nich dane są zgodne ze stanem faktycznym. – Gdy mamy już opisany pojemnik, należy wyjść i natychmiast zadzwonić do laboratorium numer dwa. Znajdzie je pan po prawej stronie. Proszę zaczekać przed drzwiami. Embriolog się zgłosi po próbkę.

Jasne, że się zgłosi. Dlatego pobierają nasienie na miejscu. Musi być przydatne. Trzeba zasilić bank spermy. Bo żaden normalny koleś nie robi za reproduktora świadomie. Zresztą jemu wypadałoby zapłacić. Ze mnie można zrobić frajera.

– Na tej kartce są rozpisane wszelkie procedury. A teraz proszę o podpis potwierdzający zgodę na wykonanie spermogramu, posiewu nasienia... A tutaj drugi – wskazuje – oświadczenie, że został pan pouczony o obowiązujących

zasadach higieny.

Szybko składam autografy, by recepcjonistka znowu nie zauważyła, że się trzęsę.

– Proszę się nie spieszyć. Drzwi proponuję zamknąć. Oto klucz – mów i nareszcie wychodzi.

Rozglądam się raz jeszcze. Fototapeta robi wrażenie. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnie się czarno-białe zdjęcie nagiej, całującej się pary na plaży. Na przeciwległej zawieszono są fotografie kobiet uchodzących za symbole seksu. Mnóstwo twarzy Hollywoodu. Szukam Brendy z *Beverly Hills 90210*, to znaczy Shannen Doherty, ale o niej zapomniano. Pozostaje mi wpatrywać się w usta Angeliny Jolie. A może lepiej skorzystać z usług Charlize Theron? Wprawdzie za blondynkami nie przepadam, ale na tym zdjęciu aktorka wygląda ponętnie. Catherine Zeta-Jones tutaj prezentuje się niekorzystnie. Monica Bellucci ma pretensjonalną urodę. Kate Moss? Ćpunka i anorektyczka. Naomi Campbell? Nieee. Victoria Beckham też mi nie odpowiada, choć trzeba przyznać, że elegancka babeczka. Penelope Cruz tu nie ma kształtów. A co w tej galerii robi Pamela Anderson, to w ogóle nie wiem. Jak można mieć tak okropny gust? Przecież ona jest zwyczajnie obrzydliwa. Czego nie można powiedzieć o Crawford, Lopez i Beyoncé, która na fotografii wypina pośladki oblepione piaskiem. Sam nie wiem, w której zatopić... spojrzenie. Mam sporo czasu, żeby się zastanowić, które z pięknych oczu będą mnie obserwowały podczas masturbacji. Nie chcę za wcześnie rozpinać rozporaka. Wyszedłbym na takiego, co ledwie zaczął, a już kończy.

Postanawiam wykorzystać pokłady wyobraźni i własne wspomnienia. Patrę na sofę. Zrobić to w pozycji siedzącej? Byłoby wygodniej. Tapicerka jest ze skóry ekologicznej, więc łatwo ją wyczyścić w razie wypadku. Mam nadzieję, że takie się tutaj nie zdarzają. Na pewno nie pachnie tu spermą. Ten fakt mnie pociesza. Czyżby nic nie skapnęło, wszystko znalazło ujście w odpowiednich pojemniczkach? Obym ja również dobrze trafił, bo ostatnio sprawia mi to problem. Gdyby się nie udało? Jest tu jakiś mop? Otwieram toaletę. Jest. Źle bym się czuł, gdyby recepcjonistka ścierała po mnie nasienie z podłogi.

Sprawdzam godzinę. Od wyjścia wprowadzającej minęło dziesięć minut. Kolejne trzy zajmie mycie rąk, więc to już odpowiednia pora. Najlepiej zamknąć sprawę w ciągu dwóch kwadransów. To tak optymalnie. Nie za długo: dzięki temu nie wyjdę na impotentą. Nie za krótko: niech blondyneczka nie podejrzewa, że głównie łąziłem po pokoju, aby uznać mnie za maratończyka, ogra. A może ogiera? Dziwnie to brzmi, ale tak chyba jest poprawnie. Cholera, znowu żałuję, że nie ma tu Anety. Jak zwykle wiedziałyby, jak to się odmienia. „Podwójny tytuł magistra, niech to szlag!” – szeptem kpię ze swojego wykształcenia i wiedzy. A właściwie jej niedostatku.

Pół godziny to też na tyle dużo, by partnerce dać szansę na rozkosz. Niech

nikt nie myśli, że jestem ignorantem, mam małe możliwości i nie spełniam oczekiwań płci pięknej.

Na kanale BBC Knowledge mówili, że statystycznie kobieta dochodzi do orgazmu w ciągu dwudziestu jeden minut. Tyle więc będzie w sam raz.

Napiłbym się czegoś. Stoi tu wprawdzie wielki baniak z Edenu, ale nie skorzystam, dopóki nie zabezpieczę dłoni przed kontaktem z bakteriami.

Wkładam słuchawki do uszu. Podchodzę do umywalki. Uruchamiam stoper. Wedle zaleceń szoruję ręce przez trzy minuty. Dziwne, że nie kazali mi umyć wacka. Kurwa! A jeśli kazali? Już nie pamiętam. Ta babka gadała za dużo, żeby dało się to ogarnąć. W sumie mógłbym go zdezynfekować, ale kto wie, czy po użyciu tego preparatu nie odpadnie. Bo to pewnie nie jest zwykłe mydło.

Zwilżam wargi wodą mineralną. Rozpinam rozporek. Korzystam z wygodnej dziury w bokserkach. Siadam w fotelu. Nogi opieram o podnózek. Nie sięgnę po gazetę. To wydaje mi się szczeniackie, a szesnastu lat to ja już nie mam. Nie powinienem korzystać z fotografii, tylko z samych kobiet (byle nie Elki!). A ściśle: z Małży. Nie z własnych rąk. W ostateczności ze wspomnień.

Zamykam oczy. Plaża. Brenda stoi tyłem do mnie. Ledwie wstała z gorącego piasku, który oblepia mokre majtki od bikini. Wskakuje do morza. Odwraca się, już płynąc. Jej piersi unoszą się na falach. Wynurza się z piany. Woła mnie. Klękam przed nią nagi. Zlizuję sól z jej skóry.

Czterdzieści w przód, czterdzieści w tył, czterdzieści w przód. Czterdzieści w górę, czterdzieści w dół. Góra – dół, dół – góra, góra – dół. Czuję mrowienie w okolicach uda. To telefon. Gdzie ja go włożyłem, skoro jestem goły? Nie zamókł?

Otwieram oczy. Znów znajduję się w pokoju ejakulacyjnym. Sam. W prawej kieszeni spodni wibruje komórka. Wyciągam ją. Zyskuję pewność, że facet rzeczywiście wybiera sobie żonę podobną do matki. Aneta też zawsze dzwoni w newralgicznych momentach.

- No co się dzieje? – pytam po zatwierdzeniu połączenia.
- Jak poszło?
- Jeszcze nie doszedłem.
- Do kliniki czy do...?
- Do orgazmu.
- Ze mną szybciej ci idzie. Dobra, nie przeszkadzam.
- Spoko, jedną rękę mam wolną. Możesz mi szepnąć kilka miłych słów.
- Wojtek, jestem w pracy.
- Okej, zadzwonię, jak skończę.

Zamykam oczy. Wyobrażam sobie, że Brenda staje na swoim redaktorskim biurku. Klawiatura roztrzaskuje się pod naporem ostrych szpilek. Siadam w obrotowym fotelu, a ona nachyla się, żeby wargami dosięgnąć mojego członka.

Czterdzieści w przód. Czterdzieści w tył. Czterdzieści w przód. Czterdzieści w górę, czterdzieści w dół. Osiemdziesiąt ruchów na minutę. Sześć identycznych przebiegów rytmicznych. Bingo! Zgarniam całą pulę.

Wypuszczam powietrze. Zakręcam pojemnik. Jakoś mało tego się wydaje, ale pewnie to jedynie wrażenie optyczne. Ściągam rękawiczki, wyrzucam je. Żal mi tego wywiadu z Hołkiem, którego w końcu nie przeczytałem. Może gazeta zmieści się w wewnętrznej kieszeni marynarki? Cholera, nie. Muszę się jej pozbyć. Głupio byłoby tak ostentacyjnie wynieść stąd gazetę, mimo że na pewno za nią zapłaciłem. Mówi się trudno.

Przyklejam naklejkę w wyznaczonym miejscu, literując wydrukowane na niej imię i nazwisko. PESEL chyba byłby w tym przypadku bezpieczniejszy. Wyłączam MP3, wkładam do kieszeni. Sprawdzam czas. Powinienem zabawić tu jeszcze z pięć minut, ale kazali jak najszybciej oddać materiał do laboratorium. Stosuję się do polecenia, bo chciałbym, żeby nie było nieprawidłowości, żebym już nie musiał więcej tutaj przychodzić.

Gasząc lampę z napisem „Zajęte”, obiecuję sobie, że wieczorem pójdę do łóżka z Brendą. Żeby jej to wynagrodzić. To, że sam sobie zrobiłem dobrze. Że udało mi się bez jej udziału. Autentycznie mam poczucie winy. Jestem nienormalny. To żadna zdrada, niemal każdy facet się onanizuje i to bez wiedzy, i zgody partnerki. A ja z tego niepotrzebnie czynię grzech. Wkurza mnie, że tyle oczu patrzyło na wacka. Choćby to były najpiękniejsze twarze Hollywoodu, nie miały prawa. Tak jak recepcjonistka nie miała prawa wiedzieć, ile czasu zajmuje mi dojście do orgazmu. Tylko Małża, Brenda, Aneta ma prawo. Zołza niekoniecznie.

Dzwonię do laboratorium numer dwa. Otwiera kobieta w fartuchu, czepku na głowie i z maseczką na twarzy. Zabiera pojemnik. Prosi, żebym zaczekał. Po kilku minutach zjawia się w drzwiach.

– Spermogram będzie jutro od ósmej rano, posiew pojutrze. Jak pan odbierze komplet badań, proszę się umówić z lekarzem prowadzącym.

– Jasne, dziękuję – mówię i odchodzę.

„Gdy tylko ochłonę, tyrknę do matki” – postanawiam. A zresztą! Zrobię to od razu. Przynajmniej nie będę musiał patrzeć w twarz recepcjonistce, wychodzącej z kliniki. Rozmowa przez telefon może całkowicie zająć moją uwagę.

Dopiero kiedy wsiadam do samochodu, matula odbiera.

– Cześć. Dobijałaś się do mnie.

– Owszem. A czy Aśka też się kontaktowała?

– Nie. A co?

– Jest w ciąży.

– No to... świetnie. – Zmuszam się do entuzjastycznej reakcji i udaję, że informacja wcale nie spadła na mnie jak grom z jasnego nieba.

- Nie poinformowała cię? Dziwne.
- Wisi mi pieniądze i pewnie nie chce się przypominać.
- Dużo?
- Nieee. Mogę poczekać.
- A na co pożyczyła?
- Mamo, nie bądź sobą, nie bądź upierdliwa.

Cholera, chyba niepotrzebnie się wygadałem. Myślałem, że mamuśka wie. Siostra mnie udusi.

- Nie wspominała mi o problemach.
- A tam, od razu o problemach. Utrzymanie dziecka kosztuje. Ja go nie mam, to doi ode mnie na chrześnicę.
- No à propos to długo będzie mogła?
- Niedługo. Pracujemy nad tym.
- To dobrze. A co robisz?
- Pracuję nad tym.
- O Boże! Przepraszam. To zadzwoń, jak...
- Jak skończę? – Wybucham śmiechem. – Żartowałem. Spokojnie, mów.
- Przyjdziecie w niedzielę na obiad? Asia z Maćkiem i Zuzką też będą.
- Zobaczymy. Dam ci znać – obiecuję.

Rozłączam się. Sprawdzam, czy w samochodzie mam jakieś papierosy. Należy mi się.

Nic nie zostało.

Kupuję paczkę na stacji benzynowej. Zagrzebuję ją w bagażniku; w schowku, o którym Aneta chyba nawet nie wie. Nie chcę, żeby się na nią natknęła. Sam też wolałbym nie mieć tytoniu na wyciągnięcie ręki. Jezu! Zachowuję się jak kretyn. Masturbację, na którą Małża wyraziła zgodę, traktuję jak grzech, zdradę, ale ohydne kłamstwo uznaję za nic nieznaczące. Upatruję w sobie winy wyłącznie wtedy, gdy mi wygodnie.

Jadę do domu. Po powrocie mógłbym napisać kilka komentarzy na forach internetowych, że wcale nie jest tak źle, jak mówią. Pokoje są świetne i tylko otoczka wokół tego badania nie jest sympatyczna. Nie zamierzam jednak występować w roli onanisty i gościa, któremu z jakichś przyczyn – pewnie z konieczności zasilenia banku – trzeba było dokonać analizy nasienia. Nie zrobię tego nawet, gdybym miał się wypowiedzieć jako anonim albo korzystając z dziwaczego nicka. Mimo wszystko wieczór przed komputerem byłby miłszy niż z Małżą. W końcu muszę jej wyznać, że choć nie jest mamusią, drugi raz dostąpi zaszczytu zostania ciocią. To ją zaboli. Bardzo. Zwłaszcza że wiele razy twierdziłmy, że Aśka z Maćkiem nie stworzyli odpowiednich warunków do wychowania jednego potomka. Niestety, mój szwagier to dupek, nie facet. Nie potrafi utrzymać rodziny. Jakie to niesprawiedliwe! Ci, którzy nie baraszkowali

z głową na karku, nie myśleli o tym, żeby zapewnić dzieciom godziwe dorastanie i przyszłość, dostają to, na co nie zasłużyli. My kilkanaście lat uczyliśmy się i pracowaliśmy na własnościowy pokój dla dziecka. I co z tego mamy? Długie życiorysy bez szerokiego kręgu zainteresowań. Plus automatyczne polecenie przelewu na trzydzieści lat.

Po drodze robię zakupy. Skoro pierwszy będę w domu, sam zajmę się kolacją. Camembert w panierce, sałata lodowa z rzodkiewkami, suszonymi pomidorami i sosem winegret. Aneta jest zachwycona. Uwielbia smażony ser. Tym razem to ona czeka za kuchenną wyspą, aż podam jedzenie.

– No to opowiadaj. – Czeka na relację.

– A co tu opowiadać? Przyszedłem. Zrobiłem, co należało zrobić. Wyszedłem.

– Ale dobrze było?

– Małżuś, orgazm miałem. Jak mogło nie być dobrze?

– Musisz wszystko tak dosłownie traktować? Pytałam o warunki.

– Nie ma się do czego przyczepić.

– To dobrze, bo ja się dzisiaj tyle negatywnych opinii naczytałam o tych badaniach, że szkoda gadać.

Ciekawe, na ilu forach dyskusyjnych już się zarejestrowała. Nie dam jej pożywki, nie sprawię, by miała tam o czym pisać. Zmieniam temat.

– Mama dzwoniła. Pytała, czy wpadniemy w niedzielę na obiad. Masz dużo pracy w weekend?

– Ostatnio buszuję po Internecie, szukając postów o lekarzach, mam więc trochę zaległości. Ale sobota wystarczy, żeby nadrobić. Ktoś jednak w tym czasie powinien sprzątnąć mieszkanie.

Sprzątnąć mieszkanie, no tak. Obtaczam ser w jajku, bułce tartej i myślę, że jestem nowoczesnym facetem. Wiem, jak zrobić panierkę, co dodać do oliwy, by powstał sos winegret, i w dodatku zakodowałem, że wyszorowanie kibla nie polega na przetarciu sedesu papierem toaletowym. Mój ojciec żyjący na tym świecie trzy dekady dłużej do tej pory nie zyskał tej wiedzy. Szwagier też nie ma o tym pojęcia. Tacy jak tata i Maciek stwierdziliby bezsprzecznie, że pantofel ze mnie. W kręgach inteligenckich zaś takich jak ja określa się mianem metroseksualnych. Do tej grupy należą mężczyźni, których atrybutami są pasta do butów, a nie siekiera. Szczotka do kibla, a nie łopata. Woda po goleniu, a nie piła spalinowa. Nie wchodzą na drabinę, bo mają wyższe pełne. Ci goście posiadają co najmniej pięć par butów, kilka garniturów z najnowszych kolekcji, koszule kupione w pakiecie z dopasowanym krawatem, własną, zbyt małą półkę na kosmetyki w łazience, gdzie stawiają szampony zwiększające objętość włosów i wody toaletowe na dzień i na wieczór. Gdy trzeba coś zawiesić na ścianie, wzywają specjalistów z wiertarkami, a sami wcierają w pachy antyperspiranty, po czym lecą do parku

uprawiać jogging. Nie zajmują się pracą fizyczną, godzinami siedzą za biurkiem w gabinetach bez dopływu powietrza, z oczami zażawionymi od klimatyzacji. I dlatego muszą się dotleniać. Zależy im na zdrowiu, więc nie jadają flaków i golonek, tylko ryby, bo podobno dobrze wpływają na wszystko. Paradoksalnie, chociaż nie potrafią wbić gwoździa, zachowują linię i utrzymują kondycję. To z takimi gośćmi kobiety powinny mieć dzieci, bo co prawda metroseksualni boją się stanąć na rusztowaniach, jednak nie widzą przeciwwskazań, by babrać się w rzadkim gównie i taszczyć nosidełka. Na to wystarcza im sił. Są pełni empatii dla swoich kobiet, lubią je rozpieszczać i wyręczać. Liczą się z ich zdaniem i uczuciami, dlatego słowem nie wspominają, że szwagierki są w ciąży.

Pólnagi patrzę w lustro, myjąc zęby po kolacji. Zastanawiam się, jak to możliwe, że moja siostra chodzi do łóżka z obrośniętym tłuszczem facetem, z którego włosów na klatce piersiowej ocieka pot. Jak to jest, że ktoś z mięśniem piwnym, niedbający o wygląd i tężyznę fizyczną, żywiący się głównie węglowodanami zrobił dzieciaka, a ja mam z tym problem? Nie, nie, to Aneta ma problem. Skoro Aśka jest taka płodna, a dziedziczymy te same geny, wina nie leży po mojej stronie.

Ciążą tylko zarzuty

Następnego dnia umawiam się z Haliszewskim, informując, że będę miał komplet badań. Lekarz może mnie przyjąć dopiero w czwartek. Twierdzi, że nie ma sensu wcześniej przyjeżdżać po wyniki. Również tak sędzę, zwłaszcza że nie dysponuję wolnym czasem. Jestem zarobiony. Odbiorę spermogram tuż przed wizytą. Załatwię wszystko za jednym zamachem, czy się to Anecie podoba, czy nie. Niech sobie krzyczy. Albo jeszcze lepiej: niech zamilknie.

Zgłaszam się w recepcji.

– Dzień dobry. Ja po wyniki. Wojciech Raczyński.

Recepcjonistka podaje kopertę z moim nazwiskiem.

Spoglądam na zegarek, zmierzając w kierunku poczekalni. Kwadrans... Ginekolog zaczyna dyżur za kwadrans. Wolałbym wiedzieć, na czym stoję. Wracam do samochodu. Uruchamiam Internet w telefonie. W Google wpisuję stosowne hasło. Porównuję.

Objętość?

Aj, mogłoby być więcej. Zbliżam się do dolnej granicy. To jednak nie było tylko wrażenie optyczne.

PH?

Okej.

Czas upłynnienia?

Nie rozumiem, o co w tym chodzi, ale jest w porządku.

Kolor?

Białawy, czyli odpowiedni.

Koncentracja. Liczba plemników na mililitr?

Fuck'n shit! Tutaj się nie wykazałem.

Całkowita liczba plemników w ejakulacie?

Mało. Zdecydowanie za mało. Szlag! Dlaczego?

Ruchomość i plemniki klasy A i B?

Kurwa! Cokolwiek to znaczy, norm nie spełniam.

Morfologia?

Chujowo!

Żywotność?

Bardziej niż chujowo. Niemożliwe! Ja pierdołę!

Nie wolno ufać jednemu źródłu informacji w necie. Kliknę w inny link będący rezultatem wyszukiwania. Polecenie: wstecz.

Szok! Następna witryna z normami spermogramu to portal, którego wydawcą jest Małża. A jeśli sama redagowała notkę na ten temat i zna parametry?

Co jej powiem, gdy wrócę do domu? No co?

Wzdrygam się, słysząc pukanie w drzwi auta. Cholera, Haliszewski. Opuszczam szybko. Lekarz patrzy na świstek skrywany przeze mnie w dłoni. Zaprasza do kliniki.

Wsiadam z auta i podążam jego śladem. Chyba spostrzega moje skrępowanie. Sam się głupio czuje po tym, jak mnie przyłapał na sprawdzaniu norm. Prawdopodobnie dlatego zaczyna luźną rozmowę o mustangu. Rzekomo podszedł wyłącznie po to, żeby obejrzeć to „cacko”. Fala pytań: Skąd go wystraszałem?, Jak się konik sprawuje?, U kogo naprawiam?, Gdzie szukam części?, Czy pali jak smok?, Czy droga taka impreza?

Docieramy do gabinetu. Zajmujemy miejsca przy biurku.

– Mogę? – Ginekolog wskazuje kartkę.

– Tak, jasne. – Wręczam mu wyniki.

– Czego pan się dowiedział od wujka Google?

– Niczego. Nie zdążyłem otworzyć strony – kłamię.

– To inaczej: czego pan się spodziewa?

– Nie mam pojęcia, prawdę mówiąc.

– Prawdę mówiąc? – Haliszewski przestaje mi się przyglądać i rozkłada pomięty świstek. Czyta. Czyta. I nadal czyta. Ciągłe czyta. Wreszcie unosi głowę.

– Panie Wojciechu, wyniki nie są zadowalające.

Oblewa mnie pot.

– No tak, ale pewnie nie należy się opierać na jednym badaniu. Wypadałoby je powtórzyć – mówię.

Jestem gotowy polepszyć spermogram nawet za cenę kolejnej rozmowy o masturbacji z recepcjonistką. Wtedy na ścianie kliniki mogłyby zawisnąć już dwa zdjęcia... Chociaż niekoniecznie, bo jeśli te parametry są autentyczne, z tej spermy nic się nie urodzi.

– Owszem, ale powinniśmy wziąć pod uwagę każdy wynik. Tu nie ma błędu diagnozy. Aktualnie pana nasienie nie jest w dobrym stanie. Powodów może być mnóstwo. Ten pomiar nie dotyczy jakości średniej, lecz bieżącej. Da się to zmienić, ale to wymaga współpracy i zaangażowania. Traktowania sprawy poważnie. Wymaga też cierpliwości. Najważniejsze pytanie brzmi: czy gorączkował pan w ciągu ostatniego kwartału?

Zastanawiam się przez chwilę.

– Tak.

– Kiedy?

– Miesiąc temu miałem anginę.

– Jaka była najwyższa temperatura?

– Trzydzieści dziewięć i dwa.

– To jedna z prawdopodobnych przyczyn. Jak długo utrzymywała się tak

wysoka gorączka?

– Dwa dni, ale starałem się ją zbijać.

– Bardzo dobrze. Gdyby sytuacja się powtórzyła, trzeba natychmiast wziąć coś na obniżenie. Teraz kolejna kwestia: niedawno rzucił pan palenie, ale skutki tego zobaczymy dopiero za dwa miesiące.

Jasny gwint! Przecież nie powiem mu, że na ramieniu mam plaster antynikotynowy, i tym samym lepszego nasienia nie uzyskam tak szybko, jak by oczekiwano. Muszę się raz na zawsze pozbyć tego cholerstwa.

– Mógłby pan wyjąć ten telefon z dostępem do Internetu?

Bez jaj! Nie sędzę, żeby był na tyle bezczelny, aby śledzić historię połączeń sieciowych. Wstaję, wyciągam smartfona i podaję go lekarzowi.

– Nosi pan zwykle marynarki. Proponuję nie korzystać z kieszeni w spodniach. Nie wolno trzymać komórki w pobliżu układu rozrodczego. Jeśli chodzi o bieliznę, zalecam luźne, koniecznie bawełniane bokserki. Cienkie. Proszę pamiętać o nieprzeżewaniu jąder. Proszę także zgłosić się na wizytę do androloga. Jest u nas pojutrze od trzynastej do dziewiętnastej.

– Kto to?

– Męski odpowiednik ginekologa. Zinterpretuje te wyniki, zleci badania hormonalne, może kurację farmakologiczną no i... No, to nie zaszkodzi, a pewnie pomoże. Tylko zanim rozpoczniemy leczenie, muszę wiedzieć, czy pan go sobie życzy?

– To oczywiste.

– Niekoniecznie. Wiem, że pańska żona chce, ale czy pan również? Proszę wybaczyć, ale tego nie jestem pewien. A to kluczowa kwestia. Do tanga trzeba dwojga.

– Chcę mieć dziecko.

– Nie pytałem, czy chce pan mieć dziecko, ale czy chce się pan leczyć?

– To równoznaczne w tych okolicznościach.

– Skoro pan tak twierdzi... Powie pan żonie o tych wynikach?

– Jasne.

– Może pan po nią zadzwonić. Jeszcze dzisiaj spotkalibyśmy się we trójkę, jeśli czułby się pan lepiej. Potraktowalibyśmy to jako jedną konsultację.

– Nie, dziękuję – odpowiadam ostrym tonem.

Nie jestem jankiem. Nie jestem dzieckiem specjalnej troski. Nie pozwolę sobie na takie traktowanie. Zasłużyłem, tak? Gorszy gatunek mężczyzny? Pewnie zaraz zostaniemy z Anetą wysłani na specjalistyczną terapię, żeby nauczyć się obcować z moją niepełnosprawnością.

– W takim razie to wszystko. Nie ma się co martwić, naprawdę. To nie przekreśla waszych szans. Nad tym można popracować. Po wyjściu proszę się zarejestrować do androloga.

– Oczywiście – mówię.

Opuszczam klinikę. Nogi mi ciężą, ale wytrwale podążam do samochodu. Zastanawiam się, jaką obrać taktykę. Co robić? Nie wracać do domu! Jeszcze nie teraz. Najpierw coś wymyślę. I ochłonę.

Telefonuję do Piotrka.

– Hejka! Nie skoczyłbyś na gokarty? – pytam.

– Teraz? Coś ty! Dora by mi łeb ukreśliła. Zgadajmy się na niedzielę.

– W weekend nie mam czasu. Kurczę. Dobra, to tyrknę w przyszłym tygodniu. Na razie!

Zostaje Jacek.

– Hejka! Nie skoczyłbyś na gokarty?

– Kurde, fajnie by było, ale młody chory. Nie bardzo.

– Okej, to do następnego.

Jeszcze Maciek.

– Hejka, nie skoczyłbyś na gokarty?

– Nie dam rady. Idę na zebranie.

– Jakie zebranie?

– Do szkoły.

– A, spoko. To wal się. Cześć!

Przeglądam książkę telefoniczną. Czy znam kogoś, kto nie musi się podporządkowywać żonie, robić okładów przeziębionemu dziecku lub łązić na wywiadówki? Nowocześni, metroseksualni faceci z zawsze czystą muszlą klozetową i bachorem na głowie. Czas zadzwonić do Anety. Czas wcisnąć jej jakiś kit. Komuś zepsuło się auto? Poprosił mnie o holowanie? To nie jest wystarczający powód, żeby nie odebrać wyników tak ważnych badań. Tylko matka zdoła mnie usprawiedliwić. Wdech, wydech. Do dzieła!

– Małzuś, jadę do mamy. Źle się czuje, a tata jest na działce.

– A byłeś po wyniki?

Zaczyna się. Wiedziałem, że bez usprawiedliwień się nie obejdzie.

– Właśnie nie, bo mama wszystko uprzedziła. Jutro to załatwię – mówię, a w myślach od razu planuję „nieprzewidzianą niespodziankę” na kolejny dzień.

– A odwołałeś wizytę?

Fuck! Żeby jej nie przyszło do głowy skontaktować się z Haliszewskim.

– Tak. Lekarz o wszystkim wie. Dobra, to jadę. Pa – kończę rozmowę.

Opieram się o zagłówek. Przymykam oczy. „Co ja wyprawiam?” – zastanawiam się. To mnie przed niczym nie uchroni. Dlaczego? Po co? Na co? Ginekolog powie Anecie, że odebrałem spermogram. Że odebrałem kiepski spermogram. Prawda i tak wyjdzie na jaw. Prędzej czy później. Później. Jezu! Niech to będzie jednak później. No chyba że... W tej sytuacji uratowałyby mnie przedstawienie lepszych parametrów. Małża dowiedziałyby się o kłamstwie, ale

zrekompensowałbym jej to milionem długowiecznych plemników zamiast nieparzystą liczbą kwiatków w bukietcie o krótkiej żywotności. Wtedy byłem totalnie zesrany... Nie zdezynfekowałem wacka... Do tego jeszcze ten plaster na ramieniu... A gdybym go odkleił? Mam za sobą dwa dni celibatu. Jutro wykonałbym następne badanie. Maksymalnie pojutrze miałbym wyniki. W tym czasie Małża nie nawiąże kontaktu z doktorem. Chyba że zechce mnie sprawdzić. Cholera, może to zrobić. Wyszłaby na idiotkę, ale wiążąc się z takim człowiekiem jak ja, często trzeba podejmować ostateczne kroki. O tym nie pomyślałem. Kurwa! O wielu rzeczach nie pomyślałem. Na przykład, żeby nie mówić w pracy o staraniach. Ale kto by przypuszczał, że jestem bezpłodny? Że zbadają mi spermę i wyniki okażą się chujowe? Są chujowe. Są tak chujowe, że nawet specjalistyczny sprzęt medyczny nie zdołałby zapłodnić Anety. Personel nie zasilił banku moim nasieniem. Teraz już mogę być pewny, że plemniki trafiły do muszli klozetowej. Żeby obracali środkami, musiałyby być wartościowe. Wniosek odrzucony. Brak zdolności plemnikowej.

Wracam do kliniki. Dogadam się z Haliszewskim. Facet faceta zrozumie.

Ginekolog ma pacjentów. Czekam na swoją kolej. W międzyczasie knuję, jak wybrnąć z tego wszystkiego. Nie jestem specjalistą od kłamstwa. W niedzielę podczas obiadu Małża zapyta teściową, czy już przeszły jej dolegliwości. Jak mogłem wymyślić tak idiotyczną wymówkę? Błąd za błędem. Muszę wkręcić matkę w ten film. Musi się dowiedzieć, że cierpiała dzisiaj na migrenę. Ukręci mi łeb za to, że ją wykorzystałem, aby oszukać Anetę.

Para opuszcza gabinet. Wchodzę.

– To jeszcze raz ja. Mogę pana o coś prosić?

– Słucham?

– Mimo wszystko wolałbym potwierdzić ten wynik.

– Teraz? To bez sensu, naprawdę.

– Poznałem już pana zdanie.

Haliszewski spogląda na mnie z pogardą. Pewnie jest wściekły, że podważam jego opinię.

– W każdej chwili można się zapisać na badanie. Tylko nie wiem po co.

– Byłem zdenerwowany... Czy byłby pan tak miły i nie wspominał żonie o tym spermogramie, dopóki nie będę miał drugiego?

– Lepszego, tak? Nie sądzę, żebym mógł przez dwa miesiące o tym nie mówić. Odpowiedniego wyniku nie będzie ani jutro, ani pojutrze. Chciałbym przekazać panu dobre wieści, ale, niestety... Najszybciej za kwartał od rzucenia nałogu.

– Co z tajemnicą lekarską? Nie obowiązuje pana? Też jestem pana pacjentem. – Wiedziałem, że tym pytaniem się narażam, ale lekarz postawił mnie pod ścianą.

– Po pierwsze, moim pacjentem nie jest pan, ale państwo Raczyńscy. Po drugie, żona będzie oczekiwała ode mnie informacji, jeśli sam ich pan nie udzieli. Dopóki się z nią nie zobaczę, zachowam dyskrecję. W tym czasie proszę wykonać kolejny spermogram, jeśli czuje pan taką potrzebę. Ale wyniki i tak będę musiał prędzej czy później omówić. A one nie będą dobre. Niech pan schowa portfel. W naszym cenniku nie ma usługi, której pan oczekuje.

– Dziękuję za pomoc – kwituję tonem pełnym ironii i gniewu.

– I niech sobie pan daruje komentarze dotyczące etyki zawodowej, bo ja nie poruszam z panem tematu etyki małżeńskiej.

– Do widzenia – kończę jałową dyskusję.

– Do miłego! – odpowiada mocno poirytowany.

„Co za buc! – stwierdzam w myślach. Prywatne wycieczki sobie urządza”.

W recepcji zapisuję się na spermogram. Tym razem nie owijam w bawełnę. Samo badanie już nie jest istotne. Istotny jest wynik. Zadowolający wynik.

– Można się umówić na jutro?

– Na którą?

– Jak najwcześniej.

– Jeśli się pan zgłosi o ósmej, wyniki będą tego samego dnia.

– Świetnie.

Wymigam się od obecności w pracy. Nie jestem niezastąpiony. Rozmowy kwalifikacyjne przeprowadzi za mnie ktoś inny. Ale nikt inny nie zapłodni za mnie Małży.

Jadę do mamy. Wita mnie całusem. Kiedy parzy kawę w kuchni, zaczynam:

– Możemy się umówić, że jeśli ktoś zapyta, czy dzisiaj cię odwiedziłem, to potwierdzisz?

– No przecież tu jesteś.

– Chodzi o to, żebyś powiedziała, że byłem tu aż do powrotu ojca z działki, bo źle się czułaś.

– Co się dzieje? Kto miałby zapytać o coś takiego?

– Nieważne kto. Odpowiesz tak?

– Wojtek, co ty kombinujesz?

– Proszę.

– Mam okłamywać synową?

O, skubana! Przejrzała mnie na wylot.

– Mamo...

– Masz kogoś?

– Tak. Żonę. Błagam. Mogę?

– Nie rozumiem. Mówisz, że staracie się o dziecko, a chcesz, żebym kryła ciebie i kochankę.

Dociekam w myślach, czy przed nią też się wygadałem. Cholera! Ale ja

mam długi język. Coś mi się wydaje, że wyniki spermogramu z założenia miały być co najmniej zadowalające. Dlatego nawarzyłem sobie piwa. Jak zwykle zawiniła pewność siebie.

– Mamo, za dużo seriali się naoglądałaś? Nie mam kochanki.

– To wytłumacz mi, dlaczego mam cię kryć.

Wzdycham ciężko, przewracam oczami. Gram na zwłokę. Mobilizuję szare komórki. Nie dosyć skutecznie.

– Bo szykuję dla Anety niespodziankę na urodziny – mówię.

Tym sposobem wrabiam się w organizację czegoś szalonego. Jestem mistrzem. Po prostu mistrzem. Komplikowania sobie życia. Chociaż, jak sądzę, dla Małży jedyną trafioną niespodzianką byłoby teraz dziecko. A tego za cholerę nie zorganizuję. Nie z takimi wynikami. Dlatego muszę się postarać o lepsze. Szybko.

– Jaką? – drażni matka.

– Nie zdradzę, bo się wygadasz.

– Uważaj, żebym się nie wygadała, jak długo tu byłeś.

Dochowa tajemnicy. Niczego nie obiecuje, ale wyczuwam, że dotrzyma słowa, chociaż wcale nie podoba jej się to, co robię. W pośpiechu wypijam kawę i się żegnam. Wsiadam do samochodu. Ruszam. Rozładowuję napięcie. Już w drodze na tor gokartowy udowadniam sobie, że jestem siłaczem. Wciskam pedał gazu najmocniej, jak potrafię. Nie waham się. Nie zawaham się również wtedy, kiedy będę wciskał Anecie stek kłamstw. Odegram mężczyznę. Zdecydowanego mężczyznę, który jest pewien tego, co mówi.

Na parkingu, przed wejściem na teren obiektu, szukam w Internecie informacji, jak poprawić nasienie. Ginekolog miał rację. Jest mnóstwo czynników wpływających na liczbę i jakość plemników, ale ich działanie ujawnia się dopiero po kwartale od podjęcia odpowiednich kroków. Mimo to nie zamierzam rezygnować. Sprawdzam jeszcze, czy ta klinika rzeczywiście ma tak dobre opinie, a Haliszewski jest wychwalany pod niebiosa. Jest. Niestety, jest. Jednak warto się o tym samemu przekonać. Jeśli się pomylił, interpretując wyniki, obsmaruję go na tych forach. Specjalnie się zarejestruję.

Wjeżdżam na tor. Mokry ku mojej uciechu. Gwałtownie skręcam w prawo. Wpadam w delikatny *drift*. No to kontra! Prostuję. I znów gaz do dechy. Przyspieszam. Tracę przyczepność. Szybko opanowuję pojazd. Trzy kolejne poślizgi i już czuję się jak król szos, król życia. Spaliłem mnóstwo paliwa, energii, nerwów. Do chuja! Jestem facetem. Silnym, prawdziwym, pełnowartościowym facetem, którego złość znajduje zawsze ujście w rurze wydechowej. Tam się spalam, wypalam. Wypalam, no właśnie. Wypalam ostatniego papierosa. Papierosy. Dwa. Ostatnie dwa. „Naprawdę ostatnie!” – przekonuję sam siebie, jakbym nie wierzył, że rzeczywiście potrafię rzucić to gówno. „Gówno! To jest gówno!” – powtarzam sobie.

Po raz pierwszy, odkąd walczę z nałogiem, używam własnej siły sugestii. Pierwszy raz dopuszczam myśl, że to trucizna. Może to jest skuteczna metoda. Teraz! Dopiero teraz czuję, że jestem gotowy z tym skończyć. Warto. Jeden papieros to bodaj pięć minut życia więcej. Pięć minut, które spędzę z rodziną. Małą i synem. Rzucę, żeby nie oglądał mojej agonii na oddziale onkologicznym. Postanowienie przypieczętowuję butem. Cały świat wiruje. Zaraz zemdleję. Siadam za kierownicą i opieram głowę o zagłówek. Pot zrasza mi czoło. Oddycham głęboko, zamykam oczy. Skąd ten helikopter? Przedawkowałem nikotynę, od której najwidoczniej już się odzwyczaiłem? A może to przez gwałtowny spadek testosteronu po wysiłku fizycznym, po porządnej dawce adrenaliny? Przecież wytwarzam testosteron. Tak, wytwarzam testosteron. Nikt mi nie powie, że tak nie jest.

Lepiej, już mi lepiej. Najwyższy czas wrócić do domu, dalej oszukiwać i się łudzić, że robię to w dobrej wierze.

Przed uruchomieniem silnika rozpinam koszulę i zdzieram plaster z ramienia. Koniec, definitywny koniec! Nie będę się truć tym syfem. Nigdy więcej!

O dziwo, Aneta się nie wścieka, że nie odebrałem wyników. Pyta o zdrowie teściowej. Ból głowy zwałam na zły biomet i niskie ciśnienie. Wcale nie kłamię, twierdząc, że matka jest meteopatką. Zresztą Mała o tym wie.

Chcąc uniknąć dalszych pytań, zmierzam do łazienki. Kiedy wyleguję się w wannie, Aneta do mnie dołącza.

– Czegoś sobie pan życzy? – pyta kokieteryjnie.

– Herbaty z sokiem malinowym. – Wyczuwam jej intencję i muszę ją zbyć. Niech nie zamienia się w Brendę, przecież rano mam być jak czynny wulkan. Nie mogę sobie ulżyć tego wieczoru.

Napój gotowy.

– Czegoś jeszcze sobie pan życzy?

– Szczerze?

– No?

– Przepraszam. Spokoju. Jestem potwornie sterany – odpowiadam.

To nie w moim stylu, ale cóż innego mogę zrobić? Modłę się, żeby Mała nie zaczęła jak matka podejrzewać, że mam romans, skoro czuję się zaspokojony seksualnie.

Kiedy lądujemy w łóżku, siada na mnie okrakiem i masuje mi plecy. Nadal na coś liczy. A ja leżę jak kłoda, nie dając jej nadziei na rozkosz. Myślę wyłącznie o tym, że jutro, najpóźniej pojutrze, będę musiał ujawnić prawdę. Nawet najgorszą.

Już bez jaj

Rano informuję kierownika, że zjawię się później w pracy, i jadę do kliniki. Już nie potrzebuję dobrej muzyki. Wczorajszy masaż odpowiednio mnie rozpalił. Poza tym mam wielką motywację, żeby wytrysnąć.

Mimo to nie jest łatwo. Jakaś psychiczna blokada czy co? Trzeba było jednak zabrać MP3 z auta.

Wreszcie kończę. Wedle wskazań zegarka zajęło mi to osiemnaście minut. Aż ręka mi drży. Jest jak z waty, jakby miała zaraz odpaść. Wydaje się, że nie dam rady jej unieść, żeby przekazać laborantce pojemnik. Ledwie mogę go utrzymać.

Wynik do odbioru po ośmiu godzinach. Tak więc natychmiast próbuję się zapisać na wizytę do Haliszewskiego. Recepcjonistka twierdzi, że to niemożliwe. Lekarz jak zwykle ma pełen grafik. W tym momencie ginekolog przechodzi tuż obok.

– Przepraszam! – zaczepiam go.

– Tak?

– O szesnastej będę miał spermogram. Mogę się zgłosić? Bardzo proszę.

– Męczy pana odwlekanie prawdy? Dobrze. Zapraszam na dziewiętnastą. Z żoną. Inaczej nie przyjmę.

Szlag! Dzwonię do Anety. Mówię, że odebrałem wyniki i spotkałem doktora na korytarzu. Powiedział, żebyśmy jednak przyszli razem. Na siódmą.

– Dlaczego? Coś nie tak?

– Nie. On nawet jeszcze nie widział wyników.

– Wpisz w wyszukiwarce hasło „spermogram normy” i ...

– Małżus – przerywam jej – jestem zawałony robotą. Nie mam czasu na googlowanie. – Oczywiście nie doceniłem Zołzy i nie przyszło mi do głowy, by powiedzieć, że jeszcze nie zapoznałem się ze spermogramem, a z Haliszewskim odbyłem jedynie rozmowę telefoniczną. Kolejna moja specjalność oprócz strzelania ślepakami: myślenie dopiero po fakcie.

– To ja znajdę link i ci wyślę.

Ach, ta kobieca nadgorliwość!

– Będiesz wiedział, na czym stoisz i może znajdziesz chwilę, żeby mnie również poinformować.

Nie chcę wiedzieć, na czym stoję. I nie chcę jej informować, że przez ostatnie dni stąpałem po kruchym lodzie, a teraz tonę w bagnie po uszy. Niech to zrobi lekarz.

– Słuchaj, a nie zjawisz się w domu przed wizytą?

– Co? Czekaaj. Nie mogę teraz gadać. Zadzwoń później. Pa!

Wyciszam dźwięk w telefonie.

Do kliniki zamierzam dojechać pierwszy. Sam obejrzę kolejne wyniki. Jeśli będą równie złe, przedstawię tylko pierwszy spermogram. W ten sposób zasugeruję Haliszewskiemu, że nie osiągnąłem celu, a on prawdopodobnie powstrzyma się od informowania Małży, że próbowałem cokolwiek ukryć. Jeśli nowy wykres nic nie wniesie do sprawy, zrobiłby to z czystej złośliwości. Niemniej mówił, że nie ma zwyczaju komentować uczciwości małżeńskiej, więc chyba mogę na niego liczyć. Jeśli Aneta musi się o czymkolwiek dowiedzieć, to niech się dowie, że jestem bezpłodnym facetem, a nie bezpłodnym kłamcą.

Ku mojemu zaskoczeniu, gdy docieram na miejsce, Małża już czeka przed budynkiem. Lepiej być nie mogło! Niech to szlag!

Tym razem nie oferuję pomocy jako dawca nasienia. Jakoś nie bierze mnie na żarty.

– Tak wcześnie?

Fakt, to dziwne. Rzekomo tonąłem w papierach.

– No, uwinąłem się.

– Wejźmy do środka, bo zimno.

Siadamy w poczekalni. Mam nadzieję, że recepcjonistka nie raczy mnie poinformować w obecności Małży, że ma dla mnie następną kopertę.

– Czytałeś mejla? – pyta nieoczekiwanie Aneta.

– Jakiego mejla? Coś ty! Nie obrobiłem się nawet ze służbowymi – zaprzeczam temu, co przed chwilą powiedziałem. Oczywiście uświadamiam to sobie dopiero po fakcie. – Przepraszam.

Tak. „Przepraszam” to dobre słowo. Nie ma sytuacji, w których nie okazałoby się pomocne. Cokolwiek się zaraz wydarzy, mój wizerunek już będzie lepszy, ponieważ użyłem tego magicznego słowa.

– To pokaż wyniki. Teraz sprawdzimy. – Sięga po torebkę, żeby wyjąć smartfona.

Przegrzebuje kieszenie. Udaję, że nie mam koperty ze sobą. No bo co innego mogę zrobić?

– Są w samochodzie. Zaraz pójdę. Do siódmej zostało jeszcze trochę czasu – mówię.

Już widzę, że Małża zamienia się w Zołzę. Nie ma się czemu dziwić. Swoją postawą pokazuję, że wcale mi nie zależy. Ale nie widzę lepszego wyjścia. Niech to lekarz, a nie Zołza, dokona interpretacji. Interpretacji wyniku, który – do jasnej cholery! – jakimś cudem muszę odebrać.

– Idę do łazienki. – Aneta wstaje i znika w głębi korytarza.

Uff! Jednak Bóg istnieje! Oddycham z ulgą. Od razu korzystam z okazji i podchodzę do recepcji. W pośpiechu sprawdzam najważniejsze parametry. Na wszelki wypadek – właśnie taki jak teraz – wkułem normy na pamięć.

Kurwa! Co jest? Jeszcze gorzej?

Wyśpiewać jej wszystko jeszcze przed wizytą? Nie umiem. Nie pozostaje mi nic innego, niż przedstawić lekarzowi pierwszy spermogram. Albo... Zmierzam na parking. Udaję, że przeszukuję schowek w mustangu. Aneta zjawia się po chwili, informując, że już powinniśmy być w gabinecie. Szlag ją trafia, gdy wyznaję, że nie pamiętam, gdzie włożyłem świstek.

To bez sensu. Muszę go znaleźć. Jeśli tego nie zrobię, recepcjonistka na prośbę Małży wyda kopię. Wyciągam kopertę z marynarki, udając zdziwionego, że jednak tam ją umieściłem.

Wracamy do kliniki. Trzęsę się, jest mi słabo. Autentycznie brakuje mi tchu.

Haliszewski siada wygodnie w fotelu. Wzdycha ciężko.

– Panie Wojciechu, mogę zobaczyć wyniki?

W myślach modłę się, żeby mnie nie wsypał. Podaję jedną kartkę. Lekarz spogląda na mnie surowo.

– Ma pan coś do powiedzenia, zanim zinterpretujemy spermogram?

Aneta patrzy na mnie podejrzliwie.

– Nie – oznajmiam stanowczo, a nawet z pewną dozą zdziwienia. No bo niby co miałbym do ukrycia? Jak ginekolog może mnie o coś takiego posądzać?

– W takim razie proszę zabrać dokumentację i szukać szczęścia w innej klinice.

– Słucham?! – woła z oburzeniem Aneta i nerwowo spogląda raz na mnie, raz na ginekologa.

– Ode mnie proszę nie oczekiwać wyjaśnień. – Haliszewski umywa ręce. – Mnie obowiązuje etyka zawodowa.

Zoła zatrzymuje wzrok na mojej twarzy. Odwracam głowę. Siedzę w fotelu i wpatruję się w ścianę, tak żeby żadne oczy nie zdołały wywrzeć na mnie wpływu.

– Proszę państwa, to nie ma sensu. Tracimy czas. Nie mogę współpracować z parami, które nie współpracują ze sobą. Na dzisiaj to koniec. Albo państwo porozmawiają, albo proszę znaleźć innego lekarza. Przykro mi.

– Wojtek, o co chodzi? – żąda odpowiedzi Małża.

Pocieram czoło. Pełnym nienawiści wzrokiem patrzę na Haliszewskiego i wyciągam z kieszeni drugi wynik. Rzucam od niechcienia na biurko. Nawet się nie nachyla, żeby go podnieść, przysunąć.

– Panie Wojciechu, my nie musimy się lubić. My musimy się leczyć. Ponawiam pytanie: czy ma pan coś do powiedzenia swojej żonie?

Milczę.

– Dziękuję państwu. Oczywiście ta wizyta jest bezpłatna. Proszę wybaczyć, ale mam jeszcze sporo pracy w laboratorium.

– Wojtek! – krzyczy Zoła, domagając się wyjaśnień.

Wzdycham ciężko. Opornie zacznęm spowiedź:

– Wtedy, gdy ci powiedziałem, że jadę do mamy, stałem pod kliniką z wynikami w ręce. Nie były zadowalające, dlatego chciałem powtórzyć badanie. Zrobiłem to, prosząc doktora, by nie wspominał o poprzednim. Nie zgodził się. Ale mimo wszystko wykonałem następny spermogram.

– Po co? – docieka Aneta.

– A jak sądzisz? – Zaczynam również podnosić głos.

– Mogę państwa zostawić, nie musi pan tego mówić w mojej obecności, ale jeśli mamy się diagnozować, uważam, że żona powinna usłyszeć prawdę – wtrąca się do dyskusji Haliszewski.

Chwilę zwlekam. W końcu szepczę:

– Bo myślałem, że będą lepsze.

– Czy teraz mogę liczyć na to, że będą państwo uzyskiwać informacje od siebie nawzajem, a nie naciskać na mnie?

– Tak – deklaruje Aneta.

Analizuję słowa ginekologa i uświadamiam sobie, że nie tylko ja nabroiłem; użył liczby mnogiej: „Będą państwo uzyskiwać informacje od siebie nawzajem”.

– Sprawdzałaś mnie?!

– Jak widać słusznie.

– Przydałoby się mieć do siebie trochę zaufania.

– Trzeba sobie na nie zapracować.

– Leczymy niepłodność czy nadszarpnięte zaufanie? Bo z tym to nie do mnie. Nie ta specjalizacja. Panie Wojciechu, podejmujemy wyzwanie?

– Nie wiem.

– Co?! Nie odgrywaj się na mnie. Nie w taki sposób. Wojtek, proszę cię. Nie w taki sposób. – Aneta nie wytrzymuje napięcia i wybucha płaczem, kiedy przez dłuższą chwilę milczę jak zakłęty.

– Nie rycz, błagam – szepczę zrezygnowany. – Słyszysz?

– Jestem tutaj jeszcze dwie godziny – wtrąca Haliszewski. – Nie powinienem ingerować, uczestniczyć w tym. Wystarczy, że w recepcji powiecie, że chcecie się ze mną widzieć, a po pewnym czasie na pewno przyjdę. Proponuję się przewietrzyć, uzgodnić coś bez udziału osób postronnych.

Wstaję. Zabieram z biurka wyniki badań. Nie jestem pewny, czy tu wrócę. Po co?

Małża idzie za mną. Zatrzymujemy się na parkingu. Wyciągam z bagażnika butelkę wody mineralnej. Nagle przypominam sobie, że nie wyrzuciłem marlborusów. Pozbyłem się plastra nikotynowego, ale nie papierosów. Teraz palenie już nie ma większego znaczenia. Przecież gorzej być nie może.

– Chcesz? – Częstuję Anetę.

Zaczyna płakać jeszcze bardziej.

– Wojtek, co ty robisz? Dlaczego? Jasne, że chcę, ale nie wezmę, bo staram

się o dziecko. Ty podobno też.

– Nie rób mi scen, proszę cię.

Szukam zapalniczki.

– Jak możesz? – Aneta z rezygnacją siada na krawężniku. – Jak możesz? – powtarza.

– Mogę. Bo ze mnie i tak nic nie będzie. Nie widziałaś tych wyników. A poza tym jak do tej pory to nie ciebie diagnozowano na dziesiątą stronę, więc nie zadawaj takich pytań. – Przesuwam fotele. Muszę mieć gdzieś ogień, przecież wczoraj paliłem. Kuźwa! Trzeba było naprawić w aucie gniazdo zapalniczki.

– A co takiego ci zrobiono?

– Co takiego?! Jakaś uśmiechnięta pizdeczka instruowała mnie, jak należy walić konia, żeby sobie chuja nie pobrudzić.

– A mnie, przepraszam, nie badano na wizytach?

– To jest co innego.

– No pewnie, że co innego. Nie mam chuja przecież – ironizuje histerycznym głosem Małża. – Przepraszam, a grzebał ktoś w twoim wnętrzu? Moja intymność została naruszona tak samo jak twoja.

– Jesteś kobietą.

– To znaczy, że lubię rozkładać nogi, tak?

– Wam to łatwiej przychodzi. Wystarczy wejść na pierwsze lepsze forum internetowe, gdzie wszystkie trajkoczenie w najlepsze. Kurwa mać! Nie masz ognia?

– Czyli nie zdołasz pokonać dumy i wstydu, żeby mieć dziecko? To w połączeniu z ceną wizyt za duży koszt?

– Idiotko! Nie dociera do ciebie? Ja nie mogę mieć dziecka. Jestem bezpłodny. Masz ogień?

– Kto ci tak powiedział? Bezpłodności się nie leczy. Leczy się niepłodność. Ale trzeba chcieć.

– Chcę, ale to wszystko jest nie fair. Dlaczego inni faceci nie muszą rzucać palenia, pieprzyć się z kalendarzem w rękę, żeby zapłodnić? Pytałem cię o coś.

– Boże! Jak ja mogłam marzyć o dziecku z takim dzieckiem? – Aneta łapie się za głowę.

– No właśnie. Marzysz o dziecku. Okazuje się, że nie mogę ci go dać. Wiesz, jak się z tym czuję? Nie masz pojęcia i nie chcesz go mieć. Nie interesuje cię to. Interesują cię tylko dwie kreseczki na teście. Kurwa! Gdzie ja posiałem tę zapalniczkę?

– To ty tak sądzisz. A najlepszym dowodem na to jest twoje kłamstwo. Jak mam cię słuchać, jeśli nie mówisz?

– Kurwa mać!

– Na desce rozdzielczej. Leży na desce rozdzielczej.

– Co?

– Zapalniczka – precyzuje szeptem.

Patrzę na nią przez chwilę. I nie mogę. Nie mogę jej tego zrobić. Gdybym znalazł tę zapalniczkę sam... A tak, wyszło na to, że mi pomogła. Zrobiła coś dla mnie wbrew sobie. Powinienem się odwdziaczyć, a nawet nie umiem spełnić jej prośb. Nawet nie próbuję.

– Już nie mam o czym mówić. Nie ma sensu tego drążyć. Chodźmy tam.

– Masz o czym. Tylko po to, żeby nie musieć mówić, jesteś gotowy tam wrócić? Przyszedłeś tu zapalić, a nie normalnie pogadać, tak?

– Pogadamy, jak będziemy w domu, a teraz wróćmy do kliniki, dopóki jest Haliszewski.

– Nie, bo tego nie chcesz.

Zmierzam do wejścia, wyrzucając po drodze całą paczkę. Zołza podąża moim śladem. Nienawidzę jej. Nienawidzę jej z całego serca, ale chyba nie umiem bez niej funkcjonować. Dlatego ulegam, mięknę.

W recepcji zgłaszamy swoją obecność. Po chwili lekarz przychodzi i zaprasza nas do gabinetu.

– Mogę jeszcze raz zobaczyć te wyniki?

– Proszę. – Podaję dwie kartki.

– Otóż – w końcu zabiera głos – jasną sprawą było to, że drugi spermogram będzie taki sam albo gorszy. Szkoda, że pan nie słuchał. Za jakiś czas powtórzmy badanie, ale wcześniej popracujemy nad niektórymi sprawami. Mamy za mało plemników w ejakulacie, a te, które są, mają słabą żywotność, wiele z nich wykazuje również nieprawidłową budowę. Pomoże luźna, bawełniana bielizna. Taka, w której mąż nie będzie przegrzewał jąder. Wysokobiałkowa dieta bogata w warzywa i owoce. Dużo ruchu. Rezygnacja z używek. Unikanie czynników stresogennych. Mocny, długi sen. To moje zalecenia.

W tym momencie dzwoni telefon. Wyjmuję go, żeby odrzucić połączenie.

– I proszę przypominać mężowi, żeby komórkę wkładał do kieszeni marynarki. To wszystko ma naprawdę duży wpływ. A! Jeszcze jedno! Czy w ciągu ostatniego kwartału któreś z państwa miało temperaturę powyżej trzydziestu ośmiu stopni przez okres co najmniej dwóch dni?

– Nie – odpowiada Aneta zdecydowanym tonem.

Ginekolog patrzy na mnie.

– Czyżby? – ponawia pytanie, oczekując, że przyznam się do oszustwa.

– Pograża mnie pan.

– Od początku przeczuwałem, że pan kłamie.

„Wizjoner, kurwa, od siedmiu boleści!” – myślę.

– Widzicie państwo, kobiety reagują różnie, ale mężczyźni działają według schematu. A ja ten schemat już dobrze znam. Żona powinna wiedzieć, czego może

się spodziewać. Robię to, bo chcę uzmysłwić pani Anecie, jak niezmiernie trudna i krępująca dla pana jest sytuacja, jak daleko potrafi pan się posunąć. Panu się wydaje, że jeśli skłamię, znajdzie usprawiedliwienie, to zachowa twarz. Tak jakby pan ją stracił. A to nieprawda. Problem dotyczy mnóstwa mężczyzn i to wcale nie czyni ich złymi facetami, mężami. W końcu ojcami. Niezbyt dobre plemniki nie ujmują męskości. Pani zadaniem, pani Aneto, jest udowodnić to mężowi. Proszę się zgłosić do androloga – zwraca się tym razem do mnie Haliszewski. – Powtórzenie spermogramu ma sens za mniej więcej kwartał. Jeśli chcieliby państwo porozmawiać, zrozumieć motywy pewnych zachowań, uczuć, mam dobry kontakt. Do osoby, która pracuje z parami starającymi się o dziecko.

– Z parami niemogącymi mieć dzieci. Bawi się pan w dyplomatę – wtrącam uszczypliwie. – I dlaczego daje pan wizytówkę żonie, skoro to ja mam problem?

– Gdyby pan nie mógł mieć dzieci, leczenie byłoby zbędne. Nie jest pan bezpłodny. A wizytówkę daję żonie, ponieważ znam schematy. Pan tuż po wyjściu by ją wyrzucił. I myślę, że problem zasadniczo mają państwo oboje. Tak to się zwykle zaczyna dziać wraz z założeniem obrączek. Teraz czas na androloga.

– Ale po co? – pytam.

– Żeby państwa naciągnąć. Jeździ pan mustangiem, więc wydatki pana specjalnie nie pogrążą.

– Słucham?!

– Udzieliło mi się pańskie poczucie humoru. Muszę znaleźć przyczynę, żeby interweniować jak najlepiej. I proszę się nie zniechęcać, bo nigdy nie możemy wykluczyć naturalnego poczęcia. Trzeba działać.

– To wszystko? – pytam, uznając, że dalsza rozmowa nie ma sensu.

– Chciałbym jeszcze coś zaproponować. Pana czeka pewnie niejedno spotkanie z andrologiem, z panią też wkrótce będę się widział, gdy już zbierzemy komplet badań. Jest taka możliwość, żeby zapłacić za wszystko ryczałtem. To korzystne.

– Aneta, słyszałaś? *All inclusive* – ironizuję. – Za ile?

– Za czterysta pięćdziesiąt złotych za kwartał. W tym mają państwo wszystkie wizyty u specjalistów, włącznie z badaniami USG i spermogramem.

– Nieźle. To *first* czy *last minute*?

– Zamknij się, idioto! – szepcze Zołza z zaciśniętymi zębami.

– Jeśli się państwo zdecydują, można dokonać przelewu na konto lub zapłacić kartą bądź gotówką w recepcji. Dzisiaj już państwu dziękuję.

Wychodzimy. Wsiadamy do samochodu. Długo milczymy.

– Nie uważasz, że powinniśmy zmienić lekarza? – Wyciągam na moment lizaka z ust.

– Ty nie chcesz zmieniać lekarza, tylko fakty. A tak się nie da. W ten sposób nie polepszysz nasienia.

– Nie ma sytuacji bez wyjścia. Może w takim razie należałoby zmienić męża?

– Wojtek, nie mam siły rozmawiać z tobą w taki sposób.

– Wiesz co? Z tego, co on mówił, wynika, że takich jak my jest więcej. Nie bez powodu teraz tak popularnym modelem jest dwa plus jeden. Przy czym ten trzeci członek rodziny to czworonóg – szydzę. – Owczarek niemiecki, golden retriever czy berneńczyk? Suka czy pies? Kaja czy Mateusz? Co wolisz? W tym wyjątkowym przypadku mamy możliwość wyboru płci. Są jakieś plusy.

– Jeśli już, to Lena, a nie Kaja... Głupawka jako sposób ucieczki od problemu?

– Kiedyś ci się to podobało. Pewnie wtedy, gdy jeszcze nie wiedziałaś, że strzelam ślepakami.

W domu od razu opróżniam lodówkę. Dużego wyboru nie mam. Aneta siada przy kuchennej wyspie. Opiera głowę na dłoniach.

– Jak mogę ci pomóc? – wreszcie przerywa milczenie.

– Podaj sól.

– Wojtek, do jasnej cholery!

– Nie obchodzić się ze mną jak z jajkiem! To wystarczy.

– Sam się o to prosisz.

– O tak! Spójrz! Tak masz się ze mną obchodzić. Może nawet powinnaś – mówię.

Tłukę skorupki i wyrzucam do śmieci. Szpatułką rozbełtuję okrągłe żółtka, tym samym żegnając perspektywę zapłodnienia. Niszczę jajeczka. Unicestwiam. Marnuję. Odbieram im szansę.

– Kocham cię.

– Uhm. Fajnie. Jak jeszcze powiesz za co, to na pewno zapomnę o wynikach – ironizuję.

Aneta podchodzi i mnie obejmuje.

– Kocham cię za to, że jesteś facetem z krwi i kości. Boli cię jak cholera, ale tłumisz to, dusisz w zarodku.

– Nawet na wcześniejszym etapie, bo o powstaniu zarodka możemy co najwyżej pomarzyć.

– Kocham cię, ponieważ starasz się nie okazywać słabości, udajesz Batmana. A przy Batmanie jest bezpiecznie. Są tylko happy endy. Tylko to nie jest rozwiązanie na dłuższą metę.

– Przepraszam. – Odsuwam ją i sięgam po sól, której w końcu nie podała.

Aneta na szczęście rezygnuje z tanich pocieszeń i opuszcza kuchnię.

Gdy jajecznicą jest już odpowiednio ścięta, wchodzę do sypialni.

– Jesz?

– Nie jestem głodna.

– Będziesz się teraz na mnie obrażać? Nie bądź zołą.

– To ty mnie zbyłeś.

– Po prostu nie chcę takich akcji. Nie chcę, żebyś się nade mną roztkliwiała.

Wtedy tym bardziej czuję, że mam się o co martwić. Mogę iść do androloga, mogę nie palić, nosić niezgrabne majtasy, trzymać telefon w marynarce, ale nie życzę sobie, żeby ktokolwiek się ze mną pieścił. Oczywiście nie bierz tego dosłownie.

– Nie pieszczoty oczekiwałeś pod kliniką, mówiąc, jaki to biedny jesteś, bo ktoś śmiał cię zbadać? Nie oczekiwałeś litości? Uważam, że jesteś teraz kruchy jak jajko. Zasługujesz właśnie na takie traktowanie i powinniśmy skorzystać z kontaktu do psychologa.

– Wybacz, ale jak jeszcze zaczniemy się wylegiwać na kozetkach, to już zabraknie nam czasu na łóżko, a to chyba najważniejszy punkt całej terapii. Ostatnio mam dosyć lekarzy. Jeśli przyrzeknę, że postaram się nie fiksować, to odpuścisz i przejdziemy nad tym do porządku dziennego? Czy to już jest niemożliwe i bezpłodność będzie głównym tematem naszych rozmów, dopóki nie pogodzisz się z myślą, że ze mną ani rusz i czas zmienić męża?

– No i widzisz, jak demonizujesz? Jeśli nie będziesz udawał i zaczniesz funkcjonować normalnie, odpuszczę. Ale tylko wtedy, jeśli nauczysz się odróżniać bezpłodność od niepłodności.

– To co? Nałożyć ci?

– Tak.

Po kolacji wygrzewamy się w wannie. Aneta liże mi stopy.

– Kochaj się ze mną dzisiaj – prosi szeptem.

– Po co, skoro nic z tego nie wynika?

– Znowu zaczynasz? Obiecałeś coś. Chcę się z tobą kochać, bo cię kocham.

– Żartowałem. Chciałem to usłyszeć.

Całujemy się. Wychodzimy z łazienki. Uprawiamy seks na mokrej pościeli.

W nocy przewracam się z boku na bok.

„Powinnam zostawić Wojtka, jeśli wyniki nie będą lepsze?” – mogę się założyć, że właśnie to pytanie jeszcze przed momentem chodziło Anecie po głowie. Muszę się teraz postarać, wykazać. Patrzę na nią, leżącą obok. Szeptem nucę refren piosenki zespołu Hey:

– *Kochaj mnie mimo wszystko.*

– Kocham. Będę kochać. Mimo wszystko – słyszę nagle. Więc tylko udawała, że śpi.

Zamykam oczy. Bezskutecznie staram się wyłączyć tę okropną funkcję, jaką jest myślenie. Nie przestaję żałować, że jestem humanistą. Wcale nie dlatego, że oni zwykle mniej zarabiają. Chciałbym mieć ścisły umysł. Chciałbym nie być Panną, która musi wszystko przeanalizować. Chciałbym urodzić się pod typowo męskim znakiem zodiaku. Ale nie chciałbym być rogaczem – Koziorożcem lub

Baranem, a boję się, że Małża będzie miała powody, żeby mnie nim uczynić. Chciałbym być mężczyzną. Tak po prostu: być mężczyzną. Zbudować dom, zasadzić drzewo i spłodzić syna. Tylko tyle. A może aż tyle.

Ja tobie i ty mnie

Opłacam usługę *all inclusive* i stawiam się w gabinecie androloga. Nie sprawdzam wcześniej w Internecie, co może mnie spotkać podczas wizyty. Chyba tylko żyjąc w błogiej nieświadomości, potrafię skorzystać ze skierowania.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry. Pan Wojciech Raczyński, tak? Witam, Karol Filipowski. Śmiało, zapraszam. Proszę usiąść. Doktor Haliszewski przekazał mi kilka informacji. – Podchodzi do drzwi, przekręca klucz w zamku. Wygląda na... takiego... jajcarza. – Powiedział między innymi, że będzie pan chciał uciec. Kazał mi na wszelki wypadek zamknąć wszystkie wyjścia, nawet ewakuacyjne. – Siada z powrotem w fotelu. Spada na mnie kolejna lawina pytań, choć mogłoby się wydawać, że już wszelkie dane zostały zawarte w karcie pacjenta. Zastanawiam się, czy ja ze swoim poczuciem humoru też jestem tak bezczelnie wredny, złośliwy i irytujący jak ten androlog. Czy też pozwalam sobie na dowcipy w zupełnie nieodpowiednich okolicznościach? Potworny nietakt.

Filipowski włącza radio, zaczyna gwizdać pod nosem. Widać jego ta sytuacja nie krępuje.

Nachyla się nade mną. Palcami przeczesuje moje włosy. Sprawdza, czy coś zostaje na dłoni.

– Łysieje pan? – pyta.

– Trochę.

– Głowa do góry! – Dotyka mojego zarostu. – Kiedy golony?

– Dzisiaj. Codziennie się golę, a przynajmniej powinienem.

– Chciałbym zobaczyć pana tors.

To nie brzmi dobrze. Odnoszę wrażenie, że lekarz coś podejrzewa, jest zdeterminowany, by postawić diagnozę, więc coraz bardziej się denerwuję. Ściągam koszulę i gdy stoję przed andrologiem półnagi, przechodzą mnie dreszcze.

– Nie depiluje się pan?

– Nie widać? Chyba tylko na plecach nie mam kłaków. To źle?

– Zależy od upodobań partnerki. Dobrze, można założyć koszulę. – Znowu się głupkowato uśmiecha. – Zejdźmy niżej. – Chyba świetnie się bawi, gdy trafiają tu dorośli faceci, którzy po raz pierwszy w życiu mają oddać swoje klejnoty w ręce osobnika tej samej płci. Jak mężczyzna może wybrać sobie taką specjalizację? Nie pojmuję tego. Chociaż... sam nie wiem, czy jako mąż nie czułbym się gorzej, gdyby miała mnie dotykać kobieta. Bo bez macania prawdopodobnie się nie obejdzie.

Rozpinam rozporek, a doktor zadaje kolejne pytania. O częstotliwość

współzycia, potencję, orgazmy bez ejakulacji, poranne erekcje i tym podobne.

– A jak by pan określił swoje libido?

– Wysokie. Moja żona musiała przysiąc przed ołtarzem, że nie miewa migren.

Za parawanem ściągam spodnie i bokserki.

– Te majteczki ładne, ale nieodpowiednie. Teraz pana zbadam. Gotowy?

– Nie.

– A będzie pan kiedykolwiek gotowy?

– Nie.

– Tak podejrzewałem.

Zamykam oczy. Nagle docierają do mnie dźwięki płynące z radia: *Ja tobie i ty mnie, intymnie*[3] – śpiewa Rynkowski. Doktor zaczyna się głośno śmiać.

– Wie pan, może zmienię stację – mówi.

Odchodzi na moment. Wraca. Niestety, wraca. Kładzie palce na moich jądrach. Szybko zaczyna obejmować genitalia całymi dłońmi. A potem miętosić.

– Uwaga! Teraz może zabołec – ostrzega i gwałtownie ścisną kartofle, jakby je odcedzał.

Jęczę.

– Świecek w oczach?

– Zdecydowanie.

– Więc prawidłowo. Dobra, to teraz USG.

Lekarz chłodnym, wilgotnym aparatem pieści moje jądra. Gdyby to robiła Brenda, nawet byłoby miło. Czuję, że oblewam się rumieńcem. Naiwnie liczę, że androlog nie zwróci uwagi na moje zaognione policzki.

Potem każe mi usiąść na brzegu leżanki. Kuca przede mną. Czuję jego oddech na żołądździ. Mam dosyć. Niech to się skończy! Ostrożnie, powoli odciąga palcami napletek. Chcę uciec. To jest zły dotyk. A zły dotyk, jak wiadomo, boli całe życie.

– Dobra, już po wszystkim. Może się pan ubrać.

Uff! Wypuszczam powietrze w poczuciu ulgi. Po chwili staję przed biurkiem.

– Proszę usiąść, jeszcze kilka minut spędzimy ze sobą. Intymnie. – Uśmiecha się na wspomnienie piosenki Rynkowskiego. – To, co najważniejsze: nie ma żadnych zmian anatomicznych, które by stały na przeszkodzie ojcostwu. Musimy jedynie popracować nad nasieniem. Trzeba znaleźć przyczynę małej liczby plemników oraz ich kiepskiej jakości. Miejmy nadzieję, że to możliwe. W pana przypadku najpewniej chodzi o tryb życia, ale badania hormonalne i tak muszę zlecić. Jeszcze tylko moment. Spiszę wszystkie zalecenia i będzie pan wolny. Domyślam się, że to niezręczne. Robił pan posiew nasienia?

– Tak. Wyniki powinny być w papierach.

– Rzeczywiście są. Dobra, tutaj skierowania, a tutaj recepta. Skuteczność farmakologii w tym przypadku bywa różna, ale nie zaszkodzi spróbować. To nie jest kosztowne, więc warto skorzystać z tej opcji. Chyba że ma pan coś przeciwko. Jak będą mieli państwo komplet wyników, spotkamy się wszyscy z Haliszewskim i postanowimy, co dalej. Dawkowanie zapisałem. W razie potrzeby proszę dzwonić lub mejlować. Leki należy przyjmować przez minimum trzy miesiące. Po kwartale spermogram.

– Do... – wyjąkuję.

– Do zobaczenia. Do miłego. Dziękuję – żegna mnie z uśmiechem.

Opuszczam gabinet, raz jeszcze z ulgą wypuszczam powietrze i kręcę głową, jakbym ciągle nie wierzył, że udało mi się przeżyć tę wizytę.

Wracam do domu. W połowie drogi włączam *Veronikę*, bo uświadamiam sobie, że ciągle nucę hit Rynkowskiego i aż obrzydzenie mnie bierze. Otwieram drzwi mieszkania i już w przedpokoju wpadam na Anetę.

– I jak? Robił ci *per rectum*? – pyta.

– Co u licha?

– Badanie przez odbyt.

– Zróbmy sobie wreszcie dziecko bez tych wszystkich ceregieli – mówię.

Przytulam ją, po czym idę do łazienki, żeby się umyć. Dobrze, że mi nie zrobił tego *per...* coś tam... Jak to było? A, nieważne. *Per dupum*. Dobrze, że mi nie zrobił *per dupum*. Gdyby... Na samą myśl o tym aż przechodzą mnie dreszcze.

Kiedy zasypiam, Aneta nagle odwraca się i szturcha mnie mocno w ramię.

– Mogę o coś zapytać?

– No?

– Dlaczego tak ci trudno zaakceptować fakt, że masz nie najlepsze nasienie? To brak wiary we własną męskość czy obawiasz się, że nie będzie szans na dziecko?

– Boże! Świetny temat na środek nocy sobie wybrałaś. Nie zastanawiałem się nad tym.

– A mógłbyś?

– Mógłbym, ale tak naprawdę po co?

– Chciałabym wiedzieć.

Właściwie to dobre pytanie i podejrzewam, w jakim celu zostało zadane. Aneta próbuje dociec, czy posiadanie potomstwa jest dla mnie czymś więcej niż punktem honoru. Cholera, sam nie wiem. Chyba nie myślałem o bezdzietności, kiedy poznałem wyniki. Knulem tylko, jak wyjawić prawdę Małży, a właściwie jak ją ukryć.

– Jasne, że chodzi o dziecko. A raczej o jego brak. – Próbuję ją zbyć. Darowałyby sobie albo przynajmniej przełożyła to na jutro.

– Chcesz go?

– Proszę cię, przestań. Ustaliliśmy to ponad rok temu. Jasne, że chcę. Jest pierwsza, odpuść, *please*.

– Dla ciebie nie ma dobrej pory na rozmowę, wiesz o tym. Dlaczego ci na nim zależy?

Kładę się na wznak. Pocieram dłonią czoło, oczy. Wzdycham głośno. Wolałbym tego wszystkiego nie roztrząsać. Jeszcze odkryję głębszy sens w ojcostwie i wtedy brak szans na rodzicielstwo zacznie mnie naprawdę uwierać, nie tylko ze względu na cierpienie Anety. Dziecko... dziecko. Po co mi dziecko? Naprawdę potomstwo posiada się po coś? Zawsze sądziłem, że to po prostu naturalna kolej rzeczy w związku. U wszystkich organizmów żywych: od pantofelka, przez dżdżownicę po mamuta, który pewnie jak ja miał kijowe nasienie i dlatego nie przedłużył gatunku. Muszę wygooglować, jak to się stało, że mańki wyginęły. A co jest fajnego w ojcostwie? Jeszcze nie wiem. Trudno to ocenić, nie mając doświadczenia. Nie wiem, czy tę potrzebę generuje coś jeszcze oprócz biologii, instynktu. Prawdę mówiąc, nawet nie chcę wiedzieć. Nie w tej sytuacji.

– Po pierwsze zdecydowałem się, bo ty chciałaś, a zegar tyka. Sam jeszcze bym pewnie zwlekał i zwlekał.

– Dlaczego?

– Nie chciałem zrujnować wielkiego mniemania o sobie, a nie wiem, czy się sprawdzę w tym momencie jako tatuś – żartuję. – Po drugie... może miałbym o sobie lepsze zdanie, bo bym wydorósł... No i to mój obowiązek jako męża: spełnić twoje marzenie o dziecku, „zapewnić ci” babranie się w gównie i nieprzespane noce... – Spoglądam na Anetę, obejmuję ją. Może jak ją trochę pogłaszczę, to odpuści i któreś ze swoich kolejnych pytań uzna za retoryczne. Oby. – Fajnie byłoby coś po sobie zostawić. I komuś też coś dać... Dzieciak chyba daje powera. Taki mobilizer, żeby trwać i działać... Przypieczętowuje związek. Stabilizuje. Chyba. Nie wiem, tak mi się wydaje. Zgaduję, że to taki długoletni fundusz inwestycyjny dla małżeństwa. Chociaż z oszczędzaniem dziecko ma chyba niewiele wspólnego. – Uśmiecham się, żeby było jasne, że to tylko żart.

– Za dziesięć lat każda młodsza laska napotkana na ulicy będzie atrakcyjniejsza niż ja, ale nie zdradzisz mnie tak łatwo, jeśli będzie nas łączyło coś więcej niż seks i porządnie wywietrzone uczucie, tak?

– No. Coś w tym rodzaju. Kiedyś też może mi nie stawać. I co wtedy zrobimy? Gdybyśmy mieli dziecko, to i wnuki by się pojawiły. Mielibyśmy o czym gadać, mielibyśmy zajęcie. Takie wspólnotowe scalenie.

– Zastanawiałeś się kiedyś... – Aneta kładzie się na brzuchu, podpira dłońmi uniesioną głowę. – Gdybyś miał wybierać, które z nas miałyby jako pierwsze umrzeć...?

– Jezu! Co za pytanie... – Marszczę brwi. Patrzę Małży prosto w oczy. W ten sposób próbuję na nią wpłynąć. Wycofa się z tej rozmowy? Powiedziałem już

wystarczająco dużo. Nie. Pewnie, że się nie wycofa. Wyczuła, że nie mam siły protestować i zamierza kontynuować przesłuchanie. Będzie mnie ciągnąć za język do rana. Ech, na co ja w ogóle liczyłem? Jakbym jej nie znał. – Wolałbym jako pierwszy, bo egol ze mnie. Nie wyobrażam sobie, że zniknęłaby Zołza. Kto by mnie wtedy przywoływał do porządku? Wykoleiłbym się.

– Ja też bym wolała jako pierwsza, ale gdybym nie miała dziecka.

Spoglądam na Anetę zadziwiony. Nie rozumiem, jak można żywić tak silne uczucia do kogoś, kogo nie ma, kogo się nie zna. Zdołałaby przeżyć największe cierpienia, żałobę po mnie, byle jak najdłużej być przy dziecku? Niesamowite i zarazem przerażające. Gdy Małża zajdzie w ciążę, już nie będę najważniejszy. Ciekawe, czy dla mnie samego syn będzie znaczył więcej niż ona? Jeśli się pojawi, rzecz jasna. Na razie nie potrafię sobie nawet wyobrazić takiej sytuacji. Drzę. Czuję, że drzę. Może urwałem się z choinki, ale nie umiem tego pojąć. Jeśli dziecko jest rzeczywiście tak istotne dla kobiety, jeśli jest sensem życia, to co jeśli...

– Dlaczego mi to robisz? – pytam.

– Co?

– Dobijasz.

– Po prostu chcę wiedzieć, czy sam z siebie chcesz dziecka, czy nie robisz tego wszystkiego tylko dla mnie.

– Już wiesz?

– Tak.

Ja, niestety, też. Niepotrzebnie padło to pytanie. Chyba dopiero teraz dotarło do mnie, że z tą prokreacją może być u nas krucho. Pierwszy raz wyobraziłem sobie, że moje życie nie byłoby typowe. Pojąłem: nietypowe znaczy niepełne. Każdy facet powinien mieć żonę i dziecko. Każdy facet powinien mieć kogoś, kim mógłby się opiekować. Inaczej jest najwyżej namiastką mężczyzny.

– Kocham cię – wyznaję i przytulam Anetę najmocniej, jak potrafię, jakbym chciał ją związać ze sobą na amen. – Śpijmy już, co?

Budzę się punktualnie o siódmej. Małży już nie ma w sypialni. Siedzi w salonie nad klawiaturą.

– Dzień dobry. Co robisz? – pytam.

Nachylam się nad nią, chcąc obdarować porannym buziakiem. Gwałtownie zamyka laptopa.

– Pracuję. Zrobisz kawę? Ja idę się umyć.

– Jasne – mówię.

Odchodzę od biurka, bo widocznie nie jestem mile widziany. Aneta znika w łazience. Spędzi tam pewnie z kwadrans. Mam czas, żeby sprawdzić, co zamierzała przede mną ukryć. Ewidentnie jej na tym zależało. Powinienem wiedzieć. Podczas ostatniej wspólnej wizyty nawrzeszczała na mnie, że ją

oszukałem. Sama więc nie ma prawa tego robić. Nie może mieć tajemnic. Szmer wody dochodzący z łazienki zagłuszy dźwięk uruchomienia Windows, który po zamknięciu klapki automatycznie przenosi laptopa w stan hibernacji. Więc? Właściwie dlaczego nie? To tak samo ohydne jak próby ukrycia czegoś przede mną. Będziemy kwita.

Otwarte cztery karty. Jedna z witryn to forum internetowe. Wiedziałem! Ciekawe, czy jedynie czyta wpisy innych internautów, czy już bierze czynny udział w wątkach, wpisując się obok pozostałych forumowiczów. Wpisuje się. Nick: raczka. To na pewno ona. Stworzyła pseudonim z mojego nazwiska. Post jej autorstwa: *Serio? Dlaczego przez in vitro? Nam lekarz mówił, że jest szansa na poprawę jakości nasienia. Zapisał leki. Twierdził, że nie można wykluczyć naturalnego poczęcia. Nie straszyl takimi ingerencjami w rozród. Mam nadzieję, że się na tym nie skończy.*

Szlag mnie trafi! Co za franca! Zdażę się zarejestrować? Warto spróbować. Adres e-mail... Login: raczek... hasło: wredna zolza. Jeszcze link aktywujący. Muszę odpalić pocztę.

W końcu jestem: *Droga Małżo, nie sądzisz, że o moim nasieniu powinniśmy jednak rozmawiać w czterech ścianach, a nie w wirtualnej przestrzeni? Ze sobą, a nie z userkami o kretyńskich nickach? Jak dotąd myślałem, że moje towarzystwo w sprawach intymnych jest wystarczające. Mogłaś przynajmniej zapytać, czy życzyłbym sobie, żebyś konsultowała jakość mojej spermy z innymi kobietami. Ale widać, Ty nie potrafisz inaczej. A podobno to ze mną nie da się rozmawiać. Cóż... Skoro podjęłaś taką decyzję, muszę się dostosować. Teraz będziemy nawiązywać kontakt za pośrednictwem forum internetowego. Będziesz miała to, czego chciałaś. Pozdrawiam serdecznie o poranku. A! Ta kawa ma być z mlekiem?*

Po zredagowaniu odpowiedzi zamykam laptopa Zołzy. Podłączam do gniazdka swojego notebooka. Przecież jakoś muszę się dowiedzieć, czy mam zrobić białą gorzką, czy czarną z cukrem.

Aneta wychodzi z łazienki.

– Zrobiłeś?

Wskazuję miejsce przy biurku, odsuwam fotel. Sugeruję mową ciała, że odpowiem jej w wirtualnej rzeczywistości. Jakoś zupełnie zapominam, że miałem być teraz potulny jak baranek, bo powinienem się cieszyć, że Małża w ogóle chce ze mną być. Mimo wszystko.

– Wojtek, o co ci chodzi?

Wszystkie czynności powtarzam bardziej zamaszystymi ruchami. Aneta wreszcie siada. Ułatwiam jej sprawę i otwieram laptopa. Wpisuję nawet za nią hasło. Sam zajmuję miejsce przy stole. Pokazuję palcami, żeby mi wreszcie odpisała.

– Zwariowałeś?! Jesteś nienormalny?!

Jeszcze raz namawiam ją do zabrania głosu na forum. W końcu zaczyna stukać w klawiaturę, a ja tymczasem czytam komentarze innych userek na temat naszych działań. Niektóre panie się oburzają, że jakiś facet wszedł z butami w ich grajdoł. Inne sytuacja bawi. Są też takie, które współczują raczce, bo – jak przewidują – czeka ją teraz gehenna, chociaż *jak mąż nie lubi prac brudów, to sam szybko zrezygnuje z tej metody, nie wytrzyma*. Jestem w szoku, że tylu ludzi bierze czynny udział w dyskusji.

Mała Mi pisze: *raczku niepowinoś się obużac. twoja panterka może potrzebować parcia, którego nie mozesz niej dać. bez płodność to horoba i to cywizacyjna. sam pewnie podszebujes pogdakac. pewnie nie wkurza cie, ze zona wypowiada się na forum. ważne że tobie i ważne na jakim formu. Nie maż się czego wstudzić serio.*

No to odpowiadam: *Mała Mi, wcale się nie mażę i rzeczywiście nie mam czego się „wstudzić” w przeciwieństwie do Ciebie. Mam tu na myśli ortografię. Raczka (moja „panterka”) jest redaktorką, wypowiada się w znacznie lepszej formie niż Ty. Mogłaby Ci robić korekty, zanim postanowisz cokolwiek opublikować na forum. Aktualnie, to mając dziecko, raczej byś mu nie pomogła w nauce. Więc nie warto pracować nad poczęciem już teraz. Nie przed zakończeniem edukacji. A tak przy okazji: jeśli cierpię na jakąś „horobę cywizacyjną” to ani na „bez płodność” ani na bezpłodność. Niepłodność. To schorzenie mnie dotyczy. Ale z jedną rzeczą masz rację, moja żona potrzebuje parcia. MaRZY o tym, żeby wylądować na porodówce.*

Po kilku sekundach widzę kolejny post: *To serwis o niepłodności, więc może na temat kawy pomówimy „paszczowo”? Przepraszam, że na forum poruszałam nasze prywatne sprawy. Nie sądziłam, że tak zareagujesz... Przecież występuję tutaj pod „kretyńskim nickiem”. I żaden z userów nie wie, kim naprawdę jesteśmy. Taki portal to najlepszy sposób na zdobycie wiedzy. Robiłam to w dobrej wierze. Wybacz.*

Piszę: *Małzuś, czy odpowiesz wreszcie na moje pytanie dotyczące kawy, bo prawdę mówiąc, niedługo muszę spadać do pracy, a chciałem się jeszcze wysrać i umyć?*

Enter. Spoglądam na Anetę. Bardzo chcę zobaczyć jej reakcję.

Tak jak się spodziewałem. Oczy niemal wychodzą jej z orbit.

Śmieję się do rozpuku. Tak, oczywiście. W sraniu jest coś niestosownego, ale o spermie można gadać bez końca.

Małża wyłącza komputer. Na jej twarzy maluje się oburzenie. Zaczyna sama parzyć kawę. A ja cierpliwie odpisuję: *No nie bądź Zołżą. Stolec przecież jest równie fizjologiczną rzeczą jak nasienie. Nie rozumiem, dlaczego skoro gadamy o plemnikach, nie możemy wspomnieć o gównie. Nie obrażaj się, wracaj za biurko. No, odezwij się do mnie... Jesteś offline? Szkoda. A co w ogóle robimy dzisiaj*

wieczorem? Parzymy się, no nie? Fajnie. Jutro mi napiszesz, jak było, prawda? Idę do kibla w celu już wiadomym. Do sklikania!

– Odejdź stamtąd, słyszysz?

Nie słyszę, a raczej udaję, że nie słyszę.

– Wojtek, do jasnej cholery, ale z ciebie...! Do łazienki! Srać ci się podobno chciało.

Rzeczywiście opuszczam salon. Z uśmiechem na twarzy, z dziką satysfakcją. Po drodze zabieram jeszcze swój kubek i unoszę go, jakbym wznosił toast. Potrafię być mściwy, oj potrafię.

Po powrocie z pracy siadam do komputera. Aneta kładzie na klawiaturze kartkę. Odsuwam ją na bok i otwieram odpowiednią stronę. Internetową. Co jest grane? Wyświetla się komunikat: *Zostałeś wyrzucony z tego forum*. No i Zośka wygrała. Jak zwykle. *Fuck!* A mogło być tak fajnie. Zamykam komputer, biorę zapisany świstek, czytam: *Dostałeś bana. Szukasz nowej przestrzeni do rozmów, czy odnajdziemy się w tej, wspólnej, własnej, naszej?*

Odpisuję: *Chciałbym. Po to starałem się o kredyt. Żebyśmy mieli swój bezpieczny kącik, do którego nikt nie będzie miał dostępu.*

Małża staje przede mną.

– Przepraszam.

– Ciebie też zbanowali? – pytam z udawaną troską.

– Nie.

– Szkoda. – Wyrzucam list do kosza.

– Długo jeszcze będziesz się odgrywał? Długo. Ty lubisz takie zabawy w piaskownicy.

– Piaskownica to jest na tym forum. Są tam nawet pedagodzy, którzy ustawiają cię w kącie, przywołają do porządku warnem w razie potrzeby. W torebce masz moje recepty. Dasz mi je?

– Jutro będę mieć leki, zamówiłam w aptece.

– To dobrze, a teraz wybaczone, naprawdę idę się wysrać.

Tego dnia trzeba już zażegnać konflikt. Waclaw się niecierpliwi. Dlatego wieczorem biorę książkę i ku zaskoczeniu Anety zaczynam czytać na głos. Opiera głowę na moim ramieniu. Kiedy kończymy lekturę, Małża niespodziewanie zaczyna się śmiać. Teraz cała sytuacja zaczęła ją bawić.

– Ty jesteś jebnięty, wiesz?

– Wiem – potwierdzam zupełnie tak, jakbym był z tego dumny. – Za to mnie kochasz. Ale już się tam nie zalogujesz?

– Nie. Na pewno nie.

– Bo twój mąż sra? Nie on jeden. Nie przejmuj się.

Aneta śmieje się coraz głośniejsze. No! To już jutro wszystko wróci do normy.

3 *Intymnie*, sł. Jacek Cygan, muz. Ryszard Rynkowski.

Ja stawiam

Budzę się. Słyszę krzątanie w kuchni. Dołączam do Małży, napełniam szklankę wodą i wtedy spostrzegam na blacie biało-czerwone tekturowe opakowanie oznaczone symbolem męskości. Obok cynk, selen, kwas foliowy. Patrzę Anecie w oczy.

– Podasz mi dawkowanie?

– Jasne. – Uśmiecha się promiennie, dumna, że podejmuję odpowiednie kroki.

Rozpakowuję fiołki i listki. Wzdycham.

– Pomyśl, że to lepsze niż viagra.

– Toś mnie pocieszyła – ironizuję.

– Kiedy pójdziesz na badania hormonów?

– W poniedziałek. – Nagle przypominam sobie, że jutro już niedziela i obiad u rodziców. Powinienem uchylić rąbka tajemnicy przed Anetą. Gdy już noszę się z takim zamiarem, dzwoni jej telefon. Po rozmowie wraca do mnie wyraźnie zmartwiona.

– To Agnieszka. Odwołała spotkanie, bo mały ma ospę.

– Kurde, szkoda.

Podchodzi do blatu, gotuje wodę odwrócona tyłem. Gdy tylko zalewa kawę, znika w łazience. Coś jest nie tak. Wiem to. Idę za nią. Pukam.

– Mogę?

– No.

Siedzi na brzegu wanny. Kucam przed nią. Ocieram łzy z jej policzków.

– Co się dzieje? – pytam.

– Który to już tydzień?

– Słucham? – Zaczynam podejrzewać, że dowiedziała się o ciąży Aśki, zanim zdążyłem ją uświadomić.

– To trzeci weekend, kiedy komuś coś wypada. Czy my kiedykolwiek zadzwoniliśmy do kogoś, żeby odwołać spotkanie?

– I dlatego ryczysz? To chyba dobrze o nas świadczy.

– Każdemu coś wyskakuje. Nam nie.

Teraz rozumiem jej intencję. Ale i tak dalej zawzięcie tłumaczy:

– Jesteśmy przewidywalni do bólu. Gdy się położymy, prześpimy całą noc, chyba że zachce się nam siku. Nikt nas nie obudzi płaczem. Nie mamy pojęcia, ile kosztują bilety ulgowe, jakie są pierwsze objawy chorób zakaźnych, jak wygląda kalendarz szczepień... Każdego wieczoru możemy się upić do nieprzytomności i pieprzyć w każdej części domu...

– Już niedługo. Daj mi trzy miesiące.
– Chyba nam – poprawia.
– Nam.
– Wiedziałam, że tak będzie. – Wstaje i podchodzi do okna. – Że wpuszczę cię tutaj i zaczniesz mieć poczucie winy.
– Mam. Ale mam też tabletki, eliksiry płodności i to jest teraz ważniejsze. –
Całuję ją.
– Kocham cię – wyznaje.
– Mimo wszystko? Ja ciebie też. To co robimy dzisiaj? – Zmieniam temat. –
Kino? Teatr?
– Szczerze? Już mam tego wszystkiego po uszy. Od czternastu lat co weekend spotykamy się ze znajomymi albo wyjeżdżamy za miasto. Albo idziemy do kina lub teatru.
– Jezu! Tak cię rozpuściłem? – żartuję. – No to... zrobmy coś innego!
– Zawsze byłam pod wrażeniem twojej elokwencji – kpi. – Niby co?
Oparty o umywalkę, przez chwilę się jej przyglądam. I myślę, że chciałbym ją znowu poznać.
– Umów się ze mną. Jeszcze raz powiedz, jak masz na imię. Nie wychodźmy razem z domu. Popracujesz, ja posprzątam, a potem zniknę. O osiemnastej spotkamy się pod skarbonką.
– Co takiego?
– Kiedy ostatni raz umówiłaś się ze mną na miście?
– Niecały tydzień temu, pod kliniką.
– No tak. Niedawno. Ale może na dziś wybralibyśmy bardziej atrakcyjne miejsce?
– Gdzie pójdziemy? – pyta podekscytowana.
Uwielbiam, gdy jej i tak ogromne źrenice rozszerzają się pod wpływem zaciekawienia. Gdy widać w nich wzruszenie i podniecenie. To przez ten błysk w oku została moją Małą.
– Zobaczysz. – Celowo podtrzymuję napięcie.
– Do hotelu? Chciałbyś! Na pierwszym spotkaniu?
– Zobaczysz.
Cholera! Aneta za dobrze mnie zna, żeby umawiać się na randki, bo właśnie ta opcja przyszła mi do głowy. Oczywiście zaproponuję jej ten wariant, ale muszę wymyślić coś jeszcze. Jakąś niespodziankę. Nie może nią być pozytywny wynik testu ciążowego ani zadowalający spermogram. Wszystko, co jest w zasięgu moich możliwości, niestety, już nie wystarcza. Niedobór płomiennych uczuć, plemników i potomków trzeba nadrabiać, rekompensować. Tylko czym? Co oprócz dziecka urozmaiciłoby nasz związek? Czego jeszcze ze sobą nie robiliśmy? Próbowaliśmy wszystkich kuchni: chińskiej, tajskiej, japońskiej, włoskiej,

meksykańskiej, tureckiej, francuskiej i wielu innych. Próbowaliśmy wszystkich pozycji, jakie prezentowano w Kamasutrze, którą trzymamy na półce. Setki razy graliśmy w bilard, kręgle, tenisa, golfa. Zaliczyliśmy nawet ścianki wspinaczkowe i kilka kursów tańca. Znamy wszystkie baseny w mieście. Już parę lat temu kupiliśmy wiklinowy koszyk, żeby pakować produkty na piknik. Spaliliśmy kilka grillów. Zdarzyliśmy kilka namiotów. Zajeździliśmy kilka rowerów. Dobrze znamy repertuary kin, teatrów, opery. Powinni dla nas otworzyć jakieś nowe muzea. Nie ma ostatnio ciekawych wystaw. Nie jest to czas festiwalowy. O żadnych dobrych koncertach czy występach kabaretowych też nie słyszałem. Nie przychodzi mi na myśl nic innowacyjnego, dlatego postanawiam wrócić na stare śmieci. Przestaję wierzyć, że szorowanie kibla sprzyja kreatywności. Małża kłamała.

Mam trzy godziny na przygotowania. Niezauważony wyjmuję ulubiony garnitur Anety. Pakuję kosmetyki. Jadę do galerii. Kupuję nową koszulę, krawat, buty. Szaleństwo, ale czego się nie robi dla ukochanej kobiety?

Zmierzając na parking, mijam sklep Atlantica. Przypominam sobie o konieczności wymiany bielizny. Muszę założyć coś mniej seksownego niż zwykle, ale w tej sytuacji właśnie bawełniane, luźne bokserki wywołają płomienne uczucia Anety. Do czego to doszło! Mam nadzieję, że jej nikt nie każe zrezygnować ze stringów i koronek.

Jadę do hotelu. Wynajmuję pokój. To jest ten moment, kiedy dopada mnie kac moralny. W myślach robię kosztorys, sumuję, ile pieniędzy wydałem. Z obliczeń wynika, że w ciągu dwóch godzin przepuściłem równowartość raty za samochód. Albo kwotę miesięcznego utrzymania dziecka. Ten wydatek nas nie dotyczy i dlatego należymy do typowych konsumpcjonistów. Małża ma rację. Nie mamy żadnych ograniczeń. Tymi wszystkimi rozrywkami, wakacjami w tropikach i innych ekstremalnych klimatach próbujemy sobie urozmaicić zbyt długie życie w duecie. Bo ile można się cieszyć wolnością? I jak trudno będzie nam kiedyś pogodzić się z koniecznością pozostania w domu i oszczędzania? Może lekarz miał rację, że po takim czasie niełatwo zmienić tryb życia. A to jest konieczne przy dziecku. Czyżbyśmy rzeczywiście gdzieś podskórnie się tego bali, nie umieli już się przystosować do sytuacji? Może to wpływa na jakość nasienia?

Wyelegantowany, wypachniony i jak zwykle spóźniony zmierzam na miejsce spotkania. Już wiem, że to był świetny pomysł. Nie pamiętam, kiedy miałem okazję oglądać Brendę z takiej odległości. Jak zwykle wyróżnia się spośród innych kobiet. I to w niej lubię. Ubrana modnie, a równocześnie oryginalnie. Stosuje takie połączenia kolorystyczne, że zwraca na siebie uwagę. Na przekór praktyczności potrafi kupić żółte buty zimowe, pomarańczowy beret, czerwony kapelusz i różowy parasol. W taki sposób z pejzażu czyni portret. Bo skupia na sobie całą uwagę przechodniów, nawet gdy nie ma na sobie wysokich szpilek i zbyt krótkiej spódnicy. Bije od niej światło, świeżość. Jest prawdziwa, spontaniczna,

roześmiana. Pełna życia, energii i optymizmu. Boska! Jedyna! Jedyna w swoim rodzaju!

Staję tuż za nią.

– Co? Wystawił cię? – nawiązuję rozmowę.

– Nie. Jeszcze ma trochę czasu.

Odwraca się. Naburmuszona, nie patrzy mi w oczy.

– Na którą się umówiliście?

Aneta, zupełnie jak czternaście lat temu, spogląda na zegarek.

– Ma być za kwadrans.

– A to przepraszam. Sądziłem, że o szóstej jak moja towarzyszka. Tak sobie myślę... Ona pewnie już nie przyjdzie. Poczekam z boku jeszcze przez chwilę. Gdyby twój chłopak nie dotarł, wybrałabyś się ze mną na kawę lub grzane wino?

– Przyjdzie na pewno. – Ciemnowłosa piękność staje z założonymi rękami i wygląda w oddali partnera. Wyraźnie mnie ignoruje.

– Też myślę, że takiej dziewczyny jak ty żaden facet by nie wystawił, ale staram się być optymistą.

Tak jak deklarowałem, czekam na dalszy rozwój wydarzeń. Dochodzę do wniosku, że historia naszego poznania jest niewiarygodna. Chociaż to wcale nie było tak romantyczne, jak z pozoru mogłoby się wydawać.

Aneta nigdy nie zapytała, czy wszystko było ukartowane. Może chce wierzyć, że jedynie przeznaczenie maczało w tym palce. W rzeczywistości wszyscy w grupie się domyślali, dlaczego dziewczyna z pierwszego roku, nazywana Brendą, wybrała podobny temat pracy rocznej jak mój kolega. On niemal dla każdej studentki był bożyszczem niczym Dylan z *Beverly Hills 90210* kilka lat wcześniej. Każda szukała sposobu, żeby ziszczyć marzenie o związku z tym facetem. Ale tylko Aneta Biedroń znalazła pretekst, żeby nawiązać kontakt.

Spotkała się z nim kilka razy w stołówce. Gdy mieli już za sobą konsultacje naukowe, zaproponowała randkę. Wspomniał nam o tym, ale dodał, że nie może iść. Wtedy powiedziałem, że z chęcią go zastąpię. Podał mi miejsce i godzinę spotkania.

Aneta już nigdy więcej nie odezwała się do Pawła. A on jej nie wytłumaczył, dlaczego nie mogli się wtedy zobaczyć. W rezultacie pracę roczną napisała, leżąc u mojego boku.

Postanawiam ją uświadomić. Nie wiadomo, czy biedaczka nadal nie rozpacza, że wymarzony mężczyzna ją olał, a mnie nie traktuje jak kiepskiego dublera. Jak zło konieczne. Nie wiadomo, czy nie docieka, jakiej jakości nasienie ma tamten koleś.

– Przepraszam. – Podchodzę. – Chciałabyś mieć kiedyś dzieci? Bo wiesz, ze mną niełatwo je zrobić, ale z gejem jeszcze trudniej.

Aneta, która przed chwilą nie mogła powstrzymać śmiechu, teraz przypatruje

mi się ze zdumieniem.

– O co chodzi?

– Umówiłaś się wtedy z gejem. Nie chciał się tłumaczyć, dlatego nie przyszedł. Miałas się obrazić i w ten sposób nie żądać usprawiedliwień.

– Paweł był gejem?

– No. Pewnie ciągle jest. Z tego się ponoć nie wyrasta.

– Niemożliwe.

– A skąd możesz to wiedzieć? Spałaś z nim? – Odgrywam scenę zazdrości.

– Dlaczego nigdy nie powiedziałeś?

– Bo myślałem, że przestał być ważny, kiedy poznałaś mnie. Idziesz na tę kawę? Wojtek – przedstawiam się. – Wojtek Raczyński. Jesteś z tych, co lubią szarmanckie gesty, czy się peszą przy całowaniu rączek?

– Aneta Biedroń-Raczyńska. Co za zbieg okoliczności z tym nazwiskiem, no nie? – Uśmiecha się. Wyciąga dłoń. Robi to w taki sposób, że doskonale wiem, że nie powinienem się nachylać, a jedynie wystawić prawicę. Czyli mam do czynienia z równą babką, a nie arystokracją przez „ą”, „ę”. – Co do kawy... No idę, idę. W końcu jakoś nasienia można zmienić, orientacji seksualnej – nie.

Do dziś nie mogę uwierzyć, że udało mi się ją w taki sposób poderwać.

Moje słowa dotyczące nieobecności Pawła były potwornie uszczypliwe. Kobiety jednak lubią złośliwych facetów. Może dlatego, że wredni goście są pewni siebie. Natomiast Aneta faktycznie między dużym ego a męskością stawia znak równości. To wiem na pewno.

Kończymy *frappé*. Aneta nie zamówiła wina. Pamiętała, że mama ją przestrzegająca: przy napalonych, obcych mężczyznach trzeba zachować trzeźwy umysł. Na razie wszystko odbywa się jak wtedy. Proszę barmana o rachunek. Małża wyjmuje pieniądze z portfela.

– Ja stawiam.

– Okej, ale nie kawę. – Puszczam do niej oko.

– Nie, nie pozwalam za siebie płacić. To zobowiązuje.

– Do czego? Do małżeństwa? I o to chodzi.

– Taaak?

– Tak. Będziesz matką moich dzieci, zobaczysz.

Pamiętam. Obiecałem jej to wtedy. To się wydawało takie oczywiste, że jeśli zwiążemy się na stałe, będziemy rodzicami. Życie lubi kpić z ludzi.

Proponuję spacer.

Przystaję pod budynkiem, gdzie studiowaliśmy.

– Pocałuj mnie. Może Paweł będzie wychodził z zajęć i zobaczy, ile stracił.

– To raczej nie o mnie byłby zazdrosny – żartuje i po chwili spełnia moją prośbę.

I tak po kolei odwiedzamy każde znaczące dla naszego małżeństwa miejsce.

Knajpy, które jeszcze istnieją, a w których spędzaliśmy czas z przyjaciółmi, upijając się, jak na młódzież przystało. Park, po którym spacerowaliśmy i jeździliśmy na rowerach...

Wreszcie dochodzimy do najważniejszego budynku.

Światła się pałą. Pewnie znowu mieszka tu para, która niedawno uzyskała dyplom wyższej uczelni i odbywa staże i praktyki, gdzie to tylko możliwe. Właśnie w tej garsonierze pewnego wieczoru, gdy oboje pisaliśmy prace dla studentów, żeby zarobić na czynsz, oderwałem się na moment od komputera i ni z tego, ni z owego zapytałem:

– Nie powinnaś przypadkiem już zostać moją żoną?

– No... Skoro nalegasz? Okej.

– Jutro zadzwonię do rodziców, żeby złożyli wniosek o kredyt na ślub i wesele.

Tak też zrobiłem. Aneta dopiero wtedy pojęła, że naprawdę się jej oświadczyłem, gdy zapisałem nas na nauki przedmażeńskie. Wcześniej uznawała wszystko za żart. To straszne, ale nie dostała ode mnie pierścionka zaręczynowego. Pewnie dlatego, że we mnie nigdy nie dojrzewiała decyzja o małżeństwie. Nie zastanawiałem się nad tym, czy to odpowiednia kobieta, odpowiedni czas. Od chwili kiedy ją zobaczyłem, jak usiłowała otworzyć ogromne drzwi wydziału nauk społecznych, wiedziałem, że chcę ją poznać. Nasz związek od początku był dla mnie naturalny i oczywisty. Ledwie zamieniliśmy kilka słów, a już zyskałem pewność, że z nią nigdy nie będę się nudził. Było między nami promieniowanie, o jakim w Czarnobyli nie słyszeli. Nie ulegało wątpliwości, że jesteśmy i będziemy razem, bo nam ze sobą zwyczajnie dobrze.

Kolejną stacją jest kościół, w którym braliśmy ślub. Chociaż nie jesteśmy praktykujący, klękamy w ławkach i modlimy się przez chwilę. Chyba o to samo.

Aneta – jak sądzę – kompletnie nie podejrzewa, gdzie zabiorę ją później. O ile od początku wiedziała, że wybierzemy się na miejsce pierwszej randki, nie ma pojęcia, jaki będzie przedostatni punkt wieczoru.

Dopiero wtedy, gdy jesteśmy prawie u celu, zaczyna się domyślać.

W wielu miastach są „mosty miłości”. Zakochani wieszają tam kłódki, które symbolizują wieczne trwanie ich miłości, a kluczyki wrzucają do rzeki. Kiedyś żalowaliśmy, że w Krakowie nie ma takiego zwyczaju. Pojawił się wiele lat po naszym ślubie. Dlatego dzisiaj w galerii kupiłem kłódkę, żeby ją zatrzasnąć na kładce Bernatka.

– Za dużo kasy wydaliśmy. Nie mogłem już kupić zaległego pierścionka zaręczynowego. Stać mnie było tylko na to. Zawieszamy?

Wzruszyłem ją. Padła mi w ramiona.

– Jesteś genialny!

– Bo ja wiem? Na pewno lepszy niż gej – mówię.

Unoszę wysoko głowę. Jestem dumny jak paw. Aneta nie mogła trafić na lepszego faceta.

Para młoda tuż obok nas także zatrzaskuje kłódkę. Podchodzimy do nich.

– Wszystkiego dobrego. Trzymajcie się.

– Wy też.

Niech sobie małolaty nie myślą, że skoro krócej chodzą po świecie, są lepsi, a ich uczucia intensywniejsze, świeższe. Przechylam Anetę. Opieram o balustradę mostu i namiętnie całuję.

– Czy zasłużyłem na seks podczas pierwszej randki?

– Zdecydowanie. Tylko jedźmy taksówką, bo już chodzić nie mogę.

Kierowca obserwuje nas w lusterku wstecznym, gdy bez skrępowania wymieniamy czułości.

Do pokoju wchodzę z rozpiętą koszulą.

Po wszystkim Małża szybko zasypia zamroczona alkoholem, na którego wypicie wyjątkowo sobie pozwoliła (cholera, głupi byłem: korzystanie z usług specjalisty od płodności jest tańsze niż szampan w hotelu).

To był wspaniały wieczór. Zupełnie jak dawniej. Aneta się rozluźniła, zapomniała, że jest zodiakalną Panną, dziewczyną z dobrego domu, której nie wypada rozpinać facetowi rozporka w taksówce. Zapomniała o tym, że ma być matką. Była sobą. Najwspanialszą Małżką na świecie. A gdy się obudzi, stwierdzi, że spała obok najwspanialszego męża na świecie. Nawet jeśli jego kijanki nie domagają.

Dlaczego nie umiem być taki zawsze i odczuwam dziką satysfakcję z doprowadzania jej do szału? Dlaczego tak trudno mi iść na kompromis, odpuścić, ufać, dostosować się? Dlaczego nie mogę jej zapłodnić? Dlaczego nie umiem spełnić jej marzeń? Co jeszcze będę musiał wymyślić, żeby we mnie nie zwątpiła? A jeśli... Tego nie da się zrekompensować. Bezdzietności nie można załatać jak dziury budżetowej po butelce szampana, wyjętej z hotelowego barku. I choć wiem, że Aneta przez te parę godzin przestała myśleć o macierzyństwie, czeka ją trudny dzień. Spotkanie z ciężarną szwagierką.

To nie piaskownica

Przez sen słyszę dzwoniący telefon. Zrywam się, odbieram, żeby sygnał nie zbudził Małży.

– Kiedy będziecie? Może być o piętnastej? – pyta mama.

No tak. Przykry powrót do rzeczywistości.

Aneta w końcu wstaje. Przypominam o rodzinnym obiedzie. Już nie ma czasu na miłosne gesty, wielkie uniesienia. A szkoda, bo rozładowałbym duże stężenie testosteronu. Do jasnej cholery, musi być duże, skoro co rano mam erekcję!

Małża wchodzi do łazienki. Zabieram dwa kubki pełne kawy i podążam za nią. Siadam na brzegu wanny.

– Muszę ci o czymś powiedzieć. – Sięgam po szampon.

– Co się stało?

– Aśka jest w ciąży – mówię.

Wyciskam żel z butelki. Rozcieram go na dłoniach.

– Znowu? – pyta Aneta i gwałtownie wynurza się z wody.

A już myślałem, że nikt nie podzieli mojego zaskoczenia.

– Planowali?

– Nie sądzę.

– Oni nie znają takiego pojęcia jak antykoncepcja? – Nasącza gąbkę nadmierną ilością peelingu. – Jak zamierzają sobie poradzić?

– Mnie się pytasz?

– No ciebie. Właśnie ciebie, bo chyba zamiast dawać pieniądze na utrzymanie dzieci, powinieneś im zafundować tabletki lub gumki? – Znowu kładzie się wygodnie, więc kontynuuję mycie jej głowy.

– Na razie nie biedujemy, dlatego nie widzę niczego złego w pomocy własnej siostrze. Wręcz przeciwnie. Zuzka jest moją chrześnicą i przez to ciąży na mnie jakiś obowiązek.

Fuck! Użyłem złego określenia. Bo na Anecie – choć ogromnie by chciała – nic nie ciąży. Nawet obowiązek.

– Przyzwyczałeś Aśkę do tego, że zawsze wyciągniesz pomocną dłoń. Co się stanie, kiedy będziemy mieli własne dziecko?

– Na razie go nie mamy.

– No właśnie. Leczenie może nadwerężyć nasz budżet.

– Bez przesady. Nie zachowuj się jak krakowski centuś. To wszystko znowu nie kosztuje tyle, żebyśmy musieli sobie czegoś odmawiać. A skoro stać nas na takie wyskoki jak wczoraj, tym bardziej możemy pomóc rodzinie.

– Sprawdź cenniki in vitro.
– O czym ty znowu gadasz? – Przystaję wcierać szampon w jej włosy. – Co ma in vitro do naszej sytuacji? Lekarz twierdził, że uda się naturalnie. – Wzdycham.

– Może. Skąd wiesz, że na pozaustrojowym się nie skończy?
– Jasne, że nie.
– Skąd wiesz?
– Bo wiem. Jakość nasienia da się poprawić.
– A jak nasienie nie jest jedynym czynnikiem i nie będzie innego wyjścia?
– Gratuluję optymizmu. Obojgu nam na pewno pomoże. Uwielbiam to twoje czarnowidztwo – mówię.

Nie spłukuję piany z jej włosów. Spłukuję ją jedynie ze swoich rąk. Odchodzę od wanny.

– Ja po prostu myślę dalekowzrocznie.
– I stawiasz mnie na przegranej pozycji. Dziękuję.
– Jestem realistką. Biorę pod uwagę wszelkie ewentualności.
– Nawet in vitro z dawcą nasienia? Bardzo dobrze, bo w tej kwestii na mnie nie licz.

Aneta przygląda mi się z przerażeniem.

– Przecież wiele razy twierdziłeś, że in vitro powinno być refundowane.
– Pani redaktor, czy to, że akceptuję decyzje innych ludzi, znaczy, że sam muszę podejmować takie same? To jednoznaczne? To, że akceptowałem Pawła jako geja, sprawia, że sam powinienem schylać się po mydło?

Nie czekam na odpowiedź. Opuszczam łazienkę. Staję przy kuchennym blacie, nalewam sobie wody. Popijam tabletki. Słyszę, że Aneta wychodzi z kąpeli. Kilka minut później zjawia się obok mnie. Naga z nadal niesplukanym szamponem. Krople wody płyną po jej ciele.

– Nie stawiam cię na przegranej pozycji. Chciałeś, żebym nie traktowała cię jak jajka, dlatego jasno sygnalizuję, że kilka tabletek może nie załatwić sprawy. We mnie też może tkwić problem i powinniśmy mieć tego świadomość.

– Nie uznaję rozmnażania się w laboratorium. Od tego jest łóżko. Jak ktoś nam zaproponuje jakiegokolwiek in vitro, kupię sobie psa. Powinnaś mieć tego świadomość. Miło ci z nią? Warto ją rzeczywiście mieć?

– Warto. – Aneta zaczyna płakać. A ja już mam dosyć nadwrażliwości, jaką ostatnio prezentuje. Kurwa! Ależ ona będzie mieć huśtawkę nastrojów, jak zajdzie w ciążę! Kontynuuje: – Warto, bo wiadomo, czy wybrało się odpowiednią osobę. To wychodzi w takich sytuacjach.

Nachylam się i wrzeszczę jej niemal wprost do ucha:

– Twoja świadomość jest już oparta na skrajnościach! Siedzisz na tych idiotycznych forach, na których rejestrują się sami zyciowi wykolejeńcy: głupie,

rozhisteryzowane cipy i niemrawe chuje i wydaje ci się, że każdy, kto trafia do kliniki niepłodności, w końcu zamraża zarodki! Ja nie zamierzam!

– A ty...! – krzyczy histerycznie. – Ty, nieokiełznany dawco życia, najwyraźniej opierasz się na tych wszystkich opiniach twierdzących, że in vitro jest wbrew naturze!

– O kurwa! To już pojechałaś. A może jest w zgodzie z nią? Już musisz wypaczać rzeczywistość, tak jak robią to wszystkie strony sporu o ten zabieg? Już masz potrzebę uprawiania demagogii?

– Jeśli in vitro jest wbrew naturze, to co powiesz o niepłodności? No? No co powiesz? Od tego należałoby zacząć, bo in vitro to tylko następstwo wybryku natury. Czy stan twoich plemników nie jest wbrew naturze? Nie rozmawialibyśmy w ogóle o zabiegu, gdyby nie twój problem. Twój, słyszysz?!

Idę do sypialni. Trzaskam drzwiami.

In vitro jest wbrew naturze tak samo jak niepłodność. Moja niemęskość jest wbrew naturze, fakt. Nie można się nie zgodzić z tym argumentem.

Roztrzęsiony siadam na łóżku. Pocieram twarz dłońmi. Próbuję pozbierać myśli. Małża wchodzi, nie pukając.

– Jezu, przepraszam. Przepraszam cię – szepcze.

– Po co my się przepraszamy, co? – tak jak ona mówię spokojniejszym tonem. – No po co, skoro za kilka godzin znowu zaczniemy sobie skakać do gardeł? Poza tym jeśli ktokolwiek powinien przepraszać, to ja. Co się ostatnio z nami dzieje? Możesz mi powiedzieć, co się dzieje?

– Powinniśmy się zgłosić do tego psychoterapeuty.

Wstaję. Mocno ją przytulam.

– Powinniśmy się kochać. Mimo wszystko. Przepraszam. Nie chciałem. Nie chciałem, żebyś się zamartwiała. Mam zadzwonić do mamy i odwołać spotkanie?

– Nie.

– Daj mi szansę, dobrze? Daj nam szansę. We wszystkim masz rację. Jestem pomyłką natury, ale i tak uważam, że to nie czas na gadanie o in vitro. Widzę zasadniczą różnicę pomiędzy nadmierną zapobiegliwością a wybujałą wyobraźnią. Ciebie dotyczy to drugie.

– Naprawdę się nie zastanawiasz, co będzie, jeśli...

– Ciii. – Kładę Anecie palec na ustach. – Bez gdybologii. Będziesz wspaniałą matką, jeśli tylko nie będziesz jej uprawiała. Zbieramy się? Może spluczemy z ciebie tę pianę, co? Chodź do łazienki, bo robisz kałużę na parkiecie. – Ocieram jej łzy z policzków.

Chociaż zamknąłem Małży usta, nie przestaję myśleć o tym, co zamierzała powiedzieć. Co będzie, jeśli... się nie uda. Co się stanie, jeśli nie będziemy mogli mieć dziecka? Czy w ogóle próbowałem sobie wyobrazić sytuację, w której siadam przed Haliszewskim, a on stwierdza: „Przykro mi, nie ma najmniejszych szans”.

Czy rzeczywiście powinienem już teraz dopuszczać taką ewentualność? To, że Aneta będzie matką moich dzieci, było tak samo oczywiste, jak to, że będzie moją Małżką, więc dlaczego miałbym już na tym etapie godzić się z tak złym scenariuszem? Nie chcę nieoczekiwanych zwrotów akcji. Czy to nam pomoże? Nie. Kwas foliowy pomoże, a właśnie się kończy. Trzeba kupić nowy listek.

Gdy docieramy do rodziców, wszyscy już są. Podchodzę do siostry. Całuję ją w policzek.

- Gratuluję.
- Dziękuję – odpowiada dumna.
- Świetnie wyglądasz – chwali Małżkę.

Rzeczywiście świetnie się prezentuje w dżinsowych rurkach i luźnym swetrze w kolorze musztardy, ściągniętym granatowym paskiem. Dobranie garderoby na rodzinne spotkanie zajęło jej czterdzieści minut, ale było warto. Idealnie wyeksponowała biust i biodra.

Spoglądam na Aśkę. Chociaż jest znacznie młodsza od Anety, wygląda starszej. Ciekawe, czy to siła pieniądza powoduje, że Brenda może się poszczycić lepszą aparycją? Stać ją na markowe ciuchy, najlepsze kosmetyki, zabiegi w salonach odnowy biologicznej, spa. A może Aśkę zniszczyło macierzyństwo? Nie ma czasu na zrobienie sobie fryzury, bo musi godzinami wyciągać plastelinę ze strąków Zuzy. Nie ma kasy na nową kieckę, bo Barbie córki potrzebuje kreacji z najnowszej kolekcji. Nie zapina paska, żeby uwydatnić wcięcie w talii, bo po ciąży go nie ma.

Te dwie dziewczyny pochodzą z różnych światów. Patrząc na siostrę – wstyd przyznać – zastanawiam się, czy gdybym był jej mężem, nie zacząłbym szukać lepszego modelu. Jak może być atrakcyjna dla Maćka? Czy ona myśli, że gdy urodzi mu dwojkę dzieci, to on przestanie zwracać uwagę na rozciągniętą skórę na jej brzuchu? A może rzeczywiście potomstwo potrafi tak przypieczętować związek, że wizerunek „pantera” traci znaczenie?

Spoglądam na Brendę, czuję zapach jej szamponu, perfum. Ona nie zaniedba urody po porodzie. Na pewno nie. To typ kobiety świadomej. Cechuje ją snobizm pozytywny. Wie, czemu służy nienaganna prezencja. Wie, że wysokie szpilki są istotne. Nie tylko dlatego, że unoszą pośladki. Dlatego, że podnoszą ego. Dodają pewności siebie. Aneta pracuje w korporacji i ma świadomość, że żadne z zajmowanych stanowisk nie jest na stałe. Nawet stanowisko żony. W każdej roli trzeba się sprawdzać, ciągle wykazywać, zbierać plusy. Piąć się, a nie spoczywać na laurach, zakładając ciepłe kapcie na miękkiej, niskiej podeszwie.

Witam się z Maćkiem. On w przeciwieństwie do Aśki wstaje, bo nie trzyma na kolanach dziecka.

- Z ciebie to jest ogier. Jak ty to robisz? – pytam.
- A co, potrzebujesz jakichś wskazówek?

- Spokojnie. Daję radę.
- No jakoś nie widać. – Patrzy na idealnie płaski brzuch Anety.
- Jeszcze trochę – uspokajam.

Zoła już przeszywa mnie surowym wzrokiem. Nie wiem, o co chodzi. Przecież nie powiedziałem, że się staramy, czym naraziłbym ją na dociekliwość członków rodziny.

Małża natychmiast siada przy stole. Od jakiegoś czasu nie proponuje pomocy teściowej. Bo i po co, skoro ta nigdy nie pozwoliła jej pootwierać szafek w kuchni. A kiedy Aneta zmywała naczynia, matula usilnie próbowała jej przeszkodzić, co chwilę wyrzucając coś do kosza na śmieci, znajdującego się tuż pod zlewem. Sam tego nie zauważyłem, ale kiedyś Aneta powiedziała mi, że teściowa jej nie ufa. Sądzi, że skoro synowa ma tak długie paznokcie i zmywarę w domu, nie poradzi sobie z tłustymi talerzami.

- To teraz czeka was urwanie głowy – odzywa się Małża do szwagierki.
- No tak, ale to nawet lepiej tak bez wytchnienia. Szybciej zapomnimy o pieluchach i chorobach zakaźnych. Nie będzie się to wszystko ciągnęło latami.
- E, wy to akurat moglibyście sobie pozwolić na dłuższą przerwę – wtrąca matka.

To chyba aluzja do nas.

– Ale po co czekać? Przynajmniej mając czterdziestkę, przeżyjemy drugą młodość przy nastoletnich dzieciach – odpowiada Aśka.

Ciekawe, za co zrealizują tę „drugą młodość”. Za pożyczkę bez oprocentowania i odsetek od nieplodnego brata?

– To trzeba było sobie bliźniaki zrobić – żartuję. – Podobno z in vitro często rodzą się bliźniaki, no nie? – pytam Małżę.

– Bardzo często. Ostatnio pisałam o tym artykuł – tłumaczy się, jakby już wszyscy podejrzewali, że temat zapłodnienia pozaustrojowego jest jej znany z autopsji. – No, ale ja was podziwiam. Finansowo to koszmar. Nie wyobrażam sobie, ile kosztuje utrzymanie dwójki dzieci – dodaje.

Ewidentnie chce dogryźć szwagierce. Widzę to. Pragnie się dowartościować. Usprawiedliwić. Przedstawić motywy, które doprowadziły do tego, że nadal pozostajemy bezdzietni. Chce pokazać, jaka jest odpowiedzialna, skoro odstawiła antykoncepcję dopiero po podpisaniu umowy na czas nieokreślony. Te przytyki potwornie uderzą w Aśkę, jeśli nam się uda i będzie nas stać na wakacje z synem. Już Aneta jej pokaże: nie mam jeszcze dziecka, ale kiedy się pojawi, będę lepszą matką od ciebie. Mój potomek nigdy nie wróci zapłakany ze szkoły, mówiąc, że inni rodzice do kanapek wkładają sałatę i pomidora, dają dzieciom soczki, batoniki, owoce i wszyscy uczniowie noszą to w wypasionych tornistrach. Wszyscy jeżdżą na klasowe wycieczki i wczasy. Wszyscy, tylko nie on.

Doskonale rozumiem te argumenty i zgadzam się z nimi. Życie samo w sobie

nie jest szczęściem. Trzeba zadbać o jego jakość, a starzy nie powinni umywać od tego rąk. Powinni mierzyć zamiary na siły. Tak uważam. Ale to nie znaczy, że muszę innym narzucać swoje poglądy. A na pewno nie robiłbym tego na miejscu Anety na tym terenie. Na terenie, na którym jest intruzem. To królestwo matki i Aśki. One razem są tutaj opozycją w stosunku do Małży. I nie wygra tej rywalizacji na kobietę roku. Nie w tym gronie.

Stawia mnie w obrzydliwej sytuacji. Zaraz dojdzie do konfliktu i w końcu będę musiał zabrać głos. Po czyjej stronie powinienem się opowiedzieć? Z Małżą dzieje się coś naprawdę niedobrego. Emocje wywołują u niej zachowania niezgodne z logiką. Przeczające wręcz jej inteligencji, w którą zawsze wierzyłem. Dotąd wiedziała, jak obchodzić się z pozostałymi kobietami mojego życia. Czują, że z nimi nie wolno wchodzić na wojenną ścieżkę, należy kurtuazyjnie przytakiwać, robić często dobrą minę do złej gry. Bo ja zwyczajnie w przypadku konfrontacji wyjdę na dupka i nie zdołam dokonać wyboru. Po co Aneta chce się o tym przekonywać?

– Aaa, wam to się tak wydaje. – Matka wchodzi do pokoju. – Nauczyliście się życia w luksusie i teraz ciężko wam sobie wyobrazić, że można skromniej. Oczywiście pieniądze mieć trzeba, ale nie wierzę, żeby akurat was nie było stać na wyżywienie dwójki dzieci. Tylko wy się nigdy nie zdecydujecie na więcej niż jedno, myśląc, że nie zapewnilibyście kolejnemu minimum koniecznego do życia. Co dla przeciętnych ludzi oznaczałoby maksimum. Wy rozpuścicie dziecko do granic możliwości.

– Mamo, my zadamy o nie do granic możliwości. Dziecka nie można rozpuścić. Można w nie jedynie źle zainwestować. A to nam nie grozi.

Oj, Małża coraz mocniej pcha się w niebezpieczne rewiry. Jestem na nią wściekły. Zamiast uciąć to wszystko, zamiast obrócić w żart, ona dalej sypie racjami, które akurat do tych kobiet nigdy nie dotrą. Z zasady. One nie poprą dziewczyny, która mnie sobie przywłaszczyła i zrujnowała cały światopogląd, który wyniosłem z tego domu.

– Najpierw musicie je mieć – kwituje matka. – A u was to już tradycja, że jedyne, co jest, to szczegółowy plan na życie. Tak długo go tworzycie, że brakuje czasu na realizację.

– Jak w pracy? – pytam Maćka, chcąc zmienić temat.

Zaczynamy rozmowę, ale to nie sprawia, że panie przestają dyskutować. Wciąż są zajęte kwestią świadomego macierzyństwa. Aneta patrzy na mnie surowym wzrokiem. Jest zła, że nie zajmuję stanowiska w tej sprawie.

– Spokojnie. Na wszystko jest czas – broni się sama. – Co nie zmienia faktu, że pewnie będziemy wierni zasadzie, że od ilości ważniejsza jakość.

Ma rację. Nasienia mam wystarczająco dużo. Co z tego, kiedy ma słabe parametry?

– Wiesz, ja się kieruję słowami mamy – wtrąca siostra. – Najpierw powinno się mieć rozstępy, a potem dopiero zmarszczki.

O kurwa! To już jest bezczelność z jej strony. Nie będzie wmawiać Małży, że pod warstwą pudru ma kurze łapki. Przynajmniej ma kasę, czas i ochotę, żeby je zamaskować, a Aśka nawet nie potrafi umyć włosów. Myśli, że przejdzie gładko przez życie, nie używając szamponu. Swoją figurę zawsze będzie mogła wytłumaczyć dwiema ciążami, a nie brakiem pieniędzy, których nie umiała zarobić. Urodzi dzieci, by nikt jej nie zarzucił, że nie chciała pójść do roboty. Urodzi dzieci i to uczyni z niej kobietę. Ciekaw jestem, czy będzie taka mądra i dumna z prążków na brzuchu, kiedy Maciek ją zostawi dla takiej, która jest kimś więcej niż matką. Dla takiej, która chodzi do fryzjera. Trzepocze rzęsami. Nie oszukujmy się. Faceci bywają bezlitośni i zwracają uwagę na takie rzeczy. Chcą, by ich żony dobrze się prezentowały, by jak najlepiej świadczyły o nich samych. Chcą, żeby miały coś do powiedzenia w towarzystwie. Żeby umiały rozmawiać. Nie tylko o konsystencji kupy. Chcą je widzieć bez dziecka na rękach. A tymczasem, nawet jak zalogują się na Facebooku, zobaczą je uśmiechnięte z gromadką bachorów. Nienawidzę takich dziewczyn. Jestem przekonany, że macierzyństwo ma zamaskować ich lenistwo i brak osobowości. Według Asi nie tworzą jej delikatność, gracia, elegancja, subtelność, wrażliwość, inteligencja, czułość. Wyłączenie wstawanie do dziecka w środku nocy jest czymś godnym podziwu. Zakładanie seksownej koszulki nocnej dla męża, pisanie reportażu po nocach już się nie liczy, nic nie znaczy.

Sytuacja staje się naprawdę nieprzyjemna. Niestety, muszę coś zrobić. Muszę dokopać własnej siostrze.

– Całe szczęście Anetę stać na kremy. Zmarszczek nie ma. Rozstępów po ciąży też nie będzie mieć, bo usunie laserowo. A dziecko na tej fanaberii też nie ucierpi.

Nie dodaję, że ma perfekcyjnie wycieniowaną grzywkę w przeciwieństwie do Aśki, dwa tytuły naukowe, wymarzoną pracę, świetną pensję, dużą wiedzę ogólną, szerokie zainteresowania i – całkiem słusznie – wysoką samoocenę.

Liczę, że zakończymy wreszcie tę dyskusję. Małża też powinna wyhamować. Owszem, nie podoba mi się, że niemal utrzymuję chrześnicę. Aśki na to nie stać, a spodziewa się kolejnego dziecka. Chore, ale to sprawa między nami. Zarabiam na tyle dużo, by jej pomóc tak, żeby Aneta na tym nie traciła.

Mama podaje obiad i temat nareszcie się urywa. Trudno rozmawiać z pełnymi ustami.

– Idziesz zapalić? – pyta Maciek.

Spogląda na mnie. Stoi przy drzwiach balkonowych, jeszcze przeżuując ostatni kęs mięsa.

– Nie – odpowiadam stanowczo.

Tak naprawdę z chęcią bym to zrobił, ale powinienem mu pokazać, że nie jestem taki jak on. Jestem lepszy. Nie otuszczam sobie serca ogromnym kawałkiem schabowego, nie truję się nikotyną. Dzięki temu zdołam odnieść naczynia do kuchni. Wstaję, zabieram talerz Aśki, Anety, wreszcie swój. Po chwili wszystkie wstawiam do zlewu. Jestem świetnym facetem, mam świetną kobietę. Nie mam dziecka.

Palić mi się chce.

Połowa miesiąca. Mamy już komplet badań hormonalnych. Za niecałe dwa tygodnie powinniśmy je przedstawić Haliszewskiemu. Jeśli nie zobaczymy dwóch kresek na teście.

Wchodzę do domu. Zastanawiam się, czy Aneta dzisiaj czymś mnie zaskoczy. Nie sądzę. Po ostatnich ekscesach nie będzie ryzykowała. Tym razem cenny materiał genetyczny musi wylądować w odpowiednim otworze.

Zamykam za sobą drzwi mieszkania, widzę Brendę opierającą się o ścianę przedpokoju. Ma na sobie czarny, króciutki szlafrok. Połyskujący materiał ledwie przykrywa jej pośladki. Chciałbym, żeby się odwróciła, schyliła. Tymczasem podchodzi i całuje mnie na przywitanie.

– Głodny?

– Ciebie? Zawsze – odpowiadam.

Wyjmuje z lodówki tace pełne jedzenia: wędlin, serów, koreczków, warzyw i owoców. Wszystko stawia na blacie.

– Najedz się, a ja napełnię wody do wanny. Wykąpiemy się, a potem aż do rana nie będziemy wychodzić z łóżka.

Podoba mi się taki pomysł. Zaspokajam pierwszy głód i podążam jej śladem do łazienki.

Na ten cykl wybrała wariant romantyczny. Pomieszczenie rozjaśniają świece. Czuję zapach kadzidełek, zapach pożądania. To chyba opium. Zdejmuję spodnie, bieliznę. Kucam przy wannie. Brenda wynurza się z piany, chwytając mnie mocno za krawat, pociągając, zmusza, bym się zbliżył. Całuje moje powieki, przygryza wargi. Wilgotnymi policzkami ociera się o zarost, liże go, drażniąc swój język. Kąsa uszy. Wreszcie rozluźnia ucisk, choć wcale nie zdejmuje mi smyczy. Rozpina guziki koszuli, ściąga ją. Znowu zaciska pętlę. Wciąga mnie wprost do wanny. Siadam naprzeciw niej. Całuję palce u stóp...

Widzę kontury jej piersi delikatnie falujących na wodzie. Chcę je zmieścić w dłoniach, poczuć ich ciężar. Sięgam po oliwkę. Okrężnymi ruchami nawilżam biust. Zakłócam siłę grawitacji, unosząc go miarowo w dłoniach. Jej natłuszczona skóra lśni w blasku świec...

Układam się wygodnie, Brenda spoczywa na mnie. Nabrzmiąle prącie wrzyna się w jej lędźwie...

Czas na peeling. Delikatnie rozsmarowuję ziarna wokół pępka Brendy...

Niespodziewanie wstaje. Teraz w jędrne, wypukłe pośladki mam wcierać drobiny soli morskiej...

Brenda cofa się o krok. A ja nadal leżę. Tuż nad sobą mam jej nektarynkę. Unoszę głowę, wspieram się na dłoniach. Językiem rozchylam wargi sromowe.

Mycie głowy. Brenda zsuwa się po moim torsie, żeby zmoczyć włosy. Gęste pasma okalają członek. Łaskoczą...

Woda stygnie. Wychodzimy. Brenda ciągnie za smycz i wykręca ją nad wanną. Wyciera moje podbrzusze. Ja wycieram jej pupę, piersi. Zmierzamy do sypialni, zabierając ze sobą tace z jedzeniem. Karmimy się nawzajem. Wysysamy sok z jednego kawałka melona...

Rozkładam owoce na jej dekolcie. Nachylam się. Wargami chwytam ćwiartki pomarańczy. Rozgryzam, wyciskam z nich sok, który spływa po jej skórze. Zlizuję go, zanim zabarwi pościel...

Palcami kreślę litery na jej plecach. Zgaduje, co napisałem.

„Wącham”.

Brenda odgarnia włosy z karku, pozwala wycalować wewnętrzną stronę nadgarstków.

„Słucham”.

Szeptze do mnie: „Tak. Chcę cię. Wejdz”.

„Patrzę”.

Odwraca się przodem. Od tej chwili piszę na jej brzuchu.

„Dotykam”.

Kładzie moje dłonie na piersiach, manipuluje palcami, drażniąc swoje brodawki.

„Smakuję”.

Rozchyła nogi. Językiem pocieram łechtaczkę. Dłużej nie wytrzymam.

Wślizgnięcie. Cofnięcie. Delikatne pchnięcie. Telefon. Delikatne wysunięcie. Mocniejsze pchnięcie. Telefon. Szybkie wysunięcie. Jeszcze mocniejsze pchnięcie. Telefon. Szybsze wysunięcie. Bardzo szybkie pchnięcie. Telefon. Telefon. Telefon. Dzwoni telefon. Dzwoni...

– Telefon. Nie słyszysz?

Przez chwilę myślę, jak odebrać, nie ruszając się z miejsca. Po kilku sekundach dochodzę... do wniosku, że to niemożliwe. Szybkie wysunięcie. Gdzie jest? Ten telefon, który już nie dzwoni. Wypadałoby sprawdzić, kto i z jakiego powodu był tak upierdliwy. No i wszystko jasne! Oczywiście mamusia. Dlaczego tak późno? Wybieram numer. Czekam na połączenie. Stojąc naprzeciw oszklonej ściany, uświadamiam sobie, że nie zasunęliśmy zasłon. Zaciskam pętlę na szyi. Tak, właśnie tak uduszę sąsiada, jeśli nie przestanie się na mnie gapić. Będzie dyndał goły pod blokiem, zawieszony na moim krawacie.

Matka wreszcie odbiera.

– Dzwoniłaś.
– Ojciec zemdleł.
– Jak to?!
– Cukier.
– Gdzie jesteście?
– W szpitalu. Na Kopernika.
– Zaraz przyjadę – kończę rozmowę i natychmiast wbiegam do sypialni, żeby znaleźć jakieś ubranie.

– Co się stało?
– Ojciec zasłabł. Kuźwa, mam jakieś majtki?
– Na suszarce. Jadę z tobą. Zaczekaj.
– Tylko szybko. Bez makijażu, błagam. Widziałaś gdzieś moją bluzę?

Krzążamy się po mieszkaniu, szukając poszczególnych części garderoby. Po niecałej godzinie docieramy na SOR. Mama siedzi zapłakana na krześle. Widząc nas, natychmiast wstaje. Przytulam ją.

– Weź się uspokój. Wysoki cukier to jeszcze nie tragedia.
– Podłączyli mu już pompę insulinową. Zaraz go przewiozą na oddział, muszą wyrównać glukozę. Pewnie z tydzień tu zostanie. – Znów zaczyna płakać. – Przecież on tak strasznie schudł, widziałam, co się dzieje, ślepa nie jestem, chociaż uciekał z dolegliwościami na działkę – bombarduje słowami, jakby się przed nami usprawiedliwiała. – Powtarzałam, że źle wygląda, że powinien iść do lekarza, ale przekonaj chłopca.

– Mamuś, to nie jest twoja wina. Wszyscy mu ostatnio mówiliśmy, żeby poszedł się zbadać. Widać nie chciał.

Aśka również zjawia się w szpitalu.

– No i jak? – pyta matkę.
– Podobno lepiej... On nic nie ma. Nie zdążyłam mu niczego spakować.
– Ja pojedę – deklaruje. – Co mam zabrać?
– Nie ma piżamy, szlafroka. Nawet kapci nie ma. W ogóle tego nie ma. – Zanoszę się płaczem, jakby to, że tata przez tyle lat nie założył kapci, było jej życiowym zmartwieniem. Choć to rzeczywiście może nie być łatwe dla kobiety.

– Kupię wszystko. Tylko powiedz, czy mam coś zabrać z domu.
– Leki na ciśnienie. Są na szafce. Jakies kosmetyki, wodę, dres... Nie wiem, no nie wiem. – Nadal nie potrafi zapanować nad emocjami.

– Tu mu nie dadzą leków?
– Nie wiem. Nic nie wiem. – Bezsilna pochyla głowę i chowa twarz w dłoniach.

– Mamo, może ja zostanę z tobą, dopóki Wojtek nie wróci – proponuje Aneta.

– Ja zostanę – wcina się Aśka.

– Tak, Anetko, ty jedź z Wojtkiem, bo wróci z niczym, jak mu się nie pomoże.

Wsiadamy do samochodu. Tesco. Tylko całodobowe Tesco. To na drugim końcu miasta, ale nie ma wyjścia. Przecież w Żabce nie kupię szlafroka. W połowie drogi dotykam kieszeni spodni. Nie czuję wypukłości.

– Małżus?

– No?

– Masz portfel, jakieś pieniądze?

– Mam kartę. Jedziesz bez dokumentów, tak?

– To nie przestępstwo. Tylko drobne wykroczenie. Ważne, że ty je masz, a konkretnie, że masz kartę, o ile coś ci zostało na koncie.

Muszę jeszcze zatankować, bo oczywiście nie chciało mi się tego zrobić, gdy wracałem z pracy. Rozliczenie kas. Trzeba czekać, po drodze nie ma już stacji benzynowej. Zaraz mnie szlag trafi! Gdy wreszcie staję przy ladzie, widzę przed sobą całą ścianę paczek papierosów. Płacę za paliwo i dwa lizaki. Jezu, kiedy ta chcica wreszcie przejdzie?

Po godzinie od opuszczenia szpitala docieramy do sklepu. Zamiast się złączyć w sypialni, rozdzielamy się w markecie. Aneta zmierza do działu z odzieżą. Ja pakuję do koszyka żel pod prysznic, gąbkę, szczoteczkę i pastę do zębów. Wezmę od razu piankę do golenia. I maszynkę. Na to wszystko przydałaby się jakaś kosmetyczka. Szampon! Jeszcze szampon.

– Będiesz szukał w mieszkaniu majtek, skarpetek, ręcznika, czy kupić tutaj?

– Aneta nagle staje tuż przy mnie.

– Kupuj, będzie szybciej. Z domu wezmę tylko te leki.

O wodzie mineralnej przypominam sobie przy kasie. Nie mogę jej znaleźć w dziale z napojami. Biorę sok pomarańczowy. Płacimy za zakupy. Nad kasjerką wiszą gabloty pełne paczek papierosów. Całe szczęście, że mam jeszcze jednego lizaka pod ręką. Gdy już dochodzimy do samochodu, Małża nagle przystaje.

– Co jest? – pytam.

– Ten sok jest bez cukru?

– Nie wiem, a co?

Przewraca oczami.

– Twój ojciec prawdopodobnie ma cukrzycę.

Wracamy do hali. Jednak musimy znaleźć wodę.

Wreszcie wsiadamy do auta. Przekręcam kluczyk w stacyjce. Spoglądam na zegar. Kwadrans po drugiej. Świetnie.

Docieramy do mieszkania rodziców. Oczywiście leków nie ma tam, gdzie miały być. Nigdzie też nie mogę znaleźć ładowarki do komórki, a przydałoby się mieć kontakt ze staruszką. Jest! Ładowarka. Nie wiem, czy mama zabrała telefon. Trzeba się upewnić, czy nie leży tu gdzieś zagrzebany.

Wybija czwarta, gdy podjeżdżamy pod szpital. Aśka oczywiście już wróciła do domu. Zwolniono ją z obowiązków, bo musi się dziewczyna wysypiać. Odwozimy mamę.

O wpół do piątej przekraczamy próg mieszkania. Nawet nie zdejmuję trampek, od razu zwalam się na kanapę.

– Wojtek, nie śpij, słyszysz?

– Tak tylko sobie leżę. Zaraz wstanę. Nic się nie bój.

– Jak zaśniesz, to cię zabiję – mówi Aneta.

Chyba zamyka się w łazience, ponieważ zapada cisza. Błoga cisza, którą po jakimś czasie zakłóca krzyk:

– Wojtek! Wojtek!

– No?

Nawet nie otwieram oczu. Bronię się przed kolejnymi szturchnięciami.

– Wstawaj.

– Po co?

– Po chuja – ironizuje Zołza. – Wojtek, nie rób sobie jaj.

– Ja nie robię jaj. Nie mogę, naprawdę.

– Musimy.

– Co musimy? Bzyknąć się? Bzyku-bzyk. Zapyłona? – Uśmiecham się czule i przewracam na drugi bok.

– Nie wkurwiał mnie. Wstawaj.

– Nie stanie mi. Nie mogę.

– Zlituj się – mówimy równocześnie.

Już wiadomo, że nie dojdziemy... nawet do kompromisu. Przykrywam się kocem. Że też nie zauważyłem go wcześniej, marzłem niepotrzebnie.

– Obudź się.

– Obsłuż się.

Cisza. Błoga cisza. Nareszcie.

Kurwa! Co jest?!

– Pojechało cię? – Siadam i wycieram twarz. Aneta stoi nade mną z pustym baniakiem po wodzie. – Już wstaję.

Spuszczam z tonu. Rozbudziłem się i jestem świadomy powagi sytuacji. Mieliśmy się bzyknąć. Musimy się bzyknąć. Wstaję. Robię krok do przodu i znów się kładę. Tym razem całkiem przypadkowo. Na podłodze. Siadam i rozplątuje złączone sznurówki butów.

– Zołza! – komentuję jej złośliwość. Idę umyć zęby. Po kilku minutach przychodzę do kuchni. Staję za Anetą. Obejmuję ją w tali. – Przepraszam. Jest jeszcze jakaś mineralna? Pić mi się chce.

– Nie, wszystko zużyłam.

– Następnym razem pobudź mnie seksualnie kranową, okej?

Wybuchamy śmiechem. Zaczynamy się całować... Odpowiednia pozycja,
odpowiednia data, nieodpowiednia godzina.

Od teraz mów do mnie „mamuś”

Minęło jedenaście dni. Przeprowadzam rozmowy kwalifikacyjne i czuję, że telefon piąty raz wibruje w kieszeni. Cholera, chyba nigdy nie zakoduję, że nie wolno mi wkładać komórki do spodni. Zawsze po skończeniu rozmowy jakoś odruchowo ją tam wsadzam. O zaleceniach Haliszewskiego przypominam sobie dopiero wtedy, gdy smartfon znowu zaczyna buczeć.

Wracam za biurko, oddzwaniem do Anety. Bo to ona próbowała się skontaktować. Któż inny zafundowałby mi tyle pozytywnych wibracji, jak nie Małża?

– Rzygam! – oznajmia na wstępie. Z wielkim entuzjazmem powtarza: – Wojtek, ja rzygam!

– Ale po czym?

Wybuchą gromkim śmiechem.

– Po ostatnim stosunku. Nie rozumiesz? Naprawdę nie rozumiesz? Pewnie jestem w ciąży. Rzygam, bo jestem w ciąży!

Przez chwilę milczę, całkowicie wytrącony z równowagi. Nie mam pojęcia, jak zareagować. Muszę ją jakoś wyhamować, ale... Nieważne, czy moje słowa się jej spodobają. Ważne, żeby w nie uwierzyła.

– Małżuś, naprawdę możesz wymiotować z wielu innych powodów. Robiłaś test?

– Za wcześnie. Zostały jeszcze trzy dni. Ale to chyba oczywiste. Tobie coś dolega?

– No... nie. Słuchaj, a może wczoraj coś zjadłaś...

– Jadłam to samo co ty.

Głos Anety nie ulega zmianie. Dziwne, nie zamienia się w Zołzę, mimo że próbuję jej zepsuć radość. Chyba jest za późno. Wkręciła się i wyłącznie Haliszewski zdoła jej przemówić do rozsądku.

Staram się uspokoić, aby użyć zasadnych argumentów najdelikatniej, jak to możliwe. Za wcześnie, żeby czcić sukces. Nie pojmuję, dlaczego Aneta jest tak naiwna. Nigdy bym jej o to nie posądził.

– Nie ma nikt u ciebie w redakcji grypy żołądkowej? Poszedł ktoś na zwolnienie?

– Nie. Pytałam, węszyłam. Pogódź się z tym, będziesz tatusiem.

No nie przekonam jej, że nie należy się cieszyć zawczasu.

Ale... Skoro mnie nic nie jest? Może... może faktycznie? Dlaczego to nie miałyby być prawda? Dlaczego wątpię w powodzenie? Przecież gin (już zaczynam nazywać go tak samo jak Małża) mówił, że naturalne poczęcie jest możliwe.

Właśnie dlatego poszliśmy do łóżka o wpół do szóstej rano. Dopełniliśmy dzieła najlepiej, jak się dało. Wszystko wskazuje na to, że... no, cholera, chyba rzeczywiście będę tatusiem.

Zaczynam się śmiać. Coraz głośniej i głośniej. Oczy zaczynają mi się szklić. Ja pierdzielę! Czegoś takiego bym się po sobie nie spodziewał. *Wow!*

– Halo? Powiesz coś w ogóle? Przepraszam, że przez telefon. Wojtek! Słyszysz? Czuję, że się udało. Po prostu to wiem.

– Kobięca intuicja podobno nie zawodzi – odzywam się w końcu. – No to... no to gratuluję mamusi. Jezu! Chcę cię już przytulić. O której będziesz w domu? Mateusz, tak?

– Lena. Kurde, wołają mnie. Muszę wracać do pracy. Buźka!

– Trzymaj się. Można jakoś powstrzymać to rzyganie? W ogóle nie za wcześnie na takie objawy? Wypadałoby z tym iść do Haliszewskiego.

– Najwyraźniej nie za wcześnie. Kończę. Pa!

Jestem w szoku. Totalnym. Co chwilę się śmieję, choć raz na jakiś czas robię głęboki wdech i próbuję zachować powagę, bo przecież właśnie taka ma być moja rola: poważna, odpowiedzialna. Koniec dziecinady!

„Będę ojcem” – to stwierdzenie brzmi dumnie. Pewnie dlatego je powtarzam, stojąc przed szybą i wpatrując się w swoje odbicie. Zupełnie jakbym chciał się przymierzyć, sprawdzić, czy z ojcostwem mi do twarzy. Staram się z tym oswoić, jednak ciągle nie wierzę, że to prawda. Niech mnie ktoś uszczypnie! Teraz to się dopiero zacznie życie! Na wysokich obrotach, na maksa. Przekazałem geny, więc będę przekazywał informacje o tym, jak ten cały świat się kręci. Dlaczego Ziemia się kręci, dlaczego koła w samochodzie się kręcą... to wszystko powinienem wiedzieć. Muszę kupić *Tysiąc pytań i odpowiedzi* i ściągnąć z netu *Tata, a Marcin powiedział*.

Czuję jakieś wewnętrzne wypełnienie, ulgę. Nie do opisania!

Siadam w fotelu. Próbuję dokończyć mejl do biura karier. Zakładam słuchawki. Nie mam już nastroju na Massive Attack. Ile można ich przerabiać? Znajduję na YouTube kołysankę, którą mi śpiewała matka. Ześwirowałem, wiem, ale chcę sobie przypomnieć, jak to szło.

Z popielnika na Wojtusia

iskiereczka mruga.

Chodź, opowiem ci bajeczkę.

Bajka będzie długa.

*Była sobie raz królewna,
pokochała grajka,
król wyprawił im wesele*

i skończona bajka.

*Już ci Wojtuś nie uwierzy,
iskiereczko mała.
Chwilę błysniesz, potem zgaśniesz,
ot i bajka cała[4].*

Nie skoncentruję się. Padam na oparcie, wciąż podekscytowany. Otwieram szufladę, sięgam po lizaka. Zamierzam go rozpieczętować, gdy... „Zapalić! – uświadamiam sobie. Przecież mogę zapalić! Nareszcie!”.

Wyobrażam sobie, że za kilka lat będę zbiegał po schodach tak samo jak teraz. Tylko z synem i futbolówką w rękach.

Muszę zadzwonić do matki. A jaki tata będzie zadowolony!

– Poczęstujesz mnie szlugiem? – pytam kolegę, starając się zapanować nad emocjami.

Po chwili wciągam dym głęboko do płuc. Czuję delikatne łaskotanie w okolicach oskrzeli. Ukojenie. Czas zatrzymuje się w miejscu.

– Udało się, tak?

– Nie widać? Patrz, jakiego chłopak ma banana na gębie.

– Co? No. Chyba tak. Tak. Na to wygląda. Że tak. No tak. Udało się. Tak.

– To gratki, tatuśku. Pal sobie, ochłoń.

– Ja pierdolę, nie mogę się uspokoić. Wariactwo jakieś. Nie sądziłem...

– Że będziesz się tak cieszył? To samo miałem. Jeszcze jak się dowiedziałem, że syn... to już w ogóle. Ale po pępkowym zaczęły się kolki i... Zresztą nie będę ci odbierał radości.

Nie słucham wcale, co mówią. Napawam się swoją rolą społeczną. Rolą ojca! „Ona właśnie się wypełnia – myślę sobie. Dałem komuś życie. Komuś, kto odziedziczy po mnie oczy, podbródek, może głos... słabość do pięknych kobiet i szybkich samochodów”.

Nagle uzmysławiam sobie, że nie wiadomo, czy to będzie chłopiec. Za bardzo się nastawiłem, a przecież może mi się urodzić ktoś, kto lubi krótkie sukienki i różowe lalki Barbie. „To z pewnością też ma swój urok, na sto procent” – utwierdzam samego siebie w tym przekonaniu.

Chcę zapalić jeszcze jednego! Już nie mam kogo osępić. Idę po paczkę. Nie przestaję analizować, definiować ojcostwa. Nowe życie! Dzięki mnie! Dla mnie! I dla niej! Dla Anety! Śmiała się, płakała ze szczęścia. Wreszcie! Więc nie będziemy musieli przechodzić przez tę całą obrzydliwą procedurę leczenia.

Spoglądam w niebo, znowu trując się substancjami smolistymi. Boże!

Dziękuję Ci! Dziękuję, że się udało!

Cholera jasna! Trzeba wrócić do pracy. Jakoś wrócić do rzeczywistości.

Wbiegam po schodach, jakbym dostał... dodatkowe życie! Pierwsze piętro, drugie... coraz większy helikopter. Pot. Oblewa mnie pot. Zwalniam. Siadam. Przesadziłem z tym jaramiem. Kilka głębokich wdechów. To pewnie zaraz przejdzie. Ja pierdolę! Jaki koszmar. Słabo mi.

Kibel! Muszę do kibla! Zatykam usta dłonią i w ostatniej chwili docieram na miejsce, nawet nie zamykając za sobą drzwi. Po wszystkim spoglądam na to, co znajduje się na dnie muszli klozetowej. Boże, nie! To się nie dzieje naprawdę. Proszę, nie! Opieram się o ścianę. Jak ja jej to powiem? Rzygam. I znowu – kolejny raz. Niemożliwe, żeby to było od papierosów, niemożliwe. Substancjami drażniącymi tylko pogłębiłem jakiś problem trawienny.

Kurwa! Kurwa mać! Z całej siły uderzam pięścią o kafelki. Opuszczamabinę.

– Będę ojcem – szepczę, opierając się o umywalkę. Patrzę na swoje odbicie w lustrze i widzę po minie, że okłamuję samego siebie. *Już ci Wojtuś nie uwierzy, iskiereczko mała...* – nucę. *Chwilę błysniesz, potem zgaśniesz, ot i bajka cała.*

Oblewam twarz wodą. Żeby się już nie oszukiwać. Żeby ta iskierka całkiem zgasła. Iskierka o nazwie: nadzieja.

Nie będę ojcem. Aneta nie będzie matką.

Ktoś wchodzi do łazienki.

– W porządku? – pyta.

– Tak. – Wycieram policzki papierowym ręcznikiem. – Nie! Nie wszystko w porządku – mówię już za drzwiami.

Muszę jej powiedzieć. Nie może się ludzić przez kolejne trzy dni, zanim zrobi test. Zresztą zauważy, że ze mną też jest coś nie tak. Cholera, dzwoni do mnie. Dzwoni znowu. I jeszcze raz, akurat kiedy po raz kolejny wiszę nad muszlą klozetową.

Kontaktuję się z nią kilka minut później.

– Sprawdziłam inne objawy. Mam wszystkie. Ból w okolicy podbrzusza, nabrzmiące piersi, drażliwe sutki...

Nie wiem, co mnie bardziej boli: serce czy żołądek. Nie chcę tego dłużej słuchać, ale przez telefon niczego nie powiem. Chociaż... może chociaż ostudzę tę burzę emocji.

– Czy przypadkiem nie masz takich samych dolegliwości przed okresem, a on chyba się zbliża?

– Nieee. Nie zbliża się. Jeszcze długo nie będę go mieć – niemal krzyczy z entuzjazmem.

– A jeśli niepotrzebnie się ludzimy, Małzuś?

– Mamuś! Od teraz mów do mnie „mamuś”.

Rozłączam się. Podchodzę do czajnika. Parzę melisę. Nie powinienem się denerwować, bo wkrótce kolejne badanie nasienia.

– Kurwa! – głośno klnę. Wylądujemy na kozetce po tym wszystkim.

Opieram się na fotelu, pocieram czoło. Pytam: „Dlaczego? Dlaczego to spotyka właśnie nas, właśnie ją? Dlaczego przeze mnie? Czym sobie na to zasłużyłem?”. Każdy dostaje od losu możliwość rozmnażania się. Każdy: pantofelek, dżdżownica... Tylko mamut i Wojciech Raczyński zostali pozbawieni naturalnych, odwiecznych praw.

Zwalniam się u kierownika. Chcę wcześniej wrócić do domu. Nie ma sensu odwlekać trudnej rozmowy.

Po drodze wyrzucam paczkę papierosów. Co mi w ogóle strzeliło do głowy, żeby zapalić? Jak mogłem być tak naiwny? Chyba zależało mi na tym, żeby funkcjonować bez wyrzutów sumienia, słyszeć radość w głosie Anety i w związku z tym nareszcie poczuć ulgę. Jedno jest pewne: chciałbym to przeżyć jeszcze raz, chciałbym jeszcze raz powiedzieć przed lustrem: „Będę ojcem”, nie okłamując samego siebie. Chciałbym doświadczyć jeszcze tej dumy, spełnienia.

Aneta wchodzi do mieszkania. Rzuca mi się na szyję. Nie reaguję. Nie mogę dzielić jej entuzjazmu.

– Co się dzieje? – pyta.

– Usiądź.

– Wojtek, co jest? Coś z ojcem?

Właściwie nie minęła się z prawdą.

– Przez jakieś sześć godzin zastanawiałem się, jak to ująć, i nic nie wymyśliłem, więc powiem to prosto z mostu. – Kucam przed nią. Kładę dłonie na jej kolanach. – To nie ciąża... to pewnie kurczak. Nigdy więcej kurczakowni! Musiał być nieświeży. Dzisiaj pięć razy byłem w kiblu.

Aneta milczy i patrzy na mnie przez dłuższą chwilę, jakby czekała, aż oznajmię, że żartowałem. Jej oczy powoli zachodzą łzami. Już się domyśla, że nie odwołam tego, co wyznałem przed kilkoma sekundami.

– Nie – szepcze.

– Tak, niestety.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś przez telefon? – pyta.

Sprawdza moją wiarygodność. Chciałaby, żebym okazał się kłamcą. Rozumiem ją doskonale.

– Bo wtedy jeszcze nie rzygałem. Dopiero później.

– Dzwonię do Haliszewskiego. – Zrywa się gwałtownie, sięga po komórkę, biegnie do łazienki. Wkrótce znowu zjawia się w kuchni. – Pójdiesz po test? Kazał nam go jednak zrobić.

– Chodź ze mną. Nie zostaniesz tu sama.

Stajemy przed witryną osiedlowej apteki.

– Ja już tam nie wchodzę – zarzeka się Małża.

Nie dziwię się jej. Ile razy można kupować test ciążowy?

– Który chcesz? Ten z bobasem na opakowaniu? – pytam.

– Tak, ten.

Kolejka dłuższa niż na pocztce, ale w dzisiejszych czasach regularne zakupy w aptekach są modne. Kiedyś przychodziło się tu po antybiotyki i leki na choroby przewlekłe. Teraz trzeba bywać znacznie częściej, bo można trafić na promocję suplementu diety, reklamowanego w telewizji przed *M jak miłość* lub którymś *talent show*. Nawet na pieczywo nie ma takiego popytu jak na specyfiki typu placebo. Oby moje eliksiry płodności miały lepszą skuteczność.

Przełądam dział samoobsługowy. Dowiaduję się, że kupując płyn na porost włosów lub emulsję podtrzymującą opaleniznę, mogę wygrać żelazko. Świat zwariował. Pewnie dlatego do aptek już nie przychodzą chorzy ludzie. Nie mają tutaj czego szukać. No, może minąłem się z prawdą. Są tutaj chorzy. Chorzy na głowę.

Kremy na naczynka, toniki na trądzik, masła na cellulit... Testu nie ma.

Zajmuję miejsce przed ladą. Tak, ladą. Bo teraz nie ma okienek chroniących farmaceutów przed wirusami, bakteriami, jakby już nie byli narażeni na tego rodzaju świństwa. Dzwonię do matki. Zdążę z nią spokojnie porozmawiać, zanim zostaną obsłużony.

– Cześć. Nie będzie mnie dzisiaj u ojca. Struliśmy się czymś z Anetą.

Stojące przede mną małżeństwo nieoczekiwanie znika. Nadchodzi moja kolej. Szybko poszło.

– Ten test ciążowy z bobasem jest?

– Kupujesz test ciążowy?

O kurwa! Co za jełop ze mnie! Cały Wojtuś. Przyzwyczyił się, że telefonuje do wszystkich podczas zakupów. Gdy wybiera bułki, gdy prosi o kilogram mąki czy pomidorów, podwójną pierś, tabletki antykoncepcyjne i... test ciążowy. Ja pierdole! Jak mogłem popełnić tak koszmarny błąd?! Nie myślę już.

– Mamuś, nie ciesz się zawczasu.

W tym momencie mam ochotę zanucić jej kołysankę, którą mi śpiewała, kiedy nie mogłem zasnąć. O iskiereczce nadziei, która błyszczy, żeby zaraz zgasnąć.

– Dobrze, tylko odezwij się, jak będziesz coś wiedział.

– Jasne.

Wracamy do domu. Aneta zamyka się w łazience. Dochodzi stamtąd szum wody. Znowu musiała odkręcić kurki, żeby pobudzić pęcherz. Nagle słyszę jej głośny płacz. Wkraczam do akcji. Pukam.

– Otwórz, słyszysz? Do jasnej cholery, otwórz!

Nie muszę szarpać za klamkę. Nie zatrzasnęła drzwi. Wchodzę. Najpierw

wyrzucam zużyty test. Nawet nie patrzę na wynik. Opróżniam miseczkę z moczem. Pustą wstawiam do umywalki. Wreszcie przytulam Anetę.

– Postaraj się uspokoić, proszę cię.

– Nie wiesz... ty nie wiesz, jakie to było uczucie.

– Wiem, zapewniam cię. Wiem. I jeszcze to przeżyjemy. Chodź się położyć.

Zrobię ci herbatę.

Parę minut później Małża biegnie do toalety. Klęczy nad muszlą. Kucam tuż za nią, trzymam długie włosy. Jezus Maria! Zaraz udławi się własnymi rzygami, bo wymiotuje, mając spazmy. Jak jej pomóc? Do jasnej cholery! Sam tę akcję napędziłem, więc powinienem teraz wesprzeć Anetę. Coś uspokajającego? Przecież zwróci.

Po długich namowach w końcu wraca do łóżka. Dzwonię do Haliszewskiego.

– Oczywiście, że el cztery jest możliwe – odpowiada na moją prośbę. – Wystawię na tydzień. A Filipowski z kolei wypisze panu, żeby żona w tym czasie nie była sama. Proszę mi przesłać mejlem wszystkie dane.

Kończę rozmowę i wreszcie kładę się obok Anety. Przytulamy się mocno. Milczymy. Wypruci z wszelkiej energii i nadziei, którą wyrzygaliśmy, tępo wpatrujemy się w siebie. Zасыpiamy.

Rano budzi mnie dźwięk telefonu. Małża śpi. Nie powiedziałem jej, że gin wystawi zwolnienie, więc przed godziną powinna wstać do pracy. Nie wstała, co stanowi najlepszy dowód na to, że jest w kiepskim stanie. Czeką nas ciężki dzień. Muszę poinformować kierownika, że potrzebuję zastępstwa. L4 od androloga: nieprzyjemna sprawa, ale trudno. Jakoś wczoraj o tym nie pomyślałem.

Wreszcie odbieram.

– Słuchaj, brat, potwornie źle się czuję. Możesz zrobić zakupy dla taty?

– A Maciek współodczuwa twoją ciężkę?

– Pracuje do późna.

– Aśka, ale ja też dzisiaj nie mogę.

– Czemu?

– Bo moja żona potwornie źle się czuje, a ja pracuję do późna. Też mogę mieć swoje powody? Mogę? – Podnoszę głos.

– Aha! I są ważniejsze od moich?!

– Tak. Pierwszy raz są ważniejsze od twoich.

– Rzeczywiście jesteś zawałony robotą. Musisz Anecie poprawić humor kolacją w restauracji? To straszne. Ja to mam niebo, bo muszę ją sama przyrządzić.

– Nikt nie kazał ci wychodzić za szowinistę, seksistę, dziecioroba, niedoroba i buraka! – wrzeszczę.

Ubieram się w pośpiechu. Zostawiam przy łóżku kartkę z informacją, gdzie jestem, na wypadek gdyby Aneta się obudziła. W osiedlowych sklepikach kupuję

najpotrzebniejsze produkty dla taty. Mam nadzieję, że Aneta nie wstanie przed moim powrotem.

Śpi. Jak zabita.

Wrzucam do dużej torby kąpielówki, bikini, ręczniki, kilka par spodni, bluzy, skarpetki, majtki. A! Muszę zabrać kosmetyki. Wchodzę do łazienki, rozglądam się po półkach. Cholera, ona tego wszystkiego używa? I co tu jest priorytetem?

Pojedziemy do szpitala, a potem – gorące źródła. Basen jest idealny w takich sytuacjach. Woda łagodzi stres, oczyszcza umysł. Trzeba jeszcze załatwić jakiś nocleg.

Trzy godziny później odwiedzamy ojca. Aneta po pewnym czasie opuszcza salę, idzie szukać automatu z kawą.

– Co się z nią dzieje? – pyta matka, gdy już stoimy sami na korytarzu. – Test negatywny?

– No.

– Ma jakieś problemy z zajściem?

– Drobne, do naprawienia. – Odchrząkuję nerwowo. – Pracujemy nad tym. Nie ma się czym martwić. I nie ma o czym mówić – dodaję. – Nie najlepiej sobie z tym radzi. – Zabezpieczam się, żeby przypadkiem nie poruszyła tematu i moje kłamstwo nie wyszło na jaw.

Po powrocie do domu informuję Anetę o planach wyjazdowych. Chciałem jej zrobić niespodziankę, ale nie potrafię samodzielnie spakować wszystkiego, co będzie potrzebne. Nie chciałbym jutro usłyszeć, że przez mój idiotyczny pomysł nie może oczyścić porów albo złuszczyć martwego naskórka.

– Wojtek, ja nie muszę od tego uciekać.

– Nie chcę, żebyśmy uciekali. Chcę, żebyśmy odpoczęli. Po prostu.

– Pojutrze mamy wizytę.

– Wrócimy na czas.

– Ja już nie chcę tych cuda-wianków, nie rozumiesz tego?

– Rozumiem. Nietrudno to zauważyć. Ale skoro nie mogę teraz dać ci dziecka, chcę sprawić, żebyś o tym na chwilę zapomniała. – Odchodzę od kanapy, wyciągam z szafy kolejną walizkę.

– Wzięłaś mi tampony?

Przymykam oczy. Boli. Cholera, to boli. Jej słowa boją. To przeze mnie musi zabrać tampony. Przeze mnie znowu będzie krwawić. Przeze mnie już nie będzie rzygać. No, chyba że znowu zamówimy coś w kurczakowni. Baby jednak są egoistkami. Sranie w banię, że obdarzono je empatią. Jak mogła o to zapytać? Przecież intencja była jasna: nie zapłodniłaś mnie, nie dałaś rady, to teraz kupuj, pakuj tampony, ale już!

Usiłuję być cierpliwy. W drodze często uśmiecham się do Anety i głaszczę ją

po kolanie.

– Miło, że ci humor dopisuje – zauważa w pewnym momencie.

– Nie dopisuje, robię dobrą minę do złej gry. Podejrzewam, że czuję się gorzej od ciebie, bo ty przynajmniej nie masz poczucia winy. – W ten sposób zamykam jej usta.

Opływam basen wzdłuż i wszerz. Opuszcza mnie zdenerwowanie. Staję obok Anety, która – jak widzę – nie zamierza czerpać przyjemności z wyjazdu.

– Małżuś, błagam cię, chociaż spróbuj się rozchmurzyć. Dla mnie. Dla siebie – mówię.

Przytulam ją mocno, ale nie odwzajemnia uścisku. Stoi na płyciźnie z założonymi rękami i przypatruje się czemuś w oddali. Zerkam w tę samą stronę. Mężczyzna podtrzymuje syna na wodzie. Matka chłopca obserwuje lekcję pływania. Kostium kąpielowy opina się na jej okazałym brzuchu. Małżonkowie są mniej więcej w naszym wieku, a mają już dwójkę dzieci. Mimo to stać ich na podróże. Na Słowację. Może – w przeciwieństwie do nas – nie zwiedzali Stanów, Meksyku, Kuby, Egiptu, Kenii, Maroka, Madagaskaru, Tunezji, Turcji, Grecji, Włoch, Hiszpanii, Francji. Do szczęścia wystarczała im pełna rodzina. Wiedzieli, że nie da się mieć wszystkiego. Albo uznali, że na wypady będzie czas dopiero po czterdziestce. Wcześniej trzeba się zająć prokreacją.

Nadal ich obserwuję. Ojciec zakłada synowi koło ratunkowe, a sam podchodzi do żony. Stoi przy niej dokładnie tak jak ja przed Anetą. Całuje ciężarną i kładzie dłoń na jej łonie.

– Jezu! Jacy my jesteśmy puści – stwierdza Małża.

– Może ty, ja na pewno nie. Ja mam w sobie ciebie.

Odpywam. Mam dosyć. Już dłużej nie zdołam tego znieść.

Zołąza mnie wyprzedza. Przyspieszam. Gdy docieram do końca basenu, odbijam się od ściany i zawracam. Aneta robi to samo.

– Zatrzymaj się!

– Sorry, nie mam tu dna. Ty tym bardziej.

– Wojtek!

Nie reaguję. Płynę dalej. Przy kolejnym nawrocie widzę, że Aneta skrywa się pod taflą wody. Nic sobie z tego nie robię. Dobijam do brzegu. A ona dalej jest całkowicie zanurzona. Kurwa! Wymyśliła sobie sposób. Przecież się nie utopi, nie popełni samobójstwa tylko dlatego, że nie dałem jej szansy na wypowiedzenie słowa „przepraszam”. W końcu odruch bezwarunkowy zmusi ją do zaczerpnięcia powietrza.

Cholera, długo tak może, ale co się dziwić? Skończyła kurs nurkowania.

Mijają kolejne sekundy. Nie, no to już jest przesada. Podpływam, siłą wyciągam ją na powierzchnię.

– Pojebana jesteś? Pytam się: pojebana jesteś?

– Nie. Po prostu nie umiem walczyć z twoim gniewem.

– Aha! I myślisz, że zjawilem się tutaj, bo uwierzyłem, że zamierzasz się zabić?

– A jest jeszcze jakiś inny powód?

– Tak, chciałem ci powiedzieć, że cię podupczyło. Manipulantka.

– A ja chciałam ci powiedzieć, że ta twoja złość akurat w tym momencie jest bardzo miła. Czują.

– Zajebiście. Miło, że dobrze się bawisz. Szkoda, że moim kosztem.

Próbuję czmychnąć, ale Zołza chwytą mnie za kostkę. Przez chwilę szamoczemy się w wodzie. Przystajemy dopiero wtedy, gdy zauważamy na sobie spojrzenie obserwowanego wcześniej małżeństwa.

– Przepraszam.

– Nie masz za co. Po prostu jesteś szczerą. Ja niewiele znacę i moje uczucia też. Dajmy sobie spokój.

– Łohoho! To ty masz uczucia? – nabija się Aneta i wskakuje mi na plecy, gdy znowu próbuję odpłynąć. – Oboje je mamy, a komu mielibyśmy to okazywać, jeśli nie sobie nawzajem, co? Wiem, że obarczam cię poczuciem winy, ale nie umiem inaczej. Nie chcę paplać na forach internetowych. Chcę rozmawiać z tobą i z tobą przeżywać.

– „I tobie wbijać szpile”, zapomniałaś dodać.

– Więc mów mi, kiedy poczujesz te szpile, a nie rób dobrej miny do złej gry. Zatrzymuję się w miejscu, gdzie już mogę dotknąć stopami dna, nie zanurzając przy tym głowy.

– Pomyślałaś kiedykolwiek, że chciałbym być celem, a nie środkiem do niego?

– Jesteś celem, ale nie jedynym.

– Potrafisz dodać otuchy. Musisz zrealizować wszystkie, no nie?

– Liczę, że się uda, ale czy muszę... Nie wiem.

– Więc jeśli nie będę mógł mieć dziecka, zostawisz mnie, tak? Jeśli będziesz musiała dokonać wyboru, to się okażę...

– Wojtek, teraz to ty uprawiasz gdybologię. Na wszystko są sposoby. – Przytuła mnie. – Nie masz się czego bać.

– Trudno mi w to uwierzyć.

– Wiesz, dlaczego to jest takie trudne? Bo właśnie ciebie wybrałam na ojca swojego dziecka. Dlatego nie zamierzam cię rzucać, lecz szukam rozwiązań.

– Obyś znalazła.

Wieczór spędzamy w hotelu.

– Zażyłeś lekarstwa?

– A widzisz! – Przeszukuję kosmetyczkę, boczne kieszenie toreb i jestem coraz bardziej pewny, że nie zabrałem fiołki. Co gorsza, Aneta obserwuje każdy

mój ruch. – Małżuś?

– Nie wzięłeś ich, tak?

Kręcę przecząco głową.

– Wracamy do domu? W sumie mogę jechać nawet sam, rano byłbym tu z powrotem.

– Daj już spokój, co? Powinieneś się wysypiać, a nie spędzać całej nocy za kółkiem.

– Może skoczyłbym tutaj do jakiegoś lekarza?

– Nie dostaniesz na Słowacji tego samego preparatu. Trudno. Nie będziemy przecież podporządkowywać całego życia jednej dawce pigułek.

– Przepraszam. – Zajmuję miejsce obok Anety, próbuję ją pocałować, ale odwraca się do mnie plecami. Powiedziała jedno, myśli drugie. Jest wściekła. – W sumie mogłaś mi przypomnieć. O tabletkach. Nie tylko o tamponach – mówię i gaszę światło.

Czekam, aż upłyną trzy dni. Mój gniew zmaleje wraz ze wzrostem zapotrzebowania na seks.

4 *Bajka iskierki*, sł. Janina Porazińska.

Stary koń rodzi problem

Sobota. Mamy spędzić wieczór u znajomych. Trzeba zrobić zakupy, nabyć jakąś flaszeczkę lub dwie. W końcu jest co świętować. Ostatni raz w pełnym, szesnastoosobowym składzie widzieliśmy się półtora roku temu. Jeszcze nie uczciliśmy zgarnięcia dotacji na biznes przez Pilińską, obrony doktoratu Wrońskiej, awansu Bunarskiego, narodzin dziecka Kołodziejów i pewnie wielu rzeczy, o których nie wiem, bo zbyt rzadko utrzymuję kontakty towarzyskie.

Zatrzymuję się przy stoisku z alkoholem, wybieram trunki.

– Musimy skoczyć do Smyka. – Aneta mnie pospiesza.

– Do Smyka?

– Po prezenty dla dzieciarni.

– Zaraz pójdziemy. – Kilka minut później pakuję butelki do bagażnika. To będzie kolejne wyzwanie – impreza. Dzisiaj pewnie zażyję procentów. Jeśli w stanie upojenia zdołam nie zapalić, to będzie znaczyło, że już jestem wolny od nałogu. Ale tak się nie stanie, jestem tego pewny. Na rauszu dostanę pokurwienia bez fajki. Ciągle myślę o papierosie, nawet gdy piję kawę, a co dopiero przy alkoholu. Byłby na to sposób. Abstynencja. Ale rezygnować nawet z tej przyjemności? Nie. Bez przesady. Nie dam się zwariować. Zabiorę ze sobą kilka lizaków.

Wracam do galerii. Znajduję odpowiedni sklep. Aneta już spaceruje po dziale niemowlęcym. Podchodzę.

– Śpiochy będziesz kupować?

– To jest *body*.

– A! To są śpiochy w takim razie. – Wskazuję na jednoczęściowy strój.

– To jest pajacyk.

Mam nadzieję, że nie będę musiał uzupełniać garderoby dziecka. Już wolę szukać staników dla Anety. To zdecydowanie lepsze zajęcie.

– Ty, patrz! – Straszac Małżę, wskazuję na ciuchy z logo marek samochodów. Są całe zestawy. Czapka baseballówka, pajacyk czy tam śpiochy. Nawet skarpetki.

– Wojtek, im się dziewczynka urodziła.

– A tam. Co z tego? Nie słyszałaś o gender na studiach?

Przysięgam sobie, że zafunduję to wdzianko swojemu synowi. Tak, jednak będę kupował ubrania. Takie mogą. Tylko nie ze znakiem firmowym forda. Wszyscy by sobie pomyśleli, że jeżdżę zwykłym focusem. A przecież jeżdżę... Jasna cholera! Patrząc na półki zawałone dziecięcymi fotelikami samochodowymi i się zastanawiam, jak zamontowałbym taki w swojej furze... Jeżdżę

dwudrzwiowym mustangiem. Gdy podejmowaliśmy decyzję o dziecku, wiedziałem, że mój koń rodzi pewien problem, ale potem mi to umknęło.

– Aneta, zapomnieliśmy o czymś.

– O słodyczach! Racja.

– Mustang. Wiesz, jak tam wygląda tylna kanapa.

– No wiem, będzie trzeba go zmienić. – Skoncentrowana na zakupach, zmierza do działu odzieżowego dla starszych dzieci.

– Zmienić? To nie jest takie proste. Zresztą wśród mustangów nie ma dużych aut. – Biegnę za nią.

– Nie mówię o zmianie na kolejnego mechanicznego ogiera. Mówię o zmianie marki – odpowiada.

Znów odchodzi, tym razem do regałów z zabawkami.

– Mustang to nie marka, ale model – poprawiam ją. Redaktorka i nie widzi tej wcale niesubtelnej różnicy. – Innego forda nie chcę. – Ciągle próbuję dotrzymać jej kroku. – Jego nie opłaca się sprzedawać, zrozum.

– A opłaca się mu łać ciągle do baku, tak?

– Tego samochodu nie wybiera się ze względów ekonomicznych, dobrze o tym wiesz. Mam nadzieję, że wiesz.

– Tego samochodu się nie wybiera, mając w planach powiększenie rodziny, wiesz? Mam nadzieję, że wiesz.

– Zmienimy twój. Kupimy... Kupię ci jakąś pięciodrzwiówkę – obiecuję.

Zoła jedna! Wiedziała, że nie zmieścimy się do mustanga, ale postanowiła mi to uświadomić na porodówce. W ciągu dwóch dni musiałbym pożegnać agresywnego zwierza i pokochać lepszy – według niej – kompletnie bezduszny wehikuł. Bo koszty paliwa i eksploatacji są najważniejsze! Dziwne, że Aneta wzięła sobie za męża gościa, który uwielbia owoce morze. Przecież jego utrzymanie jest zdecydowanie za drogie. Powinna sobie znaleźć takiego, co przepada za kluchami. On byłby tani. To dopiero byłaby inwestycja!

– No dobrze – odpowiada Aneta, przeglądając asortyment.

Odnoszę wrażenie, że wcale mnie nie słucha, tylko bezmyślnie przytakuje.

– Co?!

– No dobrze.

– Zgadzasz się, serio? Słyszałaś, co mówiłem?

– Że zmienimy moją hondę, a twój konik zostanie w garażu. Możesz mi pomóc?

– Jasne. W czym? – Ochoczo przystępuję do działania. Jak tu nie wesprzeć tak ugodowej, wyrozumiałej Małży? Natychmiast kieruję wzrok na półkę pełną klocków. – Lego Star Wars? O ja cię! Ale jaja. – Długo wybieram zestaw, w końcu wskazuję odpowiedni. Dla siebie.

– Jest od siódmego roku życia, a Dawid skończył... siedem lat. Racja. Tylko

ten kosztuje sto trzydzieści złotych. To mają być upominki, bo musimy kupić jeszcze parę innych rzeczy.

Wreszcie znajdujemy porządne śpiochy (chyba śpiochy, już się pogubiłem), kolejkę, kucyka pony... Dopiero przy kasie się zastanawiamy, czy aby na pewno wzięliśmy pod uwagę całą zgraję młodocianych.

Wychodzimy z galerii.

Otwieram bagażnik. No tak, ciężko wcisnąć do niego kilka siatek, a co dopiero dziecko. Właściwie wózek, bo synowi raczej zapewniłbym dopływ tlenu. Dla niego rzeczywiście musiałyby się znaleźć trzecie miejsce. Z dużą szybkością, przez którą mógłby oglądać świat. I znajdzie się takie, ale nie w mojej bryce. Na rodzinne zakupy będziemy jeździć autem Anety. A do pracy nadal będę docierał ukochanym... nie fordem, lecz mustangiem. Atrakcyjne materialistki, gdy tylko zatrzymam się na skrzyżowaniu, będą się do mnie uśmiechać i oblizywać usta na myśl o tyłu koniach. Tak jak teraz.

Czerwone. Blondynka z mitsubishi ignoruje Małżę. Nie zauważa, że w tym samochodzie nie ma przestrzeni na trójkąty. Przygląda mi się bacznie. Przyciąga wzrok. Odwzajemniam jej sympatię.

– Nienawidzę, kiedy to robisz – stwierdza Aneta, zakrywając twarz. Już podejrzewa, co zaraz nastąpi. – To jakaś dena pokazówka. Mam ci uwierzyć, że zachowujesz się tak samo, jak nie siedzę obok?

– Nie masz innego wyjścia – oznajmiam, wciąż patrząc na *blondie*. Wiem, że za chwilę zmieni się światło. Mój najmniejszy palec jest dość długi, dlatego mam szczególną zdolność: mogę go szybko włożyć pod środkowy i w ten sposób schować wszystkie oprócz serdecznego. Przygotowuję dłoń. Unoszę prawą rękę z wystawionym palcem, na którym noszę obrączkę. Zazwyczaj opóźniam ruszenie. Lubię patrzeć na reakcję blachar. Wiele z nich nie spostrzega małżeńskiego symbolu, wiele z nich ewidentnie sądzi, że pokazałem fucka. Widać to po reakcjach. Idiotyczna zabawa, ale w ten sposób dzień po dniu upewniam się, że bardzo kocham Małżę. Bo już sporo lasek było skłonnych porzucić na środku jezdni swoje czinkusie, pindy, pariski, nawet beemki i zasiać w mustangu, a ja to pieprzyłem. Nigdy z tej okazji nie skorzystałem. I nie skorzystam. Mnóstwo ludzi twierdzi, że faceci kupują duże lub oryginalne fury, żeby sobie coś wydłużyć. Na pewno nie drogę, bo to zwykle dynamiczne maszyny. Ja mam mustanga tylko dlatego, że uwielbiam klasykę, elegancję, komfort, dobrą jakość, smaczną stylistykę i szybkość. Gdybym szukał przygód, wolałbym, żeby kobiety leciały na mnie, a nie na mój samochód. Nie potrzebuję sobie niczego udowadniać, ponieważ do biura często jeżdżę po upojonej nocy, podczas której doprowadziłem Brendę do wielokrotnego orgazmu. Nie muszę się dowartościowywać zainteresowaniem płci pięknej. Mam je w domu. Dla mnie największym dowodem męskości jest wierność. To mój powód do dumy. Dlatego ochoczo chwałę się obrączką na

skrzyżowaniach.

Wracamy do mieszkania. Małża jak każdej soboty zasiada przed komputerem, a ja jak zwykle szoruję kibel. Wreszcie, po długich godzinach, wychodzimy. Jesteśmy spóźnieni. Aneta nie mogła się uporać z redakcją. Cięcie kosztów. Wydawca magazynu na miejsce doświadczonych dziennikarzy wziął praktykantów i teraz Małża ma sporo roboty. Stażystom ewidentnie brakuje doświadczenia. Ale przynajmniej mogą się uczyć. Uczyć pisania, a nie obsługi ekspresu. Chociaż i tak za trzy miesiące wylądują na rozmowie kwalifikacyjnej u kolejnego pracodawcy. Tyle że z już dwustronicowym CV.

W milczeniu czekamy na taryfę. Nie wiedzieć czemu, humory nam jakoś nie dopisują. Aneta w końcu przerywa ciszę:

– Dlaczego my właściwie jedziemy taksówką? Przecież nie wolno ci pić.

– Nie wolno mi pić? O czymś takim nie słyszałem. Mam nie pić za dużo i za często. – Zołza! Zamierzałem łyknąć raptem kilka kieliszków wina. Chciałem jej tym sprawić przyjemność, zrobić niespodziankę, a ona, stosując profilaktykę (w dodatku nadmierną), wszystko zepsuła. – Jestem dorosły i mogę pić, ile mi się podoba – dodaję przekornie.

Kiedy docieramy do Kołodziejów, jest już cała ekipa. No, nie cała. Nie ma Arka. Przy Magdzie siedzi jakiś obcy gość. Ale poza tym wyjątkiem wszystko jest jak za dawnych, studenckich lat. To dlatego, że Bunarscy i Bytnarowie wreszcie postanowili opuścić Warszawę i wspólnie odwiedzić rodzinny zaścianek. Szkoda tylko, że nie udało nam się umówić na mieście. To już chyba nigdy nie nastąpi. Nie każdy zdoła załatwić opiekę dla dzieci, a trudno wprowadzić do nocnego klubu osoby, których dokumentem tożsamości jest akt urodzenia lub legitymacja szkolna. Dlatego spotykamy się w zaciszu domowym. To i tak lepsze niż całodobowy McDonald.

Kinder party trwa. Przed chwilą pewnie zauważylibyśmy, że Kołodziejowie posprząтали mieszkanie na okoliczność imprezy. Wszystko jednak poszło na marne. Po podłodze już walają się drewniane klocki, sterowane auto, kolejka i gołe lalki, których oderwane głowy leżą w drugiej części salonu. Dzieci zajmują znacznie więcej miejsca niż zgromadzeni przy stole dorośli. Spoglądam na ten cały rozgardiasz i się zastanawiam, jak zniosę obecność bachora bałaganiarza w domu. Jestem pedantem z lenistwa. Łatwiej nie robić burdelu, niż go ogarniać.

Gratuluje Kołodziejowi drugiej wpadki, czyli trzeciego potomka. Cóż, po uściśnięciu dłoni gospodarza podchodzę do Magdy. Dawny związek rodzi zobowiązania. Albo sentymenty.

– Zgubiłaś chłopca po drodze? – pytam.

– Wymieniłam na starszy model. – Zapoznaje mnie z nowym partnerem, Krzyśkiem. Nie wiedziałem, że rozstała się z Arkiem. Ale nie ma w tym nic dziwnego – nie w rozstaniu, tylko w mojej niewiedzy. Staram się nie utrzymywać

z nią zbyt bliskich stosunków, żeby nie drażnić Małży.

– Mam ci współczuć, czy gratulować? – ironizuję.

– To drugie.

– Zatem tobie gratuluję, a tobie – zwracam się do nowego członka teamu – współczuję.

Tak, ja najlepiej wiem, że z Korzeckiej jest niezłe ziółko i trudno z nią współżyć, bynajmniej nie fizycznie. Wszyscy wybuchają gromkim śmiechem, słysząc moje słowa. Pamiętają, że kiedyś wiele mnie łączyło z Magdą. Skończyło się wielkim bum, ale mimo to zapisała się w mojej pamięci jako pierwsza dziewczyna, na której mi naprawdę zależało. Dla dobra całej paczki przed laty zakopaliśmy topór wojenny, choć łatwo nie było. Właściwie dopiero przy Anecie zadra przestała uwierać.

Podchodzę do Wrońskich. Wyrażam ubolewanie z powodu utraty pracy przez Maćka. Witam także Bunarskich i Bytnarów. Z drugiego pokoju wychodzi Dorcia. Aneta od razu piszczy na widok niemowlaka, którego niesie Kołodziejowa. Teraz, natychmiast musi wziąć go na ręce. Ja wracam do przedpokoju. Zostawiłem tam siatkę. Rozdaję prezenty – wódki, whisky i ten zestaw Star Wars. Jednak przeforsowałem ten zakup. Z niecierpliwością czekam, aż Dawid rozpakuje podarek i poprosi wujka Wojtka, żeby ułożył z nim klocki.

– Co pijesz? – Piotrek pełni honory domu. Już sięga po brandy, już zamierza mi nalać ciężkiego, czterdziestodwuprocentowego alkoholu.

– Wiesz co? Ja dzisiaj tylko na winie.

Aneta uśmiecha się do mnie z wdzięcznością i prosi o ten sam trunek. Wraca do ożywionej rozmowy z Dorką. Pyta, czy będzie karmić Małgosię odżywkami w słoiczkach. Czy dodatkowo poi ją wodą? Czy używa tych pieluszek przeznaczonych specjalnie na noc? Czy zwykle kosmetyki się sprawdzają, czy lepsze są jednak emulsje lecznicze do kąpieli? Czy da się bez smoczka? Jak długo dziecko śpi? Jak często następuje wymiana garderoby? Co jest ważne przy wyborze wózka? Ile kosztuje wyprawka? Czy warto czytać tygodnik: „Mamo, to ja”?

– A co ty taka zainteresowana? – docieka Kołodziejowa. – Wy też zaciążyliście?

– Też? Ty znowu? Jak? – Aneta reaguje zbyt spontanicznie, bo w jej głosie słychać oburzenie.

Zanim cokolwiek powie, powinna zapanować nad emocjami.

– Nie. To my zaciążyliśmy – wtrąca się Agnieszka w imieniu Bunarskich.

Natychmiast kieruję wzrok na Małżę. Siada obok mnie, dokładnie naprzeciw Agi. Pod stołem chwytam jej dłoń, próbuję wesprzeć w trudnej chwili. Upija łyk wina. Uśmiecha się sztucznie.

– Gratulacje. Kiedy?

– Za pół roku będzie dzieciaczek.

- No a z wami co? – drąży Dorcia.
- Myślmy – odpowiadam żartobliwie, wyręczając Anetę.
- Eee, z myślenia nic się nie urodzi.
- Jak to nie? Myśl się urodzi – nadal dowcipkuję.

Przez moment patrzę na młodocianych zgromadzonych w salonie. Liczę ich. Szóstka. Jest jeszcze syn Bytnarów, który nie siedzi na dywanie pod czujnym okiem rodziców, lecz macha dowodem osobistym przed barmanem w nocnym klubie. I Agnieszka – już siedemnastoletnia córka Magdy. Jeszcze dziecko Bunarskich, które skrywa się w matczynym brzuchu. Większość obecnych tu par ma już za sobą ciążę, porody. Niektórzy przeszli przez to dwa razy jak Wrońscy lub trzy jak Kołodziejowie. W ogóle to wszystko jest dziwne. Między tymi dzieciakami są straszne różnice wieku. Tak duże, że nie można młodych ze sobą spiknąć. Buszują po podłodze, ale nie bawią się ze sobą. A nie, jednak nie. Teraz Ignas podchodzi do Dawida, zabiera mu autko i konflikt gotowy. Rodzice próbują ich uspokoić. Jeden chciałby odzyskać swoją zabawkę, drugi jest zbyt mały, żeby zrozumieć, czym jest cudza własność. Zamiast razem baraszkować, tłuką się zażarcie, więc jest przy nich więcej roboty niż wtedy, gdy samotnie snują się po domu, szukając guza.

- Bajka, puść im jakąś bajkę, to się przestaną nudzić – proponuje Piotrek.

Starzy są wprawieni w tych bojach. Każdy praworządny przyniósł ze sobą etui z płytami, piraci zaś mają w kieszeniach „pendraki” z odpowiednim repertuarem. Ale już powstaje następny problem. Co obejrzeć? Półtorarocznik woli *Tomka i przyjaciół*, trzylatka jest zainteresowana *Świnką Peppą*, siedmiolatek przepada za *Pingwinami z Madagaskaru*, dziewięciolatka domaga się *Dzwoneczka*. Natomiast dwumiesięczna Małgosia do szczęścia potrzebuje tylko piersi matki. Jedni tutaj mają dorosłe dziecko, drudzy mają nastoletnie dziecko, trzeci mają małe dziecko, kolejni mają dziecko w brzuchu, a inni nie mają go wcale. Za czasów moich rodziców inaczej to wyglądało. Wszystko uległo zmianie, ale co się dziwić. Obecnie w związkach potomstwo nie pojawia się między dwudziestym a dwudziestym piątym rokiem życia, lecz między dwudziestym a czterdziestym. Dlatego już nie można liczyć na to, że dzieciaki zgodnie krzykną „hurra!”, gdy włączy się im *Krecika*. Śmiem twierdzić, że to pokolenie byłoby gotowe pokłócić się o nośnik pamięci, z którego zostanie odtworzony film.

Spoglądam na dorosłych. Podobna sytuacja. Każdemu inaczej poukładało się w życiu. Niezależny przedsiębiorca, dziecko korporacji z wypraną mózgowicą, matka Polka z podkrążonymi oczami, artystka z długim szalem, karierowiczka na wysokich szpilkach, dyrektor pod krawatem, doktor w okularach, mobbingowany przydupas szefa, sfrustrowany bywalec urzędu pracy. Nigdy nie patrzyłem na to w taki sposób. Nigdy wcześniej nie analizowałem tych różnic. Po co więc robię to teraz? Może próbuję dociec, dlaczego tak rzadko udaje nam się spotkać, dlaczego

jest coraz sztywniej, dlaczego coraz więcej gadamy, a wiemy o sobie mniej niż wtedy, gdy bezskutecznie przekrzykiwaliśmy się w nocnych klubach. Już nie umiemy razem zaszaleć. Nie ma okazji. Musimy co jakiś czas usiąść, każdy musi spokojnie odpowiedzieć na pytanie: „Co słyszeć?”, bo inaczej stracimy rachubę, kto jaką firmą zarządza, kto gdzie pracuje, jaki ma stopień naukowy, jakie imiona nadał dzieciom, kiedy je spłodził, kiedy zmienił stan cywilny. To wszystko sprawia, że już nie zatańczymy w dużym kole. Mamy do nadrobienia zbyt wiele zaległości.

– No to co z tym waszym myśleniem? – Kłótnia dzieci nie odwraca uwagi Dorci od tematu rozmowy.

– Najpóźniej w przyszłym roku pępkowe – zapowiadam.

Do tego czasu przecież się wyrobimy, a im ten termin na długo zamknie usta.

– Jeszcze Pilińscy zostali – mówi Bunarski i wymownie spogląda na Renię i Andrzeja.

Milczą przez chwilę. Inicjatorka dyskusji znów wtrąca swoje trzy grosze, ponownie koncentrując na nas całą uwagę wszystkich obecnych. A już myślałem, że skończyliśmy.

– Eee, u Pilnych to jeszcze niepilno. Oni młodziaki, mają czas. Ale Raczki? U nich za późno na raczkowanie. Muszą się zabrać za brudną robotę. Już nie są trzydzieści plus, tylko czterdzieści minus.

Wszyscy wybuchają śmiechem, słysząc określenia Kołodziejowej. A ja, wpatrując się w talerz, analizuję, w jakim wieku są Pilińscy. Nie pamiętam. Są młodszy, to pewne, bo znacznie później dołączyli do towarzystwa. Zresztą dlatego nie nawiązaliśmy z nimi bliższego kontaktu. Kołodziejom się udało, ale Piotrek pracuje z Andrzejem, więc to oczywiste, że połączyła ich mocniejsza więź... Już wiem. Renata ma trzydzieści jeden, Andrzej trzydzieści dwa. Unoszę głowę. Czuję na sobie jego wzrok. Chyba obserwuje mnie już od jakiegoś czasu. Coś musiał wyczytać z mowy ciała, bo patrzy tak... tak jakby... jakby chciał powiedzieć: „Wiem, o co chodzi. Rozumiem i współczuję”.

Na szczęście Dorota porzuca temat. Córa zasnęła jej na rękach, więc poszła ją położyć.

– Kto idzie zapalić? – pyta Piotrek.

Bytnar i Wroński wstają razem z nim. Czekają na mnie. Chwalę się, że rzuciłem nałóg. Znowu czuję na sobie spojrzenie Andrzeja. Nie tylko jego. Teraz także Renata bacznie mi się przypatruje. Mnie i Anecie. W tej chwili siedzą dokładnie naprzeciwko nas. Sprawdzam, co piją. Wino. Andrzej i wino? Oni kiedyś palili, już dawno, ale palili. Czyżby? Niemożliwe. Ostatni raz widziałem ich z papierosem ze trzy lata temu, więc na pewno nie rzucili z powodu problemów z poczęciem.

Kilkanaście minut później wszyscy po kolei chwalą się osiągnięciami

zawodowymi.

– A u ciebie spokój? – zwraca się do mnie Kołodziej. – Bo na polskim rynku pracy jeszcze trudno coś odczuć, ale jak działa się poza granicami, to ponoć jest coraz gorzej.

– Nieee, kryzys to ściema. Nie widać żadnych zmian, a pojawiłyby się, gdyby rzeczywiście był jakiś problem.

– A właśnie! – wtrąca Ada. – Nie wybierze się ktoś z nami na wakacje? Zbieramy ekipę na objazdówkę po Azji.

Zapada milczenie. Krótkie.

– Za ile? – pytam.

– Dwa i pół tysiąka od osoby. A wy byście nie chcieli? – zwraca się do Wrońskich Bytnarowa.

– Jak ja zabiorę dwójkę dzieci na wycieczkę objazdową, co? Nie mam gdzie ich zostawić, a też muszą jechać na jakieś wakacje. Nie każdemu jest tak dobrze jak wam, kochana. My już co prawda wyszliśmy z pieluch, ale świata nie zawojujemy.

– Oj, bo wszyscy powinniście tak jak my powpadać przy dwudziestej wiośnie. Raczki zainteresowane? Zaczekajcie do lipca z zaciążeniem.

– Pomyślimy – deklaruje Aneta.

Nie zadaje Bytnarowej dodatkowych pytań, więc chyba nie ma ochoty na tę wycieczkę.

– A wy co planujecie? – zwraca się Ada do Dorki.

– Góry. Są blisko, a to najważniejsze. Ignas nie znosi podróżować. Rzyga dalej, niż widzi. Poza tym chyba sami pojedziemy, bo Piotrek nie zostawi firmy w sezonie.

– A wiecie co? – odzywa się Justyna. – My się zastanawiamy nad wynajęciem domu na trzy rodziny na Malcie. To jest bardzo tanie. Świetna sprawa. Nie chcielibyście?

– My siedzimy w Kraku. Przed ciążą zwiedziliśmy Barcelonę, i to musi wystarczyć. Teraz ciężko z urlopami – odpowiada Bunarski.

– A wy gdzie się wybieracie? – przepytuje Aneta milcząca od dłuższego czasu Renię.

– Niestety, nigdzie. Jesteśmy splukani – odpowiada za nią Andrzej.

Oni nie mają kasy?! Fotograf ślubny i przedstawiciel handlowy dużego wydawnictwa?! Dziwne.

– Kurde, musimy się kiedyś znowu skrzyknąć tak jak wtedy... Ile lat temu to było? – Małża oczekuje, że przeliczę.

– Dziesięć – stwierdzamy chórem.

Z rozrzewnieniem wspominamy wspólny kemping na Mazurach w ekstremalnych warunkach atmosferycznych. Rzekomo wszyscy tęsknią za

tamtymi czasami. I co z tego? Mamy paszporty, otwarte granice. Każdy może wybierać. Kiedyś byliśmy jak psy, przywiązywaliśmy się do ludzi, jeździliśmy na wczasy dla towarzystwa. Teraz staliśmy się kotami, którym bardziej zależy na miejscu. Dlatego nie będzie powtórki z rozrywki.

Rodzinka za marne pieniądze wynajmie chatę usytuowaną w dobrze znanej strefie czasowej i klimatycznej. Ci z odchowanim dzieckiem przeżyją drugą młodość, zdzierając trampki na wędrownkach po polach ryżowych. Ci z kasą będą bulić za świeżo wyłowione ryby na wyspie. Ci bez kasy będą wpierniczać knedle w Krakowie. W różnych preferencjach nie ma nic dziwnego. Sam nie chciałbym nigdzie jechać z Kołodziejami czy Wrońskimi. Nie odpocząłbym przy wrzaskach ich dzieci. Co do Azji z Bytnarami... Męczący wypad. Oni lubią zwiedzać, a mnie przydałby się ciepły kurort, *all inclusive* z napojami przy basenowym barze za okazaniem bransoletki. Wolę się smażyć, niż łaźać bez opamiętania. Mam za krótki urlop, żeby go nie wykorzystać na reset. Poza tym Aneta może być w ciąży. Nie wiem, czy w tej sytuacji można latać, a przecież potem też nie będzie się całymi dniami turlać autokarem. Wolałbym, żeby nie wylądowała w szpitalu Trzeciego Świata po zbyt długim spacerze u podnóża Himalajów. Ten wariant odpada. I pomyśleć, że dawniej z tym towarzystwem mógłbym bez wahania wybrać się na koniec świata. Ba! Mógłbym z nimi spędzić wspaniałe chwile nawet w Pcimiu, Radomiu czy Wąchocku. Dawniej. Teraz nikogo to nie interesuje. Mamy tak odmienne warunki życiowe, że każdy pojedzie osobno. Wspólnie obejrzymy jedynie zdjęcia z podróży. Chyba się starzeję, bo bierze mnie na podsumowania. Straszne. Znowu przywołuję w pamięci młodość moich rodziców. I kolejny raz muszę stwierdzić, że to wszystko wyglądało inaczej. Oni widywali się ze znajomymi regularnie, nie co półtora roku. Udawało im się spiknąć bez uzgadniania daty i godziny za pośrednictwem SMS-ów. Do podtrzymania kontaktu nie potrzebowali szerokopasmowego łącza ani Facebooka czy Gadu-Gadu. Przecież nie mieli telefonów z oprogramowaniem. Większość nie miała nawet telefonu z tarczą, kablem i słuchawką. A jednak spotykali się znacznie częściej niż my. I wiedzieli, jacy są naprawdę. Odwiedzali się bez zapowiedzi, widywali w szlafrokach, dresach, piżamach, często w samych gaciach. Czasem wpadali, gdy w domu był potworny burdel. A latem robili go już wspólnie, śpiąc pokotem w jednym namiocie. Wtedy ludzie tworzyli więzi, a nie pozory. Nie jeźdzono stukonnymi furami; żeby gdziekolwiek dotrzeć, trzeba było się zatrzymywać, zrzucić śnieg z przedniej szyby, żeby rozpoznać trasę. A jednak wszyscy mieli czas na życie towarzyskie. Miasto było mniejsze, to dlatego. Zawsze po drodze był dom jakichś znajomych. Idąc do urzędu, można było przy okazji do kogoś zajść. A teraz? Ludzie pracują w centrum, ale mieszkają w rozstrzelonych gettach zwanych strzeżonymi osiedlami. Przy wjazdach na teren stoją tablice naznaczone pięknymi słowami, bo już wiadomo: nie należy ludziom uzmysławiać, że są

ubezwłasnowolnieni przez system. Tym właśnie różni się kapitalizm od komuny – nie zmianą ustroju, ale świadomości. Współcześni zjadacze chleba powinni czuć, że żyją w luksusie, są odgradzeni pancernymi szybami od biedy, patologii, wszelkich nieprzyjemnych spraw. Także znajomych, którzy mogliby zburzyć ich porządek świata i spokój. Taki wysoki status społeczny dopiero ich zmotywuje do roboty, do wyrabiania siedmuset procent normy. Jeśli po odwaleniu nadgodzin będą uprawnieni do zaszycia się na Wichrowych Wzgórzach, Wiśniowych Tarasach czy Wrzosowiskach Szczęścia, staną się przodownikami pracy, czytaj: menedżerami. Bo w takich miejscach nieruchomości kupują tylko osoby z obcobrzmiącymi zawodami. Tak jak Wojciech Raczyński, który jak idiota się wścieka, że ojciec nazywa go kadrowym, podczas gdy na wizytówce ma wyraźnie napisane: *headhunter*. To straszne. Uważam, że mam lepiej niż starsze pokolenia, ponieważ mogę się zobaczyć z Dorotą i Piotrkim na Skypie. Jak głupi się cieszę, że nigdy mnie nie zaskoczą wizytą. A to przyjaźń na szkle. Nigdy nie zastąpi tradycyjnego kontaktu.

Magda wstaje od stołu. Jako jedyna paląca kobieta w tym towarzystwie spędzi w samotności kilka minut na balkonie. Chyba że... Mąż znowu rozmawia z Dorotą, więc pewnie nie zauważy mojej nieobecności. A jeśli nawet? Przecież nie zrobi mi sceny zazdrości za chwilę spędzoną w towarzystwie mojej byłej dziewczyny. To znaczy zrobi, ale tylko dla jaj. Zwłaszcza że pozostanę w zasięgu jej wzroku. Będzie widziała, że nie wziąłem niczego do ust. Ani papierosa, ani Magdy. Zawsze unikałem sytuacji, w których zostalibyśmy sami, ale raczej niepotrzebnie. W tych rzadkich momentach bardziej obawiałem się Arka niż Anety. A jego już z nami nie ma.

Opuszczam pokój. Piotrek natychmiast interweniuje.

– Aneta, żebyś wiedziała, żebyś nie mówiła, że coś ukrywaliśmy: Wojtek idzie na balkon. Za Magdą.

Chyba nigdy nie przestaniemy być obiektem żartów w towarzystwie. Już zawsze wszyscy będą nam robić zdjęcia rozwodowe i będą próbowali nas na czymś przyłapać, żeby nadać pikanterii wspólnym spotkaniom.

– Niech idzie. Ja jestem zajęta. – Aneta wskazuje na dwumiesięczne dziecko, po raz kolejny usypiane na rękach.

Za sobą słyszę słowa Andrzeja:

– Ale patrzcie, jaki posłuszny. Przyłapany, przystanął.

Przymykam drzwi. Opieram się o balustradę. Zdejmuję folię z lizaka.

– Kto to jest? – pytam z udawaną złością.

– Krzysiek? Mój przyszły mąż, niedoszły mąż.

– A gdzie twój aktualny mąż?

– Nie ma takiego. Już po rozwodzie. Zależało mu na czasie.

– Co się stało?

– Ironia losu. – Patrzy mi prosto w oczy. – Poszedł do innej.

– O kurwa, ale syf!

– No wiem. Już to kiedyś słyszałam.

– Weź przestań! Nie nawiązywałem do... To było coś innego... Jasna cholera!

– Los lubi kpić z ludzi. Musiałam dostać po tyłku za ciebie.

Już mam zapytać, jak to znoszą dzieciaki, gdy nagle dołącza do nas Krzysiek i czule obejmuje Magdę. Zza drzwi słysząc, że wszyscy podsumowują jego zachowanie głośnym chichotem. Wracam do środka.

– Widziałeś? – pytają. – Aneta przedstawiła Krzyškowi kilka szczegółów z twojego życia i nie wytrzymał napięcia. Musiał sprawdzić, co tam razem robicie. Popatrz, jaka dyplomacja: sama nie chciała cię kontrolować, więc wysłała na zwiady kogo innego.

– Zołza – mówię.

Nachylam się nad nią i czule całuję. Siadam na dywanie, bo Dawid nareszcie postanowił ułożyć klocki. W pewnym momencie chłopiec staje przy ojcu i szepcze mu coś do ucha.

– Wojtek, może ja ci jeszcze poleję, co? – proponuje Piotrek.

– Nie, ja już stopuję. Do tego trzeba koncentracji. – Wskazuję na instrukcję.

Wszyscy wybuchają śmiechem. Aneta próbuje ich przekrzyczeć. W końcu udaje jej się dojść do głosu.

– To była aluzja. Dawid chce układać sam. Umie. To jego zabawka. Siedem plus, nie czterdzieści minus.

– A, o to chodzi. Kurde, szkoda. No to jednak polej, Piotruś – mówię i z powrotem zajmuję miejsce przy stole.

– Ech, i jak tu mieć dziecko z takim dzieckiem? – kwituje Małża.

– No co ty? Idealny kompan do zabawy – ironizuje Dorka.

Wybija dwudziesta druga. Mam nadzieję, że zaraz skończymy ogólny wywiad i zaczniemy ostrą balangę. Tymczasem okazuje się, że ci, którzy są z dziećmi, muszą już iść. Cóż, nie będziemy Kołodziejom siedzieć na głowie. Aneta sugeruje, że młodzi rodzice są zmęczeni i my też powinniśmy wrócić do domu. Tak, następnym razem się spotkamy, gdy będziemy mieli wnuki. Wtedy może dotrwamy do północy.

Czekamy na taksówkę.

– Kupujemy po drodze jeszcze jakieś wino?

– Mnie już wystarczy. Tobie też. Rozkręcasz się. Za bardzo.

– Co to za impreza skończona o dziesiątej? Mając piętnaście lat, wracałem później do domu. Teraz mam trzydzieści osiem.

– I do tej pory nie masz dziecka. Dlatego nie powinieneś pić, powinieneś się wysypiać. W końcu wypada dorosnąć, bo zatrzymałeś się na etapie rozwoju,

o którym przed chwilą wspomniałeś. Chyba nie rozumiesz, że bycie rodzicem zobowiązuje.

Kończymy rozmowę, bo dołączają do nas Pilińscy. Razem stoimy pod blokiem. Żartujemy. Nagle zapada milczenie. Coś jakby cisza przed burzą. Wreszcie odzywa się Renata:

– To już się staracie?

– Na razie tak niedokładnie – odpowiada Małża.

Nie patrzy na Renatę. Wygląda granatowego opła. Fakt, mógłby już przyjechać. Nie przyjeżdża. Ciekawość bierze górę nad zdrowym rozsądkiem, bo Aneta niepotrzebnie zaczyna dociekać:

– A wy?

Nie chcę tego słuchać. Wyłączam się.

– Ostatnie cztery lata, ale trzy razy się udało dzięki in vitro. W pewnym sensie.

Małża spuszcza głowę, ja odwracam wzrok. Nagle docierają do mnie słowa Pilińskiej.

– Jak to trzy razy się udało? – pytam.

Chyba popełniłem jakieś faux pas, bo Zołża trąca mnie łokciem w brzuch. Zwraca się do Renaty:

– My tak naprawdę mamy za sobą ponad rok bez ciąży. Od dwóch miesięcy jesteśmy pod opieką lekarzy. Niedługo kolejny spermogram i kolejny test.

Zaraz przedstawi jej moje wyniki. Niech ta taksówka już przyjedzie! Jest! Ale nie granatowy opel, tylko czerwona mazda. To nie nasza. Pilińscy odchodzą. Zbliżam się do Anety i szepczę:

– O co jej chodziło?

– Straciła ciążę.

Ja pierdołę! Masakra! Masochiści? Po co ciągle próbują? Tego pytania już Małży nie zadam, choć jako kobieta może zdołałaby odpowiedzieć. Wolę się nie narażać, bo sprawia wrażenie oburzonej, że nie zinterpretowałem odpowiednio słów Renaty. Niemniej naprawdę nie rozumiem działań Pilińskich. Skoro to wszystko przynosi takie skutki, należałoby chyba uznać, że potomstwo nie jest im pisane. Ale oni pewnie do końca życia nie dadzą za wygraną. W końcu jakiś dzinn wyczaruje im dzieciaka. Pytanie, czy zdrowego. Te poronienia przecież z czegoś wynikają. W naturę nie należy ingerować. Ona się nie myli. Jak jest jakiś problem, to trzeba zaprzestać wysiłków i pogodzić się z faktami, bo to może się źle skończyć... Nie, nie! Nie najlepsze nasienie to coś innego. To można naprawić bez szczególnych interwencji medycznych. To coś innego. Gdyby u nas sprawa przedstawiała się aż tak tragicznie jak u nich, nie dopuściłbym, żeby Aneta zachodziła w kolejne ciążę, choćby mnie błagała o to na kolanach. Za bardzo ją kocham, żeby wystawiać na takie ryzyko i cierpienie. Nie wiem, co Andrzej ma

w głowie. Siano.

Małża nadal milczy. W oddali widać nadjeżdżający samochód. Czerwona mazda znowu zatrzymuje się tuż przy nas. Wysiada z niej Renata.

– Wy już musicie wracać do domu? Może byśmy jeszcze gdzieś razem skoczyli na miasto?

Aneta spogląda na mnie.

– Nie powinienem pić, powinienem się wysypiać – powtarzam jej słowa.

Rusza w stronę Pilińskiej. Przez chwilę rozmawiają. Wreszcie taksówka znika.

– Pojedźmy naszą taryfą za nimi – prosi Małża.

Dokładnie w tym momencie staje przed nami granatowy opel. Wsiadamy. Równocześnie podajemy adres. Każde inny.

– Po co chcesz tam jechać? Żeby słuchać, jak głupiej babie trójka dzieci spływała po nogach? Ja ani myślę wysłuchiwać takich historii!

– Wojtek!

– Przepraszam, to gdzie najpierw? – Kierowca się niecierpliwi.

Znów równocześnie padają dwie nazwy: Markiewicza, Rynek Główny.

– To na początku załatwimy Rynek. Jest bliżej – decyduje taksiarz.

Nie dziwię się. Też bym się nie patyczkował z takimi klientami. Chociaż na skłóconych małżeństwach pewnie można nieźle zarobić.

Kontynuujemy rozmowę.

– Aneta, po co ci to? To nie ma nic wspólnego z nami.

– Nie wiadomo. Wreszcie jest ktoś, kto ma ten sam problem i możemy z nim pogadać. Osobiście.

– Co ty pierdolisz?! To nie jest ten sam problem. I nie będzie. Ja nie dopuszczę do tego. Nic za wszelką cenę. Rozumiem, że raz, ale... Po czymś takim próbować dalej? Ile razy? Pięć, dziesięć, piętnaście? Przecież zarznąć się można. I tylko w przenośni, bo to przez in vitro.

– Skoro masz na wszystko taki wpływ, to zrób porządek ze swoim nasieniem.

Nie mam siły. Opieram się wygodnie. Już nic nie mówię. Nie chcę, żeby mnie dalej obrażała przy taksówkarzu. Może zmieni zdanie. Podjeżdżamy na Rynek. Zółta płaci za kurs.

– Idziesz? – pyta.

Kurwa mać! Przecież nie będzie sama łązić po nocy w mini. Zresztą nie wiem, czy po tym, co powie jej Renata, powinna być sama. Niech ją szlag! Wsiadam.

Wchodzimy do klubu. Pilińscy już siedzą przy stoliku. Podsumowujemy spotkanie w pełnym składzie. Nagle Aneta zwraca się do Renaty:

– Leczenie się u kogoś?

– W tej chwili nie. Postanowiliśmy od tego odpocząć. A wy?

– U Haliszewskiego w Promedice.

– A! Myśmy z niego zrezygnowali. A w sumie to on z nas.

– Dlaczego?

– Poddał się. Przy czwartym in vitro i dwóch poronieniach powiedział, że nie podejmuje się dalszego leczenia. Wprawdzie zaproponował dawcę, ale my nie chcieliśmy. Spróbowaliśmy raz jeszcze z in vitro w innej klinice i skończyło się...

– Kurde, nie doceniałem gościa. To jest jednak mądry lekarz – mówię.

Renata nie reaguje na moją uszczypliwość i bez skrępowania pyta, co nam dolega. Małża spogląda na mnie.

– Jestem bezpłodny – wyznaję, wstając.

– Kurde, Wojtek. Naucz się tego wreszcie. Nie jesteś bezpłodny, jesteś niepłodny. – Aneta podnosi głos. Znowu kieruje spojrzenie na Pilińską. – Ma nie najlepsze nasienie – precyzuje.

Nie rozumiem, dlaczego „nie najlepsze” stało się synonimem „chujowego”. Pani redaktor powinna wiedzieć, że to jest spora różnica.

Trzeba coś zamówić, stwierdzamy z Andrzejem. Przy barze kolejka, jak dobrze! Wracamy z napełnionym kuflem, lampką wina i kawą.

– No to za lepszą spermę! – Andrzej unosi filiżankę.

Z niechęcią unoszę kufel. Nie wiem, o co chodzi. Miałem się poczuć lepiej, bo nie tylko ja jestem życiowym wykolejencem? Popapraniec!

– Właściwie to my jesteśmy na początku. Dopiero dwa miesiące temu zgłosiliśmy się na leczenie. No i hormony w normie. Cykle owulacyjne. Tylko nad tym nasieniem musimy popracować. Ale jeśli w najbliższym czasie się nie uda, pewnie będą nas dalej diagnozować albo szukać jakichś rozwiązań.

– Koniecznie zróbcie sobie badania genetyczne. Chociaż u nas niby wszystko w porządku, a jednak... nie w porządku.

– Lekarz mówi, że wystarczy rzucenie palenia – wtrącam.

– Nic takiego nie mówił, Wojtek! – strofuje mnie Aneta. – Twierdził jedynie, że to może pomóc.

– Z nami też tak na początku było – włącza się do rozmowy Piliński. – A potem ruszyła maszyna.

– To znaczy – drąży Aneta.

– Żyłaki powrózka, u Renaty zespół wielotorbielowatych jajników, endometrioza, niedrożny jajowód, konieczna laparoscopia... A potem już w ogóle nie wiadomo co.

– Boże, jakimi wy terminami trzaskacie.

– Też tak będziesz miała – włącza się Renata. – To znaczy... Oby nie. Pierwszy i drugi raz... jak się udało... Ciężce biochemiczne. Dodatni beta HCG, pozytywny test, a na USG pustka. Pustka w obrazie USG, pustka w głowach,

w nas. Totalna pustka. – Milknie. Aneta patrzy pytająco, więc po chwili Renia kontynuuje. – Odchorowaliśmy to, bo za bardzo się nastawiliśmy. Cieszyliśmy się, mimo że wszyscy nas przed tym przestrzegali. Potem... Pechowo... Trzynasty tydzień. Wcześniej trochę krwawiłam, ale nikt nie widział w tym problemu. Bolało, więc miałam brać no-spę. Kazali leżeć i zażywać leki na podtrzymanie. Rano poszłam do łazienki. Połało się ze mnie. Wstałam i poczułam, że... ono... wypadło.

Ciąże biochemiczne? Bolało? Co bolało? Co wypadło? Do mnie trzeba mówić prosto z mostu. Inaczej nie dociera. Może dobrze, że nie dociera. Najlepiej byłoby, gdyby Renata zakończyła zwierzenia. A jednak nie potrafi się już zatrzymać.

– Przez chwilę nie mogłam go pochwycić. Małe, całe w mazi, a ja z trzęsącymi się rękami... Bałam się, że spadnie i tam na dole się utopi.

Utopi? Kto? Czy ona? Czy ona mówi o tym, o czym myślę? O tym, o kim myślę? Czy ona mówi o dziecku? Niemożliwe! Ja pierdolę! Dziecko jej wypadło z... do sracza? O kurwa! Kurwa mać!

– Zawołałam Andrzeja, on... On je trzymał. Mieściło się na dłoni. Jak idiotka myślałam, że nie mogę przeciąć pępowiny, że coś jeszcze zrobią, że jakoś je do mnie... z powrotem włożą. Do dzisiaj mam problemy z wypróżnianiem się. Uraz. Ciągłe szpikuję się preparatami na perystaltykę jelit.

Nie zniosę tego. Słabo mi, a głupio teraz tak ostentacyjnie wyjść, głupio jej przerwać. Głupio okazać zniesmaczenie. Nie ja najbardziej cierpię przy tych wyznaniach, lecz sama Renata. Zakończy, kiedy będzie chciała. Nie będę jej słuchał. Niech tylko Aneta zrobi to samo. Dla własnego dobra. Dla błogiej nieświadomości. Niech nie wie, jak czasem kończą się problemy z płodnością, takie do naprawienia, takie niezbyt poważne na pierwszy rzut oka. Takie jak... Nie! Na pewno nie. Mamy dobry wywiad.

Andrzej czule obejmuje płaczącą Renatę. To jej chyba dodaje otuchy, bo po chwili kontynuuje. Cholera, dlaczego ja nie umiem się z tego wyłączyć?

– Tylko ta pępowina... Gdyby nie było Andrzeja, musiałabym jakoś dojść do telefonu. On zadzwonił po karetkę. Całe szczęście zemdlalam, ale Andrzej patrzył, jak przecinają pępowinę. A potem leki na wywołanie porodu, łyżeczowanie... koszmarny ból.

Piliński oblizuje łyżeczkę po kawie. Nie wytrzymam. Kręci mi się w głowie. Ja bym nie dał rady tak jak on. A myślałem, że to inaczej wygląda: po nogach spływają strużki krwi. Gwałtownie zrywam się z kanapy. W łazience, przemywając twarz, wyobrażam sobie, że miałbym wejść do kabiny i wziąć na rękę swoje dziecko. Na rękę, nie na ręce! *God!* Niech u nas tak nie będzie! Niech nam Haliszewski zrobi wszystkie badania, zanim zaczniemy próbować naturalnie... Ale przecież nie wiadomo, dlaczego u Pilińskich to się tak skończyło. Ja pierdolę, tego nie można przewidzieć.

Wracam do stolika.

– W porządku? – Andrzej chyba zauważa, że nie jestem w najlepszej formie.
– Czegoś potrzebujesz?

– Tak.

Znowu idę do baru. Pięć minut później zapalam papierosa, już siedząc wygodnie.

– Po co nam to mówicie?

– Żebyście... Gdyby się udało... To dopiero początek.

– Przepraszam, ale sądziłem, że kobiecie w ciąży nie wolno się denerwować, a po takich relacjach nie wiem, czy Aneta mogłaby spokojnie spać.

– Owszem, ale wyładowanie na rocznej terapii u psychologa też nie jest dla nikogo dobre. Nasz przypadek jest skrajny, przyznaję, ale takie też się zdarzają. Powinniście pogadać z kimś, u kogo zakończenie było szczęśliwe. U was pewnie takie będzie, skoro problemem jest tylko nasienie. Z tym można sobie z powodzeniem poradzić między innymi dzięki in vitro.

– Nie chcę in vitro – wyznaję stanowczo.

– A chcesz dziecko?

Tym pytaniem zamykają mi usta.

Aneta już zna moje zdanie na ten temat. Nie będę go przedstawiał znajomym, choć mam jeszcze jeden argument na to, że ten zabieg jest zły, że to igranie z naturą. Renata nie wyładowałaby na kozetce, gdyby nie znalazła dzinna, który jej wyczarował dzieciaka.

– Widać, że jesteś na początku i obyś nie zaszedł dalej – zauważa Andrzej.

Aneta ciężko wzdycha. Znowu chwytam ją za rękę. Muszę jakoś zareagować po tej chwili słabości, po której pewnie stwierdziła, że nie poradziłbym sobie w sytuacjach opisywanych przez Pilińską. Owszem, pewnie tak by było, ale ma teraz wystarczająco dużo powodów do zmartwień. Nie będę jej dokładał. Niech żyje w błogiej nieświadomości. Niech nie wie, że nie sprawdziłbym się. Tak jest lepiej. Znacznie lepiej. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Wypalam jeszcze jednego papierosa i się żegnamy, życząc sobie nawzajem powodzenia. Aneta nie ustala z Renatą terminu spotkania na kawę, wykręca się pracą. Deklaruje, że wkrótce zadzwoni. Niech nie dzwoni.

Noc. Leżymy na wznak. Aneta nie śpi. Słyszę to. Oddycha płytko. Przytulam ją najmocniej, jak potrafię.

– Zapytamy Haliszewskiego, co zrobić, żeby uniknąć takich przejść. Zgłosimy się do innych lekarzy, gdyby coś nie grało. Musi być jakaś przyczyna i sposoby jej poznania. Przebadamy się na dziesiątą stronę. Nie będzie jak z nimi. – Nie wiem, czy obiecuję to jej, czy sobie.

Drży. Płacze.

– Boję się.

– Nie wolno ci się bać. Sparaliżujesz jajniki. Tak jak Renata sparaliżowała jelita.

– Muszę posłuchać o happy endach.

– Możesz o nich poczytać na forach.

– Mogę?

– Możesz. Ja też...

Chcę happy endów.

Aneta gwałtownie wstaje. Myślałem, że poznamy lukrowane historie dopiero jutro, ale ona nie będzie czekać. Przynosi laptopa. Dopiero po dłuższej chwili czyta wpisy userek. Cholera, rzadko zdarzają się szczęśliwe zakończenia. Bo dla mnie in vitro, dawca nasienia, adopcja to wcale nie są dobre rozwiązania.

Na moment się wyłączam. Jeszcze raz idę zapalić. Staję na balkonie. Gapię się przed siebie. Znowu myślę o Renacie i Andrzeju. Chciałbym przestać, ale nie potrafię. Nie miałem pojęcia o ich problemach. Byli tak blisko, a ja o niczym nie wiedziałem. Ile jeszcze znam osób, które borykają się z niepłodnością? Ilu mieszkańców sąsiedniego bloku właśnie korzysta z jedynej szansy w miesiącu lub opłakuje kolejny negatywny test? Ilu spędza wieczory już nie w łóżku, a przed monitorem i wymienia teraz z Anetą doświadczenia z wizyt lekarskich? Wokół siebie widzę samych szczęśliwych rodziców, jak wychodzą na spacer z dziećmi. A to na rower, a to na sanki, w zależności od pory roku. A ile jest par, które pozamykały się w swoich gettach, w wirtualnej rzeczywistości? Nie z dzieckiem. Z marzeniem o nim. Ile jest par, które zaszyły się na www.nasz-bocian.pl i nie mają z kim spacerować? Matki na placach zabaw pierdolą o wadach in vitro i owsikach w kupie, a w tym czasie na forach trwają rozmowy o zaletach in vitro i płodzie w kupie. Na ulicach toczy się życie, w necie życie umiera razem z nadzieją. A kolejne pory roku, jeśli zostaną zauważone, przypominają userom, że będzie coraz trudniej. Wtedy, gdy ciągle żyją nienaturalnie, zaczynają igrzać z naturą. Stąpają po kruchym lodzie. Nie, lodem nie poraniliby stóp. Tylko szkłem można się tak poharatać. Ile jest takich, co stąpają po szkle? Uprawiają miłość na szkle. Dosłownie i w przenośni.

Wracam do sypialni. Aneta tym razem siedzi przed ekranem telefonu.

– Spójrz. – Pokazuje mi SMS-a z linkiem.

– Co to jest?

– Adres strony, na której jesteśmy. I nick Renaty.

Mówiłem! Dzisiaj wszystko rozgrywa się na szkle. Wirtualny byt. Albo raczej wirtualny niebyt.

O poranku Małża proponuje, żebyśmy się wybrali do Haliszewskiego. Słusznie. Opowiadamy mu o tym, co usłyszeliśmy od Pilińskich.

– Proszę państwa, to jest tak jak ze wszystkimi forami o niepłodności. Pełno mitów dotyczących leczenia i pełno tragedii, bo ci, którym się udaje, zwykle

przestają się logować i już nie opowiadają swoich historii. To ma sens, kiedy próbuje się już bardzo długo. Wtedy to pomaga, bo można się podzielić doświadczeniami, choć nie należy tego traktować jako źródła fachowej wiedzy. Uważam, że powinniście unikać tego rodzaju znajomości. Zwłaszcza w realnym świecie, bo w pewnym momencie człowiek chce zerwać kontakt i jest to niezręczne. Wolałbym, żebyście się trzymali opinii specjalistów i rozmawiali z psychologiem, a nie – przepraszam za wyrażenie – z fatalnymi przypadkami. To dobrze, że wykazujecie inicjatywę, chcecie poruszać temat, ale ci państwo nie są odpowiednimi kandydatami do pogawędki. Sobie zapewnią terapię, wam zszargają nerwy.

– Jakie badania można zrobić, żeby zyskać pewność, że coś takiego się nie wydarzy? – pytam. – Ja nie przyszedłem tutaj, żeby pan mi powiedział, z kim mogę się zadawać.

– Żyjemy dopiero w dwudziestym pierwszym wieku. O wielu kwestiach medycznych mamy jeszcze blade pojęcie albo nawet żadne. Nie da się wszystkiego przewidzieć. Można zrobić badania genetyczne, ale nie widzę powodów, żeby w tym momencie was narażać na takie koszty.

– To w takim razie jak mamy spłodzić dziecko ze świadomością, że takie tragedie się zdarzają? Jak pan sobie to wyobraża? Od kogo, jeśli nie od pana, mam się dowiedzieć, czy moje nasienie nie spowoduje takiej sytuacji?

– Proszę pana, większość ludzi w ogóle nie bada się przed poczęciem i rodzą im się zdrowe dzieci. Nawet badania prenatalne podczas ciąży robi się w szczególnych przypadkach. Wszystko dlatego, że to często inwazyjne zabiegi. Dopóki nie mam podejrzeń co do państwa stanu zdrowia, nie zlecę poważniejszej diagnostyki. A jeśli się pan boi ciąży biochemicznej, poronienia, przedwczesnego porodu, proszę zapomnieć o prokreacji. Wybaczcie. Rodzice podejmują ryzyko codziennie. Już płodząc dziecko, stają przed wielką niewiadomą. Tak samo stają przed wielką niewiadomą, gdy dziecko dorasta, idzie do przedszkola, potem do szkoły, pracy i w końcu – do człowieka, którego pokochało. To już tak jest, że wraz z tą decyzją pojawia się strach. Nawet w dwudziestym pierwszym wieku.

Kurczę, ma rację. Im bardziej mi zależy na dziecku – szczęściu Anety – tym bardziej się boję. Z każdym dniem, z każdym tygodniem, miesiącem, stosunkiem, testem coraz bardziej. Może ten cykor zaczyna być widoczny. Do tego stopnia, że Andrzej mnie natychmiast zdiagnozował. Wyczuł, że jestem „samym swoim”.

Wychodzimy z kliniki i idziemy do samochodu. Dzwoni matka.

– Jednak nie wypuszczą go w poniedziałek. Oprócz cukrzycy ma wrzody. – Ciężko wzdycha.

– Co?! No chyba żartujesz. Nie zorientował się? Ja piernicę, przecież wrzody i cukrzyca dają konkretne objawy. Co on taki ciemny?

– Pewnie się zorientował, ale wiesz, jaki jest. Dobrze, że wylądował w tym

szpitalu, bo przynajmniej się za niego porządnie wezmą. Ale to pewnie potrwa.

– Trzymaj się. Zjrę do niego po południu. Potrzebujesz czegoś?

Po kilku minutach kończę rozmowę.

– No i się doigrał! – podsumowuję nieodpowiedzialne zachowanie ojca i siadam za kierownicą.

– Dobrze słyszałam? Tata ma wrzody? – docieka Aneta.

– Tak. Gówniarz!

– Dlaczego „gówniarz”?

– Bo matka od dwóch lat wysyłała go do lekarzy.

– Gadasz tak, jakbyś sam nie miał oporów przed medycyną. A spermogram zrobiłeś siłą rozpędu. Tylko dlatego, że głupio było ci przyznać, że to krępujące.

W sumie racja. Ale teraz nie żałuję. Aneta pewnie też. Ojciec również nie będzie żałował. Ani matka.

Przeciążenie

Rozpoczynamy kolejny cykl. Powiniennem się zgłosić na następny spermogram, ale muszę to przełożyć. Muszę wyznać Anecie, że tak naprawdę rzuciłem palenie dopiero po odbiorze wyników, więc lepsze parametry uzyskam najwcześniej w przyszłym miesiącu. Mam dużo czasu na zapoznanie jej z prawdą. Nie chcę psuć atmosfery przed jajeczkowaniem. Postanawiam, że tym razem ja wymyślę coś szalowego. Spragniony seksu po długim poście (okres), obmyślam scenariusze naszej najnowszej erotycznej produkcji.

Z zadumy wyrywa mnie telefon. Sekretariat.

– Cześć, zapraszają cię na dywanik.

– Teraz?

– Natychmiast.

Dlaczego tak nagle? O co chodzi? W drodze do gabinetu menedżera zastanawiam się, czy ostatnio czegoś nie schrzaniłem. Nic nie przychodzi mi do głowy. Wkładam koszulę do spodni i po chwili stoję przed przełożonym.

– Siadaj. – Wskazuje fotel.

– Aha, więc jakaś dłuższa rozmowa – mówię z niepokojem.

– Nie masz się czym martwić.

– Skoro tak, to rzeczywiście spocznę. – Zajmuję miejsce. Oddycham z ulgą.

– Ja i Zawada podjęliśmy decyzję o zmniejszeniu działu.

Wiadomość spada na mnie jak grom z jasnego nieba. Żołądek wcale nie podchodzi mi do gardła, jak to bywa w momentach zdenerwowania. Gorzej, poddaje się grawitacji, jakbym niespodziewanie spadł ze stromej góry. Wystarczy stracić etat, żeby zrozumieć, co niesamowitego jest w skoku na bungee. A buc mówił, że nie muszę się obawiać.

– Zapowiadałeś dobre wieści, a początek brzmi tragicznie.

– Nie widzisz, co się dzieje? Coraz mniej przedsiębiorców chce pośredników. Zresztą teraz wszyscy biją się o tanią siłę roboczą, a nie o specjalistów. Trzeba zmienić profil. Poszerzyć działalność o typowe pośrednictwo pracy. Nie możemy się zajmować tylko head huntingiem. A kwalifikowanie ludzi na zmywak... to nie dla ciebie.

– Świetnie. Gdzie ja teraz znajdę robotę po socjologii i anglistyce? Mogę rekrutować ludzi na zmywak. Skoro umiem się dogadać w sprawach górnictwa, wiertnictwa, chirurgii, genetyki, farmakologii, fizyki molekularnej, energetyki jądrowej, biochemii i nie wiadomo czego jeszcze, to z prostszymi tym bardziej sobie poradzę.

– Spokojnie, nie będziesz przyjmował ludzi na zmywak i nie wylecisz

z firmy. Musimy uruchomić nowe struktury. Powinien je tworzyć ktoś, kto już zasiadał w zarządzie, czyli ja. Nie zdołam rozszerzać działalności i równocześnie panować nad head huntingiem. Dlatego swoje obecne stanowisko zamierzam powierzyć tobie. Dział będzie znacznie mniejszy, poradzisz sobie, bo długo pracujesz, wiesz, o co chodzi.

Przez chwilę milcząc osłupiały.

– Oddasz mi swoje stanowisko?

– Dokładnie.

– Przepraszam, a swoje zarobki też mi oddasz? – żartuję.

No bo skoro jego stołek, plakietka, to i jego płaca. Chyba dobrze rozumiem.

– O tym decyduje Zawada. Zaraz tu przyjdzie i wszystko uzgodnicie.

Trafiłem na dywanik, bo mam dostać awans. HR menedżer. Super! Tego bym nie wymyślił. Banan na gębie. Chociaż skoro muszą zmienić politykę korporacji, to znaczy, że kryzys jednak szaleje. Na szczęście mnie nie dotknął. Wręcz przeciwnie.

Słychać pukanie do drzwi. Dyrektor wchodzi do pokoju.

– I co? Już wiesz mniej więcej, jakie mamy plany? – zwraca się do mnie.

– Tak, ale jeszcze nie znam warunków.

– No więc na pewno miałbyś znacznie więcej zajęć, ale zarobki też inne.

Dziewięć na rękę plus premie uzależnione od wyników załogi. Zakresu obowiązków chyba nie muszę omawiać.

Uśmiecham się promiennie.

– Kiedy zaczynam?

– Najpierw Londyn. Nie pozwolą nam przecież bez firmowego certyfikatu.

Musimy przejść przez ten cyrk. Za dziesięć dni początek szkolenia. Dwa tygodnie. Zdasz egzamin, wrócisz, podpiszemy umowę.

– Zdam egzamin, wrócę, podpiszemy umowę – potwierdzam.

– No to wysłałam ci mejlem ankietę. Potrzebuję skanów dokumentów do wstępnej kwalifikacji: CV, dyplomy wyższych uczelni, certyfikaty językowe, zaświadczenia o kursach i szkoleniach. Przede wszystkim potrzebne są te z prawa pracy. Chciałbym też, żebyś stworzył listę osób, które miałyby pozostać w twoim zespole.

„Twoim zespole”! Jak to wspaniale brzmi! Kadra zarządzająca w międzynarodowej korporacji! A przed chwilą zastanawiałem się, gdzie szukać pracy. Z doświadczeniem menedżerskim w takiej firmie znajdę ją wszędzie. Teraz już wszędzie.

– Ile osób ma u mnie zostać?

– Piętnaście. Trzech hunterów. Reszta doradcy i pośrednicy. Od razu mówię, że Jarek Grzegorzewski idzie do nas, a co do pozostałych... Jak to przemyślisz, będziemy dyskutować.

O ja cię! Rzeczywiście planują spore zmiany. To połowa dotychczasowej kadry. Jak ja mam zrobić dobrą premię, mając tak małą ekipę? Oby się nie okazało, że tyrając więcej, zarobię tyle samo, co wcześniej. W korporacji zwykle właśnie tak wyglądają awanse. Aczkolwiek te dziewięć kafli to pewne pieniądze. Kolosalna kwota, co miesiąc spływająca na konto. Szkoda tylko, że z wyższą pensją wiążą się tak nieprzyjemne obowiązki jak klasyfikacja pracowników i przesiew. No, ale czego się nie robi dla tyłu patyków? A co do Jareczka Grzegorzewskiego, niech spada na drzewo. Z bucem nie chcę mieć nic wspólnego.

Po południu jadę do ojca. Cholera, coraz gorzej ze staruszką. Nie mogą mi wyrównać tego cukru. Widać, że chłop się męczy. Coraz rzadziej wstaje, bo jest tak osłabiony. Ciągle chudnie. Końca leczenia nie widać. Może mój sukces poprawi mu humor.

– Niedługo już nie będę headhunterem – mówię i wysoko unoszę głowę.

– Czyli kadrowym? – Ojciec jak zwykle szuka polskich odpowiedników dla moich stanowisk.

– Gdybyś był zdrowy, tobym się kłócił.

– Zwalniają cię?

– Wręcz przeciwnie. Teraz mam być menedżerem działu.

– Czyli kierownikiem?

Wybucham śmiechem.

– Nie dasz za wygraną. Tak, kierownikiem. – Nie mam już siły się spierać.

– Kiedy ty się zajmiesz rodziną, a nie gromadzeniem i rozpieprzaniem majątku?

– Dlaczego uważasz, że nie zajmuję się rodziną?

– Bo na razie wnuki dostają tylko od Aśki, a jest młodsza od ciebie.

Jeszcze tego brakowało, żeby on zaczął zadawać natrętne pytania.

– No i z racji wieku jest mniej przezorna. Stąd te dzieci.

Wracam do domu. Anety jeszcze nie ma? Dziwne. Dzwonię do niej. Umawiamy się w knajpie. Uczymy awans kolacją.

Kelner odchodzi. Wreszcie mamy okazję porozmawiać. Unoszę szklankę z wodą.

– Za HR menedżera!

– Słucham? – pyta z niedowierzaniem Małża.

– Celiński obejmuje nowy dział, *head hunting* zostaje dla mnie.

Widzę, że informacja powoli do niej dociera. Rozpiera ją duma. Byłaby gotowa teraz powiedzieć: „Nie doceniałam cię”. Niech to powie! Nie mogę jej dać dziecka, ale spełnię się jako mąż, bo przyniosę do domu furę kasy. A za furę kasy kupię jej rodzinną furę.

– Żartujesz sobie?! Gratulacje! A przepraszam, z tym awansem coś jeszcze się wiąże?

– Podwyżka. – Stopniowo buduję napięcie, nie ujawniam od razu szczegółów. Uwielbiam, kiedy mnie kokietuje tak jak teraz.

– Ile będę mogła wydawać na waciki? – Zakłada nogę na nogę, wypinając biodro, nachyla się, przeczesuje włosy.

– Dwa patyki więcej. Do tego premie, ale wiele na nich nie ukręcę, biorąc pod uwagę sytuację w branży i mały zespół.

– Nie jestem wymagająca. Tyle mi wystarczy. Może w takim razie zamówimy jeszcze deser?

– Zamawiaj. Stać nas. Chociaż zaczynam dopiero za miesiąc. Najpierw muszę zdobyć certyfikat w Londynie.

– Kiedy lecisz? Na jak długo?

Już otwieram usta. Już mam odpowiedzieć, gdy nagle, spoglądając na nią, uświadamiam sobie, że o czymś zapomniałem. Pewien drobny szczegół wyleciał mi z głowy. Przez chwilę się zastanawiam, jak wyznać prawdę. Liczę na jej zdrowy rozsądek. Może jeszcze nie jest na takim etapie, że każe mi zrezygnować z awansu, bylebym tylko poszedł z nią do łóżka.

– Pytałam o coś! Helo! – Macha dłonią przed moimi oczami. – Kiedy wyjeżdżasz?

– Za dziesięć dni – szepczę.

Odwracam wzrok. Jak idiota się łudzę, że nie pamięta o terminie owulacji. A przecież nawet jeśli w tej chwili nie uzmysłowi sobie, że szkolenie koliduje z zaplanowanym seksem, w końcu to do niej dotrze. Prędzej czy później. Najpóźniej w okolicach osiemnastego. Już sobie wyobrażam tę noc spędzoną na Skypie. Jej bluzgi. Oby ściany pokoju hotelowego były wyciszone. Bo na to, że nie będzie tam Wi-Fi, chyba nie mam co liczyć. Zresztą lepiej się skonfrontować wirtualnie niż realnie po powrocie.

– Ja mam wtedy jajeczki! – krzyczy, z impetem odstawiając literatkę.

Cud, że się nie zakrztusiła.

Nie doceniłem jej. Nie musi wyjmować kalendarza. Zegar biologiczny ma wbudowany w pamięć. Para siedząca obok spogląda ze zdumieniem.

– Hormony – tłumaczę ją. To zawstydzą zakochanych tak, że natychmiast zatapiają wzrok w zupie. Zwracam się do Małży: – Wiem. Właśnie przed chwilą zdałem sobie z tego sprawę.

– No i co?

– Tego nie da się przełożyć – stwierdzam stanowczo.

– No jasne. Brakuje tylko, żebyśmy starając się o dziecko, przekładali owulację. Paranoja.

– Mówiłem o wyjeździe. Że nie da się przełożyć wyjazdu. Owulacji pewnie też. Aż takim osłem nie jestem, żeby nie wiedzieć, że natury nie oszukasz... Chociaż Haliszewski coraz częściej mnie przekonuje, że to jednak możliwe –

dodaję.

– Pojedziesz, tak? – Zołza opiera się na krześle z założonymi rękami. Nie ma w sobie już nic z Brendy.

– Nie pojedę.

– Naprawdę? – Od razu zmienia ton.

– Naprawdę. Nie pojedę. Polecę. – Sam nie wiem, dlaczego się z nią tak wrednie drocę. Pewnie dlatego, że narobiła obciachu. – Nie zrezygnuję z dwóch tysięcy miesięcznie dla jednego seksu.

– Dla seksu? Dla seksu?! – Znowu wszyscy słyszą oburzenie Zołzy i są przekonani, że zaprosiłem ją na kolację, żeby rozłożyła przede mną nogi.

– Źle się wyraziłem.

– My już nie mamy czasu. To znaczy może ty masz, ale ja...

– Aneta, to są dwa patole miesięcznie – tłumaczę spokojnie.

– Nie umieramy z głodu. Nie potrzebujemy tych pieniędzy. – Zbiera jej się na płacz.

– Bo jeszcze nie mamy dziecka.

Ale jestem wyrachowany! Z premedytacją używam tego argumentu. Trudnego do zbita w obecnych okolicznościach.

– I jak tak dalej pójdzie, nie będziemy go mieli – odpowiada.

Nieoczekiwanie wstaje i idzie do wyjścia. Płacę za niezjedzoną kolację i wracam do samochodu. Pół godziny później staję w progu sypialni.

– Przepraszam, zapomniałem, naprawdę. Ucieszyłem się i... Wpadłem na pewien pomysł. Powiem Celińskiemu, żeby mi na dwa–cztery dni zarezerwował dwójkę, dopłacimy. Weź urlop i leć ze mną.

– Wtedy zamykam numer – szepcze.

Nadal leży na łóżku, odwrócona do mnie plecami.

Wybucham śmiechem.

– Co za hipokryzja! Ja mam zrezygnować z awansu, bo ty nie zrezygnujesz z zamknięcia numeru? Świetnie. Miałaś kiedyś rację, że my do niczego nie dojdziemy. Nawet do orgazmu.

– Nikt mi nie da wolnego na te dni.

– Kiedyś dostałaś. Zresztą jest jeszcze urlop na żądanie. Albo Haliszewski wystawi ci L4.

– Wojtek, ty nie rozumiesz? – Wreszcie zmienia pozycję, patrzy mi w oczy. Podnosi głos. – Wezmę urlop na żądanie i mnie wywałą. To samo z L4. Możemy stracić twoje dwa tysiące albo sześć moich. Decyduj. A ja muszę mieć świadczenia, skoro planuję ciążę. Ty nie wiesz, co się dzieje u nas w firmie.

– Jeszcze coś się dzieje? Nic nie mówiłaś. Co jest grane?

Małża staje tuż przede mną.

– Po ostatnim zwolnieniu zapytano mnie, czy na pewno chcę pracować.

– Słucham?! W redakcji, która rozpisuje się na temat dyskryminacji zawodowej kobiet?! No bez jaj!

– Nie widzisz, że ja coraz później wracam? To dlatego, że Paulina teraz pracuje na pół etatu, a Moniki nie ma wcale, bo nie przyjęła umowy-zlecenia.

– To rzeczywiście nie ma mowy o urlopie na żądanie ani L4. Cholera! – Pocieram czoło. Mobilizuję szare komórki. Musi być jakieś rozwiązanie. – Zapytaj o bezpłatny. Może się uda.

– Zapytam, ale niczego nie gwarantuję.

– A gdybyś otwarcie wyznała naczelnej, o co chodzi?

– Wojtek, proszę cię. O czym ty gadasz?

– No tak, skoro w taki sposób zareagowała na zwolnienie... Dlaczego nic nie powiedziałaś, co?

– A jak myślisz?

– Nie myślę.

– Bo się bałam, że... – spuszcza głowę – że stwierdzisz, że nie możemy sobie pozwolić na dziecko, skoro istnieje obawa, że stracę etat. Dlatego tak ucieszyłam się z tego twojego awansu. Uznałam, że nawet jak mnie wyleją, jakoś sobie poradzimy.

– Spokojnie. Nie głodujemy, jak już wcześniej wspomniałaś. Jakbyśmy trochę zmienili przyzwyczajenia, to wyżylibyśmy nawet z mojej obecnej pensji. Jakoś. – Sumuję w myślach miesięczne zobowiązania. Nie wygląda to dobrze, ale nic nie będę mówił. Przytulam ją. – A ubezpieczyć możesz się zawsze na mnie. Poza tym pewnie przesadzasz, przecież jesteś ceniona w redakcji, jesteś wydawcą portalu, nikt tam nie ma kierunkowego wykształcenia...

– Już wspominali o rozwiązaniu umowy. Utrzymałam stanowisko, bo zgodziłam się zarabiać siedemset złotych mniej.

– Ja pierdołę! Rata za samochód.

– Właśnie. – Uwalnia się z uścisku. – Dlatego. Kurwa. Kurwa mać! Musisz jechać... Lecieć.

Nie wierzę. Jak śmieli ją tak poniżyć? Tak wykwalifikowaną, doświadczoną redaktorkę. Skurwysyny! Dla takich nic nie warto robić...

– A gdybyś rzuciła tę robotę, pojechała ze mną, a potem znalazła coś nowego?

– Będąc w ciąży, tak? Czy mam zająć w nią dwa tygodnie po podpisaniu umowy? Długo bym tam miejsca nie zagrzała. Zresztą wcześniej o tym myślałam, szukałam. Nic nie ma. Chyba że za marne grosze. To Kraków. Myśmy się jeszcze wstrzelili w dobry czas, ale teraz na rynku jest posucha. Poza tym ja tam dziesięć lat walczyłam o swoją pozycję, o ich pozycję... – Znów nie wytrzymuje napięcia.

– To się niedługo skończy. – Obejmuję ją. – Pieprzyć takich kapitalistów. Zaciążymy i pójdiesz na L4. Nic nie będą mogli ci zrobić. Potem macierzyński.

W trakcie zaczniesz szukać czegoś lepszego.

– Żeby zaciążyć, muszę iść z tobą do łóżka. A to nie jest takie proste, biorąc pod uwagę twój menedżerski grafik.

Co mam jej odpowiedzieć? Brak mi słów. Najlepiej byłoby, żeby zaszła w ciążę, zanim zaczną się jeszcze większe redukcje. Najlepiej, żeby zaszła w ciążę właśnie teraz. Miałyby posadę i spokój zarazem. Ale żeby tak się stało, musiałbym być w Polsce. Z kolei jeśli zrezygnuję z awansu, a plan „poczęcie” się nie powiedzie, i tak możemy za jakiś czas zostać tylko z moją pensją. Tą niższą. Bez dziecka i bez pieniędzy. Choć wersja „z dzieckiem i bez pieniędzy” byłaby jeszcze bardziej zatrważająca. I po chuj nam te wszystkie szkoły?! Pierdolony, bezlitosny, nieludzki kapitalizm!

– Jaka decyzja? – pytam, gdy Aneta przechodzi tuż obok z kubkiem herbaty.

– Jedź. Znaczą: leć. – Zmierza do łóżka.

– Okej. Przepraszam.

Całuję ją. Ulga. Idę zdjąć ciuchy. Nagle słyszę dochodzący z sypialni płacz. Z początku cichy, potem coraz głośniejszy. Wracam do pokoju. Kładę się obok Anety.

– Jesteś wściekła – stwierdzam i ocieram jej łzy z policzków.

– Tak.

– Małżuś...

– Nie na ciebie. Na okoliczności. Wszystko się chrzani, nam po prostu nie jest dane.

– Zaparzę jeszcze jedną herbatę. Powygrzewamy się w wannie, poczytamy, co?

Bezradność. To mnie zawsze najbardziej irytowało: brak wpływu na własne życie. Z takich sytuacji jest jedno wyjście – trzeba się napić gorącej herbaty. Bo co innego można zrobić? Właśnie o to chodzi, że nic nie można.

Dziecko na gwałt

Nerwowo przegrzebuję szuflady biurka.

– Aneta! Aneta! – wołam.

Zawsze musi siedzieć w łazience. Twarz Hollywoodu. Shannen Doherty. Brenda, która ma bliżej niż dalej do menopauzy i resztę życia spędzi na modelowaniu szyi i dekoltu. Co się z nią dzieje? Ciągle coś w siebie wciera, mimo że regularnie łązi do kosmetyczki. No tak, słyhać szum wody. Kąpie się, to dlatego nie słyszała. Pukam. Staję w drzwiach. Małża splukuje szampon z włosów.

– Nie widziałaś moich dyplomów z chujotu?

– W teczkach na regale.

Niesamowite odkrycie. Godne Magellana.

– Tam już szukałem.

– Nie denerwuj się, gdzieś na pewno są. Zaraz ci pomogę.

Jasne. Święty Antoni odpowie na moje modły, zanim Aneta wsmaruje balsam w uda i krem czterdzieści minus w cycki. Wracam do pokoju. Wysuwam szuflady biurka z szyn. Wyjmuję ze środka wszystkie dokumenty. Dzwoni telefon, ale go ignoruję. Nie mam czasu na gadkę o pogodzie z matką. Bo to na pewno ona telefonuje w nieodpowiednim momencie, skoro Małża wygrzewa się w wannie.

No nie ma. Ani z socjologii, ani z anglistyki. Niech to szlag! Zrezygnowany padam na kanapę. Jak zwykle zostawiłem wszystko na ostatnią chwilę. Jak zwykle żałuję tego poniewczasie.

Ku mojemu zaskoczeniu Małża zjawia się obok.

– Najwyżej doślesz – uspokaja, wycierając głowę.

– Jeśli nie znajdę, już nie będzie potrzeby.

– Przecież już kiedy przyjmowali cię na huntera, musieli być pewni, że masz wyższe pełne. Po co im teraz dyplomy?

– Bo to pierdolona korporacja, w której nie wiadomo, kto tak naprawdę decyduje. – Wyrzucam na podłogę zawartość segregatorów. – Kuźwa, no. Twoje są wszystkie. – Bezradnie staję na środku salonu.

– Komórka ci dzwoni – zauważa Aneta.

– Głuchy nie jestem.

– I co?

– I nic. – Nie odrywam wzroku od sterty papierów na parkiecie.

– Mam odebrać?

– Nie. Matka. Mogę się założyć.

Jednak tym razem dźwięk dochodzi z sypialni. Telefon Anety. Małża po chwili przekazuje mi aparat.

- No co jest? – rozpoczynam niezbyt sympatycznie.
- Wojtuś, przyjeżdż, dobrze?
- Mamo... Dobra, ale później, bo...
- Przyjeżdż teraz. – Przerzywa połączenie.
- Co się stało? – pyta Aneta.
- Umyśliła sobie, że mam do niej przyjechać. – Przewracam oczami.
- Dlaczego? – niemal szepcze.
- Bo jej się pieprzy we łbie na starość. – Zakładam buty. – Postaram się jak najszybciej wrócić. Poszukasz w międzyczasie tych pierdół? Możesz?
- Nie chcesz, żebym pojechała z tobą?
- A po co? W szlafroku? Tu się bardziej przydasz – mówię.

Całuję ją na pożegnanie. W sumie dobrze się stało. Aneta spokojnie przejrzy papiery, a ja zrelaksuję się w towarzystwie mojego mustanga.

Wracam po dwóch godzinach. Małża już w progu informuje cicho, że znalazła dyplomy.

– Świetnie. Dziękuję – odpowiadam chłodnym tonem. Mijam ją. Siadam na skraju sofy. Pocieram czoło. – Zrobisz mi kawę?

Aneta ma kobiecą intuicję. Czują, że wydarzyło się coś złego, jeszcze zanim wyszedłem. Teraz jest już tego pewna. Kuca przede mną.

- Ojciec?
- No.
- Co się dzieje? – Patrzy mi prosto w oczy, kładzie dłonie na moich kolanach.

Wzdycham ciężko, żeby jakoś przetrwać te chwile. W końcu mówię:

- Trzustka. Rak.
- O cholera!
- Zrobisz mi tę kawę?
- Jasne – odpowiada i w okamgnieniu zaczyna się krzątać się po kuchni.

Idę do łazienki. Aneta odprowadza mnie wzrokiem. Schładzam twarz wodą. Jakbym chciał zmyć z siebie cały ten natłok myśli. Debil! – przed lustrem wyzywam starego od najgorszych. Wiedział, że coś mu dolega. Wiedział, że się kończy. Stąd te teksty o wnukach, które go do tej pory nie interesowały. Nowotwór. Do tego nieleczona cukrzyca, wrzody, nałogowe palenie. Całe szczęście, że ja się uwolniłem od tego syfu.

Siadam w salonie naprzeciwko Małży. Długo milczymy.

- Zaraz to posprzątam. – Aneta wskazuje na porozwalane papiery.
- Ja posprzątam. Ja rozpiździłem.

Tępo wpatruję się w skazę w stole. Przeciagam po niej palcami. Nie, to nie od jedzenia.

- Co dalej?

– Zaawansowane stadium. W sprawie leczenia skontaktują się z jakimś specjalistą. Może go przyjmie do siebie na oddział. Na razie zostaje na diabetologii. Skąd to się wzięło? – Pokazuję skazę.

– W porządku? Potrzebujesz jeszcze czegoś? – pyta Małża, stawiając przede mną kawę.

– Nieprawdopodobne. To twarde drewno, powinno być trwałe – mówię.

Z czasem przestaję się koncentrować na ubytku. Upijam łyk kawy, wstaję, żeby ją posłodzić. Aneta powstrzymuje mnie w ostatniej chwili.

– Wsypałam dwie łyżeczki. Nie czujesz?

– A, sorry. – Zapada cisza. Opieram ręce na blacie, schylam głowę. Wreszcie odwracam się do Małży. – Kurwa! Powinienem go odwiedzić. Jak się zachować, czy jakby nigdy nic, czy jakbym wiedział, że... to tylko kwestia czasu?

– Zorientujesz się. Pojadę z tobą. – Głaszczę mnie po ramieniu.

– Zorientuję, jasne. Będę się pieścił z gówniarzem. – Podnoszę głos i wstaję.

– Mam ochotę skopać mu tyłek. Naprawdę mam ochotę skopać mu tyłek. – Aneta podchodzi, przytula mnie. Oddycham głęboko, miarowo. Czuję mocny ucisk w skroniach. – Pojedziemy, jak wypijemy kawę – stwierdzam spokojnie.

Dwie godziny później przekraczam próg szpitalnej sali.

– No to już wiesz, czemu by mi się więcej wnuków przydało. – Na mój widok ojciec kolejny raz porusza drażliwy temat.

Z dumą spogląda na Aśkę, która bez prośzenia dała mu to, czego pragnął. I przyjechała do szpitala przede mną.

– Gdybyś powiedział o swoich dolegliwościach lekarzom, może zdążyłbym z tym dzieckiem. Nawet byś je poznał.

– Wojtek! – strofuje mnie siostra.

– No co? Taka jest prawda – odpowiadam. Odwracam się na pięcie i wychodzę.

Muszę jeszcze znaleźć Anetę. Poszła do sklepu po wodę. Czekam na korytarzu. Zamiast Anety pojawia się matka.

– Czemu nie możemy dokończyć rozmowy, co? Ojciec pyta, docieka...

– Ojciec lubi żyć w błogiej nieświadomości – odpowiadam znowu uszczypliwie.

– Wojtek!

Wszystkie baby są takie same. Jeszcze raz usłyszę swoje imię wypowiedziane z wykrzyknikiem i sam zacznę krzyczeć.

– Co mam ci powiedzieć? Nie jestem prorokiem. W tym miesiącu na pewno się nie uda, bo jestem w Londynie.

– Jemu by bardzo zależało...

– Mnie też by bardzo zależało, ale nie mam wpływu na wszystko. – Już próbuję odejść, lecz matka staje przede mną w taki sposób, że chcąc zrobić krok do

przodu, musiałbym ją staranować.

– Więc Aneta, tak? Co jej jest? Leczy się? – nie przestaje drażnić.

– Mamo... – Staram się sobie przypomnieć wszystkie schorzenia, o których czytaliśmy na forum. Może da mi spokój, jak wymyślę jakąś diagnozę. Wzdycham, przewracam oczami. Endo... nie endoproteza... endemonium? Coś innego? Cholera, nic mi nie przychodzi do głowy. Jest! – Ma endometrium. Aneta ma endometrium.

– Każda kobieta ma endometrium.

Jak to? Niemożliwe. Cholera, chyba coś pochrzanilem. To na sto procent było coś z endo... I na sto procent to była jedna z przyczyn niepłodności. Pewnie staruszce się coś pokićkało.

– Może ci chodzi o endometriozę. Tak?

– No! Porypało mi się – mówię.

Uff, mamusia jest niezastąpiona; sama podsunęła mi kłamstwo.

– A in vitro by nie pomogło? Nie chcecie spróbować?

– Mamo... – W tym momencie podchodzi do nas Małża. – Idziemy – zarządzam.

– Tak szybko?

– Tak. – Chwytam ją za rękę.

– Ale ja się z tatą... – przerywa, ścisząc głos – nie pożegnałam.

– Jeszcze będzie okazja.

Wieczór. Tępo wpatruję się w ekran laptopa, czytając pojedyncze hasła: „cichy zabójca”, „czasem rok, czasem miesiąc”, „rzadko kiedy operacja”, „rzadko kiedy chemia, radioterapia”, „bolesna agonია”, „opieka paliatywna”. Aneta, sprzątając, skutecznie przeszkadza mi w zebraniu myśli.

– Weźmiesz te dokumenty do pracy? Nie lepiej je tutaj zeskanować? – Już podchodzi do komputera.

– Nie musisz.

– Potem znowu będziesz szukał w nieskończoność. Co za problem? – Uruchamia skaner.

– Nie potrzebuję ich.

Przestaje się krzątać. Siada. Przypatruje mi się osłupiała.

– Znaleźli w biurze?

– Nie. Raczej nie. Po prostu nie jadę. Nie lecę.

– Dlaczego? Przecież...

– Przecież masz jajczkowanie.

Już nic więcej nie mówi. Wcale się nie cieszy. Chyba wie, że to była strasznie trudna decyzja. Widzi, że wszystko, co się ostatnio dzieje, mnie przytłacza. To, że osiągnęła cel, nie daje jej satysfakcji, ponieważ zbyt wiele kosztowało. Zresztą to nie ona na mnie wpłynęła, lecz cichy zabójca. Już nie czytam o nim, choć dalej gapię się w monitor.

– Nie mogę zrobić spermogramu w tym cyklu. Jeszcze przez miesiąc popalałem, żułem gumy, używałem plastrów – mówię. Podchodzę do siedzącej Anety, kładę głowę na jej udach. – Przepraszam.

Przez chwilę milczy. Głaszcze mnie po głowie.

– Przykro mi. Strasznie mi przykro. Płacz, będzie ci łatwiej.

Zaciskam powieki, próbuję się powstrzymać. Nie mogę. Rozsadza mi skronie.

– Jezu, jak dobrze, że jesteś, Małżuś – szepczę.

O poranku zjawiam się w sekretariacie. Modłę się, żeby dyrektor nie uznał, że się wypaliłem, że nie zależy mi na rozwoju osobistym. To byłby początek końca.

Asystentka opuszcza gabinet, pozwala mi wejść do środka.

– Można na moment? – Przekraczam próg.

– Proszę. Masz dokumenty?

– Mam problem. To nie jest tak, że nie chcę... Mam nieciekawą sytuację w rodzinie. Mój ojciec choruje na zaawansowanego raka trzustki i takie dwa tygodnie, spędzone na szkoleniu...

– To dla ciebie strata czasu?

Jednak nie zrozumie powodów. Nowotwór wśród najbliższych to żadne wytłumaczenie dla szefa pralni mózgów. Potrzebne są mocniejsze argumenty. O ile pracownik korporacji może mieć jakiegokolwiek argumenty.

– Jest jeszcze coś. Staram się o dziecko. Z mizernym skutkiem. Powinienem wykorzystać każdą szansę, skoro ojciec jest w takim stanie, a właśnie w terminie szkolenia...

– Nie musisz mi tego wszystkiego mówić.

– Po prostu tu nie chodzi o brak ambicji.

– Domyślam się. Przykro mi.

– Jeśli nie pojedę...

– To zostaniesz na stanowisku headhuntera w swoim dziale, a pojedzie Jarek Grzegorzewski.

Kuźwa! Ten imbecyl będzie moim przełożonym. To jest jakaś kara. To wszystko to jest jakaś pieprzona kara! Za co? Za Magdę? Przyszło mi to do głowy podczas naszego ostatniego spotkania, kiedy mówiła o ironii losu, ale odrzuciłem tę myśl.

Tak naprawdę powinienem się cieszyć, że w ogóle mam jeszcze stanowisko mimo rezygnacji z awansu.

– Dziękuję za wyrozumiałość. I przepraszam, że zawiodłem – mówię.

Muszę do CV, do podpunktu: „języki” dopisać ten korporacyjny jako kolejny, którym biegle władam. Ale tak całkiem serio, jestem wdzięczny dyrowi. Naprawdę wdzięczny.

Wychodzę z sekretariatu. Chyba z nerwów zaschło mi w gardle. Masuję szyję i czuję powiększone migdały. Trzeba skoczyć do apteki po coś na gardło.

Wracając, spotykam pod biurowcem wszystkich nałogowców.

– Znowu po plastry? – zaczepia mnie Jaruś.

Jaruś Grzegorzewski, idealny spermodaj, idealny palacz, idealny mój przyszły kierownik.

– Nie. Jakiś niewyraźny jestem.

– Nie możesz lecieć? – Zaciąga się.

– Nie mogę.

– Nie chcesz zostawić żony? – włącza się do rozmowy Bartek.

– No. – Dopiero po chwili zaczynam się zastanawiać, skąd znają powody mojej rezygnacji. Szefunio już pewnie zdążył uświadomić Jarka i oczywiście fama poszła po firmie za sprawą tego buca, cHujaRowca.

– Kiedy moja była w ciąży, to też prawie mnie przywiązała do siebie.

W ciąży? Co oni? No tak, przecież po zjedzeniu lunchu w kurczakowni pochwaliłem się, że zostanę tatusiem. A potem tego nie odkręciłem. I nie odkręcę.

Szybko opuszczam towarzystwo. Towarzystwo palaczy, kierowników, ojców.

*

Osiemnasty dzień miesiąca. Gdyby los był dla mnie łaskawy, gadałbym właśnie z Anetą, zamknięty w czerwonej budce telefonicznej. *At five o'clock p.m.* czasu „bigbeńskiego”, przemoczony, wszedłbym do pubu. Obserwowałbym przejeżdżające piętrowe autobusy lub knajpiane rozgrywki dartów. Zamówiłbym *a cup of tea*. Popijałbym nią *sandwich with salad*. Zamiast tego popijam masę tabletek. Nie tylko tych na płodność.

Gdyby los mnie oszczędzał, wróciłbym teraz ze szpitala i już od progu zasypywał Brendę pocałunkami. Kamerę – zakupioną przed kilkoma dniami – ustawiłbym w centralnym punkcie pokoju, żeby uwiecznić ten moment, kiedy jesteśmy piękni, młodzi i uwielbiamy się przed sobą rozbierać. Od tej chwili każdą grę wstępną rozpoczynalibyśmy od obejrzenia striptizu Brendy. Wspominalibyśmy, że właśnie wtedy poczęliśmy Mateusza. Kolejne filmy rejestrowałyby już tylko jego rozwój. Od zapłodnienia do dorosłości.

Gdyby los się na mnie zajebiście nie mścił, miałbym dzisiaj ochotę na seks. Mam ochotę na sen.

Małża wchodzi do sypialni. Stawia na komódce kubek pełen theraflu. Fu!

Trzeba przyznać, że bardzo się stara. Chce mnie postawić na nogi. Nie, tak naprawdę to chce postawić waclawa, nie oszukujmy się.

– Sprawdziłaś?

– Sprawdziłam, ale zaraz jeszcze zadzwonię do Haliszewskiego. Więc tak:

w spermie nie ma wirusa. Choroba przenosi się drogą kropelkową. Dlatego można uprawiać seks, ale bez buziania. Grypa jest niebezpieczna dla dziecka na początku ciąży, więc lepiej, żeby się jej nie nabawiła.

Prawdę mówiąc, liczyłem, że okażę się dla Małży poważniejszym zagrożeniem. Przypadkiem kwalifikującym się do kwarantanny. Podciągam kołdrę, wzdychając ciężko.

– Zimno ci? A jeśli masz gorączkę? Nie możesz mieć gorączki. Dam ci następną pyralginę. – Znika za drzwiami.

Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak bardzo nie chciało mi się iść do łóżka. Oczywiście nie w dosłownym znaczeniu tych słów, bo w obecnej sytuacji to ja w ogóle bym nie wychodził z łóżka.

Mierzę temperaturę. W normie. Czas powygrzewać się w wannie. Aneta już napuszcza mi wody. Czy nie mogłaby być taka uczynna przez pozostałe trzydzieści dni w miesiącu?

Delikatnie wcieram w skórę żel pod prysznic. Ręką. Próbowałem gąbką, ale to zbyt bolesne. Niech mnie dzisiaj nikt nie dotyka. Nawet Brenda. Nie chcę.

– Mogę się jeszcze chwilę zdrzemnąć? – pytam błagalnym tonem po opuszczeniu łazienki. W zasadzie specjalnie nie muszę modulować głosu. Jest tak mizerny jak kondycja całego mojego organizmu. Wszystko, co wypływa z moich ust, brzmi teraz jak ostatnia wola.

– Możesz. Obudzę cię za dwie godziny.

Dwie godziny! Cudownie. Starczy na regenerację. Tak mogłoby się wydawać, ale podczas snu czas płynie szybciej. Dopiero co zamknąłem oczy, a do moich uszu znowu dociera głos Małży.

– Jeszcze trochę, proszę. – Kładę poduszkę na głowę, chociaż każde napięcie mięśni sprawia mi ból.

– Zrobię ci kawę.

Zasypiam. I znów kilka minut, które powinienem zyskać, przeistacza się w milisekundy. Czuję zapach cierpkiego napoju. Aż do bólu przeszywa mi nozdrza, mimo że jeszcze przed momentem miałem zatkany nos.

– Wypij. To ponoć świetnie działa na plemniki. Pobudza je do działania.

– Aneta, przecież zarazisz się ode mnie. To bez sensu.

– Niekoniecznie – oznajmia triumfalnie.

– Wystarczy, że nachucham na ciebie kilka razy.

– Nie musisz na mnie chuchać.

– Mam nie oddychać? Oczywiście. Przecież dla dziecka trzeba się poświęcić. Tyle razy to mówiłaś, że nie ma sensu powtarzać.

– Nie ma, bo jak widzę, zakodowałaś. I chyba wracasz do formy, bo zaczynasz być złośliwy. A oddychać możesz. W tym. – Wyjmuje z kieszeni bluzy dwie maseczki ochronne. – Pojechałam do apteki, kiedy spałeś. I dostaliśmy

dyspensę od gina.

Padam bezwładnie na poduszkę. Jednak nie mogę się podpierać na łokciach. Mam gorączkę. Na pewno mam wysoką gorączkę i związane z nią omamy. To się nie dzieje naprawdę. To mi się śni. Aneta jeszcze nie weszła do pokoju. Jeszcze mogę smacznie drzemać.

– Kupiłam też od razu kliszę na pierwsze „zdjęcie” Raczyńskiego juniora. – Tym razem wyciąga test ciążowy. Błądzą wzrokiem za jej ręką, która wędruje w kierunku komódki. Jeszcze mocniej dociera do mnie aromat kawy. Teraz już wiem, że to się dzieje naprawdę. To mi się nie śni. Aneta już weszła do pokoju. Już nie mogę smacznie drzemać. Mam uprawiać seks w maseczce ochronnej. – Potraktuj to jak...

– Komedie? – Chyba jednak uruchomię tę kamerę. W końcu opracowaliśmy świetny scenariusz. Założenia gatunkowe spełnione. Dwójka nieźle popierdolonych bohaterów, którzy robią niestworzone rzeczy. Wstaję leniwie i mówię: – Idę umyć zęby.

Więc nawet przy naturalnym zapłodnieniu przydadzą się akcesoria medyczne. Za jakieś dwadzieścia lat opowiem synowi, w jakich okolicznościach się począł, jak bardzo „gimnastykowaliśmy się”, ilu technik użyliśmy, żeby powołać go do życia. Będzie miał niezły polew. Może kiedyś to będzie śmieszne dla mnie samego. Dzisiaj nie jest. Co gorsza, nie jest ani trochę podniecające. To nie komedia. To tragikomedia.

Przez kolejne pół godziny próbuję rozstrzygnąć, dlaczego tak trudno skończyć, jeśli się tego bardzo chce. Pewnie dlatego, że kobieta bez ust nie jest sexy.

Niektórzy żyją z dnia na dzień, inni z tygodnia na tydzień. Nam ani dzień, ani tydzień nie wyznaczają rytmu funkcjonowania. Od ponad roku to co ważne dzieje się co czternaście dni. Żyjemy od okresu do owulacji. Od owulacji do kolejnego okresu. Od kolejnego okresu do kolejnej owulacji. Od kolejnej owulacji... minęło czternaście dni. Test. Standardowo ten z bobasem. Wyciągam go z szafki. Rozpakowuję. Przekazuję Anecie. Zamyka się w łazience. Zza drzwi dochodzi szum wody. Znowu musiała odkręcić kurki. Jak zwykle w decydującym momencie odechciało się jej siusiu.

Wreszcie! Zjawia się. Zamyka oczy. Test trzyma za sobą. Podaje mi go. Sprawdzam. Jak w pokerze.

– Kochasz mnie? Mimo wszystko? – pytam.

– Kocham – odpowiada i z trudem powstrzymuje łzy.

Nieudane „zdjęcie” wyrzucam do kosza. To już piętnaste. Dobrze liczę? Tak, zanim trafiliśmy do Haliszewskiego, zrobiliśmy ich dwanaście, a potem kolejne trzy. Przytulam mocno Anetę.

Następnego dnia kupuję tampony. I chusteczki. Małży cieknie zewsząd. Nie

tylko z nektarynki. Z oczu także. Tak już jest co miesiąc. Co miesiąc płacze. Czekamy na kolejną szansę. Czekamy, aż upłynie czternaście dni.

Od okresu do kolejnej owulacji mija czternaście dni. Działamy. Czekamy. Przez czternaście dni.

Aneta wyciąga test z szafki. Kupiłem inny niż zwykle. Wyczerpaliśmy zapasy tego z niemowlakiem. Niemniej farmaceutka mnie pocieszyła, że wkrótce znów będzie dostępny. Dopiero po chwili zreflektowała się i powiedziała: „Ale może już nie będzie potrzebny”. Tak więc doszedłem do tego samego wniosku co Aneta: w tej aptece moja noga już nie postanie.

Małża zamyka się w łazience. Zza drzwi znowu dochodzi szum wody. Znane przyzwyczajenie.

Zjawia się. Test trzyma za sobą. Zamyka oczy. Podaje mi go. Sprawdzam. Jak w pokerze.

– Za miesiąc się uda. Będę miał lepsze nasienie.

Aneta już tylko kiwa głową. Chyba przyzwyczała się do negatywnych rezultatów. Nieudane „zdjęcie” wyrzucam do kosza. Szesnaste.

Siadam przed komputerem. Mama prosiła, żebym znalazł dobre hospicjum. Szukam dobrego chirurga, który operuje trzustki w zaawansowanym stadium nowotworu.

Spermiogram. Po nieprzespanej nocy zgłaszam się do kliniki. Załatwiam sprawę szybko i skutecznie. Następnego dnia wizyta. Znowu z całym konsylium.

Czekamy na korytarzu. Pocieram dłońią o dłoń, wzdycham ciężko co jakiś czas. W kieszeni marynarki mam nową kopertę. Moglibyśmy już rozwiązać wątpliwości, ale uznaliśmy, że lepiej, jeśli zrobią to specjaliści.

Jakaś para opuszcza gabinet. Za nią wychodzi do nas androlog.

– Mają państwo wyniki?

– Tak.

Trzymając się za ręce, wstajemy, żeby wkroczyć do gabinetu.

– Mógłby mi je pan przekazać? Skonsultujemy się i za chwilę poprosimy państwa do środka.

Znowu upływa cała wieczność.

Krążę tam i z powrotem. Próbuję podsłuchać lekarzy. Zastanawiam się, czy zegar na ścianie dobrze chodzi, bo na pewno minęło nie dziesięć minut, ale jakieś pół godziny. Wreszcie otwierają się drzwi.

– Zapraszam.

Haliszewski ma nietęgą minę. Zaczyna wywód:

– Proszę państwa, jest lepiej, znacznie lepiej. To nie ulega wątpliwości...

Wiem, że zaraz padnie słowo „ale”.

– Ale nadal normy nie są spełnione.

Zachowuję kamienną twarz. Próbuję. Aneta chwyta mnie za rękę i uśmiecha

się sztucznie, jakby chciała powiedzieć: „Nie szkodzi, i tak damy sobie radę”. Tylko jak? I niech nie będzie obłudna. Na pewno jest wściekła.

– Oczywiście nigdy nie możemy wykluczyć naturalnego poczęcia, ale mamy łącznie szesnaście cykli bez ciąży, pani ma trzydzieści pięć lat... Presja posiadania dziecka jest duża. Trudno w takich okolicznościach uzyskać zadowolający spermogram.

Do rozmowy włącza się Filipowski.

– Uważamy, że w tej sytuacji najlepsza byłaby inseminacja.

– Co u licha?! – wołam zdziwiony, chociaż już wiem, że to nic dobrego, bo Aneta na dźwięk tego słowa mocno ścisnęła moją dłoń.

– Zabieg polegający na wstrzyknięciu nasienia do macicy.

– In vitro?

– Nie, to co innego. Przy in vitro, jak sama nazwa wskazuje, dochodzi do zapłodnienia poza organizmem. Przy inseminacji, jeśli się udaje, wszystko ma miejsce tam, gdzie przy naturalnym poczęciu. Dlatego nie jest to tak inwazyjny zabieg.

– Nic nie rozumiem – odpowiadam rozdrażniony. Słyszałem o tym, ale nie w kontekście ludzi i chyba nie odróżniam tego od zapłodnienia pozaustrojowego.

– Oddaje pan nasienie, a my wstrzykujemy je do szyjki macicy małżonki. Skracamy w ten sposób drogę plemnikom, jeśli nie są najlepszej jakości i podczas podróży nie radzą sobie z barierami. To jedna z metod wspomaganego rozrodu.

– Pan będzie wprowadzał spermę do ciała mojej żony, tak? Pan? Nie ja?!

Małża patrzy na mnie przerażona.

– Chyba nieistotne, kto będzie ją wprowadzał, ale czyja będzie i jaki będzie tego efekt? Proszę wybaczyć.

– Pan sobie jaja robi?! Ile kobitek już pan tak zapylił?

Aneta zaczyna płakać.

– Wojtek, nie unos się, posłuchaj. Proszę cię, posłuchaj.

– Kurwa, Aneta, co ty do mnie mówisz? „Posłuchaj”?!

– Wojtek!

– Sorry, ale wcale nie chcę słuchać, jak... – Brak mi słów. Wstaję z krzesła. – Pozwoliłabyś na coś takiego?

– Wojtek!

– Pozwoliłabyś?! Ja pierdolę! – Zaczynam krzyczeć: – To miałem być ja, a nie jakiś koleś w fartuchu udający cudotwórcę. Czy ty tego nie rozumiesz? Obcy facet miałby ci wlewać nasienie do środka.

– Zamknij się!

Spoglądam na nią zdumiony. Ona chyba nie widzi niczego złego w takich praktykach.

– Nie patrz tak na mnie. Jakie mamy inne wyjście?

– Kurwa... Nie wierzę, po prostu nie wierzę. Za kogo ty mnie masz?

Chwytam za klamkę. Aneta usiłuje mnie zatrzymać. Bezskutecznie. Prawie biegnę do samochodu. Uruchamiam silnik. Odjeżdżam. Odcinam się. To już nie mój problem. Jej. I ginekologa. Nie moja sprawa, nie moja działka, nie moje zadanie. Nie moja kobieta. Nie moja Małża.

Kurwa! Walę pięściami w kierownicę.

Po chwili zjeżdżam na stację, bo jadąc z taką prędkością, jeszcze kogoś zabiję. Znowu słyszę tę pieprzoną piosenkę Tricky'ego, którą ustawiłem jako dzwonek w smartfonie! Dajcie mi wszyscy święty spokój! Odrzucam połączenie.

Wysiadam z auta. Siadam na trawniku i jak pojebany zrywam stokrotki.

Mija godzina, może dwie. Czas wracać do domu. Bo co innego mógłbym zrobić? Gdzie miałbym się podziać?

Już w przedpokoju wita mnie teściowa.

– No! Jesteś! Wreszcie.

– Cześć! – Zdejmuję buty, marynarkę rzucam na fotel. – Gdzie Aneta?

– Ona nie musi wiedzieć, gdzie się podziewasz, ale ty owszem, tak?

– Dziękuję za odpowiedź. Miło, że przyszedłeś. Do zobaczenia – wypraszam ją za drzwi.

Idę do sypialni. Małża leży na łóżku, odwrócona do mnie plecami. Kładę się obok niej tak, żeby nawiązać kontakt wzrokowy. Jej oczy wypełniają się łzami.

– Potraktowałeś mnie dzisiaj jak dziwkę.

– Bo chciałaś zrobić z siebie dziwkę.

– Nadal chcę. Bo mnie nie zależy na godności, ale na dziecku. I tym się różnimy.

W salonie dzwoni telefon. Wstaję. Odbieram.

– Byliśmy. Pokazałam całą dokumentację. Opieka paliatywna. Tylko tyle po takim okresie oczekiwania na wizytę. Ten onkolog nie dał mu najmniejszych szans.

– Matka płacze.

– Rokowania?

– Od trzech do sześciu miesięcy.

Nie umiem być mężczyzną. Nie potrafię bez pomocy osób trzecich zapłodnić Małży, nie potrafię dać wsparcia matce. Chyba to wyczuwa, bo się rozłącza. A ja padam na kanapę. Próbuję przeczekać najgorszy dzień w swoim życiu. Mam najwyżej pół roku, żeby spełnić swoje zadanie. Może zdążę powiedzieć ojcu, że będzie dziadkiem. Ale czy w ogóle powinien się dowiadywać, jeśli nigdy nie zobaczy wnuka? Pękam.

Aneta wchodzi do pokoju. Widzi, że łzy ściekają mi po policzkach. Przytula mnie.

– Potrzebujemy psychoterapeuty.

– Potrzebujemy czasu i dziecka – odpowiadam.

Odwracam się. Chcę być mężczyzną. Nie chcę, żeby na to patrzyła. Znowu próbuje mnie objąć. Całuje moje powieki. Przez chwilę wpatruję się w jej twarz. Czuję niesmak. Rozdzieram koszulkę, którą ma na sobie. Udaję, że nie słyszę protestów. Siłą zaciągam ją do łóżka. Pozbawiam majtek. Rozpinam rozporek. Wchodzę. Czterdzieści w przód, czterdzieści w tył.

– Wojtek! Wolniej! – krzyczy. – Przestań – szepcze. – Nie chcę.

Ciekawe, czy to samo powie Haliszewskiemu, kiedy będzie wlewał w nią nasienie. Ciekawe, czy wtedy będzie zbuntowana i potraktuje to jak atak. Suka! Przyspieszam. Sześćdziesiąt w przód, sześćdziesiąt w tył.

– Przestań. Przestań! – Zaczyna płakać.

Patrzę na jej spuchnięte, zaczerwienione oczy i nie mogę. Zastygam. Kładę głowę na jej piersiach. Odtrąca mnie z całej siły. Biegnie do łazienki. Tam dalej ryczy. Ja ryczę w sypialni.

Zdusić to w zarodku

Ze słowem *insemination* pierwszy raz spotkałem się na studiach. Potem kilka razy użyłem go w pracy, kiedy rekrutowałem kadrę do badań nad skandynawskimi hodowlami zwierząt mlekodajnych. Nie wiedziałem, że unasiennia się także ludzi. Ale nie to napawa mnie największym obrzydzeniem. Zniesmacza sama nomenklatura. Żyję w kraju, w którym z uporem maniaka rozważa się, czy płód to dziecko, czy aborcja lub terminacja to morderstwo. Wszyscy zabierają głos w sprawie ciężarnych, maczają palce w nabrzmiąłych macicach, próbując nazwać to, czym są wypełnione. Feministki zajmują się dziewczynami, które żałują, że są płodne. Biorą je w obronę, nie chcą, by obarczano je piętnem przestępstwa, jeśli nie zdecydują się urodzić. Ale nie pochyla się nad moją Małżką. Nie zawalczą, żeby dla niej wymyślono terminologię, dzięki której poczułaby się lepiej. Nie jak krowa, ale jak kobieta. Aż nie chce mi się wierzyć, że to tak wygląda. Może jednak jest jakiś zamiennik? Trzeba wygooglować.

Siadam przed komputerem. Wpisuję tag. Wiadomo jaki. Zaczniemy od Wikipedii. Klikam. Na zdjęciu koń. A dokładnie koński zad. I lekarka w białym fartuchu. Cóż, dla przyzwoitości mogliby tu wkleić schemat układu rozrodczego kobiety zamiast zdjęcia klaczy. Sprawdzam hasło również w angielskiej Wikipedii. Tak, jak sądziłem, tutaj zamieszczono odpowiedniejszą grafikę. Pewnie nie bez przyczyny. Czas przejść do samego terminu: „metoda rozrodu zwierząt, która ma zastosowanie u bydła, owiec, kóz, świń, drobiu oraz pszczół”. O Raczyńskich, jak przypuszczałem, zapomnieli. A mogli nas gdzieś wcisnąć między bydło. Czytam dalej: „Niewątpliwie do zalet sztucznego unasienniania zaliczyć należy... dokładniejszą ocenę wartości hodowlanej ojców”. Cudownie! Dostanę certyfikat reproduktora. „Unikanie chorób związanych z naturalnym kryciem”. O proszę! Jaki zasadny argument. A ostatnio się martwiliśmy, że zarazę Anetę grypą. Pewnie świńską. Ja, knur! Dzisiaj, jak tylko wrócę do... chlewa, dam ryja mojej... lochszy? Loszy? Jak to się odmienia? Nieważne. Ważne, że wkrótce pójdziemy do weterynarza i moja wieprzowinka zamieni się w pierwiastkę. A to ci awans społeczny. Co tu jest jeszcze ciekawego? „Niższe koszty zakupu nasienia niż samego samca”. To dlatego jest coraz więcej singielek. Nie doceniałem kobiet, nie podejrzewałem, że potrafią być tak gospodarne. A może gospodarcze? O! Teraz najlepsze: „unasiennianie samicy nasieniem tego samca, który odmawia skoku na daną samicę”[5].

Polecenie: wstecz.

Kliniki leczenia niepłodności... fora internetowe... O! Zdrowakrowa.pl.

Nie wierzę. Z tego niedowierzania aż kręcę głową, zanosząc się śmiechem.

Sam jestem zdziwiony, że to wszystko już mnie bawi. Powinno przerażać, zniesmaczać, ale knury raczej nie wiedzą, co to niesmak. Tak jak wikipedyści. Trudno ich uznać za humanistów. Istne zezwierzęcie. A właśnie! Ciekawe, czy twórcy słownika PWN-u też nie wprowadzają rozróżnienia. Wprowadzają. Więc się da. Według nich inseminacja to zapłodnienie kobiety nasieniem wcześniej pobranym od mężczyzny lub zapłodnienie samicy zwierzęcia nasieniem uprzednio pobranym od samca. Mimo wszystko mam nadzieję, że Aneta nie natknie się na te definicje. Chociaż przypuszczam, że chęć posiadania młodych (także: dzieci) jest silniejsza niż status nadany jej przez wikipedystów.

Trzeba poznać procedurę zabiegu. Wolałbym, żebyśmy zrobili to razem, tyle że aby tak się stało, musielibyśmy się do siebie odzywać. Czas Zołzie przywrócić mowę. Wujek Google znowu okazuje się pomocny. Pozostaje zaczekać, aż Małża przekroczy próg mieszkania, i włączyć *play*. Wiem, że to nie jest odpowiednia rekompensata za to, co zrobiłem wczoraj, ale nie widzę lepszej. Nie sprawdziła się podana do łóżka kawa, śniadanie... Mam jakieś dwie godziny, żeby nauczyć się śpiewać, bo nie wiem, czy same dobre chęci wystarczą. Otwieram szufladę w kuchni. Przydałby mi się jakiś przedmiot imitujący mikrofon.

Wybija dziewiętnasta. Aneta wraca z pracy. Ignoruje mnie. Nieważne. Nie zamierzam z nią teraz rozmawiać. Odpalam wersję instrumentalną piosenki. Klękam za kuchenną wyspą. Zaczynam fałszować: *I began to lose control. I didn't mean to hurt you. I'm sorry that I made you cry. I didn't want to hurt you. I'm just a jealous guy. I was feeling insecure. You might not love me anymore, I was shivering inside... I was trying to catch your eyes, thought that you were trying to hide. I was swallowing my pain*[6].

Od pewnego momentu Małża stoi odwrócona do mnie tyłem. Pewnie próbuje ukryć uśmiech.

– Gdzie brawa? – pytam, gdy utwór się kończy.

– Jeszcze musisz zaśpiewać *Stand by Me*[7].

Szukam na YouTube zamówionego kawałka. Kontynuuję występ, bisuję. Aneta zbliża się i wyjmuję mi z ręki mikrofon. Nieoczekiwanie wbija drewnianą pałkę w mój brzuch.

– Wal się! – dodaje dla wzmocnienia efektu.

– Ej, ej, ej! – wołam.

Gdy odchodzi do sypialni, chwytam ją za rękę, zmuszam do wykonania obrotu. Przecież widzę, że tylko udaje Zołżę.

– Nienawidzę cię – oznajmia, kładąc głowę na moim ramieniu.

– Ja ciebie też – wyznaję takim samym tonem: pełnym czułości.

Właśnie tak można zdefiniować nasze uczucie – nienawiść pełna czułości. Tym są kompromisy, na które muszę iść tylko dlatego, że ją kocham.

– Sądzisz, że to wszystko załatwia? – pyta po chwili, nie przestając się

przytulać.

– Nienawiść? Wręcz przeciwnie.

Ku mojemu zaskoczeniu Anecie zaczynają płynąć łzy.

– Jak ja mam rozumieć tę całą szopkę? Zgadzasz się na inseminację?

Wow! Więc nie negocjujemy dobrych stosunków, ale unasiennienie. Swoją drogą, to paradoks, że drugie nie jest wynikiem pierwszego.

– Jeśli powiem, że nie, to nie przyjmiesz przeprosin i mnie rzucisz? Inseminacja to warunek przebaczenia, tak?

– Wojtek, przecież dziecko....

Przyglądam jej się zdumiony. Nie wiem, czy chcę dalej rozmawiać. Nie wiem, czy chcę się dowiedzieć prawdy. Nie wiem, czy chcę poznać swoją wartość. A jednak ogarnia mnie tak potworna złość, że chciałbym teraz Anetę zniszczyć. Chciałbym ją trzymać jak najdłużej w niepewności. Chciałbym, żeby ryczała jak krowa, wierzyła kopytami, błagając o moją spermę. Może wtedy przekonałaby się, że jestem ważny. Już się domyślam, dlaczego samce odmawiają skoku na niektóre samice. Bo one bywają bezlitosne, niewdzięczne. Głupie krowy!

– Co zrobisz, jeśli się nie zgodzę?! – Podnoszę głos, puszczać jej rękę.

– Nie wiem. Nie wiem – odpowiada cicho, bezradnie. Przykłada rękę do czoła, unosi grzywkę nad oczami, jakby to miało jej zapewnić trzeźwość myślenia.

– Nie wiem. Wojtek...

Teraz już się zanosi płaczem. Kompletnie zrezygnowana pada na krzesło. Podchodzę do komputera, wyłączam tryb powtarzania *Stand by Me*.

– Zgadzam się na inseminację – oznajmiam szeptem.

Wchodzę do sypialni. Zakładam dres. Aneta staje w drzwiach.

– Idziesz gdzieś?

– Do parku.

– O której będziesz?

– Trudno powiedzieć.

– Wróć.

– Wystarczyłoby, że zostawiłbym dla ciebie trochę spermy w klinice i już byś się nie martwiła.

Z tym wszystkim trzeba się pogodzić. Trzeba wypracować w sobie bezsilność. To najlepszy trening osobowościowy, jaki mogę sobie teraz zafundować. Jeśli będę się szamotał, będzie tylko bardziej boleć. Muszę to oswoić. Jak agresywne zwierzę. Jeśli chcę z nią być – muszę!

Biegając, cały czas powtarzam słowa: „Kocham cię” tonem pełnym gniewu i pogardy. Bo tak najlepiej można zdefiniować nasze uczucie: miłość pełna gniewu i pogardy. Tym są kompromisy, na które muszę iść tylko dlatego, że nienawidzę być sam.

5 Wszystkie cytaty w tym akapicie za: Wikipedia, 30.08.2008.

6 *Jealous Guy* – sł. i muz. John Lennon; album *Imagine*.

7 *Stand by Me* – sł. i muz. Ben E. King, Jerry Leiber i Mik Stoller.

Jeden na milion

Woda w wannie stygnie. Kawa stygnie. Małża dzwoniła przed dziesięcioma minutami, mówiła, że zaraz będzie w domu. Chyba inaczej rozumiemy słowo „zaraz”. Niedługo powinniśmy być w klinice. Spóźnimy się. Szlag! I co wtedy? A jeśli nas nie przyjmą? Będzie miesiąc w plecy. Kurwa, już jest kilka lat w plecy, skoro musimy począć taką metodą. O, klucz w zamku zgrzyta. Wreszcie!

– Robić ci coś do jedzenia? – pytam, wychodząc Anecie naprzeciw.

– Nie. Nie mam ochoty. – Wygląda na zmęczoną, wręcz rozdrażnioną.

– Idź się wykąpać, przyniosę ci kawę – obiecuję.

Tylko to mogę zrobić. A chciałbym wejść do łazienki, pocałować ją. Rozetrzeć peeling na jej piersiach. Chciałbym poczuć, że nie muszę pędzić, nie muszę się spuszcząć w określonym dniu, a tym bardziej o wyznaczonej godzinie. Chciałbym się zrelaksować we własnych czterech ścianach. Kupiłem je, żeby zapewnić sobie intymność. Mimo to skorzystam z innych opcji. Recepcjonistka już czeka. Ma przekazać mi klucze do wynajętego „apartamentu niepłodnożeńców”.

Stawiam kubek na umywalce. Sięgam po szampon. Może chociaż umyję Anecie włosy.

– Zostaw. Nie zdążę wysuszyć. – Od razu odwodzi mnie od tego zamiaru. Zauważa rozczarowanie. Uśmiecha się. – Wieczorem, dobrze? A teraz plecy. – Przekazuje mi gąbkę nasączoną żelem pod prysznic. Okrężnymi ruchami rozsmarowuję pianę na jej skórze. Coraz szybciej. I jeszcze szybciej. Kiedy ogranicza mnie czas, nie potrafię okazać czułości. Oby tak nie było tam w pokoju. Oby wszystko poszło zgodnie z planem.

– Denerwujesz się – stwierdza.

– Ty też. – Widzę to po niej.

W tej chwili panuje nad głosem, ale przed minutą każde jej pytanie brzmiało jak oskarżenie, każda prośba jak rozkaz. Nie ma czasu na magiczne słowa, miłosne gesty, czułe pieszczoty, gdy zegar tyka. Ścienny i biologiczny.

– Trochę, ale tak naprawdę nie mamy czym.

– Wiem. Jest piętnaście po. – Podaję jej ręcznik.

Małża tym razem błyskawicznie się ubiera i maluje.

– Wychodzimy? – pyta niecierpliwie.

Wkrótce wsiadamy do samochodu. Odpalam silnik. Ruszam. Aneta przerywa milczenie:

– Włączyć muzykę?

– No.

– Czego chcesz posłuchać?

– *Perfect Day*.

Szczególnie zależy mi na tym fragmencie: *I'm glad I spend it with you*. Nie sądziłem, że będę mógł zdecydować, czy wezmę udział w poczęciu własnego dziecka. Dwa dni temu wydawało mi się, że powinniśmy przez to przejść razem. Od początku do końca. Dlatego poprosiłem Anetę, żeby zamknęła się ze mną w „sexroomie”. Teraz mam wątpliwości. Bo choć będziemy w duecie, to i tak nie będzie naturalne. Nie wejdę w nią. Nie przeżyję orgazmu w jej wnętrzu. A ona? Rozłoży nogi, ale nie poczuje rozkoszy. Haliszewski zagwarantował jej doznania identyczne jak przy pobieraniu cytologii. Haliszewski jej zagwarantował. Nie Raczyński.

– Jak tam jest? – pyta Małża.

– W pokoju? Przytulnie. Zobaczysz. – Brzmi to tak, jakbym szykował dla niej miłą niespodziankę. Na pewno niezapomnianą.

Klinika. Zostawiam Anetę przy drzwiach, podchodzę do recepcjonistki.

– Dzień dobry. My do oddania nasienia. Mamy rezerwację.

– Proszę za mną.

– Nie, nie. – Zatrzymuję ją. – Znam drogę i procedury. Proszę nam dać papiery do podpisania. Z całą resztą sobie poradzimy.

– Na pewno? Nie chciałabym mieć problemów...

– Nie będzie pani miała.

Kobieta kładzie na blacie teczkę z dokumentami. Aneta podchodzi, składamy autografy.

Idziemy do Haliszewskiego, by potwierdzić, że dzisiejszy termin jest odpowiedni do wykonania inseminacji. W gabinecie Małża ściąga majtki, siada na fotelu ginekologicznym, rozkłada nogi. Gin wprowadza sondę do pochwy. Dostajemy dyspensę. Trzeba przejść do kolejnego etapu zabiegu. I do kolejnego pomieszczenia.

Zapraszam Anetę do środka, otwieram przed nią drzwi, jakbym chciał jej zaprezentować nasze nowe gniazdko. Zapalam światło. Z szafki wydaję dwie pary rękawiczek i sterylny pojemnik. No, trzeba przyznać, że czuję się jak u siebie.

– Ładnie – stwierdza bez entuzjazmu Małża.

Błądzi wzrokiem po ścianach. Zupełnie jakby celowo unikała mojego spojrzenia. Żadne z nas nie wie, jak zacząć. Pewnie dlatego wypełniamy czas oceną wystroju wnętrza. Nie przypuszczałem, że po tylu latach związku zbliżeniu może jeszcze towarzyszyć skrzępowanie. Ale chyba właśnie to czujemy. I wcale nie jest fajnie.

Nie chcę pospieszać Anety. Najwyraźniej musi się oswoić. Cierpliwie czekam, aż obejrzy wszystkie fotografie.

– Dlaczego nie ma na zdjęciach facetów, skoro to pokój koedukacyjny?

– Bo wy jesteście monogamistkami. Chcecie oglądać tylko tych, z którymi tu

przebywacie, prawda? Co tam jakiś Clooney przy Raczku? – Prowokuję, żeby wreszcie wykazała inicjatywę.

– Na kogo się ostatnio gapiłeś?

– Na nikogo.

– A no tak. Brendy tu nie ma.

– Właśnie, że jest. – Staję za nią, odgarniam jej włosy z karku, całuję szyję.

Odwraca się do mnie. – Gotowa? Na pewno zostajesz ze mną?

– Tak. Tylko mi powiedz, kiedy przestać.

Zaczynam się śmiać.

– Mówiłem przed kilkoma miesiącami, ale wtedy byłaś spragniona.

– Wojtek, to nie jest śmieszne. Złapiesz sam?

– Złapię, nie bój się.

Bierze mnie za rękę. Prowadzi na ławę. Rozpina pasek. Rozporek.

– Czekaaj, czekaaj – mówię.

Gdy tylko się odsuwa, odkręcam pojemnik. Podaję jej rękawiczki. Wyjmuję telefon. Włączam Gus Gus. Trip hop stworzono do celów seksualnych, tak myślę. Rytm zsynchronizowany z tętnem człowieka idealnie sprawdza się w takich sytuacjach. Sam zabezpieczam dłonie. Do dzieła!

Aneta klęka przede mną. Ma złączone nogi. Czarne rurki pięknie się na nich opinają. Nie pamiętam, jakie majtki założyła.

Z czasem zaczyna podchodzić do sprawy coraz bardziej technicznie. Nie nachyla się nade mną, nie przytula mnie, żeby przypadkiem nie przeszkodzić w sięgnięciu po zbiorniczek. Siedzę w rozkroku, opieram się łokciami o blat. Już nie myślę o tym, że nie należy obciążać delikatnego podłoża. Już się nie boję, że ława nie wytrzyma naporu mojego ciała. Koncentruję się tylko na naszej miłości. Odchylam głowę. Tempo. Jednostajne tempo. Widzę Brendę. Wije się po parkiecie jak kot. W blasku stroboskopów dostrzegam niektóre części jej ciała. Ułamki sekund. Odrębne kadry. Stop-klatka – ciemne kosmyki, które wpadły między piersi – stop-klatka – wystający obojczyk – stop-klatka – zagłębienie pod pachą – stop-klatka. Próbuję uchwycić więcej światła, więcej ciała: mokry brzuch, długa szyja – stop-klatka – czerwone paznokcie na czarnych włosach, które unosi, by je spiąć – stop-klatka – przymknięte powieki, długie rzęsy, skórzana spódnica, która pęknie, gdy jeszcze raz wypnie pośladki – stop-klatka – pierś, która wyzwoli się ze skąpej bluzki, gdy jeszcze raz podskoczy – stop-klatka – oblizywane usta, kropla potu spływająca po dekolcie. Tempo. Perkusista przyspiesza, Aneta przyspiesza, tętno przyspiesza... Sięgam po pojemnik. Wzdycham ciężko. Małża już zachowuje bezpieczną odległość. Powoli odzyskuję ostrość widzenia i zaczynam się domyślać, dlaczego musiałem wyobrazić sobie Brendę. Jej tu nie było. Tu była Małża, nie Brenda. Nie umiała na tym planie odegrać swojej najlepszej roli. Wszystko skończyło się na kiepskiej improwizacji. Oby duple nie okazały się konieczne, bo

Anecie brakuje talentu. Nie sprawdza się w tak ekstremalnej sytuacji. Zabawne. Miesiąc temu czułem niesmak, bo ten prokreacyjny seks był potworny, z każdą próbą coraz gorszy, coraz bardziej mechaniczny. Teraz wcale nie musimy go uprawiać, żeby mieć dziecko. Niech się cieszą ci, którzy mogą zapładniać naturalnie. Niech nie narzekają, że co miesiąc, w tym samym dniu, bez spontaniczności, bez polotu, a nawet bez chęci muszą wskoczyć do łóżka. W moim związku to niczemu nie służy, jest zbędne, bezcelowe. To dopiero degradacja.

Zakręcam zbiorniczek. Przyklejam odpowiednie naklejki. Myję ręce. Małża przygląda mi się uważnie. Chyba z zażenowaniem.

– To wszystko jest obrzydliwe – stwierdza.

– Czy to ważne? Ważny jest efekt końcowy.

Obejmuję ją i opuszczamy pokój. Pukamy do laboratorium. Filipowski otwiera nam drzwi.

– Panie Wojciechu, niech mi pan przypomni, ile było dni abstynencji?

– Cztery.

– Poproszę o pojemnik. Jak Haliszewski skończy badanie, zapukajcie do niego i powiedzcie, że już po wszystkim.

Wciąż objęci przemierzamy korytarz. Aneta tym razem patrzy na zdjęcia dzieci. Przystaje w pewnym momencie. Czyta opis jednej z fotografii: *1 maja 2007. Marlena.*

– O tym imieniu nie pomyślałam. Też ładne – mówi.

Spogląda na mnie z uśmiechem, czekając, aż się odezwę. Już robi sobie nadzieję.

– Mateusz ładniejsze. Chodź.

Nie chcę gasić jej optymizmu. Zresztą może to dobrze, że wierzy. Ja też wierzę. Po cichu.

Docieramy do sektora dostępnego dla wszystkich pacjentów. Czekamy, aż gin skończy konsultację. Słyszymy każde słowo wypowiedane przez parę siedzącą obok.

– Przecież ostatnio przy zabiegu przyznał, że to nasienie nie jest najlepsze nawet jak na inseminację. A podobno z każdą kolejną próbą szanse maleją. Na pewno nam zaproponuje in vitro.

– I ciekawe, skąd weźmiemy na nie pieniądze?

– Może w przyszłym roku zaczną refundować?

– No to akurat będziesz miała prezent na czterdzieste urodziny. Taki bonus dla stałego klienta klinik niepłodności.

Haliszewski wychodzi. Nareszcie.

– Jesteście – zwraca się do nas. – Wszystko w porządku? Przespacerujcie się, nie musicie tu tkwić.

– Kiedy mamy wrócić?

Spogląda na zegarek.

– Bądźcie za dwadzieścia minut w zabiegowym.

Wychodzimy z kliniki. Przez kilka minut idziemy przed siebie w milczeniu.

– Trzęsiesz się – mówię w końcu. – Zimno ci?

– Słyszałeś, co oni mówili?

– Słyszałem.

– Obym nie straciła tej pracy.

Już wolę, kiedy jest niepoprawną optymistką. Wciąż myślę o tym, że właśnie teraz embriolodzy oceniają jakość mojego nasienia. W laboratorium trwają rozmowy, czy ten materiał nadaje się do inseminacji, czy może jednak kwalifikujemy się do zapłodnienia pozaustrojowego. Nie chcę. Nie chcę takiej diagnozy.

– Naprawdę jest tak, że szanse maleją z każdym zabiegiem? – Muszę o to zapytać, w przeciwnym razie nie będę miał spokoju.

– No.

Wzdycham ciężko. Mnie też przebiegają dreszcze. Sam nie wiem, czy to ten wiatr, czy nerwy.

– Nie zmieniłeś zdania? To nie będzie miłe. Mogę to załatwić sama.

– Nie możesz sama. – Znow zapada cisza. Pewnie Aneta tak samo jak ja się zastanawia, jak daleko zabrnjemy, jeśli się nie powiedzie. Stres nam nie pomoże. – Widziałaś, ile tam jest tych zdjęć? – zmieniam temat.

– Sądzisz, że dołożymy kolejne?

– Sądzę, że tak. Niedługo. – Całuję ją w czoło i zawracamy do kliniki.

Pukamy do gabinetu. Otwiera nam pani w kitlu.

– Zapraszam. Lena Grabińska, pielęgniarka, położna.

– Aneta Raczyńska. Lena? – Małża podaje dłoń przyjmującej. – To dobry znak.

– Można wiedzieć dlaczego? – Kobieta nie kryje zdziwienia.

– Tak będzie miało na imię nasze dziecko.

– Nasze dziecko będzie miało na imię Mateusz – dokonuję sprostowania i przedstawiam się pielęgniarce.

– Lena bardziej mi się podoba, ale chyba nie jestem obiektywna – żartuje. – Pana poproszę tutaj. – Podstawia mi krzesło. – A panią zapraszam za parawan. Można się już rozebrać. Doktor zaraz przyjdzie. – Mówiąc to, na fotelu ginekologicznym rozkłada coś w rodzaju papierowego ręcznika. Siadam obok. Aneta po ściągnięciu majtek zajmuje swoje miejsce. Opieram dłonie na poręczy fotela ginekologicznego, kładę na nich głowę.

– Co robić, żeby było ci różniej?

– Nic. Wystarczy, że tu ślęczysz.

– Opowiem ci kawał.

– O czym?

– Niech pomyślę... O! Mam odpowiedni. Wiesz, czym się różni mężczyzna od plemnika? Niczym. Tylko jeden na milion może stać się człowiekiem.

Do gabinetu wchodzi Haliszewski.

– A co tu tak wesoło? – Podchodzi do umywalki i myje ręce.

– Opowiadam dowcipy o plemnikach dla zabicia czasu.

Gin kręci głową.

– Pan to jest gagatek. Ale są powody do radości. Mamy bardzo dobry spermogram.

– Tak? To może udałoby się bez inseminacji? – pytam.

– Nie byłbym aż takim optymistą. Parametry są bardzo dobre jak na zabieg.

Poza tym wycisnął pan już z siebie to, co najlepsze.

– Aneta ze mnie wycisnęła to, co najlepsze – żartuję.

– Lena, przekaz państwu dokumenty do podpisania.

Ja, Wojciech Raczyński wyrażam zgodę na pobranie mojego nasienia, preparatykę mojego nasienia, a następnie dokonanie inseminacji moim nasieniem Anety Biedroń-Raczyńskiej. Ona, Aneta Biedroń-Raczyńska, wyraża zgodę na poddanie się inseminacji nasieniem pobranym od Wojciecha Raczyńskiego. Ona, Aneta Biedroń-Raczyńska, wyraża zgodę na obecność Wojciecha Raczyńskiego podczas zabiegu inseminacji.

Wszystko gotowe. Żołnierze wyselekcjonowani do misji. Widziałem pod mikroskopem całą armię, która ma zająć terytorium. Już tylko czeka na transport. Znowu zajmuję pozycję. Znowu podpieram głowę rękami.

– Trzęsie się pani. Zimno? – pyta Haliszewski, gdy tylko siada przed Małą i kładzie jej rękę na łydce.

– Nie. Ciepło.

– Spokojnie. Nie ma się czego bać. To naprawdę nie boli. Będzie jak przy cytologii. Dobrze, proszę szerzej nogi; swobodnie. Dłonie pod pupę – mówi.

Sięga po wziernik. Wprowadza do pochwy Mały.

– Mam opowiadać dowcipy? – Bardzo chcę jakoś pomóc.

– Niech pan opowiada, tylko najlepiej takie, których nie zrozumiemy, bo jak żona zacznie się śmiać, to mi utrudni zadanie.

– Okej. To teraz taki średni: Płynie, płynie milion plemników przez jajowód. Nagle jeden taki tyci, tyci krzyczy: „Chłopcy, zdrada, jesteśmy w dupie, wracajmy!”. Całe stado w tył zwrot, a ten, płynąc dalej, stwierdza: „I tak właśnie rodzi się geniusz”.

Haliszewski wybucha śmiechem.

– Może jednak darujemy sobie te żarty? – rzuca.

– Przecież pan należy do tych dowcipnych – zauważam.

Tym razem Aneta zaczyna chichotać. Gin wychyla głowę.

– No, w tej konkretnej sytuacji nie da się tego ukryć. – Nadgarstkiem przeciera czoło. – Boże, co ja z panem mam? Dobra, teraz już dość, bo trzeba działać. Pani Aneto, jakby się dało, to prosiłbym przyjąć pozycję półsiedzącą. Pan może usiąść okrakiem za żoną. Wtedy nam się wszystko ładnie napnie, bo nie ma pani pełnego pęcherza i to komplikuje sprawę.

Wykonuję polecenie. Podpieram się rękami. Małża spoczywa na mnie. Wygina się, patrzy mi prosto w oczy. Uśmiecha się. Stara się uśmiechać.

– Idealna pozycja do trójkąta – stwierdzam.

– Panie Wojciechu! – strofuje mnie Haliszewski.

A ja chcę jedynie, by Aneta się rozluźniła, bo widzę, że jest napięta jak struna, choć ginowi chyba właśnie na tym zależało. Sięga po cewnik. Wprowadza go do pochwy Małży.

– Proszę nie wstawać – po chwili zwraca się do Anety. – Pan wstanie z fotela, a pani się położy na dziesięć minut, dobrze?

Aneta kiwa głową.

– Już po wszystkim? – pytam lekarza, po czym siadam na krześle.

– Tak. Pani Aneto, w porządku?

– Powiedzmy – odpowiada cienkim głosem.

– Lena, przykryj panią Raczyńską prześcieradłem, żeby nie marzła, bo dziewczyna się cały czas trzęsie. Panie Wojciechu, a pan posiedzi przy żonie, bo się chyba troszkę zdenerwowała. Już nie opowiadamy kawałów, bo skurcze mięśni nie są teraz wskazane.

Aneta rzeczywiście jest blada jak ściana.

– Małżuś, jest okej? Lepiej ci?

– Tak.

Całuję ją w policzek.

– Dobrze będzie. Kocham cię.

Z czasem jej samopoczucie się poprawia. Podchodzi Haliszewski.

– Chce pani jeszcze trochę poleniuchować czy możemy wstać?

– Możemy.

– Dobrze. Trochę nasienia nam wypłynie, ale to normalne i nie należy się tym martwić. Najpierw proszę sobie usiąść. – Pomaga jej zmienić pozycję. – Kolory pani wróciły. Panie Wojciechu, proszę wziąć żonę za rękę. – Sam chwyta jej drugą dłoń. – Stoimy? Kręci się w głowie?

– Nie, już nie.

Gin sięga po gaziki, wyciera Anecie okolice intymne, po czym wyrzuca gaziki do kosza.

– Proszę wejść z żoną za parawan i jej pomóc.

Nie musiał tego mówić. Domyśliłem się. Domyśliłem się, że trzeba ją przykryć, pomóc jej wstać, pomóc się ubrać. Prawdę mówiąc, mogłem ją nawet

sam wytrzeć, chociaż nie miałem rękawiczek. Niestety, nie było mi dane aktywnie uczestniczyć w unasiennianiu.

Małża upiera się, że sobie poradzi sama. Zza parawanu dochodzi głos Haliszewskiego:

– Proszę słuchać męża. Jak pani zależy na ciąży, to trzeba się przyzwyczaić do pomocy osób trzecich.

„Osób trzecich”. Dobrze powiedziane; doskonale to ujął. Osoby trzecie, takie jak... Małża jest pierwsza. Co do tego nie ma wątpliwości. A które miejsce przypada mnie? Które Haliszewskiemu?

Aneta już schyla się po majtki.

– Gdzie? Siedź spokojnie. – Zakładam jej bieliznę, sięgam po opatrunek, który mi podano. – Podpaska? Co mam z tym zrobić? Odkleić ten papier?

– To jest wkładka higieniczna. – Aneta przewraca oczami. – Ja to zrobię.

No tak. Jak mogłem nie wiedzieć, czym różni się wkładka higieniczna od podpaski? Co ze mnie za facet?! Haliszewski na pewno odróżnia te dwie rzeczy.

– Teraz wstań i przytrzymaj się mnie. Daj rękę. – Wychodzimy zza parawanu.

– Jak przyjmować lek, już wiecie. Jakby były jakieś pytania, problemy – dzwońcie. Ponieważ pani się zdenerwowała, proponuję drzemkę po powrocie do domu. Ale później już można zupełnie normalnie funkcjonować, oczywiście biorąc pod uwagę prawdopodobną ciążę. Po czternastu dniach zróbcie test albo zbadajcie beta HCG. Możecie się do nas zgłosić na pobranie krwi. W przypadku testu zawiadomcie mnie, proszę, o wyniku.

Te słowa brzmią tak, jakbyśmy się mieli już nie zobaczyć. Więc gin uważa, że to możliwe.

W samochodzie Aneta nieoczekiwanie wzdycha.

– Co się dzieje? – pytam przerażony, że zaraz mi tu zemdleje.

– Dobrze, że mamy to za sobą. Szkoda jedynie, że trzeba tak długo czekać.

– To tylko dwa tygodnie. Zleci.

Nagle zdaję sobie sprawę, że oczekuję pozytywnego rezultatu. Nastawiam się, że już wkrótce zaczniemy żyć innym rytmem. Rachubą czasu okażą się tygodnie: trzeci, czwarty, trzydziesty, czterdziesty. A na kolejnym etapie rytm będzie nam wyznaczać liczba świeczek na torcie. Jednak wcale nie musi tak być. W cyklach czternastodniowych możemy funkcjonować aż do czterdziestki jak ta para, która siedziała obok nas w korytarzu. Albo aż do menopauzy Anety. Zabiegi wspomagające rozród staną się rutyną jak czyszczenie kamienia nazębnego u dentysty. Nie, raczej nie powinno tak się stać. Haliszewski mówił, że mamy bardzo dobre nasienie. Mamy duże szanse. Jeszcze dwa tygodnie czekania. Dwa tygodnie albo – cholera! – czternaście dni.

Aneta szybko zasypia. Długo na nią patrzę, opierając się o komodę.

Obserwuję, jak budzi się w niej życie. Jest spokojniejsza, widzę to. Chcę, żeby zawsze taka była. Zostawiam jej kartkę na szafce, wychodzę. Małymi krokami zmierzam do auta. Jadę wyjątkowo powoli, choć chcąc zdążyć do ojca, powinienem mocniej nadepnąć pedał gazu. Czy muszę? Mam nadzieję, że nie, chociaż wiem, że zegar wcale nie przestał tykać. I tacie, i Anecie.

Księgarnia. Wertuję pozycje popularno-naukowe na temat ciąży i rozwoju dziecka. W każdym kolejnym tygodniu będę czytał Anecie, jakie procesy zachodzą w jej wnętrzu, jakich psot ze strony Matiego może oczekiwać, jak go pacyfikować, żeby nie pozwalał sobie na za dużo i przedwcześnie nie wykończył matki. Dzisiaj rozdział o zapłodnieniu. Aneta powinna być przy nadziei. A ja chciałbym podtrzymać w niej nadzieję. Za wszelką cenę. Płacę za tomiszczę, wybieram jeszcze zakładkę z rozkosznym niemowlakiem. Nią wyznaczymy kolejne etapy, kolejne tygodnie, kolejne miesiące, trymestry.

Hospicjum. To dziwne. W ciągu doby odwiedzam dwa specyficzne miejsca. W jednym życie się rozpoczyna, w drugim kończy. Taki mój wiek. Jestem dokładnie pośrodku. A może dalej, skoro jedynym naturalnym procesem, jaki obserwuję, jest śmierć. Pomagam ojcu się umyć, zmieniam mu piżamę, zabieram rzeczy do prania. Już prawie śpi, gdy opuszczam salę. Stojąc w drzwiach, myślę, że słusznie zgodziłem się na inseminację. Gdyby nie to, mógłbym nie zdążyć z jego wnukiem. Umierałby tak, jak teraz zasypia. Niespokojnie.

Znowu się wlokę i sprawia mi to niebywałą przyjemność. Myślę o poczuciu ulgi. Wiem, że jest przedczesne. Wiem, że to falstart, a jednak idę dalej, powoli, miarowo, ale do przodu. Warto, choćby dla tych dwóch tygodni spokoju. Albo czternastu dni.

Wieczorem czytam o powstaniu zygoty.

– Tylko jeszcze z nią nie gadaj, okej? Nie nastawiaj się. – Aneta studzi mój optymizm.

– Z kim miałbym gadać? Z zygotą?

– Z Leną.

– Czy Marleną? Jak w końcu?

Odkładam książkę, wkładając do środka zakładkę. Nie przypominam Anecie o obietnicach, które jej złożyłem, kiedy była w wannie. Wygląda na zmęczoną. Mnie też już kleją się oczy. Czuję przeciążenie. We wszystkich mięśniach, a nawet głowie. Jestem zmęczony. Potwornie zmęczony. Podnoszeniem ojca. I świadomością, że jeśli przyjdzie mi dodatkowo podnosić Małżę po sromotnej porażce, moje ramiona mogą się okazać zbyt wątłe. Lepiej o tym nie myśleć. Lepiej być przy nadziei.

Po trzech dniach znowu muszę zadać pytanie wujkowi Google. Jak nie znajdę odpowiedzi, zarejestruję się na kolejnym forum dla nieplodnych i tam zaczerpnę informacji.

Haliszewski twierdził, że po inseminacji można normalnie funkcjonować. Czyżby do normalnego funkcjonowania nie zaliczał współżycia? A może przewidując ciążę, nie wolno baraszkować w łóżku?

Wszędzie piszą, że nic nie stoi na przeszkodzie, żeby ze sobą sypiać. Więc dlaczego Aneta nie wykazuje inicjatywy? A jeśli to ma podłoże psychiczne? Seks z facetem, który nie może zapłodnić, traci sens? Nie wierzę. Przecież jeszcze niedawno wszystko było w porządku... Nie, nie było. Analizuję, z jaką częstotliwością kochaliśmy się w ciągu ubiegłych dwóch miesięcy. Rzadziej. Robiliśmy to rzadziej. I ja się nie zorientowałem? Po czterech dniach abstynencji nie miałem ciśnienia na seks? Może moim zachowaniem też kierują pierwotne instynkty i wiedząc, że z tego aktu nic się nie urodzi, przestałem go potrzebować? Dlaczego więc teraz mam takie parcie? Fakt, od ostatniego wytrysku nie minęło wiele czasu, bo trzy doby. Ale to nie chodzi o sam orgazm. Brakuje mi rytuału bliskości. Mimo to nie chcę naciskać. Porozmawiamy o tym, kiedy poznamy rezultat inseminacji. Na razie zadzwonię do Anety, zapytam, kiedy wróci.

Mam godzinę, świetnie. Zaraz zaszyję się z waclawem w łazience.

Kto wie, może Aneta jest w ciąży i burza hormonów powoduje u niej spadek libido? W takim wypadku nie należy jej do niczego zmuszać. Trzeba sobie radzić samemu.

*

Tydzień do wyniku. Wchodzę do sypialni. Kładę się obok Anety. Dłoń wkładam pod kołdrę. Gładzę ręką jej brzuch.

– Ej, łaskoczesz. – Odsuwa się, nie odrywając wzroku od laptopa.

Całuję jej szyję.

– Wojtek, ja to muszę skończyć.

Jasna cholera! Co jest grane? Spoglądam na nią zdumiony. Nie umie liczyć? Nie wie, ile czasu upłynęło od ostatniego razu? Rozumiem, że może być zapracowana, zmęczona, ale mogłaby to jakoś ładnie ująć, okazać empatię. Mogłaby zaznaczyć, że jest jej przykro, że nie ma ochoty, a nie odtrącać mnie i strofować.

Wstaję. Idę do łazienki.

Moje plemniki spływają do kanału. Bynajmniej nie rodnego. Miejskiego. I dobrze, bo bez transportu, zapewnionego przez gina, i tak są bezużyteczne. A jeśli plemniki są bezużyteczne, to również moje ramiona, palce i język. Cały jestem bezużyteczny.

Przemykam oczy. Widzę Brendę w maseczce ochronnej. Podnieca mnie. Mógłbym to powtórzyć. Chciałbym.

Dwa dni do wyniku. Aneta dzwoni. Mówi, że będzie później. Doskonale. Mam sporo czasu. Film na YouTube trwa czterdzieści minut. Pewnie i tak nie

obejrzę go do końca. Włączam *play*. Znowu telefon. No to pauza.

– Co, Małżuś? Zakupy?

– Przydałyby się, ale nie jesteśmy na tyle blisko, żebyś mnie zaopatrywał w pieczywo i inne pierdoły.

Cholera, nie spojrzałem na ekran, zanim przyjąłem połączenie.

– Cześć, sorry, myślałem, że to Aneta – tłumaczę.

– Słuchaj, mam do ciebie prośbę. Piszę biznesplan i byłabym wdzięczna, gdybyś go przeczytał i ocenił. Mógłbyś?

– Jasne. Na kiedy potrzebujesz? – Jak dobrze mieć na sobie spodnie dresowe, bez problemu można wsunąć w nie dłoń.

– Za tydzień powinnam oddać go do rozpatrzenia. Sporo tego jest, a jakoś wcześniej nie pomyślałam, żeby uderzyć do ciebie. Łącznie dziewięćdziesiąt stron.

– O Jezu!

– Nie masz czasu? To nie szkodzi. Trudno.

– Nie. Spoko. Dam radę. Prześlesz mi to mejlem? Zamieszczę uwagi w komentarzach, okej? – Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że w tym, co robię, jest coś dziwnego. Dziwnego? Ohydneho! Rozmawiam ze swoją byłą i walę konia. Zołzie to by się nie spodobało.

– Wojtek, na pewno możesz?

– Mogę.

– Dziękuję. W ramach podziękii zrobię ci zakupy – żartuje.

– Za późno – mówię.

Chciałbym już zakończyć rozmowę. Wacław wcale nie zamierza się położyć. Nie wiem, czy staję na widok aktorki grającej w filmie, który zapauzowałem, czy na dźwięk głosu Magdy. Właściwie to nie ma znaczenia. Jedno i drugie jest obrzydliwe.

– Kurczę, ta Aneta to ma z tobą niebo.

– Mam pewne wady produkcyjne. Ukryte. – Sam nie jestem pewien, czy mówię o sekretnej skłonności do masturbacji, czy o jakości nasienia.

– Wiem.

– Co wiesz? – pytam.

„Czyżby Pilińscy nie zachowali dyskrecji?” – myślę.

– Jak mogę nie wiedzieć, niedoszły mężu?

– No tak. – Uspokajam się.

Wydaje jej się, że zna mnie na wylot. Tylko jej się wydaje. Całe szczęście. Choć moje defekty pewnie by ją rozbawiły w kontekście naszego związku. Uznałaby je za ironię losu.

Kończę rozmowę. Zamykam YouTube’a. Loguję się do poczty.

Tym razem to ja leżę w łóżku z laptopem na kolanach. Aneta wraca z biura. Przyłapuje mnie na gorącym uczynku. Jest zdziwiona. Pewnie sądzi, że

przyniosłem pracę do domu, a nie mam tego w zwyczaju.

– Co robisz? – pyta.

– Bez jзд, proszę. Sprawdzam Magdzie biznesplan.

– Aha. – Odwraca się. Zapada milczenie. Po chwili przerywa ciszę.

– Wojtek, kiedy myśmy ostatnio...? No wiesz.

– Nie wiem. Już przestałem liczyć.

– Przestałeś liczyć, ile minęło, czy przestałeś liczyć, że to jeszcze nastąpi?

– Twoje pytanie jest związane z Magdą? Nagle sobie przypomniałaś, że mam swoje potrzeby?

– Nie jest. Jakoś tak mnie tknęło. – Patrzy na mnie, jakby na coś czekała. –

To co z tymi potrzebami?

– Umieję je załatwić.

– Z Magdą?

– Radzimy sobie – spoglądam na nią, oczekując reakcji – z waławem.

– Dlaczego nie mówiłaś?

– A nie sugerowałem? Po prostu nie wykazywałaś inicjatywy, więc nie chciałem być nachalny.

– Co teraz?

Wzdycham.

– Aneta, muszę to skończyć. – Wskazuję na ekran.

Idzie do łazienki. Każde ma pół godziny dla siebie. Kiedy wraca, zajmuje swoją połowę łózka. Odkładam laptopa. Wsuwam rękę pod kołdrę. Obejmują ją.

– Zazdrosna? Obawiasz się o swoją pozycję? Dlatego nagle zaczęłaś myśleć o seksie?

– Nie. Po prostu sobie uświadomiłam...

– Ciii! – Przykładam jej palec do ust. – Podziękuję Magdzie przy najbliższej okazji, bo waław wcale nie jest zadowolony, gdy przebywa ze mną sam na sam. Tęskni za Brendą. Ale ona, niestety, teraz robi za inkubator. Już mu to tłumaczyłem.

– Inkubator?

– Nie wpadłaś na to, że może nie masz ochoty na seks, bo jesteś w ciąży?

– Prawdę powiedziawszy, ja nawet nie zauważyłam, że nie mam ochoty na seks. Ale... to jest bardzo możliwe. Jezu, Wojtek, to jest prawdopodobne. Czeka! – Wstaje gwałtownie. – To my teraz nie możemy.

– Jak to nie możemy?!

– Żartowałam.

Nareszcie! Nareszcie seks, nareszcie ciąża.

Bóle krzyżowe

Po czternastu dniach od inseminacji już o szóstej otwieram szeroko oczy. Nie muszę wciskać na oślep kilkunastu guzików w budziku. Nie muszę parzyć kawy, żeby odpędzić sen. Wolałbym odpędzić niepokój.

Krzętam się po kuchni. Z szafki na leki wydaję test ciążowy. Aneta staje przy wyspie. Uśmiecha się. Nie tak jak zawsze. Nie całą sobą. Krzywi usta, jakby wypła kwaśny koktajl z nadziei i strachu.

– Jajniki mnie bolą – oznajmia.

Nie wiadomo, czy to dobry znak. Przeczytaliśmy, że początkom ciąży towarzyszą podobne dolegliwości do tych występujących tuż przed miesiączką.

– Nie chce ci się sikać? – pytam, wskazując na opakowanie.

– Chce. Strasznie, ale jeszcze chwilę. – Opiera się o blat. – Nie no, nie wytrzymam. Idę zrobić „zdjęcie”.

– Oby dobrze wyszło. Powodzenia – mówię.

Stawiam kubek na stole. Czekam. Czekam. I czekam.

Kawa nie paruje. Pianka zdążyła przylgnąć do porcelanowych ścianek. Już nie powrózę sobie, interpretując beżowe kształty tworzące się na czarnym tle. Już mogę upić łyk cierpkiego napoju bez obawy, że zniszczę obrazek. Już mogę zasmakować goryczy poranka. Czas obudzić się ze snu. Nie słyszę szumu wody. Słyszę wyłącznie płacz. Nie mam siły wstać. Nie mam siły jej podnosić. Na samą myśl o tym, czuję ból w okolicy krzyża. Z otępienia wyrywa mnie dopiero brzęk szkła. Idę do łazienki. Powoli. Tak jak w ciągu ostatnich czternastu dni. Znowu odnoszę wrażenie, że na plecach noszę garb. Otwieram drzwi. Aneta kuca, oparta o wannę. Całkowicie poddaje się hysterii. Mocz splywa po kafelkach, znajdując koryto w fugach. Gliniana miseczka leży roztraskana pod umywalką. Na odłamku widać czerwoną plamę. Natychmiast kieruję wzrok na Anetę. Ma krew rozmazaną na policzkach.

– Jezu, Małżuś! Co rozwaliłaś? Pokaż. – Odręca mnie. – Aneta! Spójrz na mnie! Aneta, ja nie żartuję. Aneta, kurwa! – Podnoszę ją. Mocno chwytam za nadgarstki, żeby obejrzeć wewnętrzną część dłoni. *Fuck!* Plastry tu nie wystarczą. Nie wiem, czy powinienem użyć wody utlenionej. Wyrzucam z szuflady kosmetyki, szukając bandaża. Mam. Gaziki, opaska elastyczna. Panuję nad głosem. Z nią teraz trzeba spokojnie. – Małżuś, podaj mi rękę. Słyszysz? Małżuś, proszę. Nie chcę się z tobą siłować, bo będzie cię bolało – mówię.

Wysuwa drżącą dłoń. Prowizorycznie opatruję ranę. Nasączam wodą płatki kosmetyczne. Próbuję jej umyć twarz, chociaż okłada mnie pięściami. Trudno. Musi jeszcze coś na siebie narzucić. Wybiegam z łazienki. Ląduję w kałuży moczu.

Latam po mieszkaniu, wcierając siki w deski. Gdzie jest ta pierdolona...? No. Jest. Nakładam swoją bluzę na plecy Anety. Otwieram drzwi. Małża nie zamierza ruszyć się z miejsca. Przerzucam ją przez ramię. Wchodzę do windy. Na drugim piętrze wsiada sąsiadka z wózkiem. Lepiej być nie mogło. Aneta wyrywa mi się, głośno krzycząc, żebym ją zostawił. Matka przeszywa mnie wzrokiem, jakby miała do czynienia z damskim bokserem.

– Zajmij się, babo, własnym dzieckiem. Bo ryczy! Głucha jesteś?

Wsadzam Anetę do samochodu. Siadam za kierownicą. Kierunek: szpital.

Zostawiam Małżę na krześle w korytarzu. Wszyscy obserwują naszą szamotaninę. Patrzą z przerażeniem na rozhisteryzowaną kobietę w piżamie z zakrwawionymi policzkami. Rejestruję ją na wizytę.

– Co się dzieje? – pyta przyjmująca.

– Żona się dość poważnie skaleczyła. I potrzebuje czegoś na uspokojenie.

Zaczyna się: PESEL, książeczka ubezpieczeniowa, której oczywiście nie wzięłem, nazwa i adres zakładu pracy.

– Pani jej płacz nie przeszkadza? Czy ja już mówiłem, że potrzebuje czegoś na uspokojenie?

– Lekarz poda, proszę sobie usiąść i poczekać.

– Zazdroszczę, bo pani, widzę, dostała jakieś znieczulenie.

Z chęcią bym jej przywalił, ale czy to coś zmieni oprócz tego, że sam dostanę psychotropka lub wpierdol od ochrony? Kontaktuję się z Grzegorzewskim, stojąc naprzeciw Małży.

– Jarku, cześć. Mam problem rodzinny. Jestem na pogotowiu. Nie zjawię się dzisiaj. W dodatku potrzebuję kilku dni urlopu.

– Twoje prawo, chociaż to nie jest odpowiedni moment. Zwłaszcza że ty ostatnio masz sporo problemów rodzinnych.

– Serio? Tobie po raz pierwszy jako powód absencji podaję sprawy rodzinne. Zresztą w ogóle po raz pierwszy się przed tobą tłumaczę. Wcześniej, całe szczęście, nie musiałem – odpowiadam.

Powie jeszcze słowo na temat mojego stosunku do pracy, to go zajebię. Chyba nie jest tak źle, skoro to mnie najpierw zaproponowano awans. Buc! Po prostu sam nie daję rady. Mogłem jechać do tego Londynu. Jako menedżer usprawiedliwiłbym się wyłącznie przed dyrem, a nie sztabem kierowników różnych szczebli, którzy za wszelką cenę chcą się wykazać. Najczęściej ważniactwem i donosicielstwem. Szlag! Moja obecność tutaj nic nie zmieniła. Nie mam ani wyższego stanowiska, ani lepszej pensji, ani syna. Mam tylko okaleczoną Małżę. I chujowe plemniki. I coraz mniejsze szanse. I coraz mniej czasu.

– Zastanów się, ile wolnego sobie życzysz i daj mi znać. Byle szybko.

Rozłączam się. Kucam przy Anecie. Nachyla się. Próbuje ułożyć głowę na moim ramieniu. W efekcie spada z krzesła. Biorę ją na rękę. Siadamy na jednym

fotelu. Głaszczę ją jak dziecko, które trzeba utulić. Wyćwiczyłem się w noszeniu ludzi, w uspokajaniu ich. Jestem gotowy. Mógłbym już być ojcem.

Z trudem wydobywam z kieszeni dzwoniący telefon. Mama 2.

– Aneta nie odbiera. Jakie wieści? – pyta bez wstępu, wyraźnie zaniepokojona.

– Kreska. Liczba pojedyncza – odpowiadam.

Teściowej nie sprzedam żadnego kłamstwa. Małża dawno zdążyła jej opowiedzieć o naszych problemach. Wie, ile mam plemników, jak są zbudowane i jak szybko się poruszają. Tfu, jak wolno.

– Co z nią?

– Śpi mi na kolanach na oddziale ratunkowym. Trochę się pokiereszowała.

– Jak to pokiereszowała?! – Podnosi głos.

– Skaleczyła się.

– Specjalnie?

Cholera! O tym nie pomyślałem. Należałoby wziąć pod uwagę taką ewentualność.

– Nie wiem. Mamo, przydałabyś mi się. Jak ją opatrzą, tyrknę do ciebie. Przyjedziesz?

– Oczywiście. Może przyjadę już teraz?

– Nie, spokojnie. Skontaktuj się z redakcją, wytłumacz ją jakoś z nieobecności, błagam.

Za co ta teściowa mnie tak lubi? Dlaczego mi pomaga? Gdyby nie ja, Aneta nie byłaby teraz poraniona. Dosłownie i w przenośni.

Wreszcie nas przyjmują. Lekarz zszywa rozcięcie, wypisuje receptę. Niestety, nie widzi przesłanek, by wystawić L4. Skłonny jest natomiast skierować Małżę do psychiatry.

W milczeniu wracamy do domu. Aneta siada w kuchni. Matka – już obecna – dotrzymuje jej towarzystwa.

Wyciągam mopa. Czyszczę kafelki. Przygotowuję Małży kąpiel. Wołam ją. Zdejmuję ubranie. Najpierw z niej. Potem z siebie. Zakrwawione i poplamione moczem ciuchy wrzucam do pralki. Nie wychodzę z łazienki. Tym razem sam siadam na podłodze. Przeszukuję torebkę Małży. Zabrałem ją ze sobą z przedpokoju.

– Aneta, gdzie masz tę wizytówkę psychologa?

– Nie pamiętam – mówi, wchodząc do wanny.

Kalendarz, portfel... Sprawdzam każdą przegródkę. Nie ma. Klucze, kosmetyczka, przepustka do biura... W końcu wyjmuję ze środka parę maleńkich butów. Małża zaczyna płakać.

– Nie chcę do psychologa. – Trze policzki.

– Jasne, wolisz się pociąć. Tylko od tego nie zachodzi się w ciążę – mówię.

Na razie odkładam kapcie na bok. Wyrzucając je, doprowadziłbym Anetę do hysterii.

– Co?! Ty myślisz, że ja specjalnie...

– Nie wiem. Gdzie ją włożyłaś?

– Nie pamiętam, naprawdę.

Zrezygnowany wstaję. Patrzą przed siebie.

– Co mam zrobić z tymi bucikami? – pytam.

– Włóż do szafy. Może jeszcze kiedyś ci je podaruję.

Opuszczamy łazienkę. Aneta znika za drzwiami sypialni.

Kontaktuję się z Haliszewskim.

– Jedna kreska.

Gin wzdycha bezradnie.

– Niech to szlag! To mamy jakiś głębszy problem. Jak przy tym nasieniu nie wyszło...

– Prawdę mówiąc, nie dzwonię po dalsze zalecenia. Dawał nam pan kontakt do psychologa. Nie mogę go znaleźć.

– Już podaję.

– Wystawia L4? Potrzebuję dla Anety.

– Ja to załatwię. Może pan przyjechać?

Po godzinie szybko zbiegam po schodach. Wsiadam do samochodu. Wciskam gaz do dechy. Telefonicznie umawiam się z panią Gajdą. Proszę, żeby wieczorem przyszła do nas do mieszkania. W klinice opowiadam, co się wydarzyło. Haliszewski również twierdzi, że w tej sytuacji terapia to konieczność. W firmie podpisuję wniosek o urlop. Dostarczam do redakcji zwolnienie Anety. Z bankomatu wyciągam kasę na wizytę psycholki. Do szpitala zawożę książeczkę ubezpieczeniową. Na końcu drogi hospicjum. Tu czas wreszcie zwalnia. To z narodzinami trzeba się spieszyć, nie ze śmiercią. Ojciec, nieprzytomny po morfinie, nie domaga się kąpieli. Nie muszę go nosić. I dobrze. Bo Aneta mnie pewnie dzisiaj nie wysmaruje żelem na bóle mięśniowe. To już zaczyna być tradycją. Bóle i masaże.

Usiłuję nawiązać z nim rozmowę. Nic z tego. Oznajmiam wprost, że z wnukiem będzie ciężko. Raczej nie zdążę. Nie reaguje. Przegrywam. Przegrywam walkę z czasem.

Wsiadam do auta. Oddycham głęboko. Znowu czuję, że krew rozsadza mi skronie. Chcę się poryczeć. Muszę się poryczeć. Kurwa, nie mam czasu się poryczeć.

Wracam. Aneta nadal śpi. Obiecuję mamie, że zjem chociaż jeden kawałek pizzy. Niechętnie zajmuję miejsce przy stole. Wytrwale gryzę pieczarki, szynkę, salami. Żuchwa działa bez zarzutu. Gorzej z przełykiem. Nie zdołam przełknąć.

Teściowa przygląda mi się uważnie. Tak jakby liczyła każdy mój kęs.

- Wojtek, jak wam pomóc? Masz ostatnio sporo na głowie. Za dużo.
- No. Ale całe szczęście doba jest za krótka, żeby się użalać nad sobą. A! Dostałem L4 dla Anety. Teraz nie będzie mogła wrócić do redakcji, dopóki nie zajdzie w ciążę. Wtedy weźmie następne zwolnienie. Inaczej ją wypieprzą.
- Nie wiem, czy to jest dobre, żeby ona siedziała w domu.
- Nie może stracić roboty. A opuściła kolejny dzień pracy. Wywalą ją, gdy tylko nadarzy się okazja – mówię z pełnymi ustami.
- Powiedz mi, jak czuje się tata.
- Już leci na takich prochach, że nie kontaktuje – odpowiadam.

Macham ścierką, po czym wycieram nią usta. Czuję, że kawałek papryki nie chce mi przejść przez gardło, chyba za słabo przeżułem. Próbuję go przełknąć ponownie. Bez skutku. Cofa się. Dzwonek do drzwi. Przedpokój? Nie. Łazienka. Muszę do łazienki. Dzwonek do drzwi. Nie mogę otworzyć. Jestem zamknięty. W łazience. Dzwonek do drzwi. Mama mnie wyręczyła. Jak dobrze. Cisza. Spokój. Siadam na podłodze, opieram głowę o kibel. Chciałbym się wyspać. Nie mam czasu się wyspać.

- Wracam do kuchni. Teściowa zbiera się do wyjścia.
- Dobry wieczór. Wojciech Raczyński. – Podaję rękę psycholce.
- Joanna Gajda.
- Przepraszam. Już się panią zajmę, tylko coś łyknę. – Nalewam sobie wody.
- Może pani też się czegoś napije?
- Proszę wybaczyć, ale to ja mam się panem zająć, nie odwrotnie. Chciałabym od razu uzgodnić, jak będziemy się do siebie zwracać.

Przyzwyczailem się, że rozmawiam ze wszystkimi dość bezpośrednio. Jest łatwiej, szybciej, a to i tak niczego nie zmienia w relacjach. Taki kontakt jedynie pozornie zmniejsza dystans. Bo jakoś nie chlam wódki ze swoimi przełożonymi. Z psycholką też nie zamierzam się bratać, ale forma raczej na to nie wpłynie.

- Wolę „na ty”, jeśli tylko nie jest to w złym tonie.
- Nie jest. Mógłbyś na początku opisać waszą sytuację?
- To pytanie mnie nie dziwi. Wiedziałem, że padnie.
- Półtora roku temu padło hasło: dziecko. – Siadam. – No dobra, taka kolej rzeczy. Czemu nie? Jakoś się ten wózek pociągnie wspólnymi siłami. Najwyższa pora. Nacieszyliśmy się życiem w duecie. Poza tym komuś tyka zegar. To do dzieła... Nie było ciśnienia, żadnego parcia. Pojawiło się, więc trafiliśmy do kliniki. Chyba wtedy wzrosły oczekiwania. Liczyliśmy, że lekarze szybko załatwią sprawę, a tu mija kolejne pół roku i nici mimo interwencji w rozród. – Niepłodność w pigułce. Dziwne, że można to streścić w pięciu zdaniach. Moja relacja jakoś nie obnaża okropności całego leczenia. – Inseminacja. Nie wyszło. Teoretycznie powinno, bo miałem dobre nasienie. Nastawiliśmy się, że to się już skończy. Że się dobrze skończy. A tymczasem teraz nawet trudno określić, co jest przyczyną

niepowodzeń. Dzisiaj Aneta zrobiła test. Rozwaliła miseczkę z sikami. Nie wiem, czy specjalnie, czy przypadkowo poharatała się odłamkami. Totalna histeria. Nie pozwoliła mi się do siebie zbliżyć, opatrzeć, ledwo mi się udało zawieźć ją do szpitala – opowiadam.

Gajda nie spuszcza ze mnie wzroku. Właśnie tego nie znoszę u psycholi. Mają manierę lustrowania ludzi, a sami nie panują nad mową ciała, nie potrafią ukryć wścibstwa. Żadna laska nie gapiała się na mnie w taki sposób jak ona.

– Czy ja ci się podobam? – Próbuję ją onieśmielić.

– Jesteś bardzo męski – stwierdza.

– Serio? Dziękuję – odpowiadam.

Kuźwa, niełatwo ją spieszyć. Dalej mnie obserwuje. Jak pod mikroskopem. Wszyscy mnie ostatnio obserwują pod mikroskopem. Zjawisko biologiczne. Przypadek kliniczny.

– Skończyłem. Skończyłem mówić. Postawiłem kropkę.

– Do czego jestem ci potrzebna? Pomyśl, zanim odpowiesz.

– Myślę wystarczająco dużo.

– No widzisz, chodzi właśnie o zachowanie równowagi. – Uśmiecha się szyderczo. – Jeśli dużo myślisz, powinieneś sporo ujawniać. Wprost proporcjonalnie. Nie stracisz na męskości, gdy okażesz odrobinę emocji.

– Aha, czyli poszukujemy harmonii – ironizuję. – Ale to moja Małża ma problem.

– Małża to żona, jak rozumiem. Więc jestem tutaj, ponieważ twoja żona potrzebuje pomocy, tak? Dlaczego sam jej nie udzielisz? Naprawdę wolisz wydać dwieście złotych na tę wizytę?

– To będzie tyle kosztowało? – pytam.

– Pierwsza zasada: nie odpowiadamy pytaniem na pytanie.

– Jezu, jakbym słyszał Zołzę.

– Zołza to też żona? Widzisz, w małżeństwie obowiązuje podobny kodeks jak we współpracy z terapeutą.

– To już jasne, dlaczego mi się to nie podoba. Okej, postaram się zakodować.

– Postaraj się również respektować i nie próbuj rozmydlać tematu, bo zaczniesz płacić nie za samą konsultację, ale za czas jej trwania. Pamiętaj, o czym rozmawialiśmy?

– Pytałaś, dlaczego tu jesteś.

– Nie, to ustaliliśmy przed minutą. Skoncentruj się. Wyznałeś, że twoja żona potrzebuje pomocy. A ja chcę się dowiedzieć, dlaczego sam nie możesz jej udzielić.

– Nie wiem jak.

– Dotychczas wiedziałeś?

Wzdycham. Jestem zbyt zmęczony, żeby się skupić, dokonać autoanalizy.

Przecieram oczy.

– Dotąd się nie kaleczyła.

– Skoro nie możesz jej pomóc, to sam...

– Co sam? Sam potrzebuję pomocy?

– Potrzebujesz mojej pomocy? – Nachyla się, kładąc ręce na stole, jakby miała dotknąć samego sedna.

– Moja żona jej potrzebuje.

Gajda wstaje, idzie do przedpokoju.

– Zaraz. – Biegnę za nią. – Nie będziesz mi niczego wmawiać. Chcesz, żeby stanęło na twoim, bo wtedy wyjdiesz na profesjonalistkę?

– Bardzo prawdopodobne, że wyjdę. Nie jestem profesjonalistką? To dlaczego kazałeś mi zaczekać?

– Bo sam nie jestem profesjonalistą? – Rozkładam bezradnie ręce.

Muszę jakoś przebrnąć przez tę słowną przepychankę. Pocieszam się myślą, że za chwilę to Małża będzie przesłuchiwana.

– Na czym polega twój problem? – pyta psycholka.

– Nie umiem pomóc swojej żonie, więc sam potrzebuję pomocy.

Zadowolona? Dopiętaś swego? To prawidłowa odpowiedź?

– Prawdziwa – mówi.

Wraca do salonu, siada.

– Dlaczego nazywasz ją Małżą?

– Bo uwielbiam małże i to wyraz podobny do „małzonki”. Tak sobie to skojarzyłem. Ale nadaję jej różne ksywki. Bywa Zołą, bywa Brenda...

– Od czego to zależy?

– Najczęściej od dnia cyklu.

– Dlaczego Brenda?

– Jak ją zobaczysz, zrozumiesz.

– No to pogadajmy we trójkę.

Ruszam do sypialni. Psycholka mnie zatrzymuje.

– Moment. Jeszcze jedno. Często wymiotujesz?

– Zwykle tylko wtedy, gdy mam grypę żołądkową albo zjem coś w kurczakowni.

– Masz grypę żołądkową, zjadłeś coś w kurczakowni?

– Nie.

– To dlaczego wymiotowałeś?

– Chyba stres.

– Z czym związany?

– Mój ojciec umie... Nie! Mój ojciec nie umiera, mój ojciec zdycha, raz prosząc o morfinę, innym razem o wnuki. Mojej siostrze rośnie brzuch, a mojej Małży brzuch się zapada. Oprócz tego Aneta może zaraz stracić pracę i nie wiem,

skąd wtedy weźmiemy kasę na leczenie. Jakby tego było mało, mam upierdliwą matkę. Do tego wrednego kierownika, a sam mogłem nim być, gdyby nie to, że pewnego dnia musiałem iść do łóżka.

– Okej. Wystarczy.

Wchodzę do pokoju.

– Małżuś, Małżuś. – Szturcham ją delikatnie. Przeciąga się. – Małżuś, przyszła psycholka.

– Ściągnąłeś ją do domu?! – Podpiera się na łokciach.

– Wstaniesz?

Jest wściekła. Jest strasznie wściekła. Zrywa się na równe nogi. Chyba traktuje to jako atak.

Zjawia się po pięciu minutach. Ubrana. Nawet spięła włosy w kok. Podchodzi do Gajdy. Wymieniają uprzejmości. Również rezygnują z formy grzecznościowej. Aneta staje przy kuchennym blacie. Parzy kawę.

– I co powiedział? Że się pocięłam, bo nie zaszłam w ciążę?

Psycholka patrzy na mnie wymownie. Sugeruje, że powinienem zabrać głos.

– Powiedziałem, że potrzebujesz pomocy – mówię w końcu.

Opieram się na krześle. Krzyżuję ręce. Nie pozwolę, żeby Zośka weszła mi na głowę, a ewidentnie do tego dąży. Dziwne, że stanowimy opozycję. Przecież nie stoimy po dwóch stronach barykady. Gramy w tym samym zespole. Strzelamy do jednej bramki. Ślepakami.

– Dlaczego sądzisz, że potrzebuję pomocy? – pyta.

Jest niezwykle spokojna, rzeczowa. Nie wygląda na kogoś, kto przed kilkoma godzinami się okaleczył. Pełne opanowanie, kamienna twarz.

– Bo mnie dzisiaj przeraziłaś i nawet jeśli nie stało się nic poważnego, nie jestem pewny, czy nie nastąpi to przy kolejnym teście.

– Aha, czyli już wiadomo, że kolejny będzie negatywny. Ja też nie jestem pewna, czy przed następną inseminacją zapanujesz nad zazdrością o gina i mnie jednak nie zgwałcisz.

Prostuję się. Odchrząkuję nerwowo. Schylam głowę. Czuję, że Gajda z feministyczną zajadliwością oskarża mnie wzrokiem. Aneta nie pozwala mi odeprzeć zarzutów. Może i dobrze, bo nie mam pojęcia, jak mógłbym to zrobić.

– Ja nie sprowadziłam psychologa do domu, chociaż lekarz pięć miesięcy temu stwierdził, że tobie taka porada by się przydała.

– Wojtku? – wywołuje mnie do odpowiedzi Gajda.

– Rzeczywiście wspomniano o psychologu. Fakt.

– Dlaczego uznano, że powinieneś skorzystać z terapii?

– Bo miałem kiepskie nasienie.

Aneta wybucha śmiechem. Siada przy stole, stawia na nim kubek. Szybko poważnieje. Zwraca się do mnie:

– Asia pytała o terapię psychologiczną, a nie farmakologiczną. Nasienia nie poprawisz dzięki psychoanalizie. Na pewno jedynie dlatego, że wyszedł ci słaby spermogram, proponowano ci psychologa? A może dlatego, że miałeś problem ze sobą, ze zmierzeniem się z prawdą? – pyta.

Doskonale odnajduje się w roli prokuratora. Powinna pójść na prawo i tam poznać faceta z krwi i kości. I skąd ta „Asia”? Psiapsiółki.

– Nie. Chodziło przede wszystkim o to, że ją oszukałem. – Wskazuję na Małżę. – Zwlekałem z ujawnieniem wyników. W ogóle dość trudno było mi zaakceptować całe to leczenie. Nie pochwalam igrania z naturą. I nie należę do onanistów.

– Czyżby? – znowu pyta Zołza i wyciąga na światło dzienne dodatkowe ciekawostki, próbując odwrócić od siebie uwagę.

Chce mnie oczernić i zawstydzić, żebym zrezygnował z tej konsultacji. Ale nie postawi na swoim. Tym razem nie postawi. Choćbym miał się obnażyć przed Gajdą bardziej niż przed Filipowskim.

– Dopóki Małża mi daje, nie muszę się masturbować. – Zrzucam na nią winę.

– Nie sypiacie ze sobą? Dobra, dojdziemy do tej kwestii, moment. Mamy sporo do omówienia. Dlaczego chciałeś ukryć prawdę?

– Żeby zostać psychologiem, trzeba mieć talent do zadawania idiotycznych pytań, tak? W takim razie jesteś genialna w tym fachu. Faktycznie profesjonalistka.

– Gdyby pytanie było głupie, odpowiedziałbyś. Nie walcz ze mną.

Robię głęboki wdech. Przewracam oczami.

– Nie za fajnie się czułem jako facet, mając zmutowane kijanki. To jest chyba jasne.

– Wyniki nie były bombowe. Tak powiedziałaś.

– Były beznadziejne – stwierdza Aneta.

– Dlaczego jesteś wobec niego tak okrutna? – Gajda kieruje spojrzenie na Małżę.

Nareszcie zauważyła, że Zołza urządza na mnie nagonkę. Nie taki powinien być kierunek tej rozmowy. To Aneta jest gwiazdą dzisiejszego odcinka. To ona jest czarnym charakterem w białych rękawiczkach.

– Bo cię tu sprowadził, robiąc ze mnie wariatkę. Jakby sam nie potrzebował wsparcia znacznie wcześniej. Jakby był niewiniątkiem.

– Wojtek, potrzebowałaś wsparcia?

– Tak – przyznaję otwarcie.

Dzięki temu wyjdę na tego, który potrafi obiektywnie spojrzeć na sprawę.

– Kiedy?

– Właściwie od początku. Żeby sobie to wszystko uzmysłwić, a na pewno już tej pamiętnej nocy, kiedy...

– Co możesz sobie zarzucić? – pyta Gajda.

Psycholka znowu koncentruje się na mnie. Pieprzona solidarność jajników. Muszę powstrzymać gniew. Nie wolno mi się unosić. Bo to nie ja mam problem z emocjami. Nie dam się sprowokować, bo znowu usłyszę, że mam słabą kondycję psychiczną. Ja, nie Małża. Kurwa, co za absurd!

– Olewkę. Na pewno olewkę. Gdybyśmy wcześniej się zgłosili do kliniki, może... Ojciec by mi nie chrzanił o wnukach. Poza tym nie stosowałem się do zaleceń.

– Miał rzucić fajki.

– Nie zrobiłeś tego?

– Popalałem. Przykleiłem sobie plaster nikotynowy. Jakość nasienia wynikała z moich zaniedbań. Jest w tym wiele racji, więc Aneta poniekąd słusznie ma do mnie pretensje.

– Aneto, czy Wojtek w końcu zrozumiał powagę sytuacji?

– Tak, o dwa miesiące za późno. Co z tego? I tak każdy zaplanowany seks okazywał się dla niego katorgą.

– Czy ty naprawdę uważasz, że seks w maseczkach ochronnych jest normalny? – Podnoszę głos. – Sądziś, że fajnie było się bzykać, kiedy mój ojciec wylądował w szpitalu?

– Maski ochronne? – docieka psycholka.

– Miałem grypę.

– Nie chciałeś się wtedy kochać?

– Kochać? To w maskach ochronnych można się kochać? Ja już dawno nie kochałem się ze swoją Małżą, już dawno nie uprawiałem seksu. Dupczyłem, kopulowałem. To są odpowiednie określenia. Teraz już nawet tego nie muszę robić. Mogę o tym jedynie pomarzyć. Inni wykonują za mnie robotę.

– No tak. Łaskawie zgodził się na inseminację – ironizuje Aneta. – Zapytaj dlaczego – zaleca Gajdzie. – Nie chodziło o moje dziecko, ale o wnuka dla jego ojca. Dlatego zrezygnował z awansu.

– Hamuj. Hamuj, Małżuś – ostrzegam ją. – Mam sporo cierpliwości, ale żyłka w końcu pęknie. Nie pozwolę sobie na coś takiego.

– Na co sobie nie pozwolisz?! Na prawdę sobie nie pozwolisz, tak?! – krzyczy.

Nachylam się do niej.

– Prawdę? Żeby ocenić, co jest prawdą, trzeba myśleć głową, a nie macicą. Sama mi wtedy mówiłaś, że muszę jechać, bo możesz stracić pracę i nie będzie pieniędzy na leczenie.

– I nie pojechałaś. Nie ze względu na mnie. Ze względu na ojca.

Wstaję. Zaczynam spacerować po pokoju.

– Wojtek, co się dzieje? – pyta Gajda.

Dopiero po zaczerpnięciu sporej dawki tlenu odzywam się:

– Nie wytrzymam. Sorry, ale ja tego nie wytrzymam. Po prostu nie zniosę. Prawda, tak? To twoja prawda. Moja jest inna. Wiesz jaka? Jesteś niesprawiedliwa. Jesteś strasznie niesprawiedliwa. Jesteś pieprzoną egoistką. Widzisz tylko czubek własnego nosa i tylko twój interes się liczy. Znajdujesz sobie narzędzie, żeby po trupach dojść do celu. Jeśli nie działa jak należy, rzucasz je w kąt. Zero litości! Gardzisz mną. To jest prawda. Dobra, na początku nie przyłożyłem się do sprawy, przyznaję. Przeprosiłem cię, podobno mi wybaczyłaś. Nieważne. Jest mi głupio, że tak olałem sprawę. Ale później... Jestem nałogowym palaczem, do dzisiaj mnie skręca. Lubię tylko spontaniczny seks, ale uprawiałem go w określonych terminach, godzinach. Zrezygnowałem z awansu. – Opieram się o stół. – Kurwa! Aneta! To była jedna z najtrudniejszych decyzji w moim życiu, bo taka okazja się nie powtórzy i teraz pomiata mną jakiś buc, który ma „ale” do mojego urlopu. Nie wiem, co zrobimy bez tych dwóch patyków, jak cię wyleją, a będziemy musieli skorzystać z in vitro. Tak, już nie jestem przeciw in vitro. Zrezygnowałem z poglądów, ze stanowiska, nałogów, dobrego seksu. Nawet akceptowałem to, że go nie potrzebujesz. To wszystko było dla ciebie. Spowiadałem się przed lekarzami, rozbierałem się przed nimi. Pozwoliłem ci rozłożyć nogi przed Haliszewskim, żeby wprowadził ci moje nasienie do pochwy. Wszyscy widzieli, jakie założyłaś majtki, tylko nie ja! A miałem wtedy począć swoje dziecko. Nie ja maczałem w tobie palce, nie ja wycierałem własną spermę z twoich włosów łonowych! Już nie mogę. Już, kurwa, nie mogę! Nie mogę ci pomóc. Nie mogę pomóc sobie. Mnie samego trzeba by podnosić, bo nie mogę już nic. Już nic nie mogę dla ciebie zrobić. Nic. Nie dopuszczasz mnie do siebie ani w łóżku, ani w klinice. Nigdzie. Spóźniłem się i nie mam żadnej roli, nic dla ciebie nie znacę. Kurwa, spóźniłem się, ale zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy. Więcej nie potrafię. Chciałbym. Żebyś ty wiedziała, jak bardzo chciałbym... Ale nie potrafię sprostać twoim wymaganiom. Chciałbym, ale nie mogę. Chciałbym być lepszy. Chciałbym mieć lepsze nasienie. Przepraszam. Strasznie cię przepraszam. Jest mi przykro. Jest mi zajebiście przykro.

Ja pierdolę! Jeszcze nigdy się tak nie rozsypałem. Stoję na środku salonu. Aneta razem z Gajdą mi się przypatrują. Nie wiem, czy z politowaniem, czy z niesmakiem.

– Stwierdziłeś, że tak wiele poświęciłeś dla Anety. A nie dla dziecka.

– Nie ma żadnego dziecka. Nie ma. – Zaciskam zęby. Odwracam się plecami. Przymykam oczy. Powiem to. Muszę, chociaż nie chcę patrzeć na reakcję Anety. – I dobrze. Bardzo dobrze, że go nie ma, bo już go nienawidzę za to, co robi ze mną i z moim małżeństwem. – Kładę dłonie na karku, jakbym zamierzał go rozmasować. Brakuje mi rąk, bo nad napięciem w skroniach też powinienem popracować. Nad napięciem w brzuchu również. I w krzyżu. W kręgosłupie.

Moralnym. – Sorry, ale muszę na chwilę wyjść.

Najszybciej, jak to możliwe, wkładam buty. Nie mogę żałować tego, co powiedziałem. Nie mogę żałować, że wyznałem prawdę. Wszystko byłoby proste, gdyby Aneta odpuściła, gdyby jej tak nie zależało, gdyby nie pragnęła za wszelką cenę. Kosztem mnie. Zbiegam po schodach do garażu. Wsiadam do auta. To jedyne miejsce, gdzie mogę bezkarnie przekląć Zołzę za to, że nie dorosła do małżeństwa, ojca za to, że nie dorósł do starości, siebie za to, że nie dorosłem do ojcostwa. Uderzam rękami o kierownicę, oddycham głęboko, miarowo. Cholera, powinienem tam wrócić. Aneta może nie mieć gotówki, a trzeba zapłacić za wizytę. Sam ściągnąłem psycholkę, więc należałoby ją teraz odprowadzić do drzwi i pożegnać. I jeszcze kurtuazyjnie podziękować za tę niedźwiedzią przysługę, za ten rozpierdziel, do którego doprowadziła, prowokując nas do zwierzeń.

Przekraczam próg. Chcę najpierw zbadać teren, podsłuchać, co mówi Aneta. Nic nie mówi. Siadam przy stole. Opieram podbródek na dłoni. Liczę, że Gajda przerwie milczenie. Może nada rozmowie nowy kierunek? Niech ktoś ruszy tę siekierę, która zawisła nad nami! Czy nie na tym powinna polegać terapia? Ciszę zakłóca dopiero dźwięk telefonu. To komórka Gajdy. Odnajduje ją w torebce. Odbiera połączenie.

– Tak, słucham. Jezu, co się stało? – Jej głos przybiera histeryczny ton. – O Boże! Ale nic mu nie jest, tak? Gdzie? Zaraz będę. – Rozłącza się. Spogląda na nas. – Bardzo was przepraszam, bardzo, ale mój syn miał wypadek na desce. Jest w szpitalu. Muszę do niego jechać. Chciałabym się jeszcze z wami zobaczyć. Myślę, że to konieczne. Mogłaby mnie dziś zastąpić koleżanka.

Wstaję, odprowadzam ją do przedpokoju.

– Nie trzeba. Nie przejmuj się. Poradzimy sobie.

– Nie, nie poradzicie sobie bez pomocy. Za daleko zabrnęliście. Powinniśmy się jeszcze spotkać.

– Jasne. – Sięgam po portfel.

– Daj spokój, przecież nie dokończyliśmy. Zadzwonię jutro. Tu masz wizytówkę innego psychologa, gdybyś zmienił zdanie.

W pośpiechu zakłada płaszcz, wychodzi. Jeszcze przez chwilę stoję w przedpokoju. Próbuję ogarnąć całą sytuację. Zaprosiłem do domu terapeutkę. Poszła sobie, a my mamy chyba więcej problemów niż przed tą wizytą. Opracowuję plan działania. Muszę zburzyć ten mur, ratować sytuację. O ile jest jeszcze co ratować. Wrócę do salonu. Usiądę naprzeciw Małży. Znowu będziemy milczeć, tępo gapiąc się na siebie? Czy będziemy potrafili pogadać bez mediatora? A może właśnie teraz pójdzie nam łatwiej?

Zastaję ją zatopioną w pracy. Kompletnie nie zwraca na mnie uwagi. Czekam. Może wreszcie dotrą do niej moje słowa. Do jasnej cholery, powiedziałem, że nienawidzę dziecka, które mamy wspólnie począć. Słuchała,

a nie słyszała? Mam to wykrzyczeć tak głośno, że pękną szyby w oknach? Wtedy pojmie, że ciężko mówić o rodzinie w tym małżeństwie? Za ten nietakt, okrucieństwo powinny mnie spotkać konsekwencje. Powinienem poczuć się winny, słysząc jej utyskiwania, płacz. Trzeba było się liczyć z jej uczuciami, wziąć pod uwagę, że moje wyznanie może ją zabołec i wpłynąć na nasze dalsze stosunki. Wpatruję się w nią, ona wpatruje się w ekran. Ona zamknięta ze swoim problemem, ja otwarty na jej problem. Ciekawe, czy jeszcze pamięta, że korzystała z mojej spermy i będzie musiała to zrobić ponownie? Czy pamięta, że mamy wspólny cel? Cel, który zamiast łączyć, coraz bardziej nas dzieli. Wspólny problem. A może wcale tak nie jest? Może wspólny to my mamy już tylko stół. Może są inne, lepsze rozwiązania?

– Może są inne, lepsze rozwiązania – odzywa się nareszcie, jakby czytała w moich myślach.

Wskazuje na laptopa. Wszystko jasne. Aneta nie szuka sposobu na mój związek, Aneta szuka sposobu na swoje dziecko. Muszę się wyspać. Mam czas się wyspać. Niezauważony zmierzam do sypialni. Wcale nie jest mi lepiej. Nadal mam bóle krzyżowe. Trudno się dziwić, skoro rodzę... same problemy.

– Wojtek, Wojtek, obudź się. – Małża mnie szturcha. – Inseminacja domaciczna częściej przynosi rezultaty przy stymulacji hormonalnej. Wielu lekarzy korzysta z tej opcji nawet wtedy, gdy wszystko chodzi jak w zegarku.

– Tak? Zapytaj o to Haliszewskiego – mówię.

Siadam. Tylko dlatego, że strasznie chce mi się sikać i już od dłuższego czasu czułem związany z tym dyskomfort. Aneta leży obok. Znowu z laptopem na kolanach. Idę do łazienki. Słyszę za sobą jej słowa:

– On nam w ogóle nie robił badań immunologicznych. Nie rozumiem. Ani tego *per rectum*. Tu piszą, że jest konieczne.

Rozgadała się tak, że nawet nie zauważyła, że nie ma mnie obok. Kładę się na kanapie, żeby nareszcie odpocząć. Myślę o cudzie wspomaganego rozrodu. Czyż to nie niesamowite, że można począć dziecko, nie sypiając we wspólnym łóżku, mając tylko wspólny stół?

Może Brenda tu po mnie przyjdzie? Może jednak spróbuje wycisnąć ze mnie trochę nasienia? Poszuka rozwiązań w małżeństwie, a nie w Internecie. Nie przyjdzie. Nie ma po co. Wsuwam dłoń pod koc.

Pęknięte spojenie

Budzi mnie jej głos. Rozmawia przez telefon w sypialni. Po chwili zjawia się w salonie.

– Umówiłam nas na jedenastą. Trzeba się zbierać. Mam parę pytań do naszego znachora.

Oj! Dość pejoratywne określenie. Nie rozumiem jej podejścia. Wcześniej nie kwestionowała sposobów leczenia. Darzyła Haliszewskiego zaufaniem. Musi się na kimś wyżyć po niepowodzeniach? Gin zasłużył na zostanie kozłem ofiarnym?

Staję tuż za nią przy blacie kuchennym.

– Jest tyle badań. – Wyciąga ze zmywarki czysty kubek. – Nie wszystko da się załatwić najprostszą analizą krwi i moczu. – Sięga po puszkę z kawą. – Płodność to nie tylko ginekologia i andrologia. To również...

Nie słyszę dalszej części wypowiedzi, bo uruchamia młynek. Napelnia czajnik. Spoglądam na wskaźnik wody. Dwie dziesiąte litra. Dla niej w sam raz.

– A Haliszewski? Co on dla nas zrobił? USG, kilka spermogramów i kieruje nas na inseminację, z której nic nie wynika mimo dobrego nasienia. – Po minucie zalewa czarny proszek. Nie przestaje mówić: – O czym to świadczy? Musi być jakaś przyczyna i należy ją wykryć przed podjęciem decyzji o wspomaganiu rozrodu. Co to za strategia? – Nareszcie przechodzi do salonu.

Wyciągam ze zmywarki czysty kubek. Napelnięm czajnik dwiema dziesiątymi litra wody. Powtarzam wszystkie czynności wykonane przez Małżę. Obserwuję ją. Ciągłe jest strasznie nabuzowana, zafiksowana. Intensywnie gestykuje i chyba trudno jej znaleźć czas na zaczerpnięcie oddechu. Siadam przy stole. Spostrzegam kartkę z listą zagadnień, o których Aneta zamierza porozmawiać z ginem.

– Jeśli zagrozimy Haliszewskiemu, że zrezygnujemy z jego usług, to może weźmie się do roboty. Mam tutaj nazwiska innych zachwalanych lekarzy. Powinniśmy sprawdzić, czy następni nie obraliby innej taktyki. Rozeznałam się na forach. Wiesz, co pisali o naszym cudotwórcy? Że wykonuje mało badań. U niego zwykle kończy się na inseminacji albo in vitro. Więc wychodzi na to, że mam rację.

Czy ona zwraca się do mnie? Chyba wcale nie potrzebuje słuchacza. Nawet nie próbuję przerwać tego wywodu na temat kompetencji Haliszewskiego. Przygotowuję się do wyjścia.

Czekamy na wizytę. Wyciągam śpiochy z oczu. Powiniennem to zrobić przed lustrem, ale Aneta stwierdziła, że też musi zająć łazienkę, a zostało jej mało czasu. Tak więc wybiegłem z domu, nie myjąc zębów, bo moja Małża chciała się

zamaskować tapetą. Szkoda, że nie wziąłem ze sobą szczoteczki i pasty. W ciągu pół godziny, które tu beczynn timer spędzimy, zdążyłbym z poranną toaletą.

Z gabinetu wychodzi para, którą spotkaliśmy przed inseminacją. Oboje mają spuszczone głowy, ale i tak nie sposób nie zauważyć uśmiechów na ich twarzach. Gdy nas mijają, Aneta wstaje z krzesła, odwraca się, żeby nie stracić z oczu szczęśliwców. Podążam za nią wzrokiem.

Mężczyzna kilka razy obraca się, trzymając żonę w ramionach. Kobieta płacze. Po chwili znowu staje przed kliniką. Z rozrzewnieniem patrzy na drzwi wejściowe. Wreszcie mąż chwyta ją z rękę i prowadzi na parking. Powoli się oddalają. Już tutaj nie wrócą. Przechodzą na inny tryb życia. Rachubą czasu od teraz będą dla nich tygodnie, potem miesiące, trymestry, wreszcie lata.

Obejmuję Anetę. Wyrzywa się. Odchodzi. Znowu siada. Zachowuje się, jakby ta scena rodem z Hollywood nie zrobiła na niej najmniejszego wrażenia. Nie jest skoncentrowana na swojej rozpaczy. Jest skoncentrowana na działaniu. Może to dobrze.

Przychodzą następni pacjenci. Młodszy od nas. Na sto procent.

– Przepraszam, państwo na którą? – Próbuje ustalić kolejność wizyt.

– Na jedenastą – odpowiada zdawkowo Aneta.

Po raz kolejny podsłuchujemy małżeńską rozmowę.

– Przy trzecim to już pewnie zastosuje długi protokół. – Para zastanawia się nad dalszymi propozycjami Haliszewskiego.

Małża nieoczekiwanie pyta:

– Przepraszam, państwo przed in vitro?

– Dokładnie przed trzecim.

– Można wiedzieć, ile prób przewidujecie w razie niepowodzeń?

– Dopóki starczy sił i pieniędzy, będziemy działać. A państwo ile protokołów mieli?

– A nieee. My mieliśmy tylko inseminację. I to jedną – stwierdza z triumfem. Niech Haliszewski już poprosi tych ludzi do gabinetu, bo Aneta, chcąc się dowartościować, zaraz mocno im dokopie. – Nie kwalifikują nas do pozaustrojowego.

– Jeszcze – dodaje otuchy poranionej niepłodnością dziewczynie.

Uświadamiam sobie, że się odzywam pierwszy raz od rana. W dodatku do obcej osoby, nie do Małży. Chyba słusznie milczałem, skoro teraz za jedno krótkie słowo Zołza karcę mnie spojrzeniem. Tak, wiem, popełniłem błąd. Nie pozwoliłem jej się wywyższyć czyjś kosztem. To prawda, klinika leczenia niepłodności to jedyne miejsce, w którym może się poczuć lepiej. Nie ma czym się pochwalić na placu zabaw, w parku, windzie, nawet w pracy, więc próbuje swoich sił tutaj, pokazując wszystkim wokół, że nie należy jej zaliczać do trudnych przypadków. Ciekawe, kiedy zaczną głośno krzyknąć, że jest całkiem zdrowa, i to przeze mnie

tu trafiła. Powinna to wyjaśnić paniom siedzącym przy piaskownicy i sąsiadkom. Żeby sobie nie myślały, że jest bezwartościowa, skoro nie pcha przed sobą wózka.

Mija pół godziny. Aneta pewnym krokiem wchodzi do gabinetu. Natychmiast atakuje gina.

– Inseminacja ma lepszą skuteczność przy stymulacji. Dlaczego jej nie zastosowaliśmy? – pyta, zajmując miejsce naprzeciw lekarza, kiedy ja jeszcze zamykam za nami drzwi.

– Dzień dobry państwu. Panie Wojciechu, proszę sobie usiąść.

Małży już nie musi tego mówić. Rozgościła się bez zaproszenia. Haliszewski wzdycha.

– Wydawało mi się, że już to tłumaczyłem. Mamy do czynienia z czynnikiem męskim, i to niewielkim. Nie było potrzeby zwiększać kosztów leczenia, szpikować panią hormonami, narażać na bliźniaczą ciążę na starcie, kiedy mieliśmy najwięcej szans.

Myślę o pierwszej osobie liczby mnogiej, której już wszyscy rutynowo używamy, mówiąc o zapłodnieniu. Przyzwyczyłem się do tej formy. Już nie doprowadza mnie do szewskiej pasji. Jednak to wcale nie sprawia mi satysfakcji. Przeciwnie. Nie powinno się podchodzić do tych kwestii bezrefleksyjnie. Chociaż należy przyznać, że moja znieczulica uzdrowiła nasze chore stosunki. Jest łatwiej. Chyba właśnie to jest najbardziej przerażające.

„My”. Aneta, Haliszewski i ja. Bo do tanga trzeba trojga. W asyście Filipowskiego już czworga. Zapomniałem o embriologach, położnych, recepcjonistce i pewnie jeszcze wielu osobach, które w tym akcie uczestniczą, a nawet ich nie poznałem.

– Teraz zastosujemy stymulację?

– Teraz zastosujemy terapię.

– Terapię stymulującą? – Małża próbuje postawić na swoim.

– Terapię psychologiczną. Niepłodność często jest tutaj. – Gin wskazuje palcem na głowę. – Naprawdę nie sądziłem, że przy takich parametrach nasienia wynik będzie negatywny. Stąd mam wątpliwości, czy to problem natury czysto medycznej. Zanim skieruję was na in vitro, wolałbym wykluczyć podobne ewentualności. Nie chciałbym narażać was na wydatki.

– A jeśli chodzi o immunologię, na przykład wrogość śluzu? – zadaje pytanie Aneta, licząc, że zdoła zaskoczyć doktora wiedzą zdobytą w ciągu jednego wieczoru.

– To raczej nie wchodzi w rachubę.

– A skąd może pan to wiedzieć?

Jestem pod wrażeniem cierpliwości Haliszewskiego. Równocześnie cały czas się zastanawiam, jak wpłynąć na Małżę. Jak sprawić, żeby nie była tak uszczypliwa, żeby nie miała tak roszczeniowej postawy. Zatwierdziła proponowane

przez gina metody, więc nie powinna mieć pretensji. Zaraz nas stąd wyproszą i stracimy szansę na pomoc. Będzie trzeba zaczynać wszystko od początku.

– Bo jestem lekarzem. Mam dyplom i odpowiednie certyfikaty. Nie doczytała pani. Przy inseminacji domacicznej omijamy problem immunologiczny. Korzystając z niej, nie musimy tracić czasu i pieniędzy na wykonywanie miliona badań. Dlatego właśnie ją zaproponowałem. To szybka i efektywna metoda.

– Omijamy każdy problem immunologiczny? Tych przeciwciał jest dużo. Nasienie było dobre. Więc dlaczego się nie udało?

– W moim przekonaniu to nie nasienie stanowi barierę. Jest jeszcze coś, ale nie wiem co. Cierpicie na niepłodność idiopatyczną.

– Kończył pan medycynę, żeby powiedzieć „nie wiem”?

Oj, siebie bym podejrzewał o taki tekst, ale ją nigdy. Gdzie jej opanowanie? Włączam się do dyskusji.

– Aneta, spokojnie, tak do niczego nie dojdziemy.

– No, co najwyżej do orgazmu – powtarza wypowiedziane kiedyś przeze mnie słowa.

Przypominam sobie nasze pierwsze konsultacje i dochodzę do wniosku, że z biegiem czasu zamieniliśmy się rolami. Dawniej to ona mnie strofowała, dawniej to ona się za mnie wstydziła.

– Co to jest ta niepłodność idio... coś tam? – dociekam.

– Idiopatyczna. O nieznaną przyczynę.

– I to ma być diagnoza, tak? – Małża nie przestaje atakować. – Ja chcę się od pana dowiedzieć, co nam dolega. Po to tu przyszłam. Po to zostawiłam tu kilka tysięcy złotych.

– Sądziłem, że przyszła tu pani przede wszystkim po to, żeby zajść w ciążę, a nie poznać swoje dolegliwości. Żałuję, że mimo poniesionych wydatków do tej pory nie osiągnęliśmy tego celu. Przykro mi.

– Jedno z drugim nie jest powiązane? Rozpoznanie schorzenia, wyeliminowanie go i dopiero w następstwie dążenie do ciąży? To nie są związki przyczynowo-skutkowe, które muszą współistnieć? – pytam, nadal zachowując spokój.

– Nie zawsze współistnieją. Oczywiście każdy, kto tu trafia, chciałby usłyszeć konkretną diagnozę i pozbyć się kłopotu na wieki wieków. Nie dziwię się. Też bym tego pragnął. Często jest to możliwe i wówczas stosujemy leczenie przyczynowe. To największy sukces, ponieważ problem niepłodności znika, jak ręką odjął, i po pewnym czasie od interwencji odsyłamy pacjentów do łóżka. Dalej radzą sobie już sami. Naturalnie. Raz, drugi, trzeci... Ale zdarzają się także sytuacje takie jak wasza. Przychodzicie. Okazuje się, że mamy dobry wywiad, brak wad genetycznych, nie wykryto barier anatomicznych, gospodarka hormonalna w normie, żadnych bakterii, zakażeń, związanych z nimi powikłań, operacji,

chemioterapii, zastosowanych leków, które blokowałyby płodność, narośli, nowotworów, wirusów, pasożytów, chorób przewlekłych. Nic nie muszę w was „reperować”. Niemniej nie zmienia to faktu, że macie problem z poczęciem. W takim wypadku, aby pomóc, korzystam z doraźnych metod. Innymi nie dysponuję przy niepłodności idiopatycznej. Przy tych badaniach, które wykonaliśmy, już wiadomo, że nic poważnego wam nie dolega, nie muszę się martwić o wasz stan zdrowia, ale bez inseminacji się nie obejdzie. Mam robić kolejne, żeby to potwierdzać? Tylko po to, żeby udowodnić, że nie byłem bierny? To nie wpłynie na decyzję o sposobie leczenia. Ona pozostanie taka sama. Nie dojdziemy do nowych wniosków.

– Przepraszam, nie chcę być złośliwy, ale jak można mówić o leczeniu, jeśli nie zna się przyczyn choroby i ich nie usuwa?

– Nie słyszał pan o leczeniu objawowym? Zabiegi wspomagające rozród zaliczamy właśnie do tego rodzaju kuracji. Dotyczy ona również... na przykład dializowania, aplikowania insuliny przy cukrzycy lub podawania leków rozkurczowych przy astmie oskrzelowej. To pomoc doraźna. Czasem ratuje życie, czasem podnosi jego komfort, polepsza samopoczucie pacjenta. Jak przy zaawansowanych stadiach nowotworów, kiedy łagodzimy cierpienia chorego, odpowiadając na jego bieżące potrzeby, ale nie potrafimy wyeliminować schorzenia. Czy to nie jest medycyna, czy to nie jest leczenie?

– Jest – stwierdzam cicho po uświadomieniu sobie, że nikt nie chciał wyciąć guza ojcu, choć jest pod opieką lekarzy i szpikuje się go farmakologią. – Co pan teraz proponuje?

– Drugą inseminację i psychoterapię.

– A potem in vitro: pierwsze, drugie, trzecie. Piękny utarg – kwituje Aneta. – Dziękujemy za współpracę.

– Nie dam pani diagnozy. Możliwe, że dam pani ciążę. Jeśli to nie wystarcza, to rzeczywiście trzeba szukać innych rozwiązań. Ja postępuję według odpowiednich standardów.

Aneta wychodzi z gabinetu. Ja nie ruszam się z miejsca.

– Terapia. Panie Wojciechu, terapia. To naprawdę może pomóc.

– Postaram się ją namówić.

– Z doświadczenia wiem, że w warunkach tak dużego napięcia trudno o powodzenie. Musicie się rozluźnić. Każdy inny lekarz też wam to powie.

– Przepraszam za nią.

– Nie ma za co przepraszać. To normalne. Każda para, z którą miałem do czynienia, przez to przechodziła. Kobiety w pewnym momencie zaczynają działać jak w amoku. Panikują. Zwłaszcza przy niepłodności tego typu. Proszę do niej iść. W razie potrzeby jestem do dyspozycji. A jeśli mowa o procedurach, to nie fora internetowe, lecz Polskie Towarzystwo Medycyny Rozrodu. To jest źródło

rzetelnej informacji. Wyślę panu link mejlem.

Zaraz po powrocie do domu zajmuję łazienkę. Aneta siada przed komputerem. Słyszę, że znowu z kimś rozmawia. Wracam do salonu, jeszcze wycierając włosy.

- Na osiemnastą mamy być ze wszystkimi wynikami u nowego gina.
- Dzisiaj?! – Podnoszę głos.
- No.
- Ale ja nie mogę.
- Dlaczego? Idziesz do ojca?

Potwierdzam po chwili namysłu. Równocześnie informuję, że poprosiłem teściową, żeby przyszła do nas na czas mojej nieobecności.

– Świetnie. Dobra, przełożę to na jutro. Mógłbyś mi mówić o swoich planach.

- Wzajemnie – odpowiadam uszczypliwie.

O szesnastej staję w sypialni. Już mam wyrzuty sumienia z powodu tego wyjścia. Już się martwię, że wczorajszy incydent jednak nie był przypadkowy i nie powinienem teraz spuszczać Anety z oczu. Powinienem być przy niej cały czas, bo sam jestem winny tej sytuacji. Powinienem zaszyć się z nią w sypialni, a może nawet na tym forum internetowym. Przecież nadejdzie czas na rozpacz, taką jak wczoraj. Ten amok się kiedyś skończy. A jeśli to zdarzy się podczas mojej nieobecności? Mógłbym jej wówczas jakoś pomóc? Chciałbym. Chciałbym, żeby mnie zatrzymała, powiedziała, że oczekuje mojego wsparcia. Nie tylko wtedy, gdy muszę się spuścić.

- Małżuś, wróć koło dziesiątej – odzywam się i czekam na odpowiedź.
- Wiem, już to mówiłeś.

Zamykam za sobą drzwi. W drodze próbuję przekonać samego siebie, że nie robię niczego złego. Nie okłamałem jej. Nie wyznałem całej prawdy. To różnica. Potrzebuję tego spotkania. Potrzebuję odskoczni.

Wchodzę do sali. Niesamowicie, ojciec jest przytomny. Znowu mamy okazję całą rodziną usiąść, porozmawiać, a nawet się pośmiać. Szkoda, że nie ma tu Anety. Nie może jej tu być. Tata chciał się z nią zobaczyć, ale ona nie chciała zobaczyć brzucha mojej siostry. Spoglądam na zegarek. Najchętniej odwołałbym spotkanie z Korzecką, ale ten biznesplan nie może czekać.

– Dobra, muszę zniknąć. Przyjdę jeszcze wieczorem. Chcesz się dzisiaj kąpać? – zwracam się do staruszka.

- Zobaczymy.
- Wpadnę koło siódmej.

Matka wychodzi za mną na korytarz.

- Jak z Anetą? – Chwyta mnie za ramię.
- Kiepsko.

– Oni was w ogóle jakoś badają?

Następna! Przewracam oczami.

– Tak.

– I co z tego wynika?

– Aneta ma tę endometriozę... – Trzeba wymyślić coś nowego, żeby nie potwierdzić jej podejrzeń o opieszałość specjalistów. Nie chcę jeszcze od niej słuchać o czynniku immunologicznym w leczeniu niepłodności. Tego brakuje, żeby także ona zarejestrowała się na www.nasz-bocian.pl i zasypywała mnie informacjami. – No i wykryli jakiś wrogi śluz, jakieś tam przeciwciała. Sam nie do końca rozumiem, o co chodzi. Mamo, lecę, jestem spóźniony.

Magda już czeka w knajpce, w której się umówiliśmy.

– Co pijesz? – pyta. – Ja stawiam.

– Nie będziesz mi stawiać. – Puszczam do niej oko. – Zaraz sobie zamówię kawę.

– Przyda ci się kofeina. Coś ty taki zmarnowany?

– Długo by opowiadać. – Wzdycham. – Tylko trzeba by chcieć. Zresztą mamy gadać o biznesie, a nie o prywacie.

– No tak.

Rzeczowa dyskusja dotycząca pomysłu na firmę. Prawie dwie godziny, które okazują się niesamowitym relaksem.

Dźwięk telefonu zagłusza nasz śmiech. Spoglądam na ekran. Cholera, Aneta. Oczywiście nie jest mi dane cieszyć się życiem, funkcjonować bez tej ciąży. Przyjmuję połączenie.

– Znalazłam post o Hali... Co tam tak głośno u ciebie? Gdzie jesteś?

– Eee, na ulicy – odpowiadam, jeszcze chwilę pozostając w towarzystwie Korzeckiej.

W pośpiechu wychodzę z lokalu. Zatrzymuję się przed oknami pubu.

– Czytałam o naszym ginie. Zmagał się z pacjentami przez trzy lata. Poszli do innego. Zrobił im badanie na obecność bakterii blokujących płodność. Antybiotyk. Cięża. Natychmiast. Może mam jakiegoś wirusa albo jestem na coś chora?

Owszem, masz. Wirusa głupoty. I jesteś chora. Na głowę. Wzdycham, pocierając dłonią czoło. Pocieszam się, że wieści, z którymi dzwoni, nie są wcale takie złe. Nie ma tragedii. Nikt się nie pociął, nikt nie wylądował w szpitalu. Tylko komuś się całkiem popierdoliło we łbie z powodu pustej macicy.

– Anetko...

– Dlaczego mówisz do mnie „Anetko”?

Lepiej niech nie wie.

– Małżuś – poprawiam się – mam tu sporo spraw do załatwienia.

Z niecierpliwością czekam, aż znowu otoczy mnie kawiarniany gwar.

Podpatrzę ludzi, którzy się kochają, obdarowują czułością. Podslucham rozmowy o pracy na umowach śmieciowych, polityce antyrodzinnej, walącej się gospodarce. Byle nie o refundacji in vitro.

– Ciebie w ogóle to dziecko obchodzi?

Co mam jej powiedzieć? Chyba niedawno wyraziłem się całkiem jasno i wystarczająco dosadnie. Nie słuchała. I dobrze. Nie powinny do niej docierać tak okrutne wyznania.

– Małżuś, oczywiście, że mnie obchodzi, ale w tej chwili jestem zajęty. Pogadamy później.

– Ty nie chcesz o tym gadać.

– Ja? Ja nie chcę!?! – Znowu reaguję krzykiem na rażącą niesprawiedliwość.

– Próbowałem, to ty nie chciałaś.

– Ty chciałeś gadać o czymś innym, nie o dziecku.

– Tak, chciałem gadać o tym, co się dzieje z tobą, z nami. Od tego należałoby zacząć, żeby planować ciążę.

– Sądziłam, że brakuje nam czasu, ale ty, jak widać, go masz.

– Aneta, nie zamierzam ruszać takich tematów przez telefon. To nie jest normalne. Mieliśmy dwa dni na bezpośrednią rozmowę. Proszę cię tylko o jedno. Przestań mnie o wszystko obwiniać i atakować, dobrze? Popatrz na siebie, wsłuchaj się w siebie. Może wtedy do czegoś dojdziemy. Jak wrócę.

– No tak, bo teraz masz ważniejsze sprawy – odpowiada i kończy rozmowę.

Wypuszczam powietrze. Mimo to nadal czuję się jak napompowany balon. Odwracam głowę. Widzę, że Magda uważnie obserwuje mnie przez szybę. Ja również na nią patrzę. Moja ważniejsza sprawa. Kobieta, z którą mógłbym teraz wychowywać siedemnastoletnie dziecko. Próbuję stłumić wyrzuty sumienia i wobec Magdy, i wobec Małży. Uwierają tak samo, bo mają źródło w zarodku. Wracam do knajpy.

– Dobrze, to teraz chyba możemy przejść do prywaty. Zwłaszcza że chyba coś jest na rzeczy. Przyznaj się.

– Lepiej powiedz, co u ciebie – zachęcam.

– Zmiany. Ciągłe zmiany. Partnerów. – Śmieje się. – Z Krzyśkiem, niestety, nie wyszło.

Już chcę dodać jej otuchy, ale ponownie czuję wibracje w okolicy uda. Szlag mnie zaraz trafi! To SMS. Orange informuje, że w czasie mojej rozmowy z Anetą dzwoniła matka.

– Czekaj. Przepraszam cię, muszę pilnie do kogoś tyrknać.

Już wstaję, już prawie wybieram numer, gdy nagle rozbrzmiewają pierwsze nuty *Veroniki*. Na smartfonie wyświetla się zdjęcie uśmiechniętej Anety. Odbieram. Nie pozwalam jej dojść do głosu.

– Małżuś, nie teraz, zaraz do ciebie...

– Nie musisz. Przed sekundą dzwoniła twoja mama. Ojciec nie żyje.

Z powrotem siadam na krześle. Z trudem przeląkam ślinę. Przymykając oczy, widzę przed sobą rozsypane puzzle przedstawiające całą tę sytuację. Mam ledwie kilka sekund, żeby je ułożyć w spójną, niebudzącą zastrzeżeń całość. Nie może zabraknąć ani jednego elementu.

– Aneta, Aneta. – Cholera! Jak się z tego wypłatać? – Aneta...

Odrywam telefon od ucha. Zdaję sobie sprawę, że Małża przerwała połączenie. Robię głęboki wdech.

– Wojtek, co się dzieje? Wojtek, słyszysz w ogóle, co mówię? – docierają do mnie słowa Magdy, ale jakby w zwolnionym tempie.

– Kurwa mać – szepczę. Co mam im wszystkim powiedzieć? Że siedziałem w knajpie z byłą kobietą, podczas gdy moja Małża zmagala się z niepłodnością, a ojciec umierał? Co ja robię? Gdzie ja jestem? Na pewno nie tam, gdzie powinienem.

– Wojtek, odezwiesz się wreszcie?

– Przepraszam. Muszę już iść – mówię.

Nagle przytomnieję. W pośpiechu wychodzę. Wsiadam do samochodu. Dokąd najpierw jechać? Hospicjum jest bliżej.

– Gdzie ty byłeś? – pyta matka, gdy stoję w drzwiach. – Dzwoniłeś do Anety? Zdębiała, jak jej powiedziałam, że nie ma cię z nami. Zresztą ja też zdębiałam, jak usłyszałam, że cię nie ma z nią.

– To skomplikowane – odpowiadam.

Unikam usprawiedliwień. Oczywiście przy okazji wychodzi na jaw, że jestem na urlopie. To może dziwić. Mając wolne, zawsze wyjeżdżałem. W tym roku już nie będę miał okazji. Całkiem możliwe, że również pieniędzy. Nie roztkliwiam się nad stanem psychicznym matki i siostry. Na pierwszy rzut oka nie wydaje się zły. Widziałem już bardziej zrozpaczone kobiety. Choćby wczoraj miałem do czynienia z jedną taką. Zresztą przez te kilka miesięcy choroby ojca chyba wszyscy przyzwyczailiśmy się do myśli o tym, co nieuchronne, więc wracam do domu.

Teściowa wita mnie już w przedpokoju.

– Bardzo mi przykro – oschłym tonem składa mi kondolencje.

– Dziękuję za współczucie – odpowiadam. Idę do salonu. Komórkę kładę na stole. Przechodzę do kuchni. Siadam na krześle barowym. Przecieram oczy, ściskam skronie. – Mamo...

– Nie, przede mną nie musisz się tłumaczyć. To nie ja za ciebie wyszłam.

Znowu rozbrzmiewają pierwsze dźwięki *Veroniki*. Teściowa sięga po telefon. Nie musi słuchać usprawiedliwień, ale chociaż za mnie nie wyszła, musi sprawdzić, czyje imię wyświetla się na ekranie. Podaje mi aparat. *Shit!* Magda. To już pozamiatane. Nie wypłaczę się z tego. Odbieram.

– Wszystko w porządku? Żyjesz? Nie wiem, czy cię to interesuje, ale mam twoją kurtkę ze wszystkimi dokumentami. Mogę ci podrzucić, jak chcesz, bo sam chyba nie możesz prowadzić.

Jasna cholera, rzeczywiście wróciłem w samej koszuli.

– To nie jest dobry pomysł. Sam ją odbiorę. Nie wiem kiedy. Na pewno nie teraz.

W tym momencie z pokoju wychodzi Aneta. Zabiera jakieś papiery z biurka i znowu znika za drzwiami.

– Okej, to jakby co, jestem w domu. Pamiętaj tylko, żeby nie pędzić, bo nie masz prawka i dowodu. Nie wiem, co się stało, ale trzymaj się i uważaj na siebie – kończy Magda.

Odkładam komórkę. Czas zmierzyć się z Małą. Przekraczam próg sypialni.

– Byłem z Magdą. Mieliśmy obgadać ten biznesplan.

– Moje kondolencje – mówi, nawet na mnie nie patrząc.

– Nie chciałem się przyznać, bo...

– Przeszkadzasz mi.

– W czym? Naprawdę jest coś ważniejszego niż ta sprawa? – Przestaję rozumieć jej zachowanie. Jest całkowicie irracjonalne.

– Tak. Jest. Dziecko.

– Aneta, nie zrobimy dziecka. Żeby stworzyć rodzinę, musielibyśmy najpierw stworzyć związek – mówię głośniej.

– Masz rację. My razem dziecka nie zrobimy.

– Co ty pieprzysz, co?

– Sam powinieneś wiedzieć, w jaki sposób można uciec od problemów – ironizuje. – Ja też mam pewne możliwości. AID.

– Nie mów do mnie skrótami. Co to jest?

– Inseminacja z dawcą. Sprawdzam, czy musiałabym się rozwieść, żeby się jej poddać.

Przez chwilę stoję w bezruchu, całkowicie wstrząśnięty i zmieszany.

– Aneta, ty sobie ze mnie jaja robisz? Co to ma znaczyć?!

– Poszedłeś do innej, więc ja chyba też mam prawo skorzystać z usług innego faceta.

Podchodzę do niej. Kucam przy łóżku.

– Aneta, ja się z nią spotkałem w sprawach zawodowych. Nic mnie z nią nie łączy. – Boże! Jak to beznadziejnie brzmi. – Nie wiem, jak ci to udowodnić, ale...

– Dziwi mnie tylko, dlaczego twoja matka o tym nie wiedziała. Powinieneś zadbać o alibi. Zapewniłaby ci je, przecież zawsze lubiła Magdę.

– Aneta, proszę cię. Pomyśl logicznie – zaczynam mówić spokojnie. – Naprawdę sądzisz, że przechodziłbym przez to wszystko, chcąc wskoczyć do łóżka Korzeckiej? Zastanów się.

– Myślę logicznie. Ona jest świetną partią. Nie potrzebuje już nasienia. Nie będzie wymagająca tak jak ja. Takim sposobem dorobiłeś się dwójki dzieci. Gratuluję.

– Aneta, kurwa mać! Nie wychowywałbym dzieci z Magdą. Gdyby mi na tym zależało, to bym się z tobą nigdy nie umówił. Aneta, proszę cię, chodźmy jutro do Gajdy. O której mamy wizytę w tej nowej klinice?

– Do Gajdy? Co ona o nas wie? – Podnosi głos. – Troskliwa mamusia. Nie potrzebuję jej. – Klęka na łóżku. – Potrzebuję dobrego ginekologa. Potrzebuję dziecka. Ja! Ja potrzebuję! Wyłącznie ja! Ciebie to wali. Już nie musisz dawać tatusiowi wnuka.

Więc o to chodzi. Aneta obawia się, że już nie mam motywacji. Zaczyna płakać. Nie wiem, co powiedzieć. Nie wiem, co zrobić. Próbuję ją przytulić. Chwyta z komódki książkę, którą jej kupiłem, rzuca nią we mnie. Zakładka wypada ze środka. Aneta okłada mnie pięciami, gdy ponownie się do niej zbliżam.

– Już dawno by było, gdyby nie ty.

Teściowa wchodzi do sypialni.

– Wojtek, zostaw ją, jedź do mamy. Daj jej czas.

Wzdycham. Unoszę wzrok, żeby powstrzymać łzy. Nie bacząc na obecność teściowej, zwracam się do Małży:

– Proszę cię tylko o jedno. Nie działaj w takim stanie. Wiedz, że z Magdą nie sypiam. Bo cię kocham. I chcę mieć z tobą dziecko. Nie chodziło o ojca. Chodziło przede wszystkim o ciebie. Tata mi tylko uświadomił, że czas nam przecieka przez palce i powinniśmy się pospieszyć. Jego śmierć niczego nie zmienia w naszych staraniach. Zrozum.

Podnoszę książkę, odkładam ją na komódkę. Zakładkę umieszczam na początku. Wychodzę. W samochodzie przypominają mi się filmowe sceny porodów. Te wszystkie sympatyczne położne, które nie pozwalają ciężarnym zapomnieć o funkcji życiowej, jaką jest oddychanie. Nie sądziłem, że odruchy bezwarunkowe mogą być tak trudne. Oddychaj, oddychaj – powtarzam sobie. Ruszam. Po drodze zahaczam o monopolowy. Połówka czy zero siedemdziesiąt pięć? Mam jutro sporo formalności do załatwienia. Jednak połówka. Ale gdzie ja ją wypiję? Jechać do świeżo upieczonej wdowy i obarczać ją swoimi problemami małżeńskimi? Nie. Najpierw odbiorę dokumenty od Magdy.

– Boże! Wojtek, jak ty wyglądasz? – Korzecka ruchem ręki zaprasza mnie do środka.

– No niby jak? – Przekraczam próg.

– Płakałeś?

Dotykam policzków. Ale jaja. Faktycznie są mokre. Jak mogłem tego nie czuć? Jak mogłem się nie zorientować, że mi cieknie z obu dziurek nosa?

– Prowadzisz w takim stanie? Włóż do kuchni, zaparzę ci herbatę.

- W samochodzie mam wódkę. Spoko.
- Przepraszam, gdzie zamierzasz ją wypić? Chyba nie w aucie.
- Jeszcze nie wiem. Dasz mi te dokumenty?
- Wejdz, proszę – mówi.

Zamyka za mną drzwi. Prowadzi mnie do salonu. Podsuwa krzesło. Córkę wysłała do drugiego pokoju. Obserwuję każdy ruch dziewczyny. Dawno jej nie widziałem. Mogłaby mnie witać każdego poranka, mówiąc: „Cześć, tatku”. Mógłbym wychowywać typową zbuntowaną nastolatkę. Ironia losu? Nie brałem tego, co mi spadło z nieba, to zostałem z niczym? Dziewczyna niechętnie nas opuszcza.

– Co ci zrobić? Kawy? Może melisę? – Napełnia czajnik. – Mów, o co chodzi. O której musisz być w domu?

– Nie muszę być w domu. Chyba właśnie o to chodzi. – Wzdycham.

Magda zostawia kubek na blacie. Odwraca się. Siada naprzeciw.

– Dlaczego?!

– Co dlaczego? – pytam, jakbym nie pamiętał swoich ostatnich słów.

– Dlaczego nie musisz być w domu? Pożarliście się? Aż tak, że nie możesz wrócić? Co przeskrobałeś? – Podchodzi do okna i je otwiera. Sięga po papierosa. Po chwili się reflektuje. – Przepraszam, podobno rzuciłeś. – Kładzie całą paczkę na stole. – To gdzie się podziejesz? Możesz zostać tutaj.

Nieoczekiwanie zaczynam się histerycznie śmiać.

– To by pewnie nie poprawiło mojej sytuacji.

– Nie rozumiem.

– Przez ciebie wyleciałem z domu.

– Dalej nie rozumiem. Co ja takiego zrobiłam?

Zapalam marlboro light. Opowiadam jej o moim dzisiejszym kłamstwie, które wyszło na jaw, bo umarł mój ojciec. Magda, wstrząśnięta natłokiem zdarzeń, długo przypatruje mi się ze współczuciem.

– Pójdę spać do pokoju Agnieszki. Pościelę ci u siebie. Idziesz już kimać, czy rzeczywiście chcesz się napić?

– Napić.

– Twoja sprawa, ale wcale nie poczujesz się lepiej. Przeciwnie. Jaki sok? Jabłko czy pomarańcza? – Wstaje, otwiera lodówkę.

– Miałem na myśli coś mocniejszego.

– Wiem, pytałam o sok do drinka... Albo do przepitki.

– Do przepitki. Obojętne jaki. – Zaciągam się i zaczynam mówić. Sam nie wiem, dlaczego jej się zwierzam. Chyba liczę, że spojrzę na sprawę obiektywnie, racjonalnie. Coś mi doradzi, podpowie. Bo po tym, gdy usłyszałem, że Aneta robi sobie dziecko z innym, i zobaczyłem nastolatkę, która mogłaby nosić moje nazwisko, zaczynam mieć pewność, że to jakaś ironia. Może Korzecka rzuciła na

mnie klątwę za to, że ją zostawiłem samą z brzuchem. Warto byłoby się tego dowiedzieć. – Pamiętasz, jak wspominałaś mi o Arku? O tym, że los lubi sobie kpić z ludzi?

– Sądysz, że was to też dotyka? Nie wmawiaj sobie idiotyzmów. Nie biczuj się z nadzieją, że to pomoże. Nie ma sensu. Myślę, że twoim dolegliwościom jest winien prędzej Czarnobyl, dziura ozonowa albo palone w krakowskich piecach opony niż ironia losu. Zwłaszcza że ze mną postąpiłeś uczciwie.

– Ciekawe, czy gdybym powiedział o tym Anecie, też miałaby takie zdanie. Ona chyba byłaby zdolna wychowywać nawet nie swoje dziecko. Boję się, że skończy się jak u Pilińskich, czyli na decyzji o adopcji. A ja chyba bym nie umiał, zapewne ty o tym najlepiej wiesz. Ale chyba jestem, kurwa, na to skazany. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że to moje przeznaczenie. Że swojego dzieciaka mieć nie mogę. Kuźwa, zostanę świętym jak Józef.

– Czekaj, czekaj, Pilińscy też mają jakiś problem?

Dalszy ciąg relacji. Jeden papieros, drugi, trzeci, piąty, a może już dziesiąty? Jedna bania, druga, trzecia, piąta, a może już dziesiąta? Przechyliam kieliszek, wlewając w siebie ostatnie krople wódki. Właściwie rozlewając na siebie. Ręką wycieram mokry podbródek.

– Nie powinienem pić – stwierdzam, patrząc na już pustą butelkę. Druga mrozi się w samochodzie. Mógłbym po nią pójść, zwłaszcza że opróżniłem Magdzie cały barek, ale chyba brakuje mi sił. – Palić też mi nie wolno. Nie wolno, nie. – Sięgam po paczkę. – Co mam teraz zrobić? – Podpieram głowę dłonią. Ta nie wytrzymuje ciężaru i swobodnie zsuwa się po blacie.

– Dużo jest tych klinik? Ona się w końcu gdzie umówiła?

– Nie. Znaczy: nie wiem – odpowiadam z trudem.

Strasznie bolą mnie oczy. Przemykam je. Mam dosyć nieostrego obrazu i światła bijącego z lampy.

– Już jesteś nieźle nawalony. Połóż się. Poszukam adresów. Rano cię zerwę. Postaramy się dowiedzieć, gdzie pójdzie i pokażesz jej, że ci zależy.

– Sprawdź, czy musi się rozwieść, żeby mnie wydymać. – Posłusznie zmierzam do pokoju. Przechodzę przez ciemny korytarz. Potykam się o komódkę. Nareszcie w stanie spoczynku! Jak dobrze! Magda staje nade mną.

– Podnieś się. Nie możesz zostać na środku podłogi. Pomogę ci – mówi.

Docieramy do kolejnego pomieszczenia. Korzecka każe mi usiąść na brzegu łóżka. Nie stosuję się do jej próśb. Całym ciałem zwałam się na materac.

– Pokaż się. – Magda siada obok. Rozpina mi sweter. Pasek. Rozporek. Ściąga ze mnie spodnie. Mimo zaburzonej świadomości stwierdzam w myślach, że to bardzo miłe. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz ktoś zdejmował mi ubranie. Szkoda, że jestem tak nawalony, bo pewnie o tej dzisiejszej rozbiórce również zapomnę. Chociaż przynajmniej dzięki amnezji nie będę miał kaca. Tego

moralnego, bo na klasycznego jestem skazany.

Układam głowę na poduszce. Głęboko oddycham. Mija kilka minut. Nie jest lepiej. Spotykam Magdę w drodze do łazienki. Wie, że jestem w potrzebie i natychmiast mnie przepuszcza. Nie potrafię określić, ile czasu spędzam nad kibelem. Chyba sporo, bo trzeźwieję. Niestety, trzeźwieję. Wychodzę. Widzę światło w kuchni. Korzecka siedzi na krześle, wpatrzona w ekran.

– Jak się czujesz? – pyta.

– Lepiej. Chociaż w głowie nadal mam helikopter. Masz jakąś wodę?

– Na blacie. Czeka. Sama ci naleję. – Po chwili stawia przede mną pełną szklanę.

– Kurwa, nie wolno mi pić.

– Mówiłeś już o tym. Nie zdręczaj się. Najwyraźniej musiałeś.

– Aneta tak nie powie, kiedy jutro stanę przed nią na kacu.

– Wojtek, przepraszam, ale zauważyłeś, że cały czas zastanawiasz się, co powie, pomyśli Aneta? A co z tobą? Możesz czasem wysiąść psychicznie? To chyba normalne, jeśli wziąć pod uwagę, co się wokół ciebie dzieje.

– No właśnie nie wiem, czy mogę, nie wiem, czy to normalne.

– Wykończysz się, byle spełnić jej oczekiwania. Wyznacz sobie jakieś granice, jakąś przestrzeń na własne uczucia.

– Mam przestrzeń, ale mniejszą niż jej. Siłą rzeczy. Nie mam macicy, nie mam parcia na dziecko, więc to nie ja cierpię na tym, że wybrałem niepłodną osobę do zamążpójścia.

– Ale przeżywasz żalobę po ojcu.

– Nie przeżywam. Na to faktycznie nie mam przestrzeni. – Wiem, że w ten sposób potwierdzam to, co mówiła, dlatego uśmiecham się pod nosem. – Ale to na własne życzenie, bo zachciało mi się umawiać z byłą.

– Mimo solidarności jajników potrząsnęłabym tą babą, żeby zrozumiała, że nie zasłużyła na ciebie. Powinna się ogarnąć.

– Jesteś ze mną związana w jakiś sposób. Nie możesz być obiektywna, wiesz o tym.

– Ty też nie możesz być obiektywny. Jesteś zakochany. W niej. A ona w swoim dziecku.

– Nie chcę być wredny, ale też kiedyś wybierałaś między dzieckiem i facetem. I co?

– I żałowałam, że to nie jest dziecko tego faceta, bo nie musiałabym podejmować takiej decyzji. Żałowałam, że idiotycznie zabawiłam się z bucem, podczas gdy odpowiedzialny gość zarabiał pieniądze, zrywając truskawki na klęczkach.

– Nie leć na mnie, Magda.

– Bo się skusisz na laskę, która cię szanuje?

– Gdybyś mnie szanowała, nie zabawiłabyś się z bucem, kiedy zarabiałem pieniądze, zrywając na klęczkach truskawki. Sorry. Nie opieraj się na tanich sentymentach. Przypomnij sobie. Wcale nie było między nami różowo. Oboje daliśmy sobie popalić. Ja też nie jestem łatwym człowiekiem. Problem nie leży tylko w Anecie. Ty doskonale powinnaś o tym wiedzieć, jak ze mną bywa. Nie udawaj, żeby mi schlebić i zaciągnąć mnie do wyra.

– Dobra, skończmy temat. Nie chcę wchodzić w twoje małżeństwo. Kochasz ją i dlatego możesz dużo znieść. W tym nie ma niczego złego. Trudno. Sprawdziłam. Tych klinik jest zaledwie kilka.

– Ale co ja mam zrobić z taką wiedzą?

– Rano doprowadzisz się do porządku. Podzwonisz. Powiesz, że nie potrafisz sobie przypomnieć, gdzie was żona umówiła, a nie możesz się z nią skontaktować. Za którymś razem uzyskasz informację, gdzie masz być. A teraz idź kimać, bo jak cię Aga zobaczy przede mną w gaciach, to ja też będę miała pozamiatane.

– Dziękuję.

– Nie ma za co – odpowiada drżącym głosem i znika w łazience.

Filmowa sytuacja. Facet ma problemy małżeńskie. Nagle ni stąd, ni zowąd pojawia się obok kobieta, która liczy się z jego uczuciami. Sądzi, że ma przy sobie drogocenny skarb. Robi wszystko, żeby sprostać jego oczekiwaniom. Nawet pomaga mu na chwilę odzyskać żonę. Wszystko to preteksty, żeby się zbliżyć do gościa. Dałem się na to złapać. Przy Magdzie już znalazłem ukojenie. Podczas gadki szmatki o biznesplanie, podczas picia wódki. W związku z Korzecką nie miałbym poczucia winy ani kompleksów. Wyłącznie błogi spokój. Gdybym nie uciał tej rozmowy, zakończylibyśmy ją pod jedną kołdrą. Wykonałbym jeszcze kilka kroków i ulżyłbym sobie nie tylko psychicznie, to jest pewne. Rozłożyłaby przede mną nogi. Nie z obowiązku. Ani nie z łaski. Nie wymagałaby dobrego nasienia, nie żądałaby dziecka. Korzecka to łatwizna. Staję przed drzwiami. Zastanawiam się, czy zamknęła się od środka. Już prawie naciskam klamkę. Nie! Nie chcę mieć tej krechy na sumieniu. Magda całe życie się z nią buja. Poza tym muszę udowodnić Anecie, że wcale nie chodzę na skróty. Nie, nie pójdę na łatwiznę. Aneta nie wyrządziła mi nigdy takiej krzywdy jak Magda. Mimo wszystko kocham Anetę. Mimo wszystko. Mimo że wyrządziła mi straszną krzywdę.

Żeby tylko nie ronić

Rano dostaję od Korzeckiej kartkę z listą klinik leczenia niepłodności. Czas zacząć działać. Mam trochę utrudnioną sprawę, bo nie mogę się za kółkiem. Ból rozsadza mi łepetynę. Nie pomogła polopiryna, alka-seltzer, kawa, napój Red Bull, szklanka soku pomarańczowego ani półtora litra wody mineralnej z cytryną. Dałem czadu. Schlałem się jak szczył, który po raz pierwszy przyssał się do „wódopoju”. Wszystko ma jednak swoje plusy. Przejazdy taksówkami pomiędzy hospicjum a zakładem pogrzebowym dają mi możliwość odbycia rozmów telefonicznych. Już po trzeciej z nich wiem, gdzie i o której mam się zgłosić. Teraz pozostało odebrać dokumentację medyczną od Haliszewskiego.

Pod nową kliniką zjawiam się na pół godziny przed umówioną wizytą. Zdążę się wysikać. Wchodzę do łazienki. Jakby własnej. Te same kafelki. Sprawdzam ich fakturę. Chcę się przekonać, czy mają te same żłobienia. Mają. Anecie tak bardzo na nich zależało, że była skłonna zapłacić ponad pięć stów za metr kwadratowy tej mozaiki. Opuszczam toaletę, zamykam za sobą drzwi z litego drewna. Chyba z dębiny. Dopiero teraz zaczynam obserwować otoczenie. Zupełnie inaczej niż w Promedice. Nie ma tu mebli z katalogu sieci IKEA albo Jysk. W poczekalni stoją kolorowe, skórzane sofy. A jakie tu mają lampy! Ściany zdobią fototapety za szkłem. Okna drewniane. Podłoga z marmuru. Ciekawe, czy właściciel tej kliniki inwestuje więcej niż Haliszewski, czy lepiej zarabia. Jeśli tak jest, to dlaczego? Może przychodzi tu więcej ludzi. A to już dobry znak. Jest jeszcze jedna opcja, znacznie gorsza – stwierdzam po chwili namysłu. Wyższe marże, droższe usługi. W takim przypadku nawet na nielicznej klienteli można się nieźle obłowić. W sumie od siedzenia na naturalnej skórze wolałbym niższe koszty leczenia. Nigdy nie myślałem o tym, żeby po wystroju wnętrza oceniać kwalifikacje personelu medycznego. Ale też nigdy nie spotkałem się z aż taką ekstrawagancją, a byłem w niejednej prywatnej przychodni. Trzeba poczytać opinie o tej klinice. Zaobserwować, ilu pacjentów się tu przewinie. Siadam. Uruchamiam Internet w smartfonie. W tym fotelu mógłbym czekać na wizytę w nieskończoność. W mieszkaniu takiego nie mam. Zaczyna mnie to wszystko razić. Przecież da się stworzyć elegancki wystrój bez wielkich nakładów. Do jasnej cholery, to nie dom, nie hotel pięciogwiazdkowy. Jednak muszą mieć tutaj wysokie marże. Muszą.

Czas mija. Anety wciąż nie ma. Może ktoś mnie wprowadził w błąd? Podchodzę do recepcji, żeby upewnić się co do umówionej godziny. Wtedy spostrzegam Małżę. Zbliża się do wejścia. Przechodzi przez automatyczne drzwi. Wychodzę jej naprzeciw.

– Cześć. Jak się czujesz? – pytam.

– W porządku. Przepraszam, wczoraj...
– Mam dokumentację od Haliszewskiego i nie chcę wracać do wczorajszego dnia – przerywam jej. – Chyba jesteśmy spóźnieni. Idziesz?
– Tak. Czy ty piłeś? – Zatrzymuje się w połowie drogi do gabinetu.
– Tak. Przypominam, że wczoraj stwierdziłaś, że moje nasienie nie jest ci potrzebne, więc potraktowałem to jako dyspensę. – Tym zamykam jej usta i ratuję swoje sumienie.

Zasiadamy przed nowym lekarzem. Aneta opowiada, jak do niego trafiliśmy, przekazuje wyniki badań.

– W ogóle nie robiono nam testów immunologicznych – dodaje.
– No tak. Szkoda. – Gin 2 przegląda zawartość teczki. – Warto sprawdzić taką ewentualność.
– To które powinniśmy wykonać?
– Chcąc mieć cały obraz sytuacji – wszystkie.
– Naprawdę? Przecież ja mam owulacje, więc nie wytwarzam przeciwciał blokujących jajczkowanie. To jasne.

No proszę! Jestem pod wrażeniem. Małża przygotowała się do rozmowy. Ewidentnie sprawdza lekarza.

– Ale zawarte w pani śluzie przeciwciała mogą niszczyć plemniki.
– To wiem, ale to odrębna sprawa.
– Owszem. Przyczyną niezbyt dobrych parametrów nasienia mogą być również przeciwciała męża. Więc mamy dwa badania u pana – krew i nasienie, a oprócz tego zrobilibyśmy sobie ten test po stosunku.

– PCT? – Aneta popisuje się wiedzą, żeby gin sobie nie myślał, że może ją oszukać.

– Dokładnie.
– Ale zaraz, u mojego męża nic nie wskazuje na to, żeby wytwarzał przeciwciała przeciwplemnikowe. W wywiadzie żadnych urazów, zakażeń, chorób wenerycznych, bakterii... Posiew wzorcowy.

– O wielu zakażeniach możecie państwo nawet nie mieć pojęcia. Przeciwciała w nasieniu nie były badane, a mogły się pojawić wiele lat temu, czego zwykły posiew nam w tej chwili nie wykaże. Zrobimy test MAR. I surowicę krwi. Do tego PCT.

Widząc, że Małża wystawia na próbę wiarygodność lekarza, wiem, że sam mogę sobie pozwolić na to samo.

– Załóżmy, że rzeczywiście badania wykażą jakieś nieprawidłowości... Co wtedy?

– Państwo już korzystali z inseminacji domacicznej... Jeśli wykryjemy przeciwciała, to zalecę wstrzemięźliwość, żeby trochę stępić układ immunologiczny. Encorton dla wzmocnienia efektu i może zaczniemy się szczepić

limfocytami męża, jeśli będzie chodziło o śluz. Dopiero potem następna inseminacja. Ze stymulacją hormonalną.

Więc jednak są metody zwiększające prawdopodobieństwo powodzenia. Metody, o których Haliszewski nawet nie wspomniał.

– Na kiedy badanie nasienia? – kontynuuje rozmowę Aneta. – Bo z PCT musimy poczekać do czasu tuż przed owulacją.

– Chwileczkę – wtrącam się. – Mam jeszcze jedno pytanie. Co pan sądzi o wspomaganiu leczenia psychoterapią?

– Korzystna. Niepłodność to spory stres. Zalecam.

– Czy stres może być przyczyną?

– Może, ale nie ma sposobów, żeby to potwierdzić.

Wszystko jasne. Co do psychoterapii Haliszewski miał rację, ale nie odkrył przed nami tajników dokładniejszej diagnostyki.

Stajemy przed kliniką. Aneta wygląda na znacznie spokojniejszą. Jakby odrodziła się w niej nadzieja.

– Powtarzam: nic mnie z Magdą nie łączy. Możesz jej zazdrościć dzieci, ale nie mnie. Bo ona ze mną nie ma nic wspólnego. Wiem, że ciężko mi ufać, ale naprawdę nie byłoby mnie tutaj dziś, gdyby mi nie zależało. Czy teraz mogę wrócić z tobą do domu?

– Tak.

Tuż po wejściu do mieszkania Aneta włącza komputer.

– Zalogowałam się na forum. Poczytasz na głos o tych wszystkich testach? – pyta. – Ja w tym czasie zrobię coś do jedzenia.

Prawdę mówiąc, liczyłem, że na jakiś czas zniknę, odwiedzę mamę, dotrzymam jej towarzystwa, ale już wyznaczono mi priorytety. Może faktycznie to lepsze rozwiązanie, bym został z Małżką. W ten sposób nie będzie mnie podejrzewać o zdradę. Sam nie będę jej rozważał. Gdyby Aneta wiedziała, jak bardzo byłem bliski! Zrezygnowałem. Mimo wszystko. Zrezygnowałem dla niej z wielu rzeczy. I to nie koniec. Jeszcze muszę zrezygnować z matki. Na żałobę po ojcu nie mam czasu, nie mam przestrzeni.

Aneta staje za kuchenną wyspą. Przyrządza posiłek. Wyciska tabletki z listków, przynosi mi je na spodku. Więc jednak chce zadbać o moje plemniki. Pozwoli mi aktywnie wziąć udział w projekcie „dziecko”. A już się obawiałem, że pozostanę tylko asystentem. Ewentualnie lektorem.

– Haliszewski mówił o jakiejś stronie, którą można traktować jako źródło informacji. Miał przesłać link. – Sprawdzam pocztę. – Mam. – Czytam Anecie na głos wszystkie zalecane procedury Polskiego Towarzystwa Medycyny Rozrodu. No i co teraz? – Popatrz, tu nie mówią o tych czynnikach immunologicznych. Uznają to za niepłodność idiopatyczną, przy której stosuje się inseminację domaciczną lub in vitro.

- Wpisz te szczepionki w Google.
- Jak to sformułować?
- Przeciwciała przeciwplemnikowe w śluzie szyjkowym.
- Okej. Też chcę rzodkiewkę, nie jedz sama, podziel się posiłkiem.

Przez resztę dnia zbieramy informacje o niepłodności. Kiedy się kąpię, Aneta bierze komputer i czyta. Kiedy ona składa pranie, ja biorę komputer i czytam. Spisujemy listę pytań do gina. Trudno powiedzieć do którego. Już leżąc w łóżku (znowu wspólnym), zdobywamy wiedzę o immunologii w diagnostyce niepłodności. O wpływie współżycia seksualnego na płodność już nawet nie pamiętamy.

– Aneta, wychodzi na to, że to jest metoda eksperymentalna. Ma kompletnie niepotwierdzoną skuteczność. Do tego te leki. Przecież to musi być potwornie szkodliwe dla zdrowia. Sorry, ale to mi wygląda na interes kwitnący dzięki zdesperowanym ludziom, którzy nie potrafią przyjąć do wiadomości, że mogą im pomóc tylko techniki wspomaganego rozrodu.

– Zrobienie testów nie zaszkodzi. Przynajmniej się dowiemy, czy jesteśmy zagrożeni poronieniem.

– No tak, to akurat prawda, ale co do tych szczepionek... Miałbym wątpliwości. To samo stymulacja. Jest sens cię faszerować, jeśli z tobą jest wszystko w porządku?

– Też miałbym wątpliwości co do tego, ale najpierw musimy zrobić badania.

Anetę drażni bezczynność. Musi działać. Musi, inaczej się udusi.

- A psychoterapia?
- Zadzwoń jutro do Gajdy, dobra?
- Jasne. – Przynajmniej na to wyraża zgodę.

Pierwsza wizyta jak zawsze na kozetce. Nie jest lekko. Dowiaduję się, że gdyby Aneta miała mnie porównać do bohatera którejś z kreskówek, wskazałaby Piotrusia Pana, wiecznego chłopca. Oprócz tego okazuje się, że jestem powierzchowny, bo zestawiam ją z filmową Pocahontas. Nie podpowiedziano mi, jakie kryteria powinienem zastosować. Sądziłem, że należy się sugerować podobieństwem fizycznym. Stąd ten wybór. Ale oczywiście ktoś musi uzasadnić, co autor miał na myśli. Swoją niedojrzałość emocjonalną potwierdzam rysunkiem. Według Gajdy nie jest mi obojętne, czy będę miał syna, czy córkę. Tu ma rację. Ale to pół biedy. Najgorsze jest to, że życie rodzinne kojarzę wyłącznie z zabawą, nie jestem przygotowany na pełnienie obowiązków i sprawowanie opieki nad potomkiem. Ani do Anety, ani do Gajdy nie przemawia tłumaczenie, że z takimi ilustracjami jest jak z fotografiami. Upamiętnia się bitwy na poduszki, a nie kłótnie. Imprezy urodzinowe, a nie codzienne obiady. Właśnie dlatego namalowałem mecz piłki nożnej z Mateuszem. Nie, to nie jest argument. To nie jest prawda. Jestem

Piotrusiem Panem, który leci na Pocahontas i myśli, że dzieci to interaktywne lalki, którym podczas jazdy mustangiem można wyłączyć przyciskiem funkcję wydalania. To przerażające, ale podejrzewałem, że Aneta wybierze Mufasę. Ona z kolei przypuszczała, że skojarzę ją z Lady z *Zakochanego kundla*. Po tylu latach związku nie mamy pojęcia, w jaki sposób odbieramy siebie nawzajem. Wyniki testu sprawiają, że opuszczamy gabinet z nietęgimi minami. Humory nam nie dopisują nawet nie z powodu rezultatu tego eksperymentu. Myślę, że oboje zdaliśmy sobie sprawę, że to nie terapia, która ma nam pomóc uporać się z niepłodnością. To terapia, która ma zmniejszyć cierpienia przy agonii tego związku, który prawdopodobnie od początku był skazany na niepowodzenie. Przetrwiał próbę czasu, do tej pory nie napotkał bowiem na przeciwności losu.

– Dobrze, że nie wybrałaś Donalda albo Goofy’ego – drwię, żeby rozluźnić atmosferę.

– Nad Donaldem się zastanawiałam.

No ja pierdołę! Co ciekawego wyjdzie, kiedy poruszymy jakieś poważniejsze tematy? Strach się bać.

Tuż po wizycie dzwoni matka. Informuje o dokładnym terminie pogrzebu.

– O dziesiątej na Rakowicach.

Przekazuję wiadomość Anecie. Wsiadamy do samochodu. Znowu to dziwne uczucie w skroniach. Bez sensu. Jakby dopiero teraz dotarło do mnie, co się wydarzyło przed dwoma dniami.

W domu znowu czytam na głos posty z forum. Zasycha mi w gardle. Idę się napić.

– Czemu przerwałeś?

– Chwila odpoczynku. – Siadam przed telewizorem.

Aneta po chwili staje przy kanapie. Czuję dyskomfort, gdy tak mnie obserwuje z góry.

– Chcesz mi coś powiedzieć? – Unoszę głowę.

– Tak. – Robi głęboki wdech. – Czy ja jutro muszę się pojawić?

– Gdzie?

– Na pogrzebie.

– A dlaczego miałabyś się nie pojawić? – pytam. Odwracam się, bo chyba musimy odbyć dłuższą rozmowę.

– Aśka. No wiesz...

Już myślałem, że znowu funkcjonujemy jak małżeństwo. Współpracujemy. A tymczasem mamy chodzić razem jedynie do klinik leczenia niepłodności. Na pogrzeb człowieka o naszym wspólnym nazwisku już niekoniecznie.

– Aneta, to mój ojciec.

– I ojciec twojej ciężarnej siostry.

Magda się nie myliła. Niestety. Mąż cały czas oczekuje ode mnie wsparcia,

ale sądzi, że ja sam jestem ze stali. Przez te dwa dni nie uświadomiłem sobie, że tata nie żyje, bo wisiałem na necie i zajmowałem się testami immunologicznymi. Nie usłyszałem w tym czasie od Anety głupiego „przykro mi”. Nie padło pytanie, jak się trzymam. Nie uznała, że powinienem teraz być przy matce. Konsekwentnie realizujemy projekt „dziecko”. Mimo wszystko.

Rano jestem kompletnie niewyspany. Jakoś nie mogłem zmrużyć oka, myśląc cały czas o tym, że nadchodzący dzień chciałbym mieć już za sobą. Muszę zażyć aspirynę. Dziwnie mi się oddycha. Nierówno. I ciary pełzają mi po plecach.

Anetę chyba męczą wyrzuty sumienia. Zawczasu próbuje mi zrekompensować swoją nieobecność na pogrzebie. Wyjmuje garnitur. Z wielką dokładnością prasuje koszulę. Dobiera odpowiedni krawat.

Tępo gapię się w telewizor i zastanawiam się, jak ją usprawiedliwić przed rodziną. Nie chciałbym, żeby wyszła na egoistkę. Nawet jeśli nią rzeczywiście jest, inni nie powinni o tym wiedzieć. Bo to źle świadczy również o mnie. Niemniej taką kobietę sobie wybrałem. Widać na lepszą mnie nie stać. Niestety.

Nie, śniadania nie będę jadł. Pójdę pod prysznic. Ogołę się. Szlag! Oczywiście musiałem się zaciąć. Czas wymienić wkłady w maszynce. Nowe nożyki wypadają mi z rąk. Czuję, że strużka krwi spływa po policzku. Przykładam do skaleczenia skrawek chusteczki higienicznej. Ale piecze! Po chwili zmieniam opatrunek. I tak jeszcze kilka razy. Muszę to zatamować w ciągu godziny. Wychodzę z łazienki.

Małża podobno wszystko przygotowała. Jasne.

– A skarpetki? – pytam uszczypliwie.

– Nie możesz sobie wyjąć z szuflady?

– Nie ma.

– To sprawdź na suszarce.

– Co gadasz, że wszystko leży na łóżku, jak nie ma skarpetek?

Wkładam garnitur. Muszę wypolerować buty. Skończyła się pasta? Zdążyłbym skoczyć do sklepu... Nie chce mi się. Wypiję kawę. Coś poczytam. Nie, nie potrafię skupić się na lekturze. To nie czas na książkę. Lepiej wezmę jakąś gazetę. Wczorajsza „Wyborcza”? Nie. „Twój Styl” tym bardziej. Włączam telewizor. Relacja z jakiegoś pochówku. Nienawidzę pogrzebów. Miałem zażyć aspirynę. Pójdę do kibla przed wyjściem. Aneta siedzi na fotelu i mi się przygląda.

– Wiesz co, może ja jednak pójdę z tobą? – proponuje.

– Nie trzeba. Musiałabyś się już zbierać. A co cię tak nagle wzięło?

– Jesteś zdenerwowany. Strasznie.

– Bez przesady. Wydaje ci się.

Trudno, żebyśmy nie był zdenerwowany. Jeszcze nie wszystko do mnie dotarło. Gwóźdź do trumny jeszcze nie został wbity. I nie mam złudzeń: to nastąpi właśnie dzisiaj.

Aneta znika w łazience, a ja znowu oglądam TVN24. Uodparniam się mimo woli.

Mija czterdzieści minut. Powinniśmy już wyjść. Aneta dalej zamknięta w toalecie. Pukam.

– Małżuś, czas jechać.

– Mamy jeszcze dwadzieścia minut, ale już jestem gotowa – mówi.

Rzeczywiście staje w drzwiach. W opiętej, połyskującej sukience sięgającej tuż za kolano. Ręce ma osłonięte krótkim wdziankiem... Czarny materiał błyszczy się jak jej włosy spięte wysoko klamrą. Z czernią kontrastują białe perły. Powagi nadają jej wysokie szpilki. Boże! Jaka ona jest piękna. Kocie oczy podkreślone linerem, długie rzęsy, zaróżowione policzki, śnieżnobiała skóra, szerokie, wypukłe, błyszczące usta. Wolałbym zostać z nią w domu.

Przed wejściem głównym na cmentarz spotykamy całą rodzinę. Przytulam mocno mamę. Szepczę jej do ucha:

– Przez telefon już przeproszałem, ale teraz chcę osobiście. Przepraszam, że tak mało ci pomogłem, że mnie nie było.

Uśmiecha się przez łzy.

Witam Aśkę. Ma na sobie luźną sukienkę przed kolana. Taką bombkę. Często widuję ciężarówki, bo w pracy wyż demograficzny rodzi kolejny wyż. Wiem, że można się ładnie prezentować w tym stanie. Worki niwelują wystający brzuch, ale w nich babki wyglądają jak bezkształtne becзки. Całe sprawiają wrażenie grubych. Moje rozważania przerywa Maciek.

– Dalej nie palisz? – pyta.

– Dalej.

Od rana myślę o papierosie. Wczoraj głód nikotynowy długo nie dawał o sobie znać. Miałem kaca. Ale gdy tylko zregenerowałem organizm, natychmiast odzyskałem ochotę na tę rozkosz, której zaznałem dzień wcześniej. Z Magdą wyjaraliśmy chyba ze dwie paczki.

O dziwo, Aneta zachowuje się jak należy. Najpierw wita matkę. Także przeprosza, że nie uczestniczyła w przygotowaniach. Nawet Aśce składa kondolencje i mam wrażenie, że są szczere. Jedyne, co niepokoi, to dystans, jaki zachowuje, całując ją w policzek. Tak jakby panicznie bała się zetknąć z już mocno wystającą częścią ciała. Aśka nie jest jej dłużna, przesywa ją pogardliwym spojrzeniem. Wiem, co sobie myśli. Że moja próżna Małża zamiast załatwiać formalności związane z pogrzebem, robiła sobie oczy, żeby zebrać pochwały od żałobników. Trochę prawdy w tym jest. Musi zatuszować zmarszczki, skoro nie ma rozstępów. Aneta całkowicie ignoruje Zuzę. Nie pierwszy raz. Coraz częściej to robi. Mam nadzieję, że inni tego nie zauważają. Witam się z chrześnicą. Małża uważnie mnie obserwuje.

Podchodzi matka.

– To co? Idziemy pod kaplicę? – pyta.

Kobiety nas wyprzedzają.

– Daj mi tylko macha – proszę Maćka.

Przekazuje mi papierosa. Jedno mocne sztachnięcie i tyle. Może jeszcze drugie, trzecie...

– Tata, weź mnie na bajana. – Zuza podbiega do ojca.

– Córcia, nie teraz. Nie teraz.

A co mu szkodzi? W czym problem? Zrobił sobie dziecko, niech dźwiga ciężar konsekwencji. Co z niego za ojciec?

– Ja cię wezmę – proponuję, oddając Maćkowi fajkę. – Zuza, chcesz?

Dwulatka wskakuje mi na ramiona. Przechodząc pod gałęzią, schylamy się, żeby nie zahaczyć o konar. W tym momencie Aneta się odwraca. Patrzy na mnie zadziwiona. O co może jej chodzić? Stawiam chrześnicę na ziemi dopiero przed kaplicą.

– Upaćkała cię – mówi Małża.

Strzepuje piach z mojej marynarki. Czy ona teraz dla odmiany pielęguje w sobie niechęć do dzieci?

– Nie szkodzi.

– Serio?

Nie pytam, co ma na myśli. Jest zazdrosna, że zająłem się Zużą? A może po prostu zdziwiona? Fakt, do tej pory niespecjalnie zwracałem uwagę na chrześnicę. Dopiero ostatnio nawiązuję z nią kontakt. Wcześniej była za mała, nie zawsze wiedziałem, o co jej chodzi, więc obawiałem się, że zrobię coś nie tak.

Stajemy w ławce. Czekamy na mszę. Dopóki rozmawialiśmy, nie czułem dreszczy. Obok siebie mam Asię i Anetę. Przez cały czas czuję, że jedna drugiej baczenie się przygląda. Sam kątem oka obserwuję brzuch siostry, po którym co chwilę się głaszczę. Odwracam głowę w stronę Małży, chwytam ją za rękę. Zakładam, że zastanawia się, jakie to uczucie nosić w sobie dziecko, czuć jego ruch, kopnięcia. Tym razem spoglądam na jej brzuch. Idealnie płaski. Znowu budzi się we mnie myśl, że to niesprawiedliwe. Teraz była nasza kolej. Drugi wnuk dla matki i ojca powinien być prezentem od nas. Wzdycham. Raz jeszcze patrzę na siostrę i szwagra. Maciek podciąga małej rajtuzy. Potem kieruję wzrok na Anetę. Poprawia bolerko. Sam wygładzam krawat, strzepuję pyłek z kołnierza marynarki. Boże, jacy my puści jesteśmy.

Kazania słucham piąte przez dziesiąte, lecz nagle docierają do mnie słowa księdza. Twierdzi, że często bywa tak, że człowiek, który umiera, robi na świecie miejsce dla nowego pokolenia, dla nowego życia. Tak też się stało w naszej rodzinie, bo wkrótce przecież ten smutek, żałobę zrekompensują nam narodziny Jakuba. Mocniej ściskam dłoń Anety. Znowu czuję ten ucisk w skroniach. Drugą ręką rozmasowuję kark. Słyszę, że Aśka wybucha płaczem. Spoglądam na nią; ma

mniejsze powody do rozpacz. Jej ta strata zostanie zrekompensowana. Luka w jej życiu się wypełni. W naszym nie. Całuję Małżę w czoło. Sam ocieram łzę z policzka. Pustka. Pustka w sercu, pustka w macicy, mimo że grób zaraz zostanie wypełniony.

Msza dobiega końca. Kondukt pogrzebowy. Dlaczego zawsze najbliżsi muszą prowadzić całą zgraję żałobników pod grób? Dlaczego muszą stać na przodzie i przyglądać się temu wszystkiemu? Powiniennem trzymać fason. Mam obok siebie trzy kobiety, które mogą się rozkleić. Pierwszy raz uczestniczę w pochówku naprawdę bliskiej osoby. Trumna opuszczana na sznurach powoli znika mi z oczu. Mój ojciec znika mi z pola widzenia. Nie zobaczę go więcej, już się z nim nie pośmieję, nie pogadam jak podczas ostatniej wizyty w hospicjum. Moje dziecko nigdy nie wypowie słowa „dziadku”. Nigdy nie usiądzie staruszkowi na kolanach. W najlepszym przypadku uklęknie przed jego grobem pierwszego listopada. Przeżegna się, a potem zapyta, kto to był. No ten, co tu leży. Gdybyśmy wcześniej... W takich momentach zawsze zazdroszczę wierzącym. Oni mają nadzieję na kolejne spotkania. Oddycham głęboko. Zaciskam powieki. Zaciskam dłonie. Aneta mocno chwyta mnie za rękę. Kurwa! Nie wytrzymuję! Znowu ćwiczenia porodowe. Muszę nagle, w jednym momencie, wciągnąć powietrze do płuc i zatrzymać je tam na chwilę, żeby powstrzymać parcie łez. Grabarze zasypują dół. Wszyscy powoli odchodzą od grobu. Ja też. W drugą stronę. Kucam. Czuję, że Aneta stoi za mną. Kładzie mi rękę na ramieniu. Dlaczego nikt nie powiedział, żeby wcześniej? Dlaczego ojciec wcześniej nie powiedział mi o wnuku? Dlaczego dał miejsce Kubie, a nie Mateuszowi? Wstaję. Aneta mocno mnie przytula.

W drodze do mamy to ona prowadzi. Ja nie mam siły. Chciałem oszczędzić matce pracy i zorganizować stypę w lokalu, ale nie pozwoliła. Siadamy przy stole. Luźna rozmowa przy kawie. Odpowiadam na pytania wujka o pracę. Aśka odpowiada na pytania ciotki i tym samym koncentruje na sobie uwagę wszystkich zgromadzonych.

Kopie, i to bardzo, to już nie są te motylki, które dyskretnie latają w brzuchu. Dowiadujemy się, że Kubuś najbardziej rozbrykany jest w wodzie. Gdy mamusia bierze kąpiel, to z Maćkiem przyglądają się jak płód fika koziołki. Szwagra rozczuła czkawka nienarodzonego dziecka. Kurwa, nie mają lepszych podniet w życiu?

Aneta zbiera szklanki ze stołu. Nagle wpada na nią Zuzka.

– No, co robisz? Nie biegaj. To samo co w kościele. To nie plac zabaw! – krzyczy na nią Małża.

– Aneta! – napominamy ją równocześnie z Aśką, bo zbyt surowo potraktowała dwulatkę.

Aneta niezauważona wychodzi. Znika w kuchni. Po kilku minutach słyszę, że matka głośno wymawia jej imię. Małża staje w drzwiach.

– Dla jasności: nie mam endometriozy, nie mam wrogiego śluzu. To mój mąż ma słabe plemniki. Gdyby nie on – Wojtuś Raczyński – już dawno miałabym dziecko. To jego wina. To on jest niepłodny, choć w waszej rodzinie może się to wydawać dziwne.

W pokoju zapada grobowa cisza. Rozglądam się, z trudem przełykając kawałek sernika. Zatrzymuję wzrok na Maćku. On obserwuje mnie szczególnie wnikliwie. Obok Aśka próbuje ukryć nerwowy uśmiech, przykładając dłoń do ust. Totalna konsternacja. Unoszę głowę. Anety już nie ma. Wstaję. Wycieram usta chusteczką.

– Przepraszam, ja już, niestety, muszę iść. Smacznego.

Mijam matkę.

– Leć, trzymaj się – rzuca.

Wybiegam z klatki schodowej. Cholera, gdzie ona mogła poleść? Nigdzie jej nie widzę. Może będzie w domu.

Przekręcam klucz w zamku. Wchodzę. Aneta, przyłapaną na gorącym uczynku, wyciąga spod bluzki poduszkę. Przez chwilę stoję w miejscu, porażony tym, co zobaczyłem. Patrzę na jej łzy. W tle słyszę kołysankę. Moją ulubioną. Podchodzę do Anety. Unoszę jej bluzkę. Poduszkę wkładam z powrotem pod ubranie.

– Chciałam zobaczyć, jak to jest – tłumaczy się.

– Wiem, wiem, kochanie. – Całuję ją w czoło, zanadto się zbliżając.

Zderzam się z wypchanym brzuchem.

– O Jezu, przy tym nawet nie będę mógł cię pocałować!

Co dopiero myśleć o innych rzeczach. Przez chwilę bujamy się razem w takt kołysanki, zachowując dystans, do jakiego zmusza nas poduszka. Wkrótce oddalam się od Anety. Przyglądam jej się krytycznie.

– Trochę przesadziłaś. No, chyba że myślisz o bliźniakach. Ale nie jest tak źle. Chodź – mówię.

Prowadzę ją do lustra. Stajemy przed nim.

– O Boże! Jestem walnięta.

Obejmuję ją w pasie, całkowicie tłamsząc poduszkę.

– Będziesz śliczną ciężarówką.

– Trudno ci uwierzyć. Wszystkich wokół okłamujesz.

– Wiesz, dlaczego to zrobiłem. Dobrze o tym wiesz. – Wzdycham. – Uda się, zobaczysz. Czy to już? Możemy przejść do rozwiązania? Mogę wyjąć i normalnie cię przytulić? No to na trzy: przyj. – Muszę przecież jakoś obrócić to w żart.

Aneta zaczyna się śmiać. Tak bardzo, że poduszka sama spada na podłogę.

Już nie jest zła. Dokopała mi przed wszystkimi członkami rodziny i już dłużej nie ma zamiaru się odgrywać.

Posłusznie wykonujemy zadanie domowe. Przynajmniej próbujemy. Gajda

poprosiła, żebyśmy wybrali pięć tematów, które chcemy omówić. Celowo nieparzyście. Jeden musi być kompromisem. I tak kwestia seksu schodzi na dalszy plan. Trudno się dziwić, w końcu nie możemy sobie na niego pozwolić przed jutrzejszym badaniem nasienia w nowej klinice. Swoją drogą, jeśli tam tak wyglądają toalety, ciekaw jestem, co zastanę w pokoju ejakulacyjnym.

Przy nadziei

Kolejna sesja nie przynosi niczego dobrego. Aneta pragnie wrócić do pracy, nie chce jak kura znosić jajka w domu. Nie jest chora, więc branie długiego zwolnienia lekarskiego byłoby robieniem świństwa pracodawcy. Ostatnio miała rację. Rzeczywiście jest walnięta. Aha! No i ma pomysł na reportaż. Tak dobry, że dopóki nie skończy, będzie nietykalna. Reportaż wymaga pracy w terenie, więc umożliwi jej wypadki do lekarzy. Czego ma dotyczyć? Oczywiście niepłodności. Na czym kończy się wizyta? Na tym, co zwykle. Na kłótni. Bo uznaję, że Aneta jest niespełna rozumu, dlatego chcę decydować nawet o jej pracy. Jestem nadopiekuńczy i w ten sposób próbuję się dowartościować. Byłoby lepiej, żebym zajął się leczeniem, a nie wkładaniem jej paluszków do tyłka. Prawdę mówiąc, nie przypominam sobie, kiedy ostatnio wkładałem cokolwiek do jej ciała. Tak, tak, myślę tylko o seksie. Nie, problem polega na tym, że już w ogóle o seksie nie myślę i chyba nie pamiętam, i nie wierzę, że jego następstwem może być ciąża. Psycholka widzi sporo problemów w naszym związku. Twierdzi, że nie respektujemy swoich granic, swojej wrażliwości, przeciągamy liny, struny. Prowadzimy walkę, chcąc zyskać własną przestrzeń. Nigdy nie stworzyliśmy zespołu, nie dotarliśmy się, bo w dotychczasowym życiu nie byliśmy narażeni na próby. Nie wiemy, co to konsensus i partnerstwo. Aneta sądzi, że jestem niedojrzały, a ja mam związany z tym kompleks.

– Czy my w ogóle możemy być razem? – pytam uszczypliwie.

– To zależy od tego, czy chcecie, czy będziecie się starać, pracować, ale z całą pewnością nie można uznać, że porozumienie w tym związku jest łatwe.

– Czyli nie możemy.

– Możecie, skoro już doszliście do takiego etapu i tak wiele osiągnęliście.

Widać wam na tym zależy, mimo że jesteście małżeństwem...

– Z góry skazanym na porażkę?

– Jesteście zupełnie niedopasowani. To muszę przyznać. I muszę otwarcie powiedzieć, że to może mieć wpływ na waszą płodność.

No to mamy pierwszą diagnozę. Co z tego, skoro nie wiemy, jak sobie z nią poradzić? Koncerny farmaceutyczne chyba też jeszcze nie posiadały takiej wiedzy.

Kilka dni później stawiamy się u Haliszewskiego.

– Zaproponowano nam badania immunologiczne – oznajmiamy.

– Do czego mają prowadzić?

– Jeśli coś wykryją, to zaszczepią Anetę moimi limfocytami i wtedy dopiero zrobią inseminację.

– Nikt nie potwierdził skuteczności tej metody, a jest inwazyjna ze względu

na leki, które ją wspomagają.

- Wielu osobom udało się w ten sposób.
- Prawdopodobnie udałoby się również bez takich ingerencji.
- Uważa pan, że to bez sensu?

– Uważam, że to wyciąganie pieniędzy od pacjentów. Mamy inne standardy leczenia i nie możemy sobie pozwolić na samowolkę. Mamy postępować wedle sprawdzonych procedur. Ich wyniki i konsekwencje są nam bardzo dobrze znane. I jeszcze jedno: ciężko PCT uznać za wiarygodne, jeśli mamy obniżoną płodność u mężczyzny. Właśnie dlatego w takim przypadku od razu kieruję na inseminację domaciczną. Dodam jeszcze, że wykrycie czynników immunologicznych znacznie utrudnia porozumienie w związku, bo ludzie zwykle uznają, że nie są dopasowani.

- To już wiemy bez tych badań – odpowiadam.

Wychodzimy z kliniki. Prosto od gina 1 jedziemy do gina 2. Już dzień wcześniej umówiliśmy się na obie wizyty. Chcemy znaleźć jakiś wspólny mianownik dla tych diametralnie różnych postępowania, zestawić opinię Haliszewskiego ze zdaniem Opatowskiego. Co słyszemy? „Proszę państwa, to, że coś nie zostało potwierdzone, nie znaczy, że nie jest skuteczne. Inseminacja, in vitro też kiedyś były eksperymentem. Żeby przetestować tę metodę, musimy zgromadzić liczną grupę badawczą”. Na moje pytanie, czy Dolly płaciła za sklonowanie, lekarz odpowiada głośnym śmiechem. A ja wcale nie żartowałem. Nie wiem, czy jesteśmy aż tak zdesperowani, żeby bulić za wcielenie się w króliki doświadczalne. Dziwię się, że nikt jeszcze nie otrzymał grantów na badania nad tymi szczepionkami. Rozumiem, że koncerty farmaceutyczne nie byłyby tym zainteresowane, bo nie wytworzą uniwersalnych limfocytów, ale uczelnie medyczne? Coś mi tu nie gra.

Wychodzimy z kliniki. Opieram się o samochód. Aneta krąży obok. Od prawej do lewej, od lewej od prawej. Kładzie rękę na biodrze.

- I co? – pytam. Zanim wyrażę swoje zdanie, chcę poznać opinię Małży.

– Nie wiem. Ja już nie wiem, co robić. – Wzdycha. – Dwóch lekarzy i dwie sprzeczne opinie.

- Trzeci? Taniej byłoby zrobić te badania.
- Słyszałeś, co mówił gin o ich wpływie na związek?
- Sugerujesz, że u nas może być jeszcze gorzej? – pytam.

Tak naprawdę nie miałbym nic przeciwko, gdyby wzięła chociaż część winy na siebie. Akurat to mogłoby nam pomóc. Wszystko by się zrównoważyło. Zrozumiałaby, jakie to uczucie.

- Któraś z nich trzeba przegłosować. Szukamy trzeciego – postanawia.

W kilku klinikach żaden z lekarzy nie może nas przyjąć: pełne grafiki na następne kilka dni. W innych, które mają gorsze opinie, wszyscy są łąsi na nasze pensje. Co słyszemy? „Ja bym państwa skierował do pozaustrojowego. Od razu”.

No to gin 4, bo na razie żadna z opinii się nie powieliła. „Inseminacja. Ale ze stymulacją. Inaczej to bez sensu. Mówiono wam, że nie warto robić więcej niż trzy inseminacje? Samą inseminację domaciczną możemy spokojnie wykonać pięć–sześć razy. Do in vitro, przynajmniej na razie, się nie kwalifikujecie”.

Forum internetowe. Tamtejszy ekspert potwierdza zdanie Haliszewskiego. Na to odzywają się trzy szczęśliwe mamusie, które uwierzyły, że można wyeliminować czynnik immunologiczny w niepłodności. Nie miały żadnych powikłań po leczeniu. Zaszły w ciążę. Nasz post komentują również panie, które zaszły w ciążę przy siódmej inseminacji. I te, które zaszły w ciążę dzięki inseminacji bez stymulacji hormonalnej. Są też tacy, co twierdzą, że zrobienie PCT i ewentualne zastosowanie szczepionek może ochronić płód przed poronieniem lub wadami genetycznymi. A ja myślałem, że takie prawdopodobieństwo można wykluczyć poprzez badanie kariotypu, które mamy za sobą. I bądź tu mądry. To dość frustrujące, gdy człowiek zgłasza się do kolejnych klinik, a w końcu podejmuje decyzję o zastosowaniu odpowiedniej metody na podstawie doświadczeń zwykłych śmiertelników. I wszyscy się dziwią, że ludzie leczą się u wujka Google. Tam jest darmowo. Chociaż zdania chorych są tak samo podzielone jak zdania lekarzy. Pół dnia spędzamy na wizytach u lekarzy, drugie pół na sprawdzaniu opinii o nich. Te wszystkie fora internetowe, strony z rankingami ginekologów powinniśmy dodać do ulubionych. W historii wyszukiwania zajmują już najwyższe miejsca. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz zaglądałem na portale informacyjne. Nie pamiętam, kiedy wyświetlały mi się reklamy samochodów lub serwisów dla szukających i oferujących pracę. Widzę tylko linki sponsorowane klinik leczenia niepłodności i firm farmaceutycznych oferujących eliksiry płodności dla mężczyzn.

– Zróbmy to PCT. – Ciągle liczę, że uda mi się przenieść odpowiedzialność na Małżę. Poza tym to badanie to moja szansa na seks. – Zróbmy PCT i inseminację w jednym cyklu. Jak wynik będzie negatywny, sprawdzimy, co wykazało badanie i ewentualnie zaczniemy się leczyć limfocytami. Dwie pieczenie na jednym ogniu. Jeśli się nie uda, zawsze będziemy miesiąc do przodu w diagnostyce.

Decyzja podjęta. Mamy konsensus. Ona będzie miała diagnozę, ja seks. Tylko jak to rozwiązać logistycznie? Aneta na palcach przelicza godziny.

– Jak bzykniemy się o siódmej, to zdążysz do pracy?

– Biorąc pod uwagę, że wytrysnę, jak tylko mnie tkniesz, to tak.

– Wtedy na piętnastą musiałabym się zgłosić na pobranie śluzu... Dam radę. Ustawiam budzik na szóstą. W ogóle PCT to dobry materiał do reportażu.

Miłość na szkle w dosłownym znaczeniu. Na szybko śluz szyjkowy. W środku akwenu pływają plemniki. Utopią się? Walka w kisielu. Test sprawdzający, czy facet ma szansę przeżyć w środowisku żony. Do dzieła!

Sprawdźmy, czy tajemnicza, szklista wydzielina to nie trucizna, która ułatwia wejście na terytorium, ale nie pozwala zająć imperium. Może Gajda ma rację. Może ze sobą walczymy. Może działamy na siebie destrukcyjnie. Oby to Małża była destrukcyjna. Wet za wet. Ja niszczę jej marzenia, niech ona niszczy mnie. Nie w zarodku. Na znacznie wcześniejszym etapie. Już w szyjce macicy.

*

Wyniki do odbioru pojutrze. Czyli dzień po inseminacji. Jak zwykle siedzę wpatrzony w ekran. Wyjątkowo nie czytam o niepłodności. Nie znam więcej kawałów o plemnikach, a muszę jutro sypnąć jakimś żartem, żeby rozluźnić atmosferę.

Czekamy, aż pielęgniarka otworzy gabinet zabiegowy. Próbujemy ochłonać po chwilach spędzonych w samotności. Zamiast Grabińskiej przychodzi do nas Haliszewski.

– Mogę państwa zaprosić do mojego gabinetu?

Podążamy za doktorem. Nie mamy pojęcia, jakie wieści chce nam przekazać, ale chyba oboje zakładamy, że nie będą dobre, bo mocno chwytamy się za ręce. Wchodzimy do środka. Filipowski również na nas czeka. Siadamy. Androlog wręcza nam kartkę.

– Takie parametry nasienia dzisiaj uzyskaliśmy.

Spoglądamy na wyniki. Nie wierzę własnym oczom. Nie wierzę. Po prostu nie wierzę. Jak to możliwe? Zaczynam się histerycznie śmiać.

– Jak ty to zrobiłeś? – pyta Aneta.

– To są jakieś jaja. Ja pierdolę! To jest chyba jakaś pomyłka.

– Na pewno zachował pan wstrzemięźliwość? – docieka Haliszewski.

– Wojtek? – Aneta już podejrzewa mnie o kłamstwo. Wie, że radzę sobie sam.

– Nie masturbował się pan? – pyta Filipowski.

– Nie.

– Gorączka? Choroba? Były w ostatnim czasie? Może leki pan odstawił, może brał pan jakieś antybiotyki, wrócił do palenia, alkoholu, mniej się ruszał, inaczej jadł, inaczej ubierał? Znając przyczynę, zdołamy ją wyeliminować.

– Nie! – krzyczę. – Przestrzegałem wszystkich zaleceń. Paczkę wypaliłem i raz piłem.

– Jakie mamy szanse? – pyta cicho Aneta.

– Przy inseminacji bardzo marne, ale decyzję, czy wykonać ją dzisiaj, pozostawiamy wam. Nie zabieraliśmy się za preparatykę, mamy na to jeszcze jakieś dziesięć, piętnaście minut. Do tego czasu musimy poznać wasze zdanie.

– Kurwa! – głośno klnę. – Da się coś z tego wyodrębnić? Co pan zaleca?

– Ja bym zaoszczędził – mówi Filipowski.

Jak zwykle bierze go na żarty. Zbyt długo był poważny.

– Ile kosztuje in vitro? – pytam. – Bo chyba się kwalifikujemy.

– Tak, jak najbardziej. Pomijając dojazdy, które was nie dotyczą, bo jesteście na miejscu, musicie mieć dziesięć tysięcy złotych. Ale to maksymalna kwota. Postaramy się ją zmniejszyć.

– Ja pierdolę. – Przez chwilę milczę. – Aneta, próbujemy dzisiaj z inseminacją? – pytam, nie odwracając się do niej.

– Nie. Nie chcę kolejnego negatywnego testu. Wolę zaoszczędzić te kilkaset złotych.

Zaczyna płakać. Wychodzi. Za nią znika Haliszewski. Zostaję w towarzystwie androloga.

– Panie Wojciechu, to jest straszny spadek. Co się dzieje? Może to stres? Zbyt duża presja, naciski na ciążę.

– Miałem ostatnio dość ciężki okres. Problemy w pracy... Przede wszystkim u Anety... Mój ojciec zmarł na raka. A presja to swoją drogą.

– Chodzą państwo na terapię? Przepraszam, ale mnie się nie chce wierzyć, że taki spadek nie jest związany z kondycją psychiczną. – Przez chwilę przypatruje mi się, po czym wstaje. – Proszę zaczekać. – Otwiera drzwi gabinetu. Wychodzi. Wraca z Anetą i Haliszewskim. Znów zabiera głos: – Proszę kontynuować terapię. I zastanówcie się, co dalej. Te wyniki są zmienne. To znaczy, że za jakiś czas moglibyśmy uzyskać lepsze. Tylko trzeba by wyluzować. Wakacje?

– Nie mam urlopu i muszę oszczędzać.

– Ja też nie mogę teraz wziąć wolnego. Zresztą co to da?

– Ja bym na waszym miejscu czekał. Bo przy takim ciśnieniu to nawet in vitro może nam nie wyjść.

– Ja mam trzydzieści pięć lat. Ja nie mam czasu.

– Pani Aneto, to pan Wojciech jest nieplodny. Wie pani, jakie to obciążenie psychiczne? Porównywalne do stresu związanego z nowotworem w rodzinie. Przed chwilą dowiedziałem się, że u męża te czynniki nałożyły się na siebie. Tak mocno naciskając, nie pomaga mu pani. Nie pomaga pani również sobie. Bo chyba zależy pani na jego nasieniu, mylę się? To wasza wspólna sprawa. Panie Wojciechu, proszę się zapisać na masaże relaksacyjne albo na jogę. Musi pan rozładowywać napięcie. Proszę zacząć biegać. Idzie pan na zwolnienie. Natychmiast. Na dwa tygodnie. Proszę zacząć psychoterapię indywidualną, oprócz małżeńskiej.

– Po jakim czasie to może pomóc? – pyta Aneta.

Chyba nie słyszała słów Filipowskiego lub zupełnie nie zrozumiała ich znaczenia. Te dwa tygodnie w domu to z pewnością będzie czternaście dni.

– Trudno powiedzieć. Jeśli nie chcecie czekać i sądzicie, że ciśnienie wam się nie zmniejszy, to pozostaje in vitro. Ale nawet wtedy dobry spermogram ma spore znaczenie. Im lepsze nasienie uzyskamy, tym większe będziemy mieli

szanse.

– Zastanowimy się, co dalej. – Aneta wychodzi.

– Za miesiąc chcielibyśmy zrobić następne badanie. Musimy sprawdzić, jak nam się to rozwija. Bo jak będzie coraz gorzej, to szykujcie się na in vitro.

– Jasne.

Opuszczam klinikę. Aneta czeka na mnie przed wejściem.

– Wojtek, o co chodzi? O co chodzi?

– Nie wiem.

– Ktoś jeszcze mi powie, że nie wie? Kto ma wiedzieć, jak nie lekarze, jak nie ty? – Jak zwykle kładzie dłonie na biodrach i wydeptuje ścieżkę dla kolejnych pacjentów.

Opieram się o ścianę. Słyszę płacz mężczyzny. Nie swój. Obserwuję otoczenie kliniki. Nie myliłem się. Facet ryczy na parkingu w objęciach żony. Oni są na lepszym etapie. Znacznie lepszym. Oni razem opuścili budynek, oni razem się leczą, starają, oni razem płaczą. My razem się kłócimy. Gdzie jest ten nagłówek „Niepłodność boli”? Na www.nasz-bocian.pl. To prawda. Niepłodność przeszywa bólem najpierw ludzi, potem ich związki. Włazi w najintymniejsze zakątki duszy i ciała. Bez wazeliny. Pogłębia pustkę w macicy i jądrach. Drażdzi pustkę w głowie. Wyłącznie sami zainteresowani wiedzą, z jakimi skutkami ubocznymi wiąże się leczenie. Tylko zainteresowani wiedzą, ile ono kosztuje. Ile kosztuje palczasta ingerencja w związek bez użycia nawilżaczy. Niepłodność ciągle wisi w powietrzu i w historii Google. Przenika do łóżka. Jak brzuch ciężarnej z każdym kolejnym miesiącem rozpycha się pomiędzy małżonkami, oddalając ich od siebie.

– Kurwa, co to za leczenie? – przerywa ciszę Aneta. – Czekanie ma być leczeniem? Ja już nie mogę czekać! – krzyczy.

– Przepraszam – szepczę i wręczam jej kluczyki. – Jedź do domu.

– A ty? Schlejesz się, czy może spotkasz z Magdą?

– Pójdę na spacer.

Do domu wracam dopiero wieczorem. Wchodzę do sypialni.

– Jutro mamy PCT do odbioru – mówię, popijając wodę. Zupełnie niepotrzebnie. Aneta i tak mnie nie słyszy. Siedzi na łóżku ze słuchawkami na uszach. Rozmawia z kimś przez Skype'a. Podchodzę do niej. Prawdę mówiąc, wali mnie, że osoba po drugiej stronie ekranu usłyszy, co mówię. Może Anecie powtórzy, jeśli po raz kolejny nie zrozumie.

– Jutro mamy PCT do odbioru.

– Zaczekaj – zwraca się do koleżanki, po czym kieruje wzrok na mnie. – Nie ma sensu go odbierać, skoro nasienie było takie kiepskie.

– Dwa tygodnie temu nie było tak straszne, więc może dwa dni temu też...

– Więc może zdołasz zrzucić część winy na mnie. Świetna perspektywa.

– A, tego się boimy! No pewnie, lepiej, żebym sam się czuł winny. Wtedy

można mną pomiatać – mówię podniesionym głosem.

– Ciągłe twierdzisz, że twoje ego w tej sprawie jest najważniejsze?

– Nie. Twierdzę, że twoje ego jest w tej sprawie najważniejsze. – Wskazuję ją palcem. – I w tym jest problem. Bo o swoim już całkiem zapomniałem.

– Ale to ty ponosisz winę za to wszystko. Ty, nie ja.

– Tak, wiem, trudno zapomnieć o tym, że gdyby nie ja, miałabyś już dawno dziecko. Stworzone jak w *Seksmisji*. Ja też już dawno bym miał dziecko, wiesz? – krzyczę. – Kilka dni przed tym, jak cię poznałem, myślałem, że wrócę do Magdy. Że jakoś pociągniemy razem ten wózek. Też miałbym. Też miałbym już dziecko. Siedemnastoletnie.

– Nie swoje. Ty, niestety, nie możesz mieć swoich dzieci naturalną drogą.

– Tak, wiem, przez to dwoisz się i troisz, co zrobić. W dupie to mam! W dupie mam twoją łaskę! Wolałbym, żebyś zrobiła mi łaskę, a nie łaskę. Mam ci dać rozwód? Chcesz? Nie ma problemu. Wezmę winę na siebie.

– Debilu, nie chcę rozwodu. Chcę dziecka. Z tobą, jakbyś nie zauważył. Dlatego musimy skorzystać z in vitro.

– Widzę, że już o wszystkim zadecydowałaś.

– Wojtek, ja mam trzydzieści pięć lat, nie mogę czekać.

– Mam nadzieję, że twoja miłość do dziecka nie będzie tak egoistyczna. Tylko spróbuj mi jeszcze raz powiedzieć, że nie stosuję się do zaleceń lekarzy. Tylko spróbuj. – Trzaskam drzwiami. – Głupia cipa! – wyzywam ją jeszcze po wyjściu. Przecież i tak nie usłyszy. Słyszy tylko bicie. Nie serca, zegara. Biologicznego.

Rano zgłaszam się do Haliszewskiego. Chcę z nim wyjaśnić kilka spraw.

– W tym wszystkim zamraza się zarodki, tak? Już gotowe zarodki.

– Tak. Dokładnie. Stymulujemy owulację, żeby uzyskać około dziesięciu komórek jajowych. Potem punkcja w znieczuleniu. Pan oddaje nasienie. Wybieramy najlepsze plemniki i wstrzykujemy je w komórki jajowe poza organizmem kobiety. Zwykle dążymy do uzyskania czterech zarodków. To optymalna liczba. Dwa podajemy żonie, dwa zamrażamy.

– Co dzieje się z tą zamrożoną dwójką?

– Jest pan katolikiem? – pyta ze zdziwieniem.

– Słucham? A jakie to ma znaczenie? Nie rozumiem, czy wszystko musi się wiązać z ideologią, poza której ramy nie można wyjść? Zdziwię pana, ściągam „Wyborczą” na Androida i czytam komentarze pod artykułami, gdzie takich jak ja nazywa się lemingami lub lewakami. Jestem czerwonym ateistą. I co? To znaczy, że nie mogę mieć dylematów związanych z moralnością? Nie mam kręgosłupa moralnego? Jako ateista nie mogę mieć wątpliwości etycznych? Etyka to religia i partia polityczna, tak? Wie pan, komórka jajowa to jedno, plemnik to drugie, ale zarodek to jedno i drugie. Moje potencjalne dziecko z niepowtarzalnym kodem

genetycznym, tak?

– Jeśli towarzyszą państwu takie dylematy, możemy stworzyć tylko dwa zarodki, które wstrzykniemy jednorazowo. Albo nawet jeden.

– Można tak? – pytam już spokojniej.

– No pewnie, że tak. Właśnie tę metodę proponujemy katolikom. I wie pan co? Nagle przestają być przeciwnikami in vitro. – Uśmiecha się z satysfakcją. – Tylko przy tym trzeba pamiętać, że zmniejszamy szansę na powodzenie. A każde następne in vitro to kolejna stymulacja, kolejna punkcja. Kolejne nieprzyjemne zabiegi, kolejne hormony i kolejne wydatki.

– No właśnie – wzdycham.

– Jest jeszcze jedna możliwość. Tworzymy cztery zarodki i dwa transferujemy. Może się nie udać, oczywiście, ale takie obumieranie zarodków ma miejsce także w naturze. Dwa pozostałe mamy zamrożone, tak? Wprowadzamy je przy następnym zabiegu. Natomiast jeśli osiągniemy sukces, mogą państwo za rok, dwa, pięć lat przyjść i wykorzystać rezerwę.

– Za drobną opłatą. – Nie byłbym sobą, gdybym tego nie powiedział.

– No, niestety. – Rozkłada ręce. – Filipowski ma panu w końcu wypisać to L4?

– Wie pan, nie stać mnie ani na urlop, ani na zwolnienie. Nie muszę tłumaczyć dlaczego. – Chciałem mu dopiec, ale patrząc obiektywnie na sprawę, Haliszewski jak dotąd zaproponował nam najtańsze warianty leczenia i rzeczywiście zgodne z wytycznymi PTMR. I zawsze był dostępny, bo to, co się czyta na forach o innych lekarzach... Bywa różnie. Zdarzają się tacy, którzy są oburzeni, że owulacja wypada tylko raz w miesiącu, i to czasem w weekend czy święta. Zapominają, że ten zawód wiąże się ze szczególnymi zobowiązaniami i wyrzeczeniami. Wydaje im się, że nasienie można wstrzyknąć do macicy przy inseminacji po dwóch godzinach i każą je utrzymywać w ciepłe. Najlepiej włożyć sobie spermę między cycki. To sprawia, że szansę na powodzenie mają jedynie kobiety z dużym biustem lub kupujące push-upy. Paranoja.

Poza tym to, co mówi Haliszewski, brzmi sensownie. Rzeczywiście można wszystko zaplanować tak, żeby nie pojawiły się straty większe niż przy naturalnym zapłodnieniu. Więc ta cała jazda o in vitro to nagonka. Nagonka, na której potrzeby wyciąga się na światło dzienne półprawdy i podaje się je za prawdę absolutną. Dlaczego? Bo jak się ludzie splukają na in vitro, nie dadzą na tacę? Bo tylko Bóg może być stwórcą? Lekarze stanowią dla niego konkurencję? Bez przesady. In vitro to cud, ale naukowy, można go racjonalnie wyjaśnić. Swoją drogą, zastanawiam się, czy rzeczywiście ktoś korzysta z opcji, o której mówił gin. Kto przy zdrowych zmysłach zapładnia najwyżej jedną lub dwie komórki do jednorazowego wstrzyknięcia, skoro wtedy maleją szanse, a każdy protokół tak wiele kosztuje? Nie sędzę, żeby takich osób było dużo. Przecież żyjemy

w kapitalizmie. Ekonomia nam tworzy morale. Albo inaczej: ekonomia niszczy nam morale. Jeśli Kościół chce je odbudować, niech zrefunduje leczenie niepłodności. Liczba niewykorzystanych zarodków zmaleje. I może już nie będziemy należeć do homo oeconomicus. Przydałoby się coś z tym zrobić, bo, niestety, w tej wspaniałej epoce, w której żyjemy, to pieniądz decyduje o tym, czy dokonamy aborcji, o tym, czy i ile będziemy mieli dzieci oraz jaką metodą je stworzymy. A podobno jesteśmy wolni. Ci zapłakani ludzie w klinice z całą pewnością są niczym nieograniczeni, gdy stają się niewolnikami banku po wzięciu kredytu na dziecko. Wolni, niczym nieograniczeni są ci, którzy przez sytuację ekonomiczną nie mogą adoptować dziecka. Wolni, nieograniczeni są ci, którym się odbiera dzieci, bo nie mogą ich wykarmić. Wolni są ci, co zapieprzają w korporacjach, żeby móc założyć rodzinę, i gdy już są gotowi, okazuje się, że mobbing i branie nadgodzin wywarły negatywny wpływ na ich plemniki.

– Przejdiesz przez to wszystko jeszcze raz za rok, dwa? W razie potrzeby będziemy musieli szybko wykonać ten ruch. Wiesz o tym? – pytam.

Zadziwiająco, rozmawiamy, komunikujemy się. Do Anety nareszcie docierają moje słowa, argumenty. Tak oto podejmujemy ostateczną decyzję.

– Tak. Pozostaje mieć nadzieję, że będziemy mieli okazję. Że hibernacja im nie zaszkodzi.

– Okazję i pieniądze musimy mieć. To trochę kosztuje. Przechowywanie, nawet nie wspominam o zabiegu – mówię.

Sam w to wszystko nie wierzę, ale jeszcze dwa lata temu w ogóle nie myślałem o dziecku, a teraz możliwe, że nie uprawiając seksu, dorobię się aż czwórki.

Stymulacja. Punkcja: jedenaście komórek jajowych. Embriolog wstrzykuje plemniki w komórki jajowe. Pomiędzy mną i Anetą stoją nasi lekarze prowadzący. Wszyscy mamy na sobie fartuchy i maski. Wszyscy po kolei oglądamy naszą miłość. Miłość na szkle. Miłość ryzykowną, bo z udziałem osób trzecich, które wpuszczamy w ten układ, bo mają certyfikaty PTMR. Miłość pozbawioną bliskości. Miłość, którą trzeba wspomagać specjalistycznym sprzętem. Miłość, którą trzeba podtrzymywać farmakologią. Miłość, którą trzeba leczyć, mimo że dokonuje się w najwyższych standardach higieny i bezpieczeństwa.

Trzy dni później pełni niepokoju przychodzimy do kliniki. Po chwili gratulujemy sobie pierwszego sukcesu: czterech owoców naszej miłości. Padamy sobie w ramiona pełni nadziei, że będziemy czcić jeszcze większy sukces. Już za dwa tygodnie. Albo dopiero za czternaście dni. Podwyższymy statystyki, zwiększymy liczbę zdjęć na ścianach. Nasze wspólne dzieło. Aneta przytula mnie z całych sił. Kilka minut później rozkłada nogi przed Haliszewskim. Transfer.

Dwa zarodki rozwijają się w ciele Małży. Albo obumierają. Uśmiecha się, leżąc na łóżku, głaszcze się po brzuchu. Dzielnie znosi ból jajników.

– Niech się rozwiną. Niech tam zostaną – szepcze.

– A jak będą bliźnięta jednej płci? Wybraliśmy imię dla chłopca i dziewczynki. Wypadałoby dobrać jeszcze dwa. Chyba że zostajemy przy propozycji Haliszewskiego: jedna będzie Blasto, druga będzie Cysta. Ciężko to zdrobnić. Miała być Lena czy Kaja?

– Lena.

– No to do Leny... Magdalena.

– To ci się nie udało. – Karci mnie spojrzeniem.

– Dłaczę... Aha! Już wiem. Niech będzie ta Kaja, co?

– A do Mateusza?

– Tymoteusz?

Wybuchamy śmiechem, który Aneta szybko musi stłumić, żeby nie nadwreżać mięśni brzucha. Robię jej herbatę, przyrządzam kolację. Przeze mnie i dla mnie przez to przeszła. Musiała zaakceptować moją obniżoną płodność i działać pod jej dyktando. Mam nadzieję, że teraz już będzie pozostawać pod moją opieką przez kolejne dziewięć miesięcy. Mam nadzieję, że zdołam jej wynagrodzić to wszystko. Te wszystkie wyrzeczenia, ustępstwa, na które musiała się zdecydować. Książka o przebiegu ciąży czeka na komodzie. Zegar biologiczny tyka. Czternaście dni to tylko dwa tygodnie, naprawdę?

Nie chcemy już robić testów ciążyowych na poziom HCG w moczu. Badamy krew. Wracamy do domu. Oboje zasiadamy na kanapie. Sprawdzamy poziom baterii w telefonach. Dwa smartfony kładziemy na ławie. Włączam Anecie film *Maybe baby*. Tak dla rozluźnienia atmosfery. Żadne z nas się nie śmieje. Może zaraz zaczniemy. Oby. Maleńkie kapcie już czekają w szafie. Tak jak pusta ramka. Wyciągnę ją, podaruję Anecie, jeśli wynik będzie pozytywny. Oprawimy w nią fotografię Mateusza.

Żadne z nas nie patrzy na ekran telewizora. Patrzymy na ekrany telefonów. Cisza wydaje się strasznie głośna. Wreszcie rozbrzmiewa *Veronika*. Żadne z nas nie odbiera. Może nie tylko ja przypominam sobie chwile, które spędziliśmy przy tej piosence. Nie minął nawet rok. Jak zmienił się nasz związek, jak myśmy się zmienili w tym czasie? W końcu sięgam po smartfona.

– Panie Wojciechu, bardzo mi przykro.

Wzdycham, pocieram czoło. Podchodzę do Anety, głaszczę ją po ramieniu.

– Kiedy następne? – kontynuuję rozmowę.

– To wasza decyzja. My proponujemy przerwę. Będziemy kontrolowali nasienie, żeby się nie spóźnić.

– Musimy mieć przerwę, bo nie mamy całej kwoty.

– Za dwa tygodnie chciałbym zrobić następny spermogram.

– Oczywiście. – Kończę. Kucam przed Małżą. – No to do dziesiątego – żartuję. – Teraz będziemy żyli od pensji do pensji, a nie od miesiączki do owulacji.

– Ja już nie mam pensji. – Wybucham płaczem.

– Słucham?

– Wczoraj mnie zwolnili.

Siadam na kanapie, przytulam ją. Teraz będzie miała jeszcze większe ciśnienie, siedząc całymi dniami w domu i martwiąc się o pieniądze.

– I co teraz? Przy ratach na mieszkanie będziesz zbierał ze trzy, cztery miesiące na następny protokół.

– Do tego czasu może znajdziesz pracę. Coś wymyślimy.

Coś wymyślimy, tak. Co wymyślimy? Gdybyśmy zamienili apartament na standardowe mieszkanie, zyskalibyśmy sporo kasy, ale to by strasznie długo trwało.

Wieczorem zasiadam przed komputerem. Redaguję ogłoszenie. Drukuję oferty. Wychodzę z domu. Winda popsuta? Sąsiadka taszczy wózek na trzecie piętro. Pomagam jej. Schodzę do podziemi. Wsiadam do samochodu. Wyjeżdżam z garażu. Parkuję na głównej ulicy. Do tylnej szyby, a także dwóch bocznych przyklejam kartki z pogrubionym napisem: „Sprzedam”. Odchodzę. Jeszcze przez chwilę patrzę na mustanga. Symbol młodości, wolności, siły. Ktoś mógłby stwierdzić, że to dziecinne, ale z samochodem jest jak z domem. „Pokaż mi, jak mieszkasz, a powiem ci, kim jesteś”. Jedno i drugie wybieramy na podstawie potrzeb przestrzennych, na podstawie zasobności portfela, gustu, stylu życia. I mustang mnie definiował. Takiego, jakim byłem. Kiedyś. Ja. Piotruś Pan.

Oddalam się od młodości, wolności, siły. W Anecie nie dojrzewa żaden zarodek, we mnie dojrzewają decyzje.

Kładziemy się wcześniej.

– Aneta, śpisz? – Przewracam się na bok. – Też masz wrażenie, że wpadliśmy w jakąś machinę? Pamiętasz, jak żarliśmy się o in vitro? Mówiłem, że w życiu się na to nie zdecyduję, prędzej zastąpię dzieciaka psem. A teraz to nam tak łatwo przyszło.

– Bo dylematy etyczne mają tylko ci, którzy mają wybór. Śpij.

– Dobranoc.

Sobotnie popołudnie. Aneta staje nade mną, gdy czytam gazetę. Kładzie mi rękę na ramieniu.

– Wojtek, przepraszam cię. – Kuca przed kanapą. – Przepraszam. – Płacze. – Za wszystko. Nie sądziłam, że... Dziękuję. – Siada obok. Całuje mnie. – Przepraszam, że o tym nie wiedziałam. Przepraszam. Dziękuję, że to dla mnie robisz.

Pozostaję niewzruszony. Nie umiem powiedzieć: „Nic nie szkodzi”, „Robiłem to dla nas”. Młodzieńczy bunt jeszcze daje o sobie znać. Jeszcze wściekam się o to wszystko, co musiałem poświęcić dla tej walki. Jeszcze chce mi się wyć, krzyczeć. Wstaję. Idę do łazienki. Siadam na podłodze. Po chwili Małża

przynosi mi telefon.

– Ktoś dzwoni.

Odbieram.

– Dzień dobry, ja w sprawie mustanga.

Odpowiadam zdawkowo na pytania. Kończę rozmowę. Zabieram kluczyki. Zmierzam na parking. Miałem dzisiaj pobiegać, ale zamiast tego sobie pojeżdżę. Wsiadam. Po dwudziestu minutach docieram do autostrady. Gaz. Młodość, wolność, siła. Wracam. Wracam po Anetę.

– Chodź ze mną.

– Gdzie?

– Chcę nieodpowiedzialnie wydać pieniądze, zatankować mustanga i przekroczyć granicę – mówię.

Wsiadamy do samochodu. W krótkich spodenkach, trampkach. Bez bagażu. Bez niepłodności. W kółko śpiewamy razem z Tomem Pettym *Free fallin'*. Aneta rozpuszcza włosy. Energicznie rusza głową, mając sto dziewięćdziesiąt na liczniku. Teraz to wyjątkowo ja stosuję dydaktykę. Zwalnia. Nie przestaję jej obserwować. Na zmianę: jej i prędkościomierza. Wygląda cudownie, gdy w kraciastej koszuli i dżinsowych szortach prowadzi mojego konia.

W Görlitz zjadamy obiadokolację. Wypijamy po kuflu niemieckiego piwa. Wracamy w ustronne miejsce, gdzie zaparkowaliśmy. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów uprawiamy seks. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów zasypiamy objęci. Chociaż sam nie wiem, czy to wynika z potrzeby, czy z warunków przestrzennych, jakie oferuje mustang.

Naturalna selekcja

Mijają trzy miesiące. Nic się nie zmienia. Małża dalej nie ma pracy. Ma miesięczkę. A ja wciąż nie zgromadziłem całej sumy. Aneta miała się dzisiaj skontaktować z kolekcjonerem amerykańskich samochodów. Nie dzwoniła, więc to nie wróży dobrze. Wracam z pracy. Już od progu słyszę, że mamy gościa. Wchodzę do salonu.

– Dzień dobry. Wojtek Raczyński. – Podaję rękę trzydziestoparoletniej blondynce.

– Ania Dzierżoń vel Blue sky.

– Blue sky? Jesteś z Krakowa? Nawet nie wiedziałem – mówię.

Cóż za zaskoczenie. Aneta przeszła na kolejny *level* znajomości z userkami bocianowego portalu. Trzeba przyznać, że ta akurat niezmiernie nam pomogła. Nie będę im przeszkadzał. Pójdę na siłownię. Tam się zastanowię, czy mówić Anecie, co sędzę o przenoszeniu takich znajomości do realnego życia. Nie jestem pewny, czy wie, z czym to się wiąże.

Wychodzę z klubu sportowego. Dzwoni telefon. Dorota? Od kiedy telefonuje do mnie, nie do Anety? Aha, wszystko jasne. Małża nie odbiera, dlatego Kołodziejowa wybrała mój numer. Proponuje nam spotkanie. Bardzo dobry pomysł. Wchodzę do domu, już chce powiedzieć o zaproszeniu, kiedy spostrzegam, że nadal jest u nas Blue sky. Zwraca się do mnie:

– Raczek, organizujemy spotkanie. W sobotę. Wpadniecie, co?

– Oj, ciężko będzie. Mamy już inne plany.

Psiapsiółki patrzą na siebie zdeorientowane.

– Idziemy do Doroty i Piotrka – uświadamiam Anetę.

Nie kontynuuje tematu. Blue sky wreszcie odchodzi do wirtualnej rzeczywistości.

– O co chodzi z Dorą? – pyta Aneta, stając za kuchenną wyspą.

– Zaprosili nas.

– Wolę iść do Dzierżoniów.

– A ja do Kołodziejów, i co? Aneta, to jest bardzo fajne, że w ogóle zaczęłaś się z kimś spotykać, ale pamiętasz, co Haliszewski mówił o tych znajomościach? Niezręcznie je zerwać, gdy komuś się uda.

– Prędzej nam się uda niż im. Doskonale wiesz, jak to u nich wygląda.

– Aha, i to jest kryterium wyboru przyjaciół? To, że są w gorszej sytuacji? Wolalbym, żebyś zamiast spotykać się z Blue sky, poszła sobie pobiegać. Żebyś pojechała na zakupy.

– Żeby pooglądać szczęśliwe mamusie?

– Nie. Żeby mnie trochę odciążyc. Nie zamykaj się w domu. I nie dostosowuj wszystkiego do niepłodności. Uwolnij się od tego czasem, proszę cię. Chodźmy do nich. Wyluzujemy się. Zamknę im usta na wstępie.

– Jak?

– Tak jak to zrobiłem u siebie w pracy. Powiedziałem, że zdecydowaliśmy się na in vitro, bo jestem niepłodny. Konsternacja była tak duża, że nikt nie odważył się podjąć tematu.

– Pomyślę.

– Musimy się jakoś uodpornić, Aśka niedługo będzie rodzić.

– Nie chcę o tym słyszeć.

– Okej, przepraszam. – Już wiem, że pomysł zabrania na weekend mojej chrześnicy nie zostanie zaakceptowany. – Powiedz mi, czy dzwoniłaś do tego konserwatora?

– Za trzydzieści weźmie.

– Za ile? Jaja sobie robisz? – Prawie krztuszę się wodą.

– Chciałabym, ale nie mam pieniędzy.

Wieczorem siadam przed komputerem. Edytuję oferty. Obniżam cenę za samochód. A dokładnie: zaniżam. Z wyliczeń wynika, że to bardziej opłacalne niż zaciągnięcie kredytu na dziecko. Zdążyłbym go pewnie spłacić z pensji, zanim sprzedałbym ten unikat po rynkowej cenie.

W sobotę jednak gościmy u Kołodziejów. Są też Pilińscy i Bytnarowie. Aneta natychmiast znika w łazience.

– Okej, najpierw drobne *intro*. – Staję przed stołem.

– W ciąży są – odzywa się Dorota.

– No właśnie nie – dementuję. – Bardzo byśmy was prosili, żebyście nie pytali o dziecko. Jak się będzie miało pojawić, na pewno wam o tym powiemy.

– A czemu takie *intro*? – docieka Bytnarowa.

– Bo tego rodzaju pytania są dla nas niezręczne i stresujące, jak to, które zadałaś. Leczymy się na niepłodność – odpowiadam.

Nie patrząc jej w oczy, nakładam na talerz pierwszą lepszą sałatkę. Aneta siada przy stole. Przez chwilę wszyscy milczą. Dopiero po kilku minutach atmosfera się rozluźnia. W pewnym momencie Pilińska wstaje od stołu. Mija nas.

– Ty jesteś w ciąży – zauważa Aneta.

– Małżus – zawczasu próbuję zapobiec scysji.

– No tak – potwierdza Renata.

– Mam nadzieję, że tym razem nie poronisz, chociaż skoro dalej próbujesz, to już chyba się uodporniłaś – mówi Małża.

Odchodzi od stołu. W przedpokoju wkłada buty.

– Przepraszam cię – zwracam się do Renaty.

– W porządku. Rozumiem. Doskonale rozumiem.

No tak, przeszyta, przedziurawiona na wylot przez niepłodność. Sam również opuszczam towarzystwo. Próbuję dogonić Anetę.

– Zaczekaj, co?

– One są wszędzie. Wszędzie! – krzyczy, wcale nie zwalniając.

– Kto? – Staję i rozkładam ręce.

– Baby w ciąży.

– I myślisz, że teraz przed nimi zwiejesz? – pytam.

Wreszcie udaje mi się ją chwycić za nadgarstek. Przytula się mocno. Drży. Przeszyta na wylot przez niepłodność. Przerażona, jak będą wyglądały kolejne dwa tygodnie, miesiące, trymestry, lata.

– Nawet im się udało. Nam jeszcze ani razu.

– Chciałabyś skończyć tak jak oni trzy razy?

– Ona przynajmniej wie, co znaczy być w ciąży.

– Aneta! – Potrząsam nią mocno. – Aneta! Nie mów nawet takich rzeczy, słyszysz? Chcesz ciąży czy dziecka?

– Jednego i drugiego. Jednego albo drugiego – z trudem wymawia słowa, popadając w coraz większą histerię. – Dziecka, które można by przynajmniej oplakiwać.

Przytulam ją mocno. Jutro czeka nas ciężka sesja. Bardzo ciężka. Muszę się też spotkać z tym kolekcjonerem.

– Na co zamierza pan wymienić? – pyta, podpisując umowę kupna-sprzedaży.

– Na dziecko. – Kończę przeliczać pieniądze. Żegniam się. Staję po drugiej stronie ulicy. Chcę jeszcze raz posłuchać warkotu silnika.

– Oby się okazało, że rzeczywiście dzisiaj można wszystko kupić – szepczę, gdy mustang znika mi z pola widzenia. Trzydzieści tysięcy. Trzy protokoły, ale mam szansę wykonać tylko dwa. Haliszewski powiedział, że po trzecim robimy co najmniej parę miesięcy przerwy.

*

Jakość mojego nasienia ulega zmianie. Jest coraz gorsza. Mam kasę, nie mam plemników. No, może trochę przesadziłem. Mam, ale mało, i na dodatek strasznych słabeuszy. Drugie podejście do in vitro. Tym razem korzystamy z zamrożonych zarodków.

Dwa tygodnie później, siedząc na kanapie, czekamy na telefon. Oboje zaciskamy spocone dłonie. Milczymy. Tylko co jakiś czas któreś z nas wzdycha. Oprócz tego w pokoju słychać tykanie zegara. Biologicznego i ściennego. Rozbrzmiewają pierwsze nuty *Perfect Day*. Aneta gwałtownie wstaje, przykładając dłonie do ust.

– Dzwoni do mnie. Do mnie dzwoni. Udało się. Jezu, odbierz.

Odwracam się do niej plecami.

– Przykro mi – słyszę głos w telefonie.

Milczę.

– Pani Aneto, jest tam pani?

Kieruję na nią spojrzenie. Uśmiech znika z jej twarzy, usta drżą, oczy wypełniają się łzami. Patrzy na mnie cały czas. Nie przestaje.

– Zrób coś. No Wojtek, zrób coś! – krzyczy, po czym znika za drzwiami sypialni.

Słyszę uderzenie o ścianę.

– Kuuurwaaa! – krzyczę. – No kurwa! Pomóżcie nam jakoś! Zróbcie coś. Kurwa, zróbcie! Przecież tak się nie da. Ona już nie daje rady. Mieliście nas leczyć! Mieliście nas leczyć. Gdzie jest to leczenie? Gdzie jest ta ciąża? Cudotwórcy jebani! – wrzeszczę.

Rzucam telefonem o ścianę. Aneta też czymś rzuca o ścianę. Kładę łokcie na blacie, podpieram głowę na rękach. Nie pójdę do niej. Co mam powiedzieć? Że się uda? Strącam na podłogę swoje eliksiry płodności. Co jeszcze mogę zrobić? Kurwa, co ja jeszcze mogę zrobić?! Co jeszcze?! Co jeszcze? Niech mi to ktoś powie. Niech mi ktoś powie. Ja nie chcę, nie mogę jej dłużej tego robić. Nie chcę. Kurwa, niech mi ktoś powie, co jeszcze mogę zrobić? Zostawić ją? Mam poświęcić dla tej walki jeszcze małżeństwo? Sięgam po fiołki z lekami. Tym razem nimi rzucam o ścianę. Tabletki się rozsypują. Marzenia mojej Małży się rozsypują. Moje małżeństwo się rozsypuje. Ja się rozsypuję. Aneta rozsypuje wszystkie moje rzeczy. Wyrywa strony z książki, którą jej podarowałem. Wyrywa mnie ze swojego serca, życia.

Następnego dnia w gabinecie lekarskim padają słowa: in vitro, ewentualnie adopcja lub inseminacja nasieniem dawcy. Aneta płacze. Ja wrzeszczę. „Pierdolenie, nie leczenie” – informuję wszystkich pacjentów, czym są te praktyki lekarskie. U psycholki dla odmiany wyję i pytam: „Za co?”. Gajda, tak jak Haliszewski, mówi: „Nie wiem”. Chce nam wypełnić czas. Czymś, co pomoże zrozumieć wzajemne uczucia. Aneta ma dokończyć reportaż o niepłodności. Męskiej niepłodności, skoro właśnie ten czynnik nas dotyczy. A ja mam jej to ułatwić. Zaczynam spisywać wszystkie swoje emocje, przemyślenia od pierwszej wizyty. Wieczorami czytamy sobie na głos moje zwierzenia. Szukamy w Internecie wyznań innych mężczyzn. Ciężko. Cholernie ciężko. Tak jakby to kobiety miały w tej kwestii monopol na rozpacz. A przecież facetów to też boli. Do tego stopnia, że aż nie może im przejść przez gardło. Tak jak mnie przez gardło nie mogą przejść słowa: adopcja, inseminacja z dawcą. Na razie artykułując swoje postanowienia, wymawiam słowo in vitro. Mam nadzieję, że wraz z biegiem zdarzeń nie zmienię poglądów jak kiedyś. Po tym słowie chciałbym postawić kropkę.

Przykrywam się. Zamykam oczy. Czas na modlitwę. Formułuję prośby do

Boga, w którego ze względu na okoliczności muszę uwierzyć. Błagam o dziecko. Dla siebie. Dla Anety, żeby móc przy niej zostać. Słyszę, że wchodzi do pokoju. Nie Bóg; Małża. Wsuwa się pod kołdrę. Przylega do mojego ciała mocniej niż zwykle – tak, że czuję jej rozgrzaną po kąpieli skórę. Mam wrażenie, że w ten sposób chce mnie o czymś zapewnić. Chce mnie zapewnić, że niezależnie od poziomu HCG będziemy razem. Nie wierzę w to, ale i tak obejmuję ją mocno. A może robię to właśnie dlatego, że obawiam się o swoją pozycję? Może to forma pożegnania? Bo jutro dzień wielkiej próby. Takiej, której możemy nie przetrwać. Prawda jest taka, że w przypadku negatywnego wyniku Aneta będzie nalegać na skorzystanie z nasienia dawcy. A ja, choćbym chciał, nie zniosę tego. Skoro nasz związek ma się rozwalić, to chyba taniej i przyjemniej będzie, jeśli Aneta znajdzie lepszego kandydata i z nim zaszaleje. Już podjąłem decyzję: jeśli tym razem również się nie powiedzie, zniknę. Niech Małża robi swoje. Niech robi dziecko. Dopóki sama może.

Nie słyszę cichego „dobranoc”. Ona chyba nie chce wypowiadać tego słowa. Nie chce się ze mną żegnać. Obawiam się, że będę ją musiał wyręczyć. W dobrej wierze. „Wierzę w Boga, Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela...”

Niedziela. Szósta rano, a ja nie śpię. Aneta też wstaje bez pomocy budzików. Spogląda na mnie zaspanymi oczyma.

– Wiesz, że...

– Wiem – odpowiadam szybko.

Dziwne, myślała, że nie odliczam dni od zabiegu?

Tym razem postanowiliśmy skorzystać ze zwykłego testu. Wstajemy z łóżek. Aneta zmierza do łazienki, a ja gotuję wodę na kawę. Z premedytacją wyjmuję z szafki tylko jeden kubek. Siła sugestii: jeśli będę traktował Małżę jak ciężarną, której nie wolno spożywać kofeiny, może rzeczywiście się nią stanie. Chciałbym, żeby przyszła do kuchni i powiedziała, że musi się zadowolić sokiem. Wiem, że teraz ściąga z szafki test. Chociaż... może już sika? Nie. Z łazienki dochodzi szmer wody, więc jak zwykle odkręciła kurki.

Wzdycham ciężko. Przymykam oczy i znów się modlę: „Nie rób nam tego. Nie zasłużyliśmy. Ona nie zasłużyła”. Siadam przy stole. Kręci mi się w głowie. I to chyba wcale nie od kilku łyków wciąż parującej kawy. Spoglądam na zegarek. Jeszcze z minutę będę musiał poczekać. Na wyrok. Pozytywny czy negatywny... dożywotni.

Aneta wchodzi do salonu.

Nie dam rady. Niech tym razem sprawdzi sama. Albo zróbmy to chociaż razem. Nie chcę samemu. Niestety, Małża jak zwykle zamyka oczy i kładzie test na stole. Czeka. Boże! Nie chcę sprawdzać. To nie poker.

Przykładam dłoń do ust. Coś się we mnie gotuje, zaraz wykipi. Patrzę na Anetę. Nie mogę... Nie mogę wypowiedzieć słowa, bo pęknę. Zresztą nie

umiałbym nic powiedzieć. Mógłbym jedynie zacząć wrzeszczeć: „Dlaczego? Do chuja! Dlaczego?!”. Mógłbym krzyczeć aż do utraty tchu i rzucać o ściany wszystkim, co wpadnie mi w ręce. Zniszczyłbym cały dom, a przecież wystarczy, że zniszczyłem to małżeństwo. Nie ma co się siłować z rzeczywistością. Muszę to sobie jakoś wmówić. Bo tak naprawdę mój bunt wobec prawdy rośnie z każdą sekundą.

Wstaję. Aneta otwiera oczy. Nie patrzy na test. Patrzy, jak bez słowa, szybkim krokiem opuszczam mieszkanie. Szczerze mówiąc, mam nadzieję, że wybiegnie za mną, zanim sprawdzi wynik. Że okażę się ważniejszy od niebieskich kresek. Stoję jeszcze chwilę pod klatką schodową i czekam.

Wszystko jasne. Ruszam. Przyspieszam. Biegnę. Słyszę za sobą jej rozpaczliwy krzyk. Słyszę płacz. Niech za mną nie pędzi. Niech idzie w inną stronę.

Po dłuższej chwili, gdy już mam pewność, że mnie nie dogoni, siadam na ławce. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, dokąd doszedłem. Boże! Co się ze mną dzieje? Cieknie mi. Normalnie cieknie mi po policzkach. Co gorsza, wcale nie czuję ulgi. Rośnie we mnie gula. Gula większa niż płód dojrzewający w łonie matki przez dziewięć miesięcy. Jak przy porodzie, zaraz mnie rozerwie. Pęknie spojenie.

Dzwoni telefon. Co miałbym jej powiedzieć? „Przepraszam”? Po raz który? Zresztą za to nie można przeprosić, nie stłukłem jej ulubionej filiżanki.

Obok mnie przechodzi facet z dzieckiem. Nie mogę się powstrzymać. Wybucham płaczem. Ja pierdołę! Nie potrafię nad sobą zapanować. Gość patrzy na mnie z zażenowaniem. Tak, tak, on jest prawdziwym facetem, ja mięczakiem. On nie płacze. Nie płacze, bo nie ma powodu. On się spełnił. Ma CV z szerokim kręgiem zainteresowań.

Wstaję. Podchodzę do kiosku.

– Marlboro czerwone, proszę.

Wracam do parku. Wiem, że nikotyna mocno mnie sieknie, więc muszę usiąść. Od dawna nie miałem w ustach papierosa. I obiecałem sobie, że go zapalę, jeśli się dowiem, że trzecie in vitro nie pomogło. To ma być symbol. Tym sztachnięciem pożegnam się z rolą ojca i męża.

Przeszukuję kontakty. Nie wiem, do kogo zadzwonić. Matka Anety zadaje zbyt wiele pytań, ale przynajmniej próbuje okazać empatię.

– Mamo? – odzywam się. Ciekawe jak długo jeszcze będę tak do niej mówił? Boże! Już nie będę mógł nazywać Anety Małą. Tym mianem określi ją ojciec jej dziecka. A ja będę wychodził na miasto i powtarzał atrakcyjnym dziewczynom, że nie muszę używać gumy. Nie przenoszę ani chorób wenerycznych, ani genów. Tak będzie wyglądało moje życie, bo przecież żadnej lasce nie zgotuję tego, co Mały. Co Anecie – poprawiam się. – Mamo, przyjedź do niej – mówię.

– Nie? – pyta.

– Nie.

– Gdzie ty jesteś?

– Nieważne. Zadzwoń do Anety. Potem tyrknij do mnie, żebym wiedział, czy wszystko w porządku – kończę.

Odchylam głowę, by napawać się substancjami drażniącymi i smolistymi, które przez lata pogrążyły moją męskość.

Czas płynie, telefon ciągle dzwoni, ale nie odbieram. Kiedy Aneta próbuje się skontaktować chyba po raz trzydziesty, postanawiam, że wyślę jej SMS-a: *Układaj sobie życie. Z kimś, z kim się da.* Zmieniam dane kontaktowe: Małżę robię Anetą.

Gdy tylko dostaję informację od teściowej, że już jest u córki, wyłączam telefon. Biorę taksówkę. W pierwszym lepszym lokalu zamawiam pięćdziesiątkę. Potem drugą, trzecią... To mi nie służy. Lecę do kibla. Rzygam. Dlaczego ja? Dlaczego rzygam ja, a nie ona?

Chłanie nie jest dobrym pomysłem. Sen. Potrzebuję snu. Znowu zamawiam taryfę. Jadę do matki. Hotel można wynająć na jedną nockę, nie na całe życie.

– Cześć. Mogę u was przekimać?

– Boże! Jesteś! Wszyscy cię szukają. Aneta na ciebie czeka.

– Gdzie czeka?

– Tutaj.

Wchodzę do pokoju. Małża siedzi zapłakana na kanapie, obok niej stoi moja teściowa.

– Wyjdźcie. Proszę. Nie mamy o czym rozmawiać – mówię.

– Wojtek! – zaczyna krzyczeć Aneta.

Za naszymi matkami zamykają się drzwi mieszkania. Zostawiły nas samych.

– Co? No co? Masz jakieś nowe wyjście z sytuacji? Wynaleziono jakąś nową metodę leczenia? – pytam.

– Możemy z dawcą – szepcze.

Patrzę na nią i ze spokojem mówię:

– Aneta, ty możesz z dawcą. Wyobrażasz sobie sytuację, w której wychowywalibyśmy razem dziecko, które dla ciebie jest własne, a dla mnie obce? Nikt nie jest niezastąpiony. Oprócz biologicznego dziecka. Zaprzeczysz?

Aneta wybucha płaczem. Jezu! Nie mogę na to patrzeć. Wiem, że ją ranię. Ale w słusznej sprawie.

– Tak będzie lepiej – szepczę.

Klękam przed nią.

– Jesteś egoistą. Jesteś pieprzonym egoistą! – wrzeszczy, odtrącając mnie.

– Wręcz przeciwnie.

– Nawet nie chcesz spróbować.

– Aneta, to nie piaskownica. Chodzi o dziecko. Nie można próbować mieć dziecko i próbować je kochać. To by się rozsypało. Nie chcę, żebyś na mnie liczyła i się przeliczyła, rozumiesz? Znajdź sobie kogoś.

– I wtedy nie będziesz zazdrosny, tak? O dawcę byłbyś, ale o innego faceta nie?

– Nie, bo nie musiałbym kochać jego dziecka. I możliwe, że bym się nawet o tym gościu nie dowiedział.

Dopiero po chwili Aneta rozumie moje słowa. Dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, że chcę, żeby każde z nas poszło w inną stronę i wymazało z życia etap małżeństwa. To byłoby możliwe. Bo nic nas nie łączy. Nie musielibyśmy się dzielić prawami rodzicielskimi i utrzymywać przyjacielskich kontaktów dla dziecka. Nic nie przypieczętowało tego związku.

Wstaje z kanapy, już przekracza próg przedpokoju. Nieoczekiwanie zawraca. Z trudem wypowiada słowa:

– Jutro, o osiemnastej, pod kliniką. Mamy wizytę.

– Masz wizytę – odpowiadam, nie odwracając się nawet w jej stronę.

– Nie każ mi. Nie każ mi wybierać między dzieckiem a tobą.

– Natura dokonała wyboru. Naturalna selekcja – szepczę już do siebie.

Wychodzi.

Oczy wypełniają mi się łzami. Jezu, co się ze mną dzieje?! Gdybym jej nie kochał... Wszystko byłoby tak banalnie proste. Nadal kucam przy łóżku. Nie ruszam się, bo nie wiem, gdzie się podziać.

Matka wraca do domu. Kładzie mi rękę na ramieniu. Wstaję, zamykam się w pokoju.

Następnego dnia, okupując z kumplami popielniczkę, informuję, że zamierzam się rozwieść. To głupie, ale mam wrażenie, że jak o tym powiem, już nie będę mógł się wycofać.

Wracam do biura. Znowu ktoś dzwoni. Teściowa.

– Słucham.

– Idź z nią na tę wizytę. Lekarz zna pary, które sobie z tym poradziły. Mógłby was z takimi umówić. Przeszedłbyś przez szereg spotkań z psychoterapeutą, bo byłbyś ojcem adopcyjnym. Daj wam jeszcze jakąś szansę.

– Mamo...

– Idioto, kochasz ją?

– Mamo...

– To walcz, bo naprawdę znajdzie sobie kogoś innego. A może to jedyna kobieta, która chciałaby mieć dziecko z takim tchórzem jak ty?

– Ona nie może mieć ze mną dzie... – nie kończę zdania.

Teściowa się rozłącza.

Po chwili znów słyszę dźwięk połączenia przychodzącego. Tym razem

interweniuje psycholka.

– Przerobiliśmy już temat uciekania od trudności, prawda?

– Jeśli uważasz trzeci nieudany protokół za trudność, to tylko świadczy o tym, że nie masz pojęcia o całej sprawie.

– Wszystko jest kwestią przewartościowania. Ty nie próbujesz tego zrobić. Chcesz żyć ze świadomością, że straciłeś żonę przez tchórzostwo? Ja nie mówię, że podołasz, ale możemy nad tym wspólnie popracować.

– No, szkoda by było stracić stałego klienta, nie?

– Szkoda tracić to wszystko, co już osiągnęliście na terapiach.

– Przepraszam, ale mam mnóstwo pracy.

– To ja przepraszam, że nie umiem sprawić, żebyś zechciał sobie pomóc.

Rozłączam się. Wzdycham. Już nic nie wiem. Nie mam pojęcia, co robić. Nie chciałbym Anety rozczarować po raz kolejny, a mam do tego predyspozycje.

Siedemnasta. Ja przed telewizorem. Nawet nie przerzucam kanałów. Nawet nie wiem, co oglądam. Myślę. O swoim obecnym życiu. O tym, że siedzę u matki. Wracam do punktu wyjścia, mając czterdzieści lat. Jeszcze wczoraj była Małża, było odpicowane mieszkanie... Jeszcze parę miesięcy temu każde z nas miało świetną pracę. Miałem mustanga. I nadzieję, ale okazała się matką głupich.

Przychodzi SMS: *Przypominam o wizycie. Małża*. Dlaczego ona nadal chce, żebym ją tak nazywał?

– Za godzinę masz wizytę – przypomina również matka.

Dłużej tego nie zniosę. Wychodzę bez słowa. Snuję się po mieście bez celu. No właśnie: bez celu. Nawet tego już nie mam. Staję w kolejce do kiosku. Nagle dostrzegam jakiś kobiecy magazyn. Na okładce nagłówek: „Akupunktura w leczeniu niepłodności”. Tego nie próbowaliśmy. Dlaczego Haliszewski nam tego nie zaproponował? Proszę o to czasopismo. Płacę. Nie czekam na resztę. Zamawiam taksówkę. W drodze wertuję numer. Jak idiota liczę, że przebrnę przez wszystkie reklamy podkładów i szybko znajdę odpowiedni artykuł. Trzeba było jednak skorzystać ze spisu treści. Docieram do kliniki. Pukam do gabinetu.

– Proszę – słyszę zza drzwi.

Wchodzę. Aneta natychmiast wybucha płaczem. Witam ją zdawkowym „cześć”.

– Akupunktura – mówię.

Rzucam magazyn Haliszewskiemu na biurko. Przez chwilę milczy i uśmiecha się do nas.

– Cieszę się, że pana widzę.

– Akupunktura. Po jakim czasie działa? Jaką ma skuteczność? Nie wspominał pan o tym. Ani słowem. Dlaczego?

– Bo to metoda eksperymentalna. Eksperymentuję z trzydziestolatkami. Oczywiście pozytywnie wpływa na rozładowanie napięcia, ale myśmy już

stosowali podobne opcje.

Spuszczam głowę. Nadzieja znowu okazała się matką głupich. Robię głęboki wdech. Drżącym głosem pytam:

– Jest jeszcze jakaś możliwość? Dla mnie?

– Możemy dalej próbować z in vitro. Inseminacja z dawcą, adopcja.

Aneta kładzie rękę na mojej dłoni. Znowu czuję, że oczy wypełniają mi się łzami. Nie wierzę. Nie wierzę, że nie ma innych opcji. To naprawdę koniec? Tyle zmagania, żeby usłyszeć, że wszystko idzie się jebać? Wszystko. Oddałbym wszystko, żeby być ojcem jej dzieci. Obiecałem jej to. Obiecałem też, że nie opuszczę jej aż do śmierci. Chociaż chyba nawet Kościół unieważnia małżeństwa z powodu niepłodności. Muszę to gdzieś sprawdzić.

Wychodzimy z kliniki. Wyjmuję papierosy. Częstouję Anetę. Z wahaniem wyciąga dłoń w stronę paczki. Milczymy. W spokoju palimy, kucając obok siebie. Dopiero gdy wrzucam niedopałek do kosza na śmieci, Aneta przerywa ciszę.

– Dlaczego ty mi każesz wybierać? Powiedz – szepcze.

– Myślisz, że chcę ci tym zrobić na złość? Moglibyśmy jeszcze poczekać, ale to bez sensu. Moim zdaniem nie przetrwamy tego. Przepraszam cię, ale ja się duszę. Nie potrafię dłużej funkcjonować w układzie, w którym ciągle muszę liczyć na twoje zrozumienie, cierpliwość, wybaczenie. Chyba sama przyczyniasz, że przychodziło ci to z trudem, a z każdą chwilą jest jeszcze gorzej.

– Ale już muszę poczekać, bo nie mam pieniędzy. – Wybucham płaczem.

– Aneta, mnie to wszystko za dużo kosztowało. To znaczy nie w sensie finansowym. Jest kasa ze sprzedaży mustanga. Poradzisz sobie. Ja już nie mogę, przepraszam. Po prostu nie mam siły. Kolejnej porażki nie zniosę. Nie chcę cię ranić.

Odchodzę.

– Właśnie to robisz! – krzyczy za mną.

Odwracam się.

– Tak ci się wydaje. Kocham cię.

Woła coś jeszcze, ale się wyłączam. Nie słucham jej słów. Zresztą trudno je zrozumieć.

Wieczorem wchodzę na www.nasz-bocian.pl. Z ciekawości sprawdzam, jak to jest z adopcją. Cholera, brakuje mi tu wyczerpujących informacji. Trzeba by zadać pytanie. Nie mogę już dłużej korzystać z konta Anety. Czas się zarejestrować. Login? Niech będzie dark cloud. Zasypuję forumowiczów pytaniami. Kładę się spać. Odpowiedzi sprawdzę jutro.

Już w pracy czytam część z nich. Ludzie twierdzą, że mocno nadszarpnięte małżeństwo nie przejdzie przez procedurę adopcyjną. Ponadto partner pozbawiony pracy może stanowić dodatkową przeszkodę. Co ciekawe, ludzie mają wątpliwości, czy osoby w naszym wieku mogłyby liczyć na niemowlaka. To nie byłoby takie

złe. Może przełamalbym się przy dziecku, z którym można już nawiązać jakiś kontakt. Takim dwu-, trzyletnim. Tylko pytanie, po jakich przejściach są ci kandydaci do adopcji? Bo gdyby... Nie wiem, jak by mi się żyło z własnym dzieckiem, jeśli byłoby problematyczne, a co dopiero z cudzym. Nie każdy jest na tyle silny, żeby wziąć na siebie taką odpowiedzialność. Robią testy psychologiczne. Potrafiliby pewnie sprawdzić, czy się nadają.

Po południu dzwonię do Anety.

– Posłuchaj, czytałem trochę o adopcji. Może byśmy się zgłosili do ośrodka?

– Inseminacja z dawcą to też adopcja.

– No tak, ale wtedy to adopcja tylko dla mnie i nie startujemy z równej pozycji. W tym widzę problem.

– Wojtek, to strasznie długo trwa. Poza tym pewnie nie daliby nam malucha, a ja... Wojtek, przepraszam, ale ja...

– Rozumiem. Możesz mieć swoje dziecko. Dokonałaś wyboru.

Wieczorem sprawdzam, czy muszę wyrazić zgodę na inseminację nasieniem dawcy, jeśli Aneta jest ze mną w związku małżeńskim. *What?* Zadała to samo pytanie na forum. W ilu wątkach była ostatnio aktywna? Czytam jej posty. Zatrzymuję się przy jednym: *Chciałabym tego nie czuć. Chciałabym nie czuć tej potrzeby noszenia dziecka w swoim wnętrzu, rodzenia w bólu, karmienia piersią, ale nie umiem. Mój Małż potrafił pokonać wszystko, a ja nie umiem. Jest mi wstyd, bo wymagałam od niego, więc teraz to ja powinnam pójść na ustępstwo, a nie mogę. Czuję instynkt. Biologiczny instynkt, który mi podpowiada, że nie umiałabym inaczej. Nie umiałabym kochać nie swojego dziecka. I z Małżem jest tak samo. Dlatego muszę wybierać. A nie mam wyboru, bo po utracie pracy na żaden ruch nie mam pieniędzy. Unoszę głowę. Powstrzymuję łzy.*

Przez pół nocy przewracam się z boku na bok. Nie wiem, jak jej powiedzieć o swojej decyzji. Nie przejdzie mi to przez gardło. Wiem, że to nie jest odpowiednia forma kontaktu w tej sytuacji, ale sięgam po telefon. Piszę SMS-a: *Zgadzam się na AID. Finanse nie są problemem. Tym się w ogóle nie przejmuj.*

Rano dzwonię do niej. Od razu zasypuje mnie milionem słów. Przerywam jej.

– Aneta, przelej ze wspólnego konta kasę za mustanga na swoje. Uznajmy, że to kwota, którą będziesz dysponowała samodzielnie wedle uznania. Raty za mieszkanie na razie będę spłacał. Potem zastanowimy się, czy go nie wynająć. Zostaw mi w klinice zgodę do podpisania. Jeśli by się udało, będę ci płacił alimenty, przynajmniej do momentu, kiedy staniesz na nogi.

– Wojtek, co ty do mnie mówisz?

– Posłuchaj, bo to ważne. Zrozumiałaś wszystko? Zostaw mi zgodę w klinice. Szybko.

Aneta wreszcie się opanowuje.

– Dobrze – przytakuje posłusznie.

Po południu otrzymuję SMS-a z informacją, że dokument czeka u Haliszewskiego. Ostatni raz stoję w jego gabinecie.

– Dzień dobry. Podobno Aneta coś dla mnie zostawiła.

– Tak, proszę. – Podaje mi teczkę. – Jak się pan czuje?

– Świetnie.

Nie czytam treści dokumentu. Szybko składam autograf, zmieniając kształt niektórych liter w imieniu. Pamiętam to z filmu *Pręgi*. W ostatniej scenie Żebrowski na zaparowanym lustrze kreśli wyraz „Wojciech”, zmazuje pierwszą i ostatnią literę, tworząc tym samym słowo: „ojciec”. Ja siłą rzeczy nie pomijam tych liter, ale nadaję im zupełnie inny kształt niż pozostałym.

– To nasienie w tej chwili nie jest najlepsze nawet na in vitro. Mamy słabą morfologię. Bardzo mi przykro, naprawdę.

– Dziękuję. Do widzenia.

Szybko wychodzę. Mijam ścianę z fotografiami dzieci. Szkoda, że zostawiłem swoją pustą ramkę w domu. Powinien ją tu powiesić. Wtedy statystyki kliniki byłyby wiarygodne. Wychodzę. Ostatni raz patrzę na budynek. Chciałbym mieć po co tu wracać. Zatrzymuję się przed kurczakownią. Kucam w toalecie. Uwalniam ból, strach. Uwalniam się od niepłodności. Spływa po mnie.

Dzwoni matka. Aśka rodzi. Próbuje uwolnić ból, strach. Próbuje się uwolnić od niepłodności. Chciałbym, żeby po mnie spływała. Muszę iść do psycholki. Muszę. Nie pójdę do szpitala do Aśki. Pójdę do psycholki.

Osiemnasty dzień miesiąca. Godzina jedenasta. Embriolog pewnie teraz wnosi pojemnik do sali zabiegowej. Wnosi tam obce geny. Wnosi tam jego nasienie. Nasienie faceta, który, choć ma sto osiemdziesiąt trzy centymetry wzrostu, waży dziewięćdziesiąt kilogramów, jest szatynem o piwnych oczach i ma wyższe wykształcenie, nie jest mną. Wiem, że Aneta wybrała dawcę na podstawie moich cech fizycznych. Czytałem o tym na forum. Boże! Wyobrażam sobie, że gęsta, obca wydzielina wpływa do wnętrza mojej kobiety. Sięgam po telefon.

– Cześć, co dzisiaj robisz?

– A co mam robić?

– Spotkać się ze mną.

Liczę, że z Magdą miło spędzę czas. Znowu się przy niej upijam. Znowu trafiam do jej domu, do jej pokoju, i spędzamy razem noc. Jak dzieciak wypłakuję się w jej ramionach. Na miłe spędzenie czasu mnie nie stać. Może jest za wcześnie.

Mija czternaście dni. Dzwoni telefon. Aneta.

– Wojtek?

– Tak, prawda? – Już słyszę to w jej głosie. Tylko się upewniam.

– Tak – odpowiada drżącym głosem. Zabrałem jej całą radość z tej wiadomości. Bo to powinno być inaczej. Od początku. Natychmiast przerywam

połączenie. Oddzwaniem po godzinie.

– Gratuluję. Jak się czujesz?

– W porządku.

– Potrzebujesz czegoś?

– Nie.

– Wpadnę do ciebie dzisiaj. Musimy pouzgadniać pewne rzeczy. Mogę?

– Jasne, od szesnastej jestem, chociaż jak chcesz wcześniej... To też twój dom.

– Będę koło piątej – deklaruje.

Odruchowo sam sobie otwieram drzwi. Zdejmuję buty. Najpierw wyciągam z szafy ramkę. Wręczam ją Anecie. Uśmiecha się promiennie. Tak jak kiedyś. Czuję ulgę. Podjęła słuszną decyzję. Nie proponuje kawy. Chyba nie traktuje mnie jak gościa. Sam parzę napój.

– Nie przelałaś sobie pieniędzy. Rano to zrobiłem.

Przez resztę mojej wizyty milczymy. Najwyższy czas wyjść. Potrzebujemy czasu. Kiedyś to wszystko stanie się naturalne, przywykniemy. Już otwieram drzwi. Aneta mnie zatrzymuje.

– Czekaj. – Wyjmuje z szafki dziecięce butki. – Weź je, żeby pamiętał, że... No wiesz.

– Wiem.

Wychodzę. Rozmasowuję kark. Dzwonię do Magdy.

Rozwiązanie

Otwieram oczy tuż po siódmej. Po dwugodzinnej drzemce wcale nie jestem wypoczęty, ale nie mam ochoty na dłuższy sen. Liczę, że nadrobię zaległości następnej nocy. Z łatwością zmrużę oczy, gdy pozbędę się odpowiedzialności i dylematów, których od dawna nie powinienem mieć.

Osiągnęliśmy wszystko, co było możliwe. Teraz pozostało bezsensowne walenie. Walenie głową w mur.

To głupie, Aneta przestała próbować, a ja mam wrażenie, że dopiero teraz zacząłem się starać. Za każdym razem, kiedy ostatnio szliśmy do łóżka, szacowałem, który to dzień cyklu. Czy może? Bez sensu. Rozminęliśmy się. Przegrałem walkę z czasem.

Paraliżuje mnie strach na myśl o tej rozmowie. Nie wiem, czy zdołam jej powiedzieć to wszystko, co powinna – ale czego nie chciałaby – usłyszeć. Należałoby się przygotować. Tylko czy to ma sens? Aneta z całą pewnością mi przerwie i całkowicie zmieni scenariusz. Z monologu zrobi dialog. Nawet jeśli poćwiczyłbym rolę przed lustrem, wkuł tekst na pamięć, to jej spojrzenie może mnie onieśmielić tak, że w końcu się zatnę.

Mimo wszystko muszę jakoś wypełnić czas.

Nie mogę zostawić pracy, mam tu ugruntowaną pozycję. W Warszawie zaczynałbym od zera, a jestem jedynym żywicielem rodziny. Powinienem dobrze zarabiać, żeby nas wszystkich utrzymać. Przecież nie wiadomo, czy Aneta po okresie próbnym podpisze umowę na czas nieokreślony. Nie możemy ryzykować, bo oboje zostaniemy na lodzie... Co jeszcze? Gówno! To nie są prawdziwe motywy.

Minął prawie rok. Jest coraz lepiej. Już nie boję się wziąć Leny na ręce w obawie, że uzna mnie za kogoś obcego i zacznie ryczeć. Ale ciągle mam uczucie... Nie! Ja właśnie nie mam żadnego uczucia. Mam poczucie. Poczucie obowiązku. Aż tyle. Dla mnie to aż tyle. Dla nich tylko tyle. Fakt, zdarzały się momenty, kiedy sam się dziwiłem, że aż tak mi zależy. Gdy Aneta była chora. Wtedy wróciłem na tydzień do domu. Wozilem ją po lekarzach, podawałem leki na spodeczku, śpiącą zanosilem do sypialni, przykrywałem, rozgrzewałem herbatami i sobą. I wtedy, gdy omal nie sprąłem lekarza na pogotowiu, jak Aneta zaczęła krwawić w dziewiątym tygodniu, a potem zobaczyłem dziecko na monitorze. Jak trafiliśmy do szkoły rodzenia. I doszedłem do wniosku, że nie ma kto wyszorować kibla w domu i trzeba wypełnić lodówkę. Gdy obserwowałem taniec Leny w brzuchu i wybierałem dla niej fotelik do samochodu. Również podczas porodu, kiedy byłem skłonny zamienić się z Anetą rolami, żeby tylko oszczędzić jej bólu.

Kiedy pierwszy raz wziąłem Lenę na ręce i udzieliła mi się radość z narodzin. Ale były też zupełnie inne momenty. Nigdy nie zapomnę tej sytuacji, kiedy po rozstaniu pierwszy raz doszło między mną i Anetą do zbliżenia. Dotknąłem jej piersi i nawrzeszczała na mnie, że to boli. Nie zapomnę pierwszej reakcji na jej nagi, wystający brzuch. Później ukrywała przede mną ciążę, jak tylko mogła. A ja z niesmakiem obserwowałem, jak zmienia się jej ciało i kondycja. I dzwoniłem do Magdy, bo miałem wielką ochotę wlać nasienie w pochwę innej kobiety. Paradoksalnie, gdy wreszcie się na to zdecydowałem, poleciałem po gumki do sklepu. Właśnie wtedy dotarło do mnie, że związek z Magdą nie ma sensu. Z nią nie chciałbym mieć dziecka, a przy Anecie mimo wszystko uczyłem się kochać nie swoją córkę. Ale to nie zmienia faktu, że ciągle jestem zazdrosny. Moja aklimatyzacja już zbyt długo trwa, a efekty są marne. Dziecko z czasem zauważy, że coś jest nie tak. Co mu wtedy powiemy? Żeby mi dało czas, bo jeszcze się nie pogodziłem z tym, że mnie adoptowano? Bo to nie ja adoptowałem Lenę, to ona adoptowała mnie. I nie jestem członkiem jej rodziny, jestem intruzem. Dlatego nie mogę zamykać drogi Anecie, nie mam prawa przed czymkolwiek jej powstrzymywać. Sama musi dokonywać wyborów, patrząc jedynie na dobro swoje i córki.

Dochodzi ósma, powinienem się już zbierać. Muszę powiedzieć Anecie, że już nie będzie Małżą. Wstaję. Trochę mi duszno, trochę kręci mi się w głowie.

Apogeum zdenerwowania osiągam, stojąc przed drzwiami. W życiu bym się nie spodziewał, że kiedyś przyjdę do domu o tej porze. Mąż nie powinien wracać nad ranem. No, może po jakiejś naprawdę ostrej imprezie.

Słyszę Lenę. Gaworzy głośno.

Zastanawiam się, czy powinienem zadzwonić, czy użyć klucza.

Sam sobie otworzę. Tak jak zawsze. Chyba mam prawo, w końcu to nasze wspólne mieszkanie. Jeszcze. Niedługo będę musiał je wynająć. Wprowadzi się tu bezdzietne małżeństwo. Oboje po trzydziestce. A może już przed czterdziestką? Będą chcieli szybko załatwić sprawę. Stwierdzą, że nieruchomości staniały, więc to najlepszy czas. Zresztą muszą już mieć jakiś ką, choćby tymczasowy, bo chcą powiększyć rodzinę. Sprawdzą, czy noszę obrączkę na palcu. Zorientują się, że mój stan cywilny uległ zmianie. Niemożliwe, żebym dotychczas sam mieszkał na tyłu metrach. Zagadam ich. Jakoś będę musiał odciągnąć uwagę od siebie. Bo przecież to wstyd, że nie sprawdziłem się w roli męża. Będę zachwalał lokalizację nieruchomości. Powiem, że na osiedlu jest dobrze zaopatrzony market, apteka, w której już, niestety, nie mają testów ciążowych z bobasem. Może poinformuję jeszcze, że blisko są przedszkola: samorządowe i prywatne. Jest też podstawówka. Wybudowano place zabaw. Są ogrodzone. Tutaj bezdomne koty nie szczają do piaskownicy, więc nie trzeba robić dzieciom badań na toksoplazmozę.

To ważne kryteria dla ludzi w tym wieku. Doskonale pamiętam, jak sami

pytaliśmy dewelopera o infrastrukturę osiedla. Kupiliśmy to mieszkanie, ponieważ w nim mogło się dobrze żyć nie tylko nam, ale także Mateuszowi. Żyje się dobrze. Lenie.

Wspomnę tę chwilę, gdy byliśmy tutaj na oględzinach. Zobaczę w tej parze nas sprzed kilku lat. Zażęknę za czasami, gdy wszystko wydawało się dziecinnie proste. Myślałem wtedy, że świat stoi przede mną otworem i wystarczy, że wyciągnę w jego kierunku pracę lub rękę i dostanę to, czego chciałem.

Tylko co odpowiem, gdy zapytają, czy byliśmy tu szczęśliwi. Przecież nigdy nie stworzyliśmy prawdziwego domu.

Wreszcie wchodzę do środka. W przedpokoju stoi wózek, przy ścianie salonu chodzik, przy kuchennej wyspie fotelik do karmienia. Na nim leży brudny śliniak. Na dywanie widzę matę edukacyjną, na kanapie niezłożony koc i bluzę. Na ławie otwartą książkę, niewyłączony komputer. Jest tam też niedopita herbata. Wszędzie walają się grzechotki. Fotel ubarwia okrągła pomarańczowa plama. Aneta miała rację. Białe meble nie są dla ludzi, którzy zamierzają mieć dzieci. Rozglądam się po salonie. Straszny bałagan, a jednak... widać, że ktoś tu mieszka. Dopóki nie było Leny, panował nieprzyzwoity porządek. Wszystko miało swoje miejsce i było dopasowane kolorystycznie. Nigdy nie wypełniliśmy wszechobecnej bieli. Nie zaburzyliśmy proporcji. To mieszkanie zawsze wyglądało jak przygotowane do sesji zdjęciowej dla czasopisma wnętrzarskiego. Brakowało tu życia. Wydawało się, że mamy szczęście, skoro stać nas na ekskluzywny komplet wypoczynkowy. A to wszystko było imitacją. Okleina na meblach kuchennych z IKEA imitowała lite drewno. Dobrej jakości skaj doskonale imitował naturalną skórę. A my idealnie imitowaliśmy rodzinę. Dopiero Anecie udało się ją tutaj stworzyć, ale już bez mojego udziału.

Nigdzie jej nie ma. Pukam do sypialni, jakbym już teraz był gościem w tym domu. Lena odpowiada mi głośnym: „Ga-ga”. Przekraczam próg. Aneta śpi w najlepsze, a powinna już dawno być na nogach. Przecież o dziewiątej miała gdzie wyjść. Lena stoi w łóżeczku. Wyciąga ręce w moją stronę, uśmiecha się. Smoczek wypada jej z ust i ląduje na podłodze. Zanim się z nią przywitam i podam gryzaczek, muszę obudzić Anetę.

Szturcham ją. Po chwili otwiera oczy.

– Za piętnaście minut będzie dziewiąta.

– Jezus, już? Zaspałam – stwierdza leniwie. Przeciąga się spokojnie, jakby wcale się nie spieszyła. – Mogę się trochę spóźnić – tłumaczy, gdy wskazuje palcem tarczę zegara.

– Kawa?

– Poproszę.

Zmierzam do kuchni. Lena mnie zatrzymuje, znów wyciągając ręce w moim kierunku i krzycząc: „Da-da”. Odwracam się do Anety, spoglądam na nią, jakbym

czekał, aż powie, że się przesłyszałem.

– Od trzech dni tak ma. Pokazywałam jej album ze zdjęciami. Zaczęła cię rozpoznawać i krzyzczyć: „Da-da”.

Kieruję spojrzenie na... córkę. Adopcyjną. Nadal oczekuje, że wezmę ją na rękę. Że też akurat dzisiaj musiała wypowiedzieć to słowo. Że też dzisiaj mianowała mnie swoim ojcem. Akurat teraz, kiedy zamierzałem znacznie ograniczyć swoje prawa rodzicielskie, wyrzec się ich i pozostać dadą dochodzącym. Zupełnie jakby chciała mnie powstrzymać. A nie mówiłem, że to ona mnie adoptowała?

Zniecierpliwiona zaczyna płakać. Podnoszę ją. Natychmiast zmienia się jej wyraz twarzy. Niedaleko pada jabłko od jabłoni, bo przecież Zołza też ma taką huśtawkę nastrojów.

– Chodź, zrobimy jakieś mleko, kawę, a potem zmienimy pieluchę i ciuchy, co?

– Da-da.

Nie reaguję. A powinienem poczuć dumę, powinienem przytaknąć. Powinienem zwrócić się do niej: „Tak, tak, córeczko. Dada, jestem twój dada”.

Aneta okupuje łazienkę, a ja z Leną na rękach krzątam się po mieszkaniu.

Mija kilkanaście minut. Lena, przewinięta, nakarmiona, przebrana, znowu bawi się w łóżeczku. A ja popijam kawę. Dwa kubki, z których wydobywa się para. Sobotni poranek jak za dawnych lat. Jeszcze kilka tygodni i nawet okazjonalnie nie będziemy razem przyjmować kofeiny, budząc się do życia. Może czasem, gdy przyjadę do Warszawy, skoczmy do Coffeeheaven, ale pewnie już nigdy nie usiądziemy we wspólnym domu w piżamach, szlafrokach, bokserkach, ze śpiochami w oczach. Kubek z napisem: „Małż Raczek” zaraz zostanie umyty, wytarty i razem ze mną powędruje do mieszkania mojej matki. Kubek z napisem: „Małża Raczka” zostanie owinięty w gazetę, włożony do kartonowego pudła i pojedzie do stolicy. Z czasem każde z nas wyrzuci swoją część kompletu. Picie porannej kawy z tych naczyń będzie przywoływało przykre wspomnienia.

Aneta wychodzi z łazienki, siada przy stole. Jeszcze nie wie, że to nasz ostatni raz. Jeszcze nie wie, że złożyłem pozew o rozwód, żeby bez poczucia winy mogła podjąć pracę w Warszawie.

– O której wrócisz? – pytam.

– Jeszcze nie wiem – odpowiada.

Chwyta moją rękę. Kładzie mi coś na dłoni, po czym się odsuwa.

Odruchowo spoglądam na przedmiot, który dostałem. Test?! Czuję, jak rozszerzają mi się źrenice. Patrzę na nią z niedowierzaniem.

– Tak? – pyta, uśmiechając się.

Długo milczę.

– Boże! Ty dzisiaj nigdzie nie wychodzisz, prawda?

– Nie.

Raz jeszcze spoglądam na test.

– Ja też nie – szepczę po chwili.

Z trudem przełykam ślinę. Czuję, że łzy napływają mi do oczu. Gwałtownie wstaję. Ściskam test w dłoni. Przytulam Anetę najmocniej, jak mogę. Płacę. Lena też płacze. W pokoju obok. Niech Małża do niej nie idzie. Niech zostanie ze mną. Chociaż raz niech mnie nie zostawia dla niej. Niech mała nam teraz nie przeszkadza. Nie w takim momencie. Nie teraz. Nie teraz, kiedy stoimy tutaj razem i właśnie tworzymy rodzinę.

– Przepraszam, muszę iść. – Aneta wyciera oczy i rusza do pokoju córki.

Patrzę na swoje odbicie w szybie. Zupełnie jakbym chciał się przymierzyć. Sprawdzić, czy do twarzy mi w roli ojca.

